

AUTORKA BESTSELLEROWEJ SERII „SPĘTANI PRZEZ BOGÓW”

JOSEPHINE  
ANGELINI

Wiedźmi  
SOS

JAK BĘDZIE WYGLĄDAŁ ŚWIAT,  
JEŚLI WALKĘ MAGII Z ROZUMEM  
WYGRAJĄ...WIEDŹMY?!

JOSEPHINE  
ANGELINI



Wiedźmi  
stos

Tłumaczenie  
Dominika Repeczko



Jaguar

*Mojemu mężowi, mojemu nowonarodzonemu maleństwu i Nespresso...*

*Dziękuję.*

## Rozdział 1

Lily Proctor nie spała. Nie była nieprzytomna ani nie śniła, nie ześliznęła się też do innego świata. Była obecna tutaj, żywa, i na dobre bądź złe, to ona tu decydowała. Musiała sobie to powtarzać, w przeciwnym razie groziło jej, że całkowicie się załamie. By zachować spokój, wymieniła rzeczy, co do których miała pewność.

Ostatnie, co pamiętała, to walka z Rojem gdzieś pośrodku kontynentu Ameryki Północnej. W jej świecie byłyby to prerie Kansas. Ale w tym centrum kontynentu pozostawało terenem niezbadanym, dawno pozostawionym mało znanemu i niemalże mitycznemu podgatunkowi Splotów, nazywanych Rojem.

Lily i jej niewielka grupa wiernych wojowników przegrali bitwę. Niemal wszyscy ci, którzy podążyli za Lily na zachód, zginęli w tej podróży. Kilku jedynie przetrwało, by na koniec zostać pozbawionymi przytomności przez Rój. Zostali potem przeniesieni na rozległe pole leżące u bram miasta po drugiej stronie kontynentu, na zachodnim wybrzeżu. Inskrypcja ponad bramą głosiła, że to miejsce to Miasto Bower. Miasto, które – z tego, co wiedziała Lily – nie powinno istnieć.

Lily wiedziała też, że Tristan, jej Tristan, nie żyje. Że zginął, walcząc z Rojem. Zacięła się na tej myśli i nie była w stanie ruszyć ani w przód, ani w tył. Mogła tylko patrzeć na mury miasta i powtarzać w duchu: *Tristan nie żyje. Nie żyje przede mną.*

– Lily?

Odwróciła się na dźwięk swego imienia, próbując zorientować się, kto do niej przemówił. Wśród kwiatów otaczających Bower stali Juliet, Caleb, Kanapka i Una, i ten drugi Tristan. Tylko oni przeżyli. Wszyscy pozostali albo odeszli, albo zginęli na Szlaku Łez. Nawet Rowan ją zdradził, pozwolił, by zamknięta w klatce umierała z głodu. W klatce, którą Tristan, jej Tristan, jakoś otworzył. Potem uratował Lily przed Rowanem. Uratował, a teraz był martwy.

– Lily? – powtórzył ten drugi, teraz już jedyny Tristan.

Ubranie miał w strzępach, oczy mokre od łez i czerwone. Głęboko przeżył stratę swego drugiego ja, ale nie odczuł tego tak samo jak Lily. On nie był odpowiedzialny za śmierć Tristana. Lily była.

– Co chcesz teraz zrobić? – spytał, gdy patrzyła na niego pustym wzrokiem.

Czuła, jak powstrzymywany szloch zdziera skórę nisko w gardle, na skraju piersi, tam, gdzie obojczyki rysowały kształt litery „U”. Nie mogła oddać się rozpacz, nie teraz, więc unosiła się ponad smutkiem, a jej żal zapadł się w nią głębiej i głębiej niczym połknięta drzazga.

Popatrzyła na pszczoły latające wśród kwiatów, próbując odnaleźć poczucie rzeczywistości. W uszach jej brzęczało, ale nie potrafiła stwierdzić, czy ten dźwięk płynął z zewnątrz, czy może wewnątrz niej. Patrzyła na pszczoły, zastanawiając

się, czy to zwyczajne pszczoły, czy może jednak Robotnice Roju. Robotnice wyglądały jak normalne pszczoły, co w pewien sposób czyniło je jeszcze bardziej niepokojącymi, niż gdyby miały potworne rozmiary.

– Nie zabiły nas – powiedziała, ignorując pytanie Tristana. – Sploty z Roju.

– Słyszeliśmy, że Siostry Wojowniczkki czasem gdzieś zabierają ludzi – przypomniał jej Caleb, odnosząc się do przerażających Splotów o kształtach w połowie ludzkich, w połowie pszczelich.

Siostry Wojowniczkki miały ponad siedem stóp wysokości, pokryte były egzozszkieletem niczym zbroją płytową i walczyły kolczastymi biczami pokrytymi potężną trucizną, którą uzyskiwały z własnych żądeł.

– Może tu właśnie zabierają schwytyanych? – dokończył Caleb szeptem, jakby samo wspomnienie Sióstr mogło je sprowadzić.

– Musieliśmy stracić przytomność na kilka dni – dodała Una, przyglądając się niebu. – Niemożliwe, żeby przeniosły nas na Zachodnie Wybrzeże w krótszym czasie.

Lily skinęła głową, zgadzając się z logiką w słowach Uny. Usta miała wciąż wyschnięte i pokryte gorzkim osadem wywołanego narkotykami snu. Skorzystała ze swych wiedzmiich zmysłów, by zbadać pozostałości chemicznej mieszanki, jakie wciąż jeszcze miała we krwi, i doszła do wniosku, że jad mógł całymi dniami utrzymywać ich we śnie. Zastanowiła ją inteligencja istot, które były w stanie zdecydować, by zabić jednych, a porwać innych, i dobrać do tego odpowiednią truciznę.

– Dokąd idziesz? – zawołała Juliet. Podbiegła do Lily i chwyciła siostrę za ramię. Zatrzymana w pół kroku Lily uświadomiła sobie, że podążała ku bramom miasta.

– Chyba tam. – Wzruszyła ramionami. – Nie mamy raczej innych opcji.

Juliet popatrzyła na Caleba ponad ramieniem Lily.

– Jest w szoku – powiedziała do niego.

– Chyba wszyscy jesteśmy – dodał cicho Kanapka. – Zastanówmy się i przemyślmy to sobie przez chwilę, zanim wmaszerujemy do jakiegoś obcego i dziwnego miejsca.

Lily poczuła, że Juliet próbuje zaprowadzić ją do reszty grupy, ale dotyk siostry zabolął, bowiem dłonie Lily nie zagoiły się jeszcze po tym, jak wczepiła je w płonąca ziemię. Cofnęła rękę. Oblizwała spękane wargi i wydało jej się, że wciąż czuje smak dymu i ziemi prerii, która paliła się wokół niej. Pamiętała, jak wbijała palce w grunt, próbując znaleźć jakieś zaczepienie, by nie porwał ją wiedzmi wiatr, jak pełzła naprzód, gdy przesuwiała się linia ognia, jedna wypełniona agonią garść płonącej ziemi za drugą.

– Proszę. – Tristan sięgnął do swojego plecaka mechanika, który wciąż miał na plecach. – Mam tu balsam. Chyba mam.

Lily nie mogła spojrzeć mu w oczy. Gdy ujął jej dłonie w swoje i nakładał balsam na popękana, czerwoną skórę, musiała walczyć ze sobą, by nie cofnąć rąk. *To nie mój Tristan*, przypomniała sobie.

Przez chwilę wszyscy zajęli się opatrywaniem obrażeń przy użyciu balsamu Tristana, ale rany, jakie odnieśli w walce, już zaczynały się goić.

– Cokolwiek wstrzyknęły w nas Sploty z Roju, musiało to zawierać antybiotyk – powiedział Tristan. Zamilkł i obejrzał swoje ręce i ramiona, noszące lekkie zaledwie ślady oparzeń. Na twarzy malował mu się wyraz zaskoczenia. – Ale i tak, biorąc pod uwagę, że walczyliśmy w ogniu, nasze obrażenia powinny być poważniejsze.

– Myślałem, że to koniec, gdy dogonił nas ogień Lily – dodał Caleb. – Ale on zabijał tylko Rój. Nie nas. Jak to możliwe?

– Ja to zrobiłam – wyjaśniła Lily. – Przekierowałam energię. Nie wiem dokładnie, jak.

– Możesz to powtórzyć? – spytała Una, smarując się delikatnie balsamem. – Bo to akurat byłoby przydatne. Zginęły tysiące robotnic, a nas ledwie osmałiło.

Lily próbowała sobie przypomnieć, co zrobiła, ale jedyne, czego była pewna, to tego, że złamała obietnicę, posiadała swoich mechaników i stała się kimś innym. Była „Nami”. A kiedy któryś z członków tego zbiorowego „My” umierał, jakaś część Lily umierała wraz z nim. Wciąż czuła dziury, niczym krwawe ubytki po wybitych zębach, których nie mogła przestać dotykać czubkiem języka. Największa i najboleśniej była luka po Tristanie.

*Powinien się teraz przygotowywać, by pójść do Harvardu. A tymczasem nie żyje.*

– Nie wiem. Nie wiem, co dokładnie zrobiłam – wymamrotała, próbując uniknąć dalszego badania tej kwestii. Na szczęście, albo w chaosie walki nie poczuli, że ich posiadała, albo jeszcze to do nich nie dotarło. Lily miała nadzieję, że nigdy nie dotrze.

Spojrzała na Juliet, która przyglądała jej się bacznie spod zmarszczonych brwi.

– No co? – zapytała obronnym tonem.

– Całe moje życie spędziłam wśród czarownic i jeszcze nigdy nie słyszałam, by ktoś zrobił coś takiego – odpowiedziała Juliet. – Zupełnie jakbyś mogła kontrolować... – przerwała, marszcząc brwi jeszcze bardziej.

– Co kontrolować? – spytała Lily, ale Juliet tylko zbyła czarownicę gestem.

Lily nie drążyła tematu, nie chciała, żeby Juliet, czy ktokolwiek z grupy myślał nad tym zbyt intensywnie. Szczególnie Caleb. Wiedziała, że nigdy nie wybaczyłby jej, że przejęła kontrolę nad jego ciałem, a nie mogła stracić i Caleba. Desperacka, rozpaczliwa panika zaczęła wydierać sobie drogę w jej piersi. Lily zamknęła oczy i próbowała skupić się na oddychaniu.

*Jak mogłam to zrobić? Jak mogłam narazić ich wszystkich na takie niebezpieczeństwo?*

*Nie miałaś wyboru*, napłynęła odpowiedź. Lillian była tam z Lily, dzieląc pustkę wewnątrz jej umysłu.

*Pomóż mi*, poprosiła Lily. *Czuję, że tonę*. Rozejrzała się, cała sztywna niczym posąg. *Jak długo jesteś ze mną?*

*Od chwili, gdy się ocknęłaś. Sięgałaś do mnie*, wyjaśniła Lillian, a Lily poczuła jej zdumienie na widok tego, co je otaczało. *Co zamierzasz zrobić?*

Lily zwróciła się w stronę miasta.

– Mamy tylko dwie opcje – stwierdziła. – Iść do miasta albo nie iść do miasta. I zupełnie nie wiem, co robić.

Członkowie jej sabatu wymienili spojrzenia, najwyraźniej rozmawiali ze sobą w myślach.

– Nie jesteś sobą – powiedział łagodnie Caleb. – Każdy z nas próbował nawiązać z tobą kontakt, ale jakbyśmy odbijali się od muru. Całkowicie nas odcięłaś.

Po chwili zastanowienia Lily uświadomiła sobie, że czuła te próby, delikatne muśnięcia umysłu, prośby o kontakt, ale podświadomie je odrzucała. Nie chciała nikogo w swojej głowie, o ile nie był to ktoś równie winny, jak ona sama. Potworność tego, co zrobiła, wisiała nad głową Lily niczym miecz i tylko Lillian potrafiła ją zrozumieć. Tylko Lillian wysłała na śmierć ludzi, których kochała.

*Co robisz, żeby cię to nie zjadało od środka?*

*Nic*, odparła Lillian. *Pozwól, by cię zjadało, i bądź wdzięczna za ten ból. Jeśli minie, znaczy że jesteś martwa w środku.*

Lily nie czuła bólu. Nic nie czuła. Była odrętwiała, a w głowie miała jedynie biały szum, który zagłuszał krzyki wewnątrz jej umysłu. A gdy tylko uświadomiła sobie to odrętwienie, ono minęło i w gardle zabulgotała jej nienawiść. Nienawiść do siebie tak czarna, tak gęsta, że była niczym smoła.

*Nie dam rady.*

*Dasz. Dasz radę, bo musisz*, odpowiedziała Lillian. *Jestem tutaj. Rozumiem, jak to jest obudzić się kimś innym, niż było się wczoraj.*

– Lily? – Juliet ruszyła ku niej z wyciągniętą ręką. – Powiedz coś.

*Każdy mój wybór niesie komuś śmierć. Nie chcę już wybierać*, oświadczyła Lily. *Utknęłam.*

*Nierobienie niczego nie jest wyjściem*, powiedziała Lillian. *Musiałaś być bezwzględna, gdy Rój po ciebie przyszedł, nawet jeśli chodzi o Tristana. Umarł, by ochronić ciebie i resztę sabatu.*

*Nie. Umarł, bo nie był gotów unieść ciężaru, jakim go obarczyłam. Nigdy nie*

*powinien znaleźć się w tym świecie.*

*To już przeszłość. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz najważniejsze jest to miasto przed tobą i to, co zrobisz w tej kwestii. Nie marnuj ofiary Tristana. Przełknij poczucie winy i ruszaj dalej.*

– Patrzcie. Ktoś idzie – ostrzegła ich Una.

Sabat odwrócił się i zobaczył niewielką grupę podążającą ku nim od bram miasta.

– Mamy broń? – spytał Caleb, odruchowo sięgając do pustej pochwy u pasa. Tristan wykonał podobny ruch i potrząsnął głową, spoglądając na Caleba z niepokojem.

– Spokojnie, chłopcy. Mamy przecież naszą czarownicę – przypomniała im Una, gdy sama też uświadomiła sobie, że jest bezbronna. – Ile masz w sobie pary?

Lily skrzywiła się tylko.

– Zero – odpowiedziała. – Potrzebuję soli.

– Mogą być pokojowo nastawieni. – Juliet próbowała zachować optymizm. Reszta popatrzyła na nią koso.

– Bo pokój to jest to, z czym spotykamy się na każdym kroku po przybyciu do tego świata – stwierdził z niesmakiem Kanapka.

– Nie ma powodu, byśmy zaraz szykowali się do obrony. Przecież nie rzucili się do szarży z dobytą bronią. – Juliet obstawała przy swoim, zerkając ku zbliżającej się grupie.

*Juliet. Zawsze widzi pozytywy, w najgorszej nawet sytuacji, szepnęła Lillian.*

*To prawda, zgodziła się Lily, czując, jak coś w jej wnętrzu zaczyna się roztopiać, gdy patrzyła na drugą wersję swojej siostry.*

Juliet wygładziła osmaloną koszulę z lnu, wetknęła jej obszarpany koniec za bryczesy ze skórzanki i wyprostowała drobne ramiona, co wywołało uśmiech na twarzy Lily. Juliet nigdy nie wyglądała równie krucho i delikatnie, jak wtedy, gdy starała się wyglądać na twardą.

– Pozwólcie, że ja się tym zajmę – powiedziała Juliet z pewnością siebie.

Caleb wyglądał, jakby zamierzał się sprzeciwić i Lily zrozumiała, że jeśli miała przewodzić sabatowi, to musi zacząć panować... przede wszystkim nad samą sobą.

*Lillian, muszę pozwolić sabatowi na kontakt, więc musisz odejść, albo wyczują cię w moim umyśle. Skontaktuję się z tobą ponownie, gdy będę mogła.*

*Dobrze, zgodziła się Lillian. I ty, i ja mamy sporo pracy.*

Lily wychwyciła jeszcze zimną determinację Lillian, gdy obie spoglądały jej oczyma na emisariuszy z nieznanego miasta. Potem Lillian odeszła. Lily skupiła się na swoim sabacie i sięgnęła do Caleba w myślach.

*Pozwól Juliet z nimi porozmawiać. Stanowi mniejsze zagrożenie niż ty.*

*Stanowi mniejsze zagrożenie niż kociak. I nie wysłałbym ani jej, ani kociaka*



*na spotkanie bandy obcych.*

Kiedy Caleb posłał Lily półuśmiech, zrozumiała, że nieco się rozluźnił. Gdy obcy się zbliżyli, wiadomo było, że nie są wrogo nastawieni. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn, którzy wyszli na spotkanie przybyszom, nie mieli broni. Nosili zwiewne kimona lub tuniki i piękną biżuterię. Zbliżyli się do sabatu Lily z pewnym zaniepokojeniem widocznym na ich twarzach.

– Czy ktoś z was potrzebuje pomocy medycznej? – zapytała kobieta, która chyba przewodziła tej grupce.

*Ona jest Zewnętrzna*, szepnął Caleb w myślach Lily. *Ale nie rozpoznaję tych znaków ani kolorów.*

Twarz kobiety, jej dłonie i nagie ramiona ozdobione były wymalowanymi pasami i kropkami. Miała dwadzieścia kilka lat i chłodne, ostre rysy, z rodzaju tych, które w miarę upływu lat stają się tylko bardziej atrakcyjne. W pasma jedwabistych czarnych włosów wplecione miała różnokolorowe koraliki i orle pióra, a na ramionach pobrzękiwały złote bransolety. Lily zwróciła uwagę, że krótkie kimono kobiety wykonano z jedwabiu. Po raz pierwszy w tym świecie widziała kogoś ubranego w jedwab. Najbardziej jednak rzucał się w oczy wolit o kolorze dymu. Nie dorównywał rozmiarami dymnemu kamieniowi Lily, ale był czarny jak onyks. Poczowała dotknięcie myśli Tristana i pozwoliła mu wejść do swego umysłu.

*To najciemniejszy wolit, jaki w życiu widziałem, Lily. Jest nawet ciemniejszy niż Uny.*

*Czarny wojownik.*

*Co przez to rozumiesz?*

*Po prostu się pilnuj, Tristanie, bo zapewniam cię, ta wiedźma potrafi walczyć.*

Lily miała na temat wolitów pewną teorię, która nie była powszechnie znana. Mając trzy kamienie, każdy innego koloru, zyskała zarazem unikatową wiedzę na temat tego, jak działały, wiedzę niedostępną nawet tak wyszkolonym mechanikom jak Tristan. Lily wiedziała, że każdy z jej kamieni jest dostosowany do innego typu magii. Średniej wielkości różowy kamień lśnił najjaśniej, gdy zajmowała się magią uzdrawiającą. Mały złoty najlepszy był do magii kuchennej. Ale największy dymny kamień budził się do życia, gdy Lily uprawiała magię bitewną. Teraz szybko schowała złoty i różowy kamień, ale pozwoliła, by na jej szyi widoczny został duży dymny wolit.

– Nikt z nas nie jest poważnie ranny – odpowiedziała na pytanie Juliet. Na chwilę zmrużyła oczy, zobaczywszy kamień na szyi tamtej, zaraz jednak uśmiechnęła się szeroko, żeby zatuszować moment wahania. – Ale potrzebujemy wody i soli dla naszej czarownicy.

Juliet odsunęła się nieco, by obcy mogli zobaczyć Lily, z Uną, Kanapką i Tristanem u boku, i roślą Calebem widocznym za nią.

*Nieźle, Juliet.*

*Tylko takie nieznaczne przypomnienie, że nie jesteśmy całkiem bezbronni, Lily. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.*

*Oczywiście, że nie.*

– Oczywiście. – Zewnętrzna uśmiechnęła się wyraźnie nieporuszona. Jej spojrzenie prześliznęło się jedynie po wielkim wolicie Lily, jakby ogromny kamień nie był wart większego zainteresowania. Skinęła dłonią i troje towarzyszących jej ludzi zrobiło krok do przodu, unosząc trzymane w dłoniach gliniane dzbany pełne wody.

– Nazywam się Grace Chyłą Drzewa. Jestem gubernatorem Bower. Witajcie.

– Dziękujemy, pani gubernator – odpowiedziała Juliet tonem, którego mógł jej pozazdrościć nawet najbardziej wytworny polityk. – Jesteśmy zaszczytzeni.

– Proszę, mówcie mi Grace. Nie przywiązujemy tu wagi do tytułów i formalności. – Uśmiechnęła się gubernator, patrząc, jak Lily i jej towarzysze łączywie gaszą pragnienie.

– Nazywam się Juliet Proctor. To moja siostra Lily i jej mechanicy: Caleb, Tristan, Una i Stuart.

Skłaniali głowy, gdy Juliet wymieniała ich imiona, Grace odwracała się ku każdemu z nich po kolei i spoglądała im w oczy otwartym, pełnym akceptacji spojrzeniem.

– Witajcie – powtórzyła ciepło. – Wygląda na to, że przydałoby się wam coś do jedzenia i trochę odpoczynku.

– Dziękujemy. – Juliet wdzięcznie przyjęła zaproszenie gubernator. Na ułamek sekundy czoło dziewczyny przecięła zmarszczka i gdyby Lily nie znała siostry tak dobrze, nie zauważyłaby tego cienia obawy. – Czy panuje tu zwyczaj, że gubernator ryzykuje wyjście poza mury, żeby powitać wszystkich, którzy przybywają do miasta?

– Kiedy przybywają tak jak wy, to jak najbardziej – odpowiedziała Grace ze śmiechem.

Jej troje towarzyszy skinęło głowami z niejakim wahaniem. Zmieszanie malujące się na ich twarzach świadczyło wyraźnie, że sytuacja musiała być dla nich tak niezwykła, że zupełnie nie wiedzieli, jak zareagować.

– Bardzo rzadko zdarza się, że Rój przynosi tu kogokolwiek, jeszcze rzadziej, że osoby te przeżywają podróż – podjęła Grace ze smutkiem. – Musicie być niezwykle silni. – Zwracała się do nich wszystkich, ale jej ciemne oczy najdłużej zatrzymywały się na Lily, ich spojrzenie złagodniało też, zupełnie jakby

Grace wiedziała, że Lily cierpi. – A co do ryzyka wychodzenia za mury, przekonacie się, że tu wygląda to zupełnie inaczej niż w miejscu, z którego przybyliście.

Skinęła ręką, zapraszając Lily, by szła u jej boku, ale Lily zrezygnowała, pozwalając Juliet pozostać na czele grupy. Wołała obserwować, nie musząc przy tym brać udziału w rozmowie.

– To twoi mechanicy? – pytała grzecznie Juliet, ruchem podbródka wskazując milczących towarzyszy Grace.

Grace zmarszczyła brwi.

– My tu nie mamy mechaników – odparła chłodnym tonem.

– Wybacz – przeprosiła natychmiast zaskoczona Juliet. – Czy w jakiś sposób cię obraziłam?

Uśmiech pani gubernator był raczej suchy.

– Wiem, że przybyliście ze wschodu i tam obowiązują inne zwyczaje, ale my w Bower nie naznaczamy mechaników. – Obrzuciła spojrzeniem towarzyszy Lily i wyglądało to, jakby się nad nimi litowała. – I może lepiej by było nie wspominać o waszej... sytuacji w obecności innych osób.

Lily i Una wymieniły spojrzenia.

– Będziemy dyskretni, jeśli sobie tego życzysz – obiecała Juliet. – A czy wolno mi zapytać, skąd ta postawa?

– Chyba nie da się tego wyjaśnić w oględny sposób – odpowiedziała Grace prosto z mostu. – Uważamy naznaczanie mechaników za formę niewolnictwa, a posiadanie na własność drugiej osoby to tutaj zbrodnia.

Lily otworzyła usta, by zacząć się o to kłócić, ale Juliet ucięła jej protest ruchem ręki. To nie była właściwa chwila, aby udowodniać, że naznaczenie to nie to samo, co prawo własności.

– Jak więc więdźmy uprawiają magię, nie mając mechaników? – zapytał Caleb.

Grace zatrzymała się i obróciła w jego stronę.

– Czarownice, mufle i tak, nawet mechanicy, mogą leczyć, napędzać całe miasto energią i wytwarzać potrzebne produkty bez naznaczania. Tylko jedna forma magii wymaga naczynia. Magia bitewna. A naszym zdaniem ludzie nie powinni umierać tylko dlatego, że ich więdźmy nie potrafią kontrolować swojej żądzy walki.

– To bardzo szlachetne – stwierdził Tristan, unosząc brew. – Tylko jak się bronicie, nie mając wojowników?

– W ogóle tego nie robimy – odparła Grace z prostotą. – Coś innego robi to za nas.

Dotarli już na tyle blisko miasta, że mogli zajrzeć przez bramy. Grace zwróciła się teraz ku nim, kierując ich uwagę na Bower widoczne poza łukiem

bram. Zanim Lily zdążyła choćby spojrzeć w tamtą stronę, ramię Tristana wystrzeliło, zagradzając jej drogę. Chłopak pochwycił Lily w objęcia i rzucił się do biegu. Czowała strach i dezorientację dźwięczące w umysłach Uny, Caleba i Kanapki. Ich myśli płynęły ku niej chaotyczną falą.

*Uciekaj!*

*To nie ma sensu...*

*Zabierz ją stąd, Tristanie.*

I wtedy ponad ramieniem Tristana Lily zdołała dostrzec Siostry Wojowniczkę unoszącą się wokół wejścia do miasta, ze swoimi biczami u boku.

## Rozdział 2

Kwiaty i niebo nad nimi podskakiwały dziko, gdy Tristan z Lily w ramionach pędził w stronę ciemnej linii, najpewniej drzew, widocznej na horyzoncie. Jednak bez względu na to, jak szybko biegł, owe chyba-drzewa wcale się do nich nie zbliżały.

– Za daleko! – krzyknęła. Lecz Tristan tylko pochylił głowę i przyspieszył.

Lily spojrzała nad jego ramieniem i zobaczyła, że biegnie za nimi jeden z dwóch mężczyzn, którzy wyszli ich powitać wraz z panią gubernator. Machał ramionami, wykrzykując raz po raz:

– Czekaście!

Jednak Tristan nie czekał. Lily natomiast dostrzegła w obcym coś, co sprawiło, że zaczęła uderzać pięściami w pierś mechanika. Dostrzegła połączenie zaskoczenia i szczerości, i pomyślała, że w zaistniałej sytuacji może kryć się coś poza oczywistym niebezpieczeństwem.

– Tristan, stój! – krzyknęła. – Porozmawiajmy z nimi przynajmniej.

Tristan usłuchał wreszcie i się zatrzymał. Lily wysliznęła się z jego objęć, unikając spoglądania mu w oczy. Skupiła się na emisariuszu.

Tamten był wzrostu Tristana, ale nie tak mocno zbudowany, miał chyba drobniejszy i lżejszy kościec. Do tego czarne włosy i oczy, i azjatyckie rysy, aczkolwiek Lily nie potrafiła dokładniej określić jego pochodzenia. Był chyba nie więcej niż kilka lat starszy od nich. Zatrzymał się, rozsądnie, kilka kroków od Tristana.

– Wiem, że to szok, ale proszę, wróćcie, pozwólcie nam wyjaśnić pewne kwestie dotyczące Roju – powiedział tonem racjonalnego argumentu. – Obiecuję, że nic wam się nie stanie.

Tristan się wahał, ale Lily, nadal omijając swego mechanika wzrokiem, postąpiła krok do przodu.

– Wysłuchajmy ich – zdecydowała. – Nie mamy w sumie innego wyboru.

Wrócili do pozostałych i Grace zaczęła wyjaśniać im dziwny układ wiążący mieszkańców Bower i Sploty z Roju. Przez ponad pięć stuleci Rój „wybierał” ludzi i przenosił ich na wybrzeże, tak jak przeniósł Lily i jej mechaników. Pozwalał tym wybranym wznieść miasto i żyć własnym życiem, tak długo jak wykazywali się pracowitością i przestrzegali porządku.

– To wszystko, czego chcą? – Caleb skrzywił się z niedowierzaniem. – Porządku?

– Przysięgam – odparła Grace. Skinęła dłonią ku kwiatom o żywych barwach. – Nie wymagają nawet, byśmy dbali o kwiaty, które są dla nich źródłem pożywienia. Robimy to dobrowolnie. To nasz dar dla nich za to wszystko, co otrzymujemy.

Lily popatrzyła na członków swojego sabatu, w milczeniu pytając ich, co sądzą.

– Są tuż. – Una wskazała Siostry przy bramie. – Mogły nas zabić w każdej chwili.

– Ma rację – poparł ją Kanapka.

Tristan z oporem skinął głową, ale Caleb nie dawał się przekonać. Lily czuła w nim nienawiść do Roju, do wszystkich Splotów, niczym guzek, zwapniony stan zapalny. Nie mogła mieć do niego pretensji. Sploty zabiły większość ludzi, jakich znał.

*Co innego możemy zrobić?* – spytała go Lily w myślach.

*Nie podoba mi się to. Coś w tym wszystkim jest nie tak,* odparł.

*Mnie też się nie podoba,* powiedziała Lily. Wyprostowała się, otrząsając z poczucia porażki, i poszła za Grace, która poprowadziła jej sabat do miasta.

Płochliwi niczym stado spłoszonych koni, Lily i mechanicy przeszli pod łukiem wiszących w powietrzu Sióstr i znaleźli się w obrębie murów Bower. Brzęczenie skrzydeł przyprawiało Lily o gęsią skórę i podnosiło drobne włoski na skórze iskrami wyładowań statycznych. Spojrzała w górę. Czarne, fasetowe ślepie Sióstr połyskiwały oleistą tęczą, bulwiaste głowy poruszały się błyskawicznie na długich szyjach. Siostry patrzyły na Lily, a ona nie potrafiła stwierdzić, co myślały, co czuły, a nawet czy w ogóle coś myślały albo czuły.

– W porządku. Naprawdę – zapewniała ich Grace. – Rój cen sobie porządek nade wszystko, gdy będziecie zachowywać się spokojnie, nie będą was niepokoić. Żeby żyć w harmonii z nimi, musimy tylko żyć w harmonii ze sobą nawzajem.

Caleb nie kłócił się ani nie sprzeciwiał wejściu do miasta, ale teraz nie zdołał powstrzymać się od komentarza.

– W harmonii? – powtórzył, schylając się, by nie dotknąć końca kolczastego bicia jednej z Sióstr. – A macie pewność, że one w ogóle mają ucho do muzyki?

Lily uśmiechnęła się ironicznie, myśląc, że Caleb doskonale uchwycił to, co niepokoiło ich oboje. Siostry może i miały kilka cech upodabniających je do człowieka, ale było w nich coś wyraźnie obcego. Lily nie potrafiła dostrzec w tych Splotach żadnych emocji ani wyobrazić sobie, że mogłyby zrozumieć i polubić coś tak na wskroś ludzkiego jak muzyka.

Kiedy Lily rozejrzała się po Bower, zaczęło męczyć ją uczucie, że już tu kiedyś była. Budynki o dachach z terakoty pomalowane były na jaskrawe, żywe kolory; wszystkie parapety i treliże tonęły w powodzi kwiatów, które wylewały się z każdego załamania, z każdego łuku, z każdego portalu; nieskazitelne ulice obramowane były nie trawnikami, a dywanami polnych kwiatów. Nawet rosnące przy ulicach drzewa, zasadzone w gigantycznych donicach, były obsypane kwieciami. Powietrze miało słodko-gorzki posmak kwiatowego pyłku.

– Podoba wam się nasze miasto? – spytała Grace, odczekawszy stosownie

długą chwilę.

– Jest takie... – Una rozejrzała się wyraźnie zmieszana. – Takie czyste.

Grace roześmiała się, głęboko i ciepło, a potem posłała Unie śnieżnobiały uśmiech.

– Mówiłam wam. Porządek. Symetria. Pokój. Rój bardzo pracowicie utrzymuje wszystko w czystości, z korzyścią dla wszystkich, którzy mieszkają na ich terytorium.

Lily popatrzyła w dół ulicy, której kamienie brukowe były tak nieskazitelne, że chyba mogłaby z nich jeść, i nie zobaczyła ani jednej rzeczy nie na miejscu. Ani jeden zawias kolorowych okiennic nie miał czerwonych zacieków rdzy. Nigdzie nie widać było choćby odrobiny łuszczącej się farby, żaden z kafelków, ozdabiających wille we włoskim stylu, nie został wyszczerbiony. Wszystko wokół wyglądało doskonale, jak z obrazka.

– Jak w Disneylandzie – mruknął Kanapka.

– Właśnie. – Lily pokiwała głową. To wyjaśniało uczucie *déjà vu*. Pospiesznie zdusiła wspomnienie śpiewających lalek, zanim słodka do obrzydliwości melodia utknęła jej w głowie. Lily nienawidziła Disneylandu.

– Tylko że tu motyw przewodni jest nawiązaniem, ogólnie mówiąc, do stylu śródziemnomorskiego, a nie do bajek z elementami wystroju szwajcarskiej górskiej chaty – dodał Kanapka.

*Zastanawiam się, gdzie jesteście, tak dokładnie.*

Kanapka wzruszył ramionami. *Gdzieś między San Francisco a Los Angeles, jak mi się wydaje. Tam, gdzie są te wszystkie farmy i winnice.*

Tristan rzucił Lily i Kanapce zaskoczony spojrzenie, ale Lily pokręciła głową, żeby dać mu do zrozumienia, że to, o czym rozmawiali nie miało w rzeczywistości większego znaczenia. Tristan wydawał się zachwycony miastem i Lily musiała przyznać, że było to istotnie piękne miejsce. Nawet słońce, zdawało się, a właściwie nie zdawało się, ono naprawdę świeciło tu mocniej i jaśniej niż na wschodzie.

I gdy tak przemierzali Bower, Lily zobaczyła otwarte wagoniki, które bezszelestnie sunęły w górę i w dół ulicy. Ludzie w kolorowych tunikach i kimonach wskakiwali i zeskakiwali z tych wagoników z zaskakującą łatwością, a obszerne peleryny mężczyzn i jedwabne wstążki kobiet powiewały za nimi. Nawet jeśli pięknie odziani i mocno wyperfumowani mieszkańcy Bower uważali obszarpane stroje Lily i jej sabatu za dziwne lub nie na miejscu, w ogóle tego nie okazywali.

Pytające spojrzenia zatrzymywały się na przybyszach jedynie na chwilę, a potem ludzie wracali do swoich spraw. Od czasu do czasu Lily dostrzegała gdzieś nad dachami Siostry Wojowniczkii, ale te trzymały się z dala od poziomu ulicy. Niemniej tam były. Lily czuła ich obecność, odbijającą się echem wzdłuż

wyszorowanych chodników, niczym rosnące ciśnienie przed burzą, która dopiero ma się rozpętać.

Zastanawiała się, jak duże jest to miasto, spoglądała w górę ulic, ale nie zobaczyła końca żadnej z nich. Zauważyła, że zakręcają łagodnie, nie zaś pod kątem dziewięćdziesięciu stopni; to rozwiązanie wydało się Lily bardziej naturalnym, nadal jednak było wynikiem starannej budowy, rozmyślnego tworzenia struktury miasta podobnej do plastra miodu.

– Jesteście zmęczeni? – spytała Grace.

Lily zaprzeczyła ruchem głowy, chciała już dotrzeć tam, gdzie najwyraźniej zmierzali, żeby mogła na chwilę choć zostać sama.

*Ona chyba prowadzi nas trasą widokową*, przesłała Juliet, której udzieliła się ta frustracja.

*Mam wrażenie, że całe to miasto jest jedną wielką trasą dla zwiedzających*, odpowiedziała jej Lily.

Po kilku minutach wędrówki między wymuskanymi budynkami, po nieskazitelnym bruku nieskazitelnych ulic, dotarli do wielkiego placu z ogromną fontanną pośrodku. Otaczało go kilka budynków o zgrabnych i lekkich portykach, do największego z nich wiodły równie rozległe schody. Na stopniach stały grupki pogrążonych w dyskusji mieszkańców.

– To nasze Forum – poinformowała przybyszy Grace. – Tutaj decydujemy o polityce naszego rządu. Czy raczej próbujemy. Głównie się sprzeczamy.

Gdy weszli na plac, oczy wszystkich natychmiast zwróciły się ku nim, a monotony szmer głosów ucichł. Grace poprowadziła Lily i jej sabat ku schodom, za nimi zaś znów rozbrzmiały rozmowy, teraz pełne nagłych tonów. Lily zrozumiała wreszcie, dlaczego Grace postanowiła przeprowadzić przez miasto grupkę zmęczonych walką, zszokowanych i pogrążonych w żalobie ludzi. Lily i jej sabat zostali wystawieni na widok publiczny. Ta parada nie była dla nich, a dla mieszkańców Bower.

Spróbowała nawiązać kontakt wzrokowy z członkami najbliższej grupki, ale wszyscy nerwowo uciekli spojrzeniem w bok. Grali. Udawali, że to był po prostu kolejny dzień, ale ich wymuszona obojętność tworzyła większe napięcie, niż gdyby stali i pokazywali obcych palcami.

Grace i jej towarzysze powiedli gości przez las marmurowych kolumn, do ogromnej sali o wysokim, wysklepionym suficie. Był to właściwie jeden ogromny budynek, który powinien wznosić się raczej na szczycie jakiegoś wzgórza w Grecji albo we Włoszech.

Lily podniosła głowę, by spojrzeć na oculus w centrum kopuły, skąd światło słoneczne wlewało się do pomieszczenia. I zobaczyła, jak coś wielkiego przelatuje obok otworu, po marmurowej podłodze przemknął cień. Lily poczuła, jak odległe, prawie niedostłyszalne brzęczenie podnosi jej włoski na karku.



*Obserwują nas*, pomyślała do niej Una.

Lily odpowiedziała lekkim skinieniem głowy i zerknęła na Caleba, który z niepokojem przyglądał się oculusowi.

– To Sala Posłuchań Gubernatora – wyjaśniła Grace.

– Nieźle biuro, Grace – mruknął Kanapka pod nosem, jednak akustyka w sali sprawiła, że jego głos został wzmocniony i nieoczekiwanie wszyscy obecni wyraźnie usłyszeli, co powiedział. Kanapka wzdrygnął się skrzywiony.

– Nazywamy ją Salą Posłuchań, bo można tu posłuchać nawet najcichszego szeptu – mówiła gubernator, uśmiechając się do niego. – Żeby nawet najśłabszy z głosów miał znaczenie.

Przecięli krąg otaczający salę i przeszli przez jedno z trzech par drzwi umieszczonych w równomiernych odstępach na zakrzywionej ścianie. Potem przez kolejne, do których doszli długim korytarzem i w końcu weszli do wnętrza domu.

*Nareszcie*, pomyślała Juliet, a pozostała części sabatu odpowiedziała jej z równym poczuciem ulgi.

– Zapraszam, byście zostali ze mną tak długo, jak tylko będziecie chcieli – powiedziała Grace, gdy przekroczyli próg tego niemal pałacu. – Pozwolę wam teraz umyć się i odpocząć, a potem porozmawiamy.

– Dziękujemy. – Lily wreszcie wystąpiła do przodu i stanęła u boku siostry.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Grace i zostawiła ich pod opieką jednego z emisariuszy.

Był to ten sam młody człowiek, który gonił za Lily i Tristanem. Teraz zrobił krok ku wiedznie, uśmiechając się przyjaźnie. Kiedy Lily nie musiała już obawiać się o swoje życie, zauważyła natychmiast, że był niezwykle przystojny.

– Przygotowaliśmy dla was pokoje na piętrze. Proszę, chodźcie za mną – zaproponował uprzejmie.

– Nie dosłyszałam twojego imienia. – Lily patrzyła na wolit na szyi ich opiekuna. Miał ciemnoczerwony kolor, niemalże burgunda. *To uzdrowiciel*, pomyślała. *I to potężny*.

– Nazywam się Toshi Konishi – odpowiedział. – I jestem tutaj – dodał, wskazując na swoją twarz. Lily oderwała wzrok od kamienia i spojrzała w błyszczące rozbawieniem oczy. Zarumieniła się.

– Przepraszam – wykrztusiła. – Zaskoczyła mnie barwa twojego wolutu. Czy to tutaj powszechne, by różowe woluty miały tak intensywną pigmentację?

– Nie. – Gdy pochwycił wzrokiem spojrzenie Lily, na jego usta wolno wypełził uśmiech. – Sypialnie – powiedział, odwracając się nagle – są tam. Przygotowaliśmy jedną część dla kobiet, a drugą dla mężczyzn, ale nic nie stoi na przeszkodzie, byście spali tak, jak macie ochotę.

Toshi pchnął pierwsze drzwi i za nimi ukazał się pokój wspólny, wyposażony w głębokie, obite skórą fotele i meble z ciemnego, błyszczącego

drewna.

Lily i jej towarzysze beznamiętnie patrzyli na to bogactwo i komfort.

– Oba salony są połączone przejściem – objaśniał Toshi, prowadząc dziewczęta do podwójnych drzwi w tej męskiej jaskini.

Damski salon miał wielką białą kanapę i aksamitną sofę, był jasny, przestronny, przewiewny dzięki sporemu balkonowi i ozdobiony licznymi kwiatowymi kompozycjami.

– Wasze pokoje są po drugiej stronie – powiedział i zaraz z niepokojem zmarszczył czoło, zauważywszy ich apatyczne miny. – Czy nie jesteście zadowoleni z kwater? Jeśli uważacie, że pokoje są nieodpowiednie, to proszę, powiedzcie, czego wam trzeba?

– Są wspaniałe. Tylko nasza podróż trwa już bardzo długo – wyjaśniła Lily. – I straciliśmy... wiele.

– Przykro mi. – Wyraz troski na twarzy Toshiego jeszcze się pogłębił. – To, czego dokonaliście, to, że w ogóle tu dotarliście, jest niesamowite.

Lily myślała o górach, które przebyli, o rzekach, przez które się przeprawili, o życiach, które utracili po drodze. Uśmiechnęła się z przymusem i wyszła na balkon. Członkowie jej sabatu też rozeszli się po apartamentach w milczeniu, by spędzić trochę czasu sami ze sobą. Lily odetchnęła głęboko. Pnącze glisterii obramowało wykutą z żelaza kratę i przelewało się przez balustradę balkonu niczym lawendowa kaskada loków spływająca na ramiona kobiety.

Toshi dołączył do Lily.

– Naprawdę tak myślę – powiedział cicho. – To, czego dokonaliście, to prawdziwy cud. Ci, których straciliście po drodze, byliby dumni, widząc, jak daleko dotarliście.

Lily nie odwróciła się do niego. Myślała o ciele Tristana, porzuconym gdzieś na wypalanej prerii, pewnie już gnijącym w słońcu, i chciała powiedzieć, że duma nie ma tu nic do rzeczy. *To ja to zrobiłam*, pomyślała.

Zwróciła spojrzenie suchych i pustych oczu na Bower, które rozpościerało się przed nią. Niczym w patchworkowej kapie, różne łączące się ze sobą barwy nie były przytłaczające dzięki porządkowi, jaki wprowadzał między nie wzór. A za tym barwnym kobiercem miasta widoczna była wstążka iskrzącego błękitu.

– Ocean – szepnęła Lily.

– Mogę cię tam zabrać, jeśli chcesz – zaproponował Toshi ostrożnie.

Lily skupiła się na widoku, nie przyjmując ani też nie odrzucając tej propozycji.

– Czy to statki? – spytała, mrużąc oczy z wysiłku.

– Tak.

Teraz odwróciła się, by na niego spojrzeć.

– Skąd?

– Zewsząd – odparł, wzruszając ramionami. I nagle zrozumiał. – Wschód odcięty jest od reszty świata z powodu plagi Splotów. Żaden kraj nie zaryzykuje kontaktu w obawie przed skażeniem, ale to nie dotyczy Bower. – Zmarszczył czoło z namysłem. – Istnieją oczywiście ograniczenia i cała imigracja jest uważnie nadzorowana, ale handlujemy z innymi krajami.

– Nadzorowana przez kogo? – Czują żar oblewający jej policzki. Zacisnęła zęby, tłumiąc krzyk.

– Przez Rój – odpowiedział. – Rój czuwa nad wszystkim tutaj. – Znow spoglądał na nią zatroskany. – Powinienem cię ostrzec, żebyś panowała nad temperamentem. Bardzo mocno reagują na gniew.

Spojrzała w dół na fioletowe kwiecie. Brzęczące wśród nich pszczoły zaczynały zwracać uwagę nie na kwiaty, a na nią. Przyleciało ich więcej. Toshi nie zauważył, gdy jedna usiadła mu na rękawie.

– Uważaj – ostrzegła go Lily, wskazując owada.

Toshi nawet nie spojrzał.

– Nie musisz się bać, że użądła cię przez przypadek. Póki ich nie zaatakujesz, one też nic ci nie zrobią. Ale musisz się starać, by zachowywać się spokojnie.

Lily odsunęła się od kwiatów glisterii.

– A jeśli na jakąś nadepnę?

– Są za mądre, żeby na to pozwolić – zapewnił ją. – Żyję tu od urodzenia i nigdy mnie nie użądliły.

Lily odprężyła się odrobinę, ale zaraz pomyślała, że chyba nie powinna. Obserwowanie Robotnic krążących wśród kwiatów wcale nie działało uspokajająco. Były wszędzie. Zawsze obecne. Zawsze uważnie obserwujące. Nieważne, jak bardzo chciała znaleźć się sama, zamknąć drzwi na klucz, zacząć płakać i rzucać przedmiotami, nie mogła tego zrobić. Musiała pozostać „spokojna”.

*Mimo całego tego świeżego powietrza, w tym miejscu oddycha się gorzej niż w lochu,* pomyślała do Lillian.

Kiedy podniosła wzrok, zauważyła, że Toshi stoi bardzo blisko niej. On chyba też to sobie uświadomił, bo odsunął się gwałtownie, zażenowany.

– Na pewno jesteś zmęczona – powiedział, kierując się do wyjścia. – Czy chciałabyś, bym przysłał coś do jedzenia?

– Tak, proszę. – Weszła za nim do pokoju. – I dziękuję, Toshi.

Otworzył drzwi i zatrzymał się w progu na chwilę. Kiedy spojrzał na Lily, zdawał się zaskoczony.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział i wyszedł.

Lily stała, patrząc na zamknięte drzwi i odtwarzając tę rozmowę w myślach.

– Zamierzasz dodać go do swojej kolekcji? – spytał Tristan. Włosy miał mokre po kąpieli i założył tunikę, jakie tu nosili mężczyźni, tasiemki przy

mankietach wciąż jeszcze miał rozwiązane. Sprawiał wrażenie wściekłego.

- Nie! Ja... On... – jękała się Lily. – To nie moja wina.
- Nieważne. – Obrócił się na pięcie i ruszył do swojego pokoju.
- I nie mam żadnej kolekcji – zawołała za nim Lily.
- Powiedziałem: nieważne! – krzyknął w odpowiedzi.

Westchnęła.

Caleb przeszedł przez drzwi łączące apartamenty, krzywiąc się pod adresem Tristana.

– Mogło pójść lepiej – stwierdził.

– To nie moja wina.

– To taka dziwna rzecz między wiedźmą a mechanikiem. Wiem – odparł Caleb. – Tristan też wie, jest zły, bo kolejka do ciebie stała się dłuższa.

– Nie ma żadnej kolejki – zaproponowała Lily.

Ale Caleb mówił dalej, jakby jej nie słyszał.

– Nie przejmuj się nim. Wścieka się na ciebie, bo to wygodne, odwraca jego uwagę. Łatwiej być złym na ciebie niż smutnym z powodu, no wiesz, wszystkiego.

– Wcale nie – zaprzeczyła Lily, widząc, jak kolejne Robotnice wlatują przez okno. Pokazała je Calebowi i opowiedziała o reakcji Roju, gdy zaczęła czuć gniew.

*Mogą wyczuć emocje?* – Caleb sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego.

*W jakiś sposób je wychwytyują,* odpowiedziała. *I nie pozwalają na gniew. Tristan mnie blokuje. Powiedz mu, że ma się uspokoić, i wyjaśnij, dlaczego.*

Caleb przez chwilę rozmawiał w myślach z Tristanem, a potem wrócił do Lily.

*Naprawdę nienawidzę tego miejsca.*

*No to przygotuj się, by go nienawidzić jeszcze bardziej.*

Zaprowadziła Caleba na balkon i pokazała statki w porcie. Powiedziała, że przyplływają z całego świata, a potem patrzyła, jak on się w nie wpatruje, jak oddech więźnie mu w piersi, jak usta rozchylają się ze zdumienia. Jego spojrzenie pomknęło ponad błękitem wody, gdy wyobrażał sobie inne kraje, inne kontynenty, wszystkie wolne od Splotów.

– Jak ludziom stąd udaje się nie dopuścić do tego, by Sploty skaziły też inne kraje? – spytał. – Wystarczy, że jeden dostanie się do jakiejś skrzyni i razem z nią na statek...

– Rój – odparła Lily. – Jestem pewna, że poza nimi na zachodzie nie ma Splotów. Chyba nikomu i niczemu nie pozwalają przejść, być może patrolują tereny na wschód aż do miejsca, z którego nas zabrały. To jakby w połowie drogi do miasta.

– Żadnych Splotów nie ma na połowie kontynentu – szepnął Caleb. Wydawało się, że to zbyt wiele, by był w stanie pojąć. – Jak to możliwe, że o tym nie wiedzieliśmy?

Robotnice uspokoiły się już po wybuchu Tristana. Wróciły do zbierania nektaru, brzęcząc wśród glisterii, a ich pasiaste ciała co rusz ciągnęły jakiś kwiat w dół.

*Toshi wspomniał o restrykcjach dotyczących imigracji, Lily przeszła na mowę myśli. Jeśli Rój pozwala tylko niektórym wejść do miasta, to wątpię, czy wielu z niego wypuszcza.*

Caleb śledził spojrzeniem Siostrę, póki nie zniknęła za załomem dachu.

*Wielu, czy w ogóle? – spytał.*

*Zobaczmy.*

Do pokojów dostarczono wózek wyładowany jedzeniem, co skłoniło Caleba i Lily do opuszczenia balkonu. Zapach jedzenia zwabił też pozostałych członków sabatu. Kiedy podawali sobie półmiski, Lily przekazała im w myślach, czego dowiedziała się od Toshiego.

Una łypnęła z niepokojem na najbliższą kwiatową kompozycję. Z białego gardła lilii wyłoniła się Robotnica. Una szturchnęła łokciem Lily i wskazała owada podbródkiem.

Lily odpowiedziała nieznacznym skinieniem głowy i wstała od stołu. Za długo siedzieli w milczeniu.

– Chyba jestem jedyną osobą, która jeszcze się nie wykąpała – stwierdziła.

*Rozmawiajcie głośno, poleciała sabatowi w myślach. Nie wiem, ile Robotnice są w stanie zrozumieć, i nie chcę, żeby Rój dowiedział się czegokolwiek, co jest naszą prywatną sprawą, szczególnie skąd jesteśmy: Una, Kanapka i ja. Dla mieszkańców Bower pochodzimy z tego świata.*

*Czy to dotyczy też Toshiego? – spytał Trsitan.*

Lily nie zniżyła się do odpowiedzi na to pytanie. Wiedziała, że ją prowokował, że szukał sposobu, by poczuć coś poza smutkiem, że potrzebował obarczyć kogoś winą. Nie pomagało, że Lily nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Jeszcze nie teraz. Nie tak szybko.

Obejrzała sypialnie i zorientowała się, że Juliet i Una zostawiły jej największy pokój. Od razu odgadła dlaczego, gdy spojrzała na bukiety rozstawione w pomieszczeniach. W największym zostały zrobione jedynie z najrozmaitszych gatunków lilii. Uśmiechnęła się na myśl o słodkim gościu Uny i Juliet, ale ów uśmiech zaraz zbladł, gdy zaczęła zastanawiać się, na ile ten dobór kwiatów był ze strony ich gospodyni przypadkiem, a na ile świadomym wyborem. Lilie często wykorzystywano w takich kompozycjach, więc założenie, że tym razem stało się tak szczęśliwym przypadkiem, nie byłoby naciągane. Co więcej, nikt z Bower nie mógł poznać imienia Lily, zanim się tu zjawili. A jednak nie dawało jej to spokoju.

Zamyślona rozebrała się, napełniając wodą dużą wannę. Jedno skrzydło okienne było uchylone, a w wysokim wazonie, ustawionym przed sięgającym ziemi lustrem, pyszniły się ogromne lilie tygrysie na długich łodygach. Lily nie

miała najmniejszych wątpliwości, że w kwiatkach kryły się Robotnice, mogące swobodnie wlatywać i wylatywać z pomieszczenia przez otwarte okno.

Mydło do kąpieli rozpuszczające się w wodzie było tak mocno perfumowane, że Lily zaczęła kichać. Miało przyjemny zapach, ale przy tym tak skoncentrowany, że nie ulegało wątpliwości, iż do końca dnia pozostanie na skórze.

Może Robotnice go lubiły albo w ten sposób Rój łatwiej mógł śledzić ludzi. W każdym razie Lily nie potrafiła się nim cieszyć, wiedząc, że w jakiś sposób aromat służył Rojowi.

Gdy się moczyła, zauważyła, że wszelkie ślady oparzeń całkowicie znikają z jej dłoni. Uważnie przyjrzała się karafce i odkryła, że zawierała dziwny związek chemiczny, z jakim Lily jeszcze się nie spotkała; przypominał nieco balsam na poparzenia przygotowywany przez mechaników. Tyle czasu spędziła, starając się rozłożyć mydło na składniki pierwsze, że woda w wannie wystygła. Jedyne, co Lily zdołała stwierdzić z całą pewnością, było to, że miało silne właściwości regeneracyjne. Tak była pochłonięta próbami rozwiązania zagadki, że niemal zawołała Rowana, by przyszedł jej z pomocą. Myśl o nim ścisnęła jej pierś bólem. Odepchnęła wspomnienie, jakby ją użądliło.

*Zdradził mnie.*

Lillian słuchała. Wspomnienie Rowana zabierającego jej wolity, zamykającego ją w klatce, wyrwało się z umysłu Lily i pomknęło do Lillian.

*Nie chciał, byś zmieniła się we mnie, odpowiedziała na to. Po tym, co mu zrobiłam, czy możesz go winić?*

I Lillian podzieliła się z Lily swoim wspomnieniem...

...Słyszę Rowana nadchodzącego korytarzem. Gavin próbuje go powstrzymać, ale to zupełnie jakby jaskółka próbowała zawrócić z drogi byka. Tak bardzo chcę go zobaczyć, że to aż boli, ale równie mocno się boję. Chcę tylko tego, by mnie ktoś przytulił, pocieszył, by Rowan mnie uleczył i o mnie zadbał. Ale on nie może mnie już dotknąć, bo wtedy by zobaczył. Już wie, że coś jest nie tak, bo nieustannie sięga ku mnie myślami, a ja nie pozwalam mu wejść do mego umysłu. Jeśli pozwolę mu się dotknąć, zobaczy chorobę, którą przyniosłam ze spopielonego świata, i nie zdołam w żaden sposób ukryć przed nim całej historii. Nie zdołam ukryć tego, co stało się w stodole.

Wpada przez próg, jego strój do konnej jazdy wciąż nosi ślady wyprawy do Zewnętrzza. Szukał mnie od chwili, gdy zniknęłam trzy tygodnie temu, oczy ma zmęczone, a policzki blade z niepokoju. Jest cudowny. Gardło mi się ścisza, gdy duszę w sobie chęć zawołania go po imieniu. Chcę błagać, by przyszedł, by sprawił, że poczuje się lepiej. Ale już nie jestem małą dziewczynką i już nikt nigdy nie zdoła sprawić, że poczuje się lepiej.

Jedyne, co mogę teraz zrobić, to dopilnować, by mój świat nie stał się

jednym z miliona spopielonych światów, które otaczają nas coraz ciaśniej. Wciąż ich przybywa, w miarę jak kolejne wersje Alaryka detonują trzynaście bomb w Trzynastu Miastach. To tylko kwestia czasu, zanim stanie się to i tutaj. O ile nie będę bezwzględna.

– Gdzie byłaś? – pyta Rowan. Głos mu drży. Wie, że coś jest strasznie nie tak. Wie, że my i wszystko, czym kiedykolwiek byliśmy dla siebie, to już przeszłość. Tylko nie wie jeszcze, że to wie.

– Nie mogę ci powiedzieć – odpowiadam.

Śmieje się, jakby sama myśl, że jedno z nas nie jest w stanie powiedzieć czegoś drugiemu, była całkowicie niedorzeczna. Śmieje się, a potem wyraz jego twarzy się zmienia.

– Mówisz poważnie – stwierdza wciąż z niedowierzaniem.

Podchodzi do mnie, a ja robię coś, czego nie zrobiłam od czasu, gdy on miał dziesięć lat, a ja osiem. Przejmuję jego ciało i zatrzymuję go w miejscu.

– Tak blisko wystarczy – szepczę.

Kiedy go uwalniam, z paniką nabiera powietrza, nie dlatego, że brak mu tchu, ale by się upewnić, że znowu może oddychać samodzielnie.

– Co się dzieje? – Jest przerażony. Teraz już wie. Wie, że złamię mu serce, i nie ma pojęcia dlaczego. Jakbym obserwowała jego upadek, jego twarz, zmieniona paniką, oddala się coraz bardziej, a on próbuje przytrzymać się nicości. Jestem niczym rozrzedzone powietrze, mniej uchwytna niż dym, i on prześlizguje się przeze mnie.

Kocham go bardziej, niż kocham siebie, nie dowie się tego nigdy. Nawet wtedy, gdy odkryje, że kazałam aresztować jego ojca i wydałam rozkaz, by powiesić go o świecie...

*Dość, Lily zakończyła wspomnienie. Nie chcę o nim myśleć.* Wypchnęła wspomnienie twarzy Rowana ze swojego umysłu.

*Nie chcesz o nim myśleć już nigdy więcej?*

*Nie. Nie chcę.*

Od chwili jego zdrady Lily zdołała zdusić każdą myśl o nim. Przez całą podróż trzymała się z dala od tej gigantycznej góry emocji, jaką tworzyło to wszystko, co się z nim wiązało. Wciąż nie miała siły, aby się na tę górę wspiąć.

Wyszła z wanny i owinęła się ręcznikiem. Otworzyła szafę i znalazła w niej trzy suknie-kimona do wyboru. Powiodła palcami po materiale jednej z nich, myśląc o tym, jak doskonale ten konkretny odcień pasował do jej cery rudzielca. Szafirowo błękitne kimono i drugie, w kolorze jadeitu, wisały obok. Zdjęła z wieszaka zielone, założyła i stanęła przed lustrem, by zawiązać ciemnoszmaragdowy pas obi. Idealnie pasował do jej oczu.

Wtarła we włosy nieco odżywki, zawinęła je w węzeł, po czym przebiła go

jedną z ozdobnych szpil, która razem z grzebieniami i spinkami leżała na tacy przy zlewie.

*Nietypowe wyposażenie łazienki, pomyślała. Chyba że się wie o gęstych i niesformych włosach gościa.*

Spojrzała na siebie raz jeszcze, próbując nie krzywić się pogardliwie na widok wyfiokowanej dziewczyny w lustrze. To, jak wyglądała, nie oddawało tego, jak się czuła, i ta różnica wzbudziła w Lily odrazę. Wolałaby wyglądać na tak zdruzgotaną, jak w rzeczywistości była.

Wyszła z łazienki i w sypialni jej spojrzenie padło na szerokie łóżko zasłane świeżą lnianą pościelą, zdziwiła się, że nie jest zmęczona. Zamiast więc odpoczywać, przeszła do salonu, gdzie jej sabat siedział najedzony, wykąpany i przebrany w kolorowe stroje gospodarzy. Toshi wrócił i najwyraźniej powiedział coś zabawnego, bo wszyscy się zaśmiewali. Nawet Tristan, zauważyła Lily. Śmiech wydał jej się mocno nie na miejscu, więc dołączyła do nich zirytowana.

– Lily. – Toshi wstał i uśmiechnął się do niej, obrzucając zarazem taksującym spojrzeniem. – W tych kolorach wyglądasz wspaniale.

– Tak właśnie myślałam, że jadeitowa zieleń to trudny kolor. Trzeba chyba być rudzielcem, żeby w nim dobrze wyglądać. – Patrzyła na Toshiego uważnie. – W Bower mieszka wielu rudowłosych?

– Nie. Jest niewielka liczba osób rosyjskiego pochodzenia o jaśniejszej cerze, ale przeważnie wszyscy mamy ciemne włosy, oczy i skórę.

– Zatem to zdumiewający zbieg okoliczności – stwierdziła Lily.

– Chyba tak – odparł.

Lily nie dostrzegła w nim choćby cienia nieprzyjemnych emocji i pomyślała, że może rzeczywiście to wszystko to tylko zbieg okoliczności.

– Właśnie mówiłem twojemu sabatowi, że z radością pokażę wam miasto dokładniej – podjął Toshi, gdy tylko zrozumiał, że ze strony Lily nie padną już żadne komentarze. – Byłaś, zdaje się, zainteresowana portem.

– Ja też chciałabym zobaczyć port – oznajmiła Juliet.

Lily popatrzyła po członkach swego sabatu i od razu zauważyła, że Bower budziło ich ciekawość. Powinni być zmęczeni, ale żadne z nich nie było, zatem Lily gestem poprosiła Toshiego, żeby został ich przewodnikiem. Sprowadził grupkę tymi samymi schodami, którymi weszli, ale potem obrał inną trasę i znaleźli się na szerokim bulwarze. Po drugiej stronie ulicy rozciągał się wymuskany park, otoczony okazałymi willami.

– A więc to jest ta dobra część miasta, czy może lepsza? – spytała Una.

– Ja obstawiam, że lepsza – wtrącił Kanapka. Ruchem dłoni nagarnął powietrze do nosa i odetchnął głęboko. – Czuję zapach pieniędzy.

– Prawda? – Toshi natychmiast błysnął uśmiechem, a w kącikach oczu pojawiły mu się kurze łapki. – Tutaj większość naszego rządu ma swoje domy, bo



blisko stąd do Forum – wyjaśnił. – Natomiast tam, gdzie ja dorastałem, nazywamy tę okolicę Aleją Gównoprawdy.

Una i Kanapka nagrodzili te słowa śmiechem.

– A gdzie dorastałeś? – spytała Lily, z rozmysłem przerywając tę chwilę rozluźnienia. Dźwięk śmiechu był dla niej niczym zgrzytanie noża.

– Właściwie to prowadzę was w tamtą stronę – powiedział, spuszczać wzrok. – Musimy złapać kolejkę. To daleka droga.

Dotarli do skrzyżowania z ulicą, na której panował spory ruch pieszych, i zatrzymali się przy krawężniku. Lily uważnie spojrzała na szyny biegnące równoległe do chodnika, ale każdy tor miał tylko dwie, nad ulicą też nie biegły żadne kable.

– Co napędza te kolejki? – spytała.

– Są elektryczne. Akumulatory umieszczone na dole pozwalają im działać jakieś dwanaście godzin, potem jadą do stacji ładujących.

– A co zasila te stacje? – pytała dalej Lily.

– Elektryczność wytwarzana przez wędźmy i mufle, tak jak w twoim mieście – odpowiedział, wzruszając ramionami.

– A mechanicy?

– Nie możemy transmutować, pomagamy im zatem, monitorując ich ciała w trakcie pracy. Jednak mechanicy głównie skupiają się na wytwarzaniu nowych materiałów, leków i innych rzeczy, jakie potrzebuje miasto. Może nie zostaliśmy naznaczeni, ale mamy swój udział w funkcjonowaniu Bower.

– Na przykład mydło do kąpieli – powiedziała Lily.

– Interesująca rzecz – zgodził się Tristan zamyślony.

– Formuła została stworzona przez mechanika przed wieloma laty. – Mówiąc, Toshi patrzył na ulicę, wyraz twarzy miał obojętny, może nawet lekko znudzony.

Lily uśmiechnęła się, przejrzawszy sztuczkę. Żeby jak najszybciej przekonać wszystkich, że coś jest mało interesujące, trzeba udawać znużonego.

– Co jeszcze robi ten roztwór? – drążyła. – Poza tym, że leczy i energetyzuje?

– Spowalnia starzenie. Pomaga ciału zwalczać choroby... – zamilkł. – Każdy z nas go używa.

W zasięgu wzroku pojawiła się kolejka i Toshi zwrócił się w tamtą stronę.

– Zatrzymują się całkowicie co piętnaście przecznic, ale gdy widzą, że ktoś czeka, zwalniają na tyle, by ludzie mogli wskoczyć albo zeskoczyć. Dacie radę?

Przytaknęli. Gdy wagonik się do nich zbliżył, zwolnił, by mogli wsiąść bez trudu. Lily poczuła, że Toshi łapie ją za łokieć.

– Przytrzymaj się tutaj – powiedział, kierując jej dłoń ku mosiężnej poręczy, zawieszanej mniej więcej na poziomie ich głów.

– A co z ludźmi niepełnosprawnymi? – zainteresowała się Juliet. – Jak oni wskakują i zeskakują?

– Widzisz środkowy tor? – Toshi wskazał na szyny biegnące środkiem ulicy. Co kilka przecznic pojawiała się przy nich wiata z ławeczką, przy jednej czekała kobieta z dzieckiem i całym naręczem toreb. – Ten zatrzymuje się całkowicie co pięć przecznic. Jedzie też dużo wolniej i mogą do niego wsiąść ludzie, którzy mają jakieś ograniczenia ruchowe. Ale niewiele osób korzysta z tej kolejki z powodu kłopotów ze zdrowiem. Nasza medycyna jest naprawdę zaawansowana.

– Macie to mydło – powiedziała Una.

– Mamy mydło – zgodził się Toshi ze śmiechem.

Lily spojrzała na jego burgundowy wolit i doszła do wniosku, że Toshi musiał mieć swój wkład w to zaawansowanie. W tym kamieniu był ogrom potencjału, widziała, jak lśnił w płaszczyznach wolitu, niczym szepty cichnące w mrocznych korytarzach. Kolejka zwolniła i więcej pieszych wsiadło do wagonika, co zmusiło Lily i jej towarzyszy do zmiany miejsca, a ją samą wyrwało z zapatrzenia w kamień uzdrowiciela. Podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie, zobaczyła, że powolny uśmiech znów unosi mu kąćki ust.

Przyłapaną, odwróciła szybko oczy i skupiła się na wyszukiwaniu wśród mieszkańców miasta osób, które można by uznać za niesprawne ruchowo. Widziała starszych ludzi, ale nikt z nich nie był niedołążny. Nawet ci z białymi włosami mieli proste plecy, zdrową cerę i krok często bardziej energiczny niż młodzi ludzie.

*A więc to można osiągnąć, pozwalając, by mechanicy przez kilka pokoleń skupili się raczej na leczeniu niż walce, powiedziała Lillian. Rowanowi by się tu podobało.*

I zanim Lily zdążyła ją zablokować, Lillian podzieliła się z nią kolejnym wspomnieniem...

...Podkradam się do Rowana. W pokoju panuje półmrok. W napięciu jego ramion widzę skupienie, magiczne światło padające z jego kamienia ma barwę głębokiej czerwieni. Rzuca skomplikowane zakłęcie, które pochłania go bez reszty. Nie znoszę, gdy coś poza mną tak skupia jego zapierającą dech w piersiach uwagę. Przyznaję, jestem zazdrosna o wszystko, co odwraca jego spojrzenie ode mnie, i zamierzam go za to ukarać.

Czekam, aż powietrze wokół mnie znieruchomieje. Ostrożnie i miękko stawiam stopę za stopą. Uciszam swój oddech, gotowa skoczyć...

– Wiem, że tam jesteś, Lillian – mówi, przeciągając samogłoski. Nawet się nie odwraca od swego warsztatu.

– Skąd wiesz? – sapię. Nigdy jeszcze nie zdołałam go zaskoczyć.

– Jesteś głośniejsza niż stado bizonów – droczy się i obraca na swym stołku, by na mnie spojrzeć. I tak na niego skaczę. Łapie mnie, protestując, ale ja już pokrywam jego twarz pocałunkami.

– Proszę, Lillian – jęczy. – Mam tyle pracy.  
– Ale jest późno. Chodź do łóżka – odpowiadam, wydymając usta, gdy się ode mnie odsuwa.

– Nie mam czasu, żeby zająć się tym za dnia – broni się. – Tak ciężko pracujemy, żeby utrzymać w szachu inne Sabaty. Musiałem oficjalnie ogłosić trzy pojedynki w ciągu ostatnich dwóch dni.

– Exeter i Richmond znowu zaczynają – wzdycham. – Szczęście, że zadowolają się pojedynczymi starciami, a nie żądają, by wezwać do walki wszystkich mechaników po obu stronach.

– Myślę, że niewiele do tego brakuje – mówi, marszcząc brwi z troską. Wreszcie wywraca oczami. – Czarownice. Zawsze szukają wymówki, by napęlić swych mechaników mocą.

– Lubimy walczyć. – Wzruszam ramionami. Retorty przed nim przyciągają mój wzrok. – A tak w ogóle to nad czym pracujesz?

– No więc jeszcze nie wiem – mówi, uśmiechając się nieśmiało. – Wyizolowałem interesujący składnik z kałamarnicy...

– Kałamarnicy? – przerywam mu zjadliwie. – Porzucasz mnie dla kałamarnicy?

Śmieje się, potrząsając głową.

– Nie wygram z tobą.

– Ależ oczywiście, że wygrasz – mówię, ciągnąc go za rękę w stronę naszej sypialni. Mój uśmiech skrywa obietnicę. – Zaraz pozwolę ci wygrać.

Śmieje się nisko, chrapliwie. Zatrzymuje się i przyciąga mnie do siebie, oplata ramionami i przytula do piersi.

– Zawsze dostajesz, czego chcesz – szepcze, zbliżając usta do moich...

Lily wróciła gwałtownie do tu i teraz, czując, jak gorąco oblewa jej policzki.

*Dość, Lillian. Po co mi to pokazujesz?*

*Żeby ci przypomnieć, jak bardzo za nim tęsknisz. Powinnaś mu wybaczyć.*

Lily zablokowała swoje drugie ja.

Rowan. We wspomnieniach Lillian był młodszy. Tak wiele ze sobą dzielili, Lily nawet nie miała o tym pojęcia. Teraz ogarnęło ją dławiące, mdlące uczucie. Nie wiedziała, czy to zazdrość, tęsknota, czy szok, jakiego doznała, znajdując się znów tak blisko niego, nawet jeśli tylko we wspomnieniach. Wstrząsnęło nią to i czuła się obnażona, wytracona z równowagi. Podniosła wzrok i zobaczyła Toshiego, który obserwował ją uważnie, z cieniem uśmiechu na ustach. Poczowała się niezręcznie, odwróciła wzrok, spoglądając na ulicę umykającą do tyłu, w miarę jak kolejka toczyła się do swojego celu.

Jechali ponad dwadzieścia minut, mijając różne części miasta. Styl budynków zmieniał się ciągle, widzieli włoskie wille, potem kamienice śródmieścia, a jeszcze później drewniane świątynie japońskie o przesuwanych

ścianach, otoczone skalnymi ogródkami. W Bower znalazła się nawet dzielnica przypominająca Chinatown, pełna spieszących dokądś ludzi. A każda z tych dzielnic była doskonale uporządkowana i utrzymana, po prostu nieskazitelna. Kwiaty wylewały się z okien, spływały z dachów, ciągnęły wzdłuż ulic. Nie brakowało też parków, Lily zauważyła, że w każdym z nich wzniesiono po cztery wieże, po jednej na każdym rogu. Górowały nad pozostałymi budynkami, ale wciąż były niższe od tych zielonych na wschodzie i nie porastały ich rośliny. Były to smukłe struktury, ledwie co zauważalne, z płaską powierzchnią na szczycie.

– A te do czego służą? – spytała Lily Toshiego, pokazując na jedną z wież.

– A, te są dla Roju – odpowiedział nieprzejęty. – Siostry rzadko schodzą na poziom ulicy. – Odwrócił się w stronę oceanu. – Jeszcze tylko kilka przecznic.

Gdy dotarli do doków, cienie już się wydłużyły. W porcie tłoczyły się statki wszelakich rozmiarów i kształtów, niektóre ogromne, wyrastały z wody niczym pozbawione okien drapacze chmur. Dźwigi wyładowały ze statków kontenery, a magazyny ciągnęły się dalej, niż sięgnąć okiem. Ale przy każdym z wyższych punktów unosiły się Siostry z biczami u boku.

Caleb i Tristan patrzyli na ogrom portu z mieszaniną zdumienia i gniewu.

– Więc każdy kraj na świecie tu przyływa? – spytał Tristan, a w jego głosie znów zabrzmiała gorzkość.

– Handlujemy głównie z Chinami, Rosją i Japonią, ale tak – odparł Toshi, był świadom ich wzburzonych emocji i starał się z nimi liczyć, ale się nie litował. – Świat wie o Mieście Bower i wie o trzynastu „nietykalnych” miastach na wschodzie. Wie też o Zewnętrznych i jak żyjecie w dziczy razem ze Splotami. Jesteście legendą. Ludzie na całym świecie darzą was szacunkiem.

– Ale nie pomagają – stwierdził Caleb, a jego usta wykrzywił grymas odrazy. – Ani jeden kraj nawet nie próbował nam pomóc. Moi ludzie umierają w tej „dzcicy”.

Toshi nawet nie próbował wymyślać jakichś tłumaczeń.

– Wszyscy to wiedzą – powtórzył łagodnie.

Z gardła Caleba wyrwał się dźwięk, ni to śmiech, ni to szloch, i rosy mechanik się odwrócił. Kanapka miał już iść za nim, ale Una złapała go za rękę.

– Zostaw go – powiedziała.

Po emocjach, jakie malowały się na ich twarzach, Lily wiedziała, że muszą prowadzić w myślach ożywioną rozmowę, lecz jej do niej nie włączyli.

Tristan wpatrywał się w Toshiego, jego gniew na cały świat zaczął skupiać się na jednej osobie.

*Daj spokój, Tristan, to nie wina Toshiego*, próbowała go przekonać Lily, ale mechanik nie odpowiedział. Oderwał się od grupy i chwiejnym krokiem podążył ku wodzie. Juliet, która milczeniem maskowała swój szok, ruszyła za nim. Una i Kanapka też się oddalili. Lily zorientowała się, że Toshi przygląda się jej uważnie,

gdy oboje szli powoli do mniej zatłoczonej części portu, gdzie cumowały mniejsze statki i żaden nie przesłaniał widoku nieba niczym złowroga góra. Lily patrzyła w kierunku lwów morskich, które roily się w miejscach niezajętych przez statki. Poszcze kiwały na ludzi i machały płetwami.

– Mam wrażenie, że między wami wszystkimi wiele się właśnie wydarzyło – powiedział Toshi. – Szczególnie jeśli chodzi o Caleba i Tristana.

– W pewnym sensie łatwiej było żyć, myśląc, że reszta świata przepadła albo nic nie wie, niż stanąć twarzą w twarz z faktem, że zostawili nas na pewną śmierć.

– Skinęła ręką w stronę wielkich statków, będących synonimem postępu. – Podejrzewaliśmy, że świat kręci się nadal, ale ciężko przełknąć, jak bardzo.

Toshi kiwnął głową, zaciskając usta.

– I możesz poczuć to, co teraz czuje twój sabat?

– Częściowo.

– I jak to jest? – Starał się nie sprawiać wrażenia zbyt natarczywego, ale oczy miał głodne. Świątełka tańczyły w jego wolicie niczym iskry.

Lily odwróciła wzrok od schludnego portu, od wyszorowanych burt statków. Nawet lwy morskie sprawiały wrażenie wyszczotkowanych.

– Denerwująco – warknęła specjalnie ostrym tonem. – Skończyliśmy tu?

– Oczywiście – odparł Toshi, nagle posmutniawszy. Przypomniała sobie, trochę za późno, że miał im pokazać, gdzie wyrósł.

– Wychowałeś się niedaleko portu? – spytała, próbując ratować sytuację. – To musiało być...

Potrząsnął głową.

– Innym razem. – Posłał jej jeden ze swoich uśmiechów i Lily zwątpiła, czy w ogóle poczuł się obrażony. – Musimy i tak wracać. Mamy inne plany na wieczór.

– Mamy?

– Nowi przybysze, wybrani przez Rój. Całe miasto chce was poznać. Niestety, dzisiaj poznacie jego nudną połowę.

– Aleja Gównoprawdy? – odgadła.

– Dokładnie. Najpierw ważni ludzie.

– Myślałam, że w Bower każdy jest ważny. – Podpuszczała go w nadziei, że uda jej się przebić jakoś tę pokrywę wysokiego połysku, która lśniła tu na wszystkim. – Jak to powiedziała Grace, prowadząc nas przez Salę Posłuchań? Została tak zbudowana, by nawet najśłabszy głos został usłyszany.

– Och, najśłabsze głosy są najważniejsze – powiedział łobuzersko. – Szczególnie mój.

Lily nie zdołała powstrzymać śmiechu. Zadowolony, że dostał, czego chciał, Toshi odwrócił się w stronę ulicy i zaczął wypatrywać kolejki.

– Więc jak teraz, wołamy twój sabat, czy... Jak to działa?

– Już ich wezwałam. Idą.

Spojrzał na nią. Znow miał głodne oczy.

– Wygodne.

– Czasami. – Lily pomyślała o tej luce, która kiedyś była Tristanem, którą teraz wypełnił ból. – Przez większość czasu zwyczajnie boli.

## Rozdział 3

Normalnie jak origami – zrywała się Lily.

Juliet westchnęła z rozpaczą, spoglądając na instrukcję, a potem ponownie na obi Lily. Kimona, jakie otrzymali na wycieczkę po mieście, były proste, wystarczyło włożyć i zapiąć, ale te wymyślne wieczorowe stroje to już zupełnie inna historia.

– Nie... Musisz ten kawałek złożyć podwójnie i skrócić. Tak? – Juliet przez chwilę przyglądała się obi. – Tak, na pewno. Dwa razy w dół, przekręcić i zawiązać. – Wzięła pas Lily i wprowadziła swoją koncepcję w życie. – Proszę.

Lily spojrzała na siebie w lustrze. Wyglądała wspaniale. Barwy kimona: róż kwiatowych płatków, karmazyn i kremowa biel, zdobionego wzorem kwitnącej wiśni, podkreślały tylko jej urodę. Włosy miała upięte grzebieniami z laki, do tego subtelny makijaż. Jednak im więcej warstw luksusu nakładało na nią to miejsce, tym bardziej czuła się przytłoczona. Nie chciała wyglądać pięknie. Zdusiła w sobie perwersyjną chęć naplucia na kłamczuchę w lustrze.

– Gorąco mi – oznajmiła.

– Przeżyjesz – odpowiedziała bezlitośnie Juliet i przeszła na mowę myśli.  
*Byłaś dziś bardzo cicha.*

*Tak jak ty.*

*Nie miałam nic do powiedzenia,* odparła Juliet. Po czym zmieniła zdanie. *Po co ten mur naokoło miasta? Dlaczego otoczyli się murem jak Salem, skoro nie boją się Splotów?*

*Nie wiem, Juliet. Musi być coś, czego nam nie mówią.*

Una wpadła do łazienki Lily wyraźnie wyprowadzona z równowagi. Jardy lodowo błękitnego jedwabiu, ozdobionego malowanymi falami oceanu, zwisały z niej smętnie, sprawiając, że wyglądała jak dziecko w podomce mamy.

– Mam dość tego czegoś – oświadczyła twardo.

– Juliet zawiąże twoje kimono, a ja jej.

Ustawiły się jedna za drugą. Lily bez większego wysiłku pomogła siostrze zawinąć, zawiązać i zawinąć ponownie jej kimono w odcieniach żółci ze wzorem zachodzącego słońca, ale z Uną było gorzej. Musiały ją rozplątać aż do spodniej warstwy i zacząć od początku.

– Nic dziwnego, że Japończycy są tacy bystrzy – mruknęła Una. – Musisz mieć pieprzony doktorat, żeby sobie poradzić z ich przeklętymi ciuchami.

*Ostrożnie, Uno, nie wiemy, czy tu mają doktoraty,* przypomniała jej Lily. Wiedziała, że w wielkim kielichu lilii tygryziej kryje się przynajmniej jedna Robotnica, choć żadnej nie widziała.

*No fakt, się nie zastanowiłam, to dlatego, że to miejsce wyjątkowo działa na nerwy,* odpowiedziała Una. *Te wszystkie perfumy, boli mnie od nich głowa.*

*Nie masz zaufania do perfekcyjnych obrazków, stwierdziła Lily.*

*Moja mama lubiła udawać, że wszystko jest idealnie. Że my jesteśmy idealni. Udawałam z nią dłużej, niż powinnam.*

Lily zerknęła na cienkie białe blizny po wewnętrznej stronie przedramion przyjaciółki. Una zrobiła je sobie żyłką, gdy jeszcze była małą dziewczynką, niczym karby na kolbie, robiła jeden znak za każdym razem, gdy dotykał ją chłopak matki. I teraz miała świadomość, że Lily patrzy na te blizny.

– Mam ochotę na drinka – oznajmiła w przestrzeń.

– Chłopcy już zaczęli – odpowiedziała jej Lily, choć nie było takiej potrzeby. Una i Kanapka pozostawali w niemal nieustannym kontakcie, bez przerwy dzieląc się myślami. Lily też kiedyś zaznała czegoś podobnego. Bolała ją bliskość Uny i Kanapki, więc gdy weszła do pokoju, zmusiła się, by na nich patrzeć. Kanapka podawał Unie napełniony już kieliszek. Lily nie potrzebowała żyłki, by się zranić.

Zauważyła, że Juliet przygląda się jej, wpatrzonej w tamtych dwoje. Siostry uśmiechnęły się do siebie. Żadna z nich nie musiała nic mówić. Obie wiedziały, z czego przyszło im zrezygnować.

*Przynajmniej mam ją, pomyślała Lily do Lillian. Czują tę drugą siebie gdzieś tam, słuchającą, ale nieuważnie.*

Mechanicy Lily ubrali się w tuniki, jakie nosili tu mężczyźni, i choć Lily nie była ekspertem od obowiązującej w Bower mody, to nawet ona zauważyła, że krój, wykonanie i materiały ich strojów przewyższały wszystko, co dotychczas widziała w trakcie wędrówki po mieście. Tuniki podkreślały linie ramion, spodnie stanowiły doskonałe połączenie elegancji i wygody, a buty miały ten szczególny miękki połysk włoskiej skóry.

Tristan uśmiechnął się szeroko na widok Lily.

– To zajęło ci całe wieki – powiedział, wskazując jej kimono.

Wzruszyła ramionami i chciała go minąć, ale złapał ją za łokieć i zatrzymał.

– Było warto czekać – szepnął. – Wyglądasz oszałamiająco.

Znalazł się zbyt blisko, zbyt blisko niej, zbyt blisko tego, by stać się kimś, kogo potrzebowała. Jednak nie dość blisko. Nie mogła spojrzeć Tristanowi w oczy, popatrzyła więc na jego dłonie i zauważyła, że trzymał pełen kieliszek. Domyśliła się, że to drugi.

– Co to jest? – spytała, wskazując kryształowe naczynie.

– Cokolwiek to jest, jest zdumiewające – zapewnił ją Caleb. Światła w wolitach Lily zmieniły się, gdy spojrzała w bursztynowy płyn i pływającą w nim idealną kulkę lodu, która wyglądała jak zanurzona w oleju.

– Mogę i tobie nalać? – spytał Toshi.

Odwróciła się i zobaczyła, że dołączył do grupy z drugą butelką. Miał na sobie tunikę o barwie północnego nieba, głęboki granat sprawiał, że Toshi wydawał



się wyższy i smuklejszy.

Lily odwróciła wzrok.

– Nie piję.

– Nigdy?

– Raz. I to mi wystarczyło.

Nie naciskał.

– Nie mogę mieć pretensji. Ten płyn może cię sponiewierać. – Napełnił kieliszek Juliet. – Pierwszy raz skosztowałem go na przyjęciu z okazji przesilenia wiosennego, odbywało się po drugiej stronie miasta, dobre dwadzieścia minut kolejką. Przyjęcie odbywało się na najwyższym piętrze, w apartamencie jakiegoś bogatego gościa, który całą podłogę kazał wyłożyć trawą, żeby ludzie mogli na niej siadać i czuć się blisko natury. – Przerwał na chwilę, żeby nalać Calebowi. – Zdjąłem buty jak wszyscy inni, by poczuć trawę pod stopami, i wychyliłem kilka kieliszków. A potem jeszcze kilka. Potem chyba były fajerwerki, chyba, albo ktoś mi przywalił.

Tristan zachichotał wbrew sobie.

– I wtedy zrozumiałem, że raczej czas już do domu, więc wytoczyłem się na ulicę, żeby złapać kolejkę. Nie zobaczyłbym jej, nawet gdyby mnie przejechała. No to poszedłem pieszo. – Znowu przerwał, tym razem żeby uzupełnić kieliszek Uny. – Budzę się następnego dnia i czuję, że potwornie bołą mnie stopy. – Podniósł roziskrzone spojrzenie na Lily. – Zostawiłem buty na przyjęciu. Byłem tak pijany, że nie zauważyłem, że przeszedłem miasto na bosaka.

Ryknęli śmiechem, poklepując się nawzajem po plecach. Wszyscy poza Lily. Toshi nie zmarnował dobrej historii, nie zaczął napawać się własną bystrością. Zanim śmiech ścichł, uzdrowiciel odstawił butelkę i przybrał surowy wyraz twarzy.

– Dopijajcie – ponaglił. – Grace mnie zabije, jeśli przyprowadzę was zbyt późno.

Osuszyli kieliszki, a on zagarnął ich i poprowadził na dół, przez westybul i boczne drzwi, wprost do atrium. Fontanna pośrodku była na tyle duża, że można by w niej pływać i oświetlona tak zapraszająco, że Lily miała ochotę to zrobić.

Myśl, aby zrzucić ubranie i wskoczyć do wody, nie dawała jej spokoju. Wargi Lily drgnęły, gdy tłumiała wesołość. Tyle niestosownych impulsów rodziło się w niej ostatnio. Chciała rozbierać się publicznie, zbić każde lustro, jakie miała, i powiedzieć wszystkim wokół, by szli do diabła.

*Chyba wariuję, pomyślała do Lillian.*

*Nie wariujesz, uspokoiła ją tamta. Za jakiś czas będzie łatwiej.*

*Czulaś się tak?*

*No pewnie. Wiele razy, najbardziej wtedy, gdy przyjąłem koronę.*

*Jaką koronę?*

*Szybciej będzie, jeśli ci pokażę...*

...Rowan unosi koronę nad moją głową i po raz pierwszy mam szansę spojrzeć w lustro. To korona Czarownicy Salem, zrobiona z wypalonego żelaza i diamentów. Wygląda okrutnie, najeżona kolcami, poszarpana, pokryta szronem mroźnych klejnotów. Ma w sobie gotyckie piękno zrodzone w ogniu i ciśnieniu. Jak sama Czarownica Salem.

To ja. Ja jestem Czarownicą Salem. Zostałam nią w wieku trzynastu lat, co czyni mnie najmłodszą w historii. Gdy Rowan wkłada mi koronę na skronie, jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to: nareszcie! Jakbym czekała już wieki.

– Jesteś z siebie dumna? – droczy się.

– Chodźmy. – Wywracam oczami i próbuję się nie zarumienić.

– Jesteś pewna, że ich nie chcesz? – Rowan pokazuje resztę klejnotów koronnych Czarownicy Salem, wyłożonych na czarnym jedwabiu. Wzdrygam się, nawet nie chcę na nie patrzeć.

– Nie idę teraz na stos – odpowiadam, mimowolnie pocierając nadgarstki. – To by była przesada.

Rowan potakuje i przykrywa je, żebym nie musiała na nie patrzeć. Słyszałam, że krew poprzednich Czarownic została wtopiona w metal w takim żarze, że nic już nigdy ich nie oczyści. Nie jestem jeszcze gotowa na kajdany związane z moją nową pozycją. Jeszcze nie. Dzisiaj chcę tylko korony.

Schodzimy na dół i wszystkie oczy kierują się ku mnie. Panowie Radni przypochlebiają mi się najbardziej lizusowskimi gratulacjami. Przywódczynie pozostałych dwunastu Sabatów mrużą oczy z niechęcią, ich uśmiechy są szerokie i lodowate.

Śmiech łaskocze mnie w gardle. Próbuję go zdusić, ale im bardziej usiłuję zachować powagę, tym mocniej narasta we mnie ochota, by brykać jak osiołek. Jestem kłamczuchą. Jakoś udało mi się przekonać tę bandę głupców, że jestem na to wystarczająco dobra, ale wiem, że tak nie jest. I niedługo oni wszyscy odkryją, jaka ze mnie oszustka.

*Mam ochotę śmiać im się w twarz, myślę do Rowana.*

*Nie rób tego, ostrzega mnie. Oni już cię nienawidzą.*

*Skoro już mnie nienawidzą, to czemu mam się przejmować?*

*Lillian...*

Ale jest już za późno. Już się śmieję, śmieję i śmieję, prosto w ich głupie twarze...

Lillian opuściła umysł Lily, odwołana przez coś pilnego. Lily była nawet

ciekawa, co takiego nieustannie odciąga uwagę Lillian, ale doszła do wniosku, że posada Czarownicy Salem wiąże się z licznymi obowiązkami. Lily wprawdzie sama nie pełniła tej funkcji, niemniej dowiedziała się o niej sporo ze wspomnień Lillian i Rowana.

Miała wrażenie, że każde wspomnienie Lillian w jakiś sposób wiązało się z Rowanem. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy istniała jakaś część życia Lillian, w której Rowan nie byłby obecny. Przynajmniej taka, którą Lillian chciałaby pamiętać.

*Lily, wszystko w porządku?* – Dotknęła ją myśl Juliet. Lily popatrzyła na siostrę i potrząsnęła głową.

*Mam wrażenie, że tracę rozum. Co my tu robimy, Jules?*

Juliet uśmiechnęła się bezradnie. I gdy Lily odpowiedziała tym samym, uświadomiła sobie, że nazwała tę Juliet „Jules”, zdrobnieniem, którego używała tylko w stosunku do prawdziwej siostry. Ale nie żałowała ani nie chciała cofnąć tego słowa. Niosło ze sobą zbyt wiele poczucia komfortu.

Toshi poprowadził sabat przez atrium do kolejnego skrzydła gigantycznej rezydencji Grace. Bal już trwał w najlepsze.

Smukła dwudziestokilkuletnia Hinduska wyszła im naprzeciw, zanim zdążyli przejść przez któreś z ogromnych, oszklonych drzwi, które wiodły z atrium do sali balowej.

– Toshi. Grace czeka – powiedziała. W jej głosie słychać było napięcie, a ostry uśmiech nie sięgał oczu. Nosiła wolutę o barwie dymu. Nie tak ciemny i duży jak kamień Grace, ale nadal imponujący. Lily rozpoznała w Hindusce jedną z osób, które powitały ich poza murami Bower.

– Spotkałyśmy się już, ale nie zostałyśmy sobie przedstawione – powiedziała, występując naprzód. Kobieta wzdrygnęła się lekko, jakby miała do czynienia z jakąś nieokrzesaną wieśniaczką.

– Przepraszam – sumitował się Toshi, sugerując, że naruszenie etykiety było jego winą. – Lily Proctor, to Mała Nehru, wicegubernator miasta Bower.

– Wyglądasz już dużo lepiej – powiedziała Mała z uśmiechem, który nie sięgał zmrużonych lekko powiek.

– Czuję się wspaniale – odrzekła Lily, uśmiechając się z zaciśniętymi zębami.

– Dobrze. W końcu wszyscy przyszli tutaj, by cię zobaczyć. Nie chcielibyśmy, żebyś źle się czuła. – Mała stanęła niepokojąco blisko. Lily poczuła, jak jej mechanicy zeszywnieli, i poleciała im w myślach spokój. Przez chwilę sądziła, że Mała chce odsłonić pozostałe dwa woluty, które Lily ukryła pod kimonem, ale wicegubernator rozluźniła zewnętrzną szarfę i zawiązała ją ponownie. – Przekładasz, skręcasz, o tak, i wsuwasz końce tutaj.

– Dziękuję. – Lily patrzyła prosto w oczy Mali. Stały na tyle blisko siebie, że

mogłyby się pocałować. Lily nie zamierzała się wycofać.

– Służę pomocą – odpowiedziała Mala, po czym odwróciła się i poprowadziła gości do sali balowej.

*To było takie więcej straszne, powiedział Kanapka do wszystkich. Musimy za nią iść?*

Członkowie sabatu śmiali się pod nosem, co pozwoliło im nieco rozładować napięcie. Toshi przyglądał się tym zmianom w ich zachowaniu jak dzieciak oglądający cukierki przez szybę.

*Ona po prostu próbuje wytrącić cię z równowagi, odezwała się Juliet. To tak oczywista próba sił, że przez to Mala wygląda na słabą.*

Juliet miała pełen zrozumienia uśmiešek wyższości na ustach. To była ta Juliet, która dorastała u boku Lillian, wiedziała doskonale, jak poruszać się w tym gnieździe wampirów.

*Mów mi takie rzeczy cały czas, odpowiedziała Lily i wkroczyła między powiewające zasłony zdobiące przeszklone drzwi.*

Żyrandole napępniały salę balową złocistym blaskiem, jak gdyby powietrze przesycone było szampanem, pozłacane ściany i szklane drzwi odbijały światło tak, że padało ono na przypominających klejnoty ludzi. Wśród strojów dominowały kimona, ale Lily dostrzegła też parę sari, kilka sukni, które zdawały się pochodzić z gregoriańskiej Anglii. Niektórzy goście nosili barwy wojenne, ale malunki miały raczej zdobić niż zastraszać. Wszyscy byli szczupli, zdrowi i stosunkowo młodzi.

Wazony wybuchały kwiatami. Kwiaty zdobiły koafiury pań. Wychylały wdzięczne główki z męskich butonierek. Upiększały każdy stół. A Lily wiedziała, że niektóre z nich kryją Robotnice wędrujące wśród płatków na podobnych igłom nogach.

Gdy Lily przekroczyła próg sali balowej, głowy odwróciły się w jej stronę. Kieliszki znieruchomiały w połowie drogi do ust. Spojrzenia szeroko otwartych oczu przywarły do niej. Miała ochotę wbić wzrok w podłogę, ale zamiast tego popatrzyła po zebranych. Nikt nie odpowiedział spojrzeniem, nikt nie próbował zwrócić na siebie jej uwagi.

*Skoro przyszli tu mnie poznać, dlaczego mnie unikają? – spytała siostrę.*

*Przyszli, by cię zobaczyć, a nie poznać.*

*Czuję się jak idiotka.*

*Głowa do góry, pomyślała Juliet pokrzepiająco. Lily poczuła, jak siostra przelotnie ścisną jej dłoń.*

Mala zniknęła w tłumie, zostawiając Lily, nie przedstawivszy jej nawet jednej osobie. I gdy smukłą sylwetkę Hinduski zasłonili goście, zbliżył się do nich mężczyzna o potężnych barkach. Torował sobie drogę wśród tłumu, podnosząc rękę w geście powitania. Był wysoki, miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu,

rzędzące jasne włosy i błękitne oczy, które Lily kojarzyły się bardziej z niebem niż lodem. Do tego rysy grube, policzki rumiane i głęboki dołek w brodzie. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat, ale równie dobrze mógł mieć pięćdziesiąt. Na szyi miał największy złoty wolut, jaki Lily widziała w życiu.

*Do czarów kuchennych, prostych, ale męczących, jak oczyszczanie wody i rozpędzanie mgieł. Użyteczny człowiek*, pomyślała i zastanowiła się, czy Lillian słucha tych wywodów. Czowała swoją drugą wersję gdzieś z tyłu głowy, jednak Lillian nie angażowała się w rozmowę. Była zajęta czymś, co pochłaniało całą jej uwagę.

– A, Toshi – ucieszył się mężczyzna, obrzucając ich nieco rozkojarzonym spojrzeniem. Odciągnął Toshiego na bok, by powiedzieć mu coś, co nie było przeznaczone dla uszu innych, a potem znów skupił się na sabacie Lily. – No i znowu się spotykamy? – Uśmiechnął się szeroko.

*Wygada jak emerytowany bokser*, szepnął Kanapka w umyśle Lily. Ten opis pasował doskonale, do tego stopnia, że Lily musiała zdusić chichot.

– Miło cię znów widzieć – odpowiedziała mu Juliet, rozpoznawszy ostatniego z trojga towarzyszy Grace, którzy powitali ich w mieście.

– I nawzajem. Byliście trochę zbyt zmęczeni, żeby zawierać znajomości, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jestem Ivan Volkov. Naczelnny mechanik Bower.

Sabat przywitał się z naczelnym mechanikiem. Lily zauważyła, że Ivan dostrzegł złoty kamień Caleba i między tymi dwoma przemknęło coś na kształt porozumienia. Złote kamienie nie niosły ze sobą takiej chwały jak dymne czy różowe, i dlatego też ich właściciele często lekceważono. Pozycja Ivana jako naczelnego mechanika była czymś wyjątkowym, Lily nie mogła wyobrazić sobie, żeby coś podobnego miało miejsce na Wschodzie.

– Z pewnością jeszcze porozmawiamy – powiedział Ivan przepraszająco. Najwyraźniej był człowiekiem niezwykle zajęтым. Odchodząc, rzucił „A, Simon”, identycznym tonem, jakim zwrócił się do Toshiego.

– To cały Ivan – podsumował Toshi, uśmiechając się ciepło. Ruszyli przez salę.

– Lubisz go – zauważyła Lily.

– To mój mentor. Nie żeby Ivan kiedykolwiek miał ulubieńców – zastrzegł szybko. – Dlatego wszyscy tak go szanujemy. Dawał każdemu z nas równe szanse, by się rozwijać.

– Pochodzi z Rosji? – zagałała Una.

– Jego rodzina, jak i moja, pochodziła z Japonii, ale tak dawno Rój nie pozwolił nikomu osiedlić się w mieście, że teraz nikt już nie jest skądś. – Uniósł brwi. – Jak sądziliście, dlaczego wydajemy to przyjęcie?

– Wiesz, nie jestem pewna. – Lily spojrzała na Toshiego taksująco. Rozłożyła ręce, wskazując tym gestem całą przepych w pomieszczeniu. – To

trochę aż nadto.

– Być wybranym to wielka sprawa – zapewnił ją. – Nie zdarzyło się to od ponad dwudziestu lat. Jeśli tu jesteście, musiał być jakiś powód.

– Zatem Rój porywa ludzi i zanoszą ich do dziwnego miasta, by zrealizować jakiś cel? – spytał Caleb. – Czego banda insektów może chcieć od ludzi?

Toshi odwrócił się do niego z grymasem na twarzy.

– Rój wybiera ludzi. I jedyne, czego chce, to dobrze działającego społeczeństwa.

– O, super – wtrącił Kanapka kwaśno. – Bo doskonałe społeczeństwa nie mają nigdy żadnych wad.

Toshi roześmiał się i napięcie nieco zelżało.

– Nikt nigdy nie mówił, że Bower jest doskonałe – zastrzegł. – Ale jest dobrze prowadzone i utrzymane.

Dotarli do dużego stołu, za którym Grace słuchała nieuważnie tego, co Mała szeptała jej do ucha. Jednak gdy zobaczyła Lily, wstała, zanim wicegubernator zdołała dokończyć.

– Lily. Dziękuję za przybycie. – Sprawiała wrażenie rzeczywiście zadowolonej. Miała na sobie zamszową suknię z koźlej skóry, ozdobioną turkusowymi paciorkami, i imponujący pióropusz. Barwy plemienne znaczyły jej twarz i ramiona, a grube srebrne bransolety na nadgarstkach wyglądały jak metalowe karwasze.

Lily nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko się uśmiechnęła. Grace wskazała jej miejsce obok siebie, co zmusiło Małą do przesunięcia się na krzesło obok. Przesiadła się z zaciśniętymi ustami. Toshi i reszta sabatu zajęli miejsca przy stole. Ivan zjawił się na chwilę tylko po to, by postawić swój kieliszek między Calebem i Tristanem, i natychmiast się oddalił. Gdy wszyscy już się usadowili, jedno miejsce nadal pozostawało wolne.

– Podobała wam się wizyta w porcie? – spytała Grace.

Lily odwróciła wzrok od pustego krzesła.

– Jednym bardziej, innym mniej – odpowiedziała.

– O? Jakiś problem? – To pytanie gubernator zadała Toshiemu.

– Szok kulturowy.

– Tak – zgodziła się Grace. – Zakładam, że trudno to wszystko przyjąć, prawda?

Caleb mruknął coś zniesmaczony.

– Proszę, nie wahaj się mówić, co myślisz – zwróciła się do niego Grace z naciskiem. – Nie podobało ci się.

– Och, te statki, cały ten handel, wszystko to jest wspaniałe – odparł Caleb z ostrym błyskiem w oku. – Dla was.

– Mów dalej – zachęciła go Grace, wiedząc, że na tym nie koniec.

– Nosisz pióropusz wodza, ale zostawiłaś swój lud na śmierć.

– Mieszkańcy Bower to mój lud – odpowiedziała Grace łagodnie. Caleb potrząsnął głową, nie przyjmując tej odpowiedzi do wiadomości.

– Mogłabyś wysłać zwiadowców, nawet teraz. Powiedzieć Zewnętrznym, że na Zachodzie nie ma Splotów – upierał się. – Nie potrzebują waszych datków ani dobroczynności. Jeśli niepokoją was uchodźcy, nie musieliby nawet zbliżyć się do miasta. Mogliby sobie zbudować własne. Mnóstwo miejsca.

– Dobrze, przyjmijmy, że wyślę zwiadowców – teoretyzowała Grace. – I część ludzi zdoła przejść obok Watahy i Stada. Co stanie się z tymi, których Rój nie zaakceptuje?

– Tysiące zginą – odpowiedziała natychmiast Mała.

– Tysiące już giną – odparował Caleb.

Mała otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, Grace uciszyła ją gestem.

– Calebie, wiesz, czego chce Rój? Co kieruje jego wyborami? Albo dlaczego zabija jednych, a akceptuje innych? – spytała, pochylając się nad stołem i patrząc mu w oczy. – A co, jeśli Rój zdecyduje, że skończył z przyjmowaniem kogokolwiek, i teraz zabije wszystkich, którzy spróbują dostać się na drugą stronę? Jestem pewna, że słyszałaś historie o tym, jak całe plemiona zostały zniszczone.

Caleb odwrócił wzrok.

– Zatem nie możemy nikomu powiedzieć – podsumował Tristan, unosząc brew. – I jestem pewien, że jeśli obiecamy nie mówić, to nas wypuscicie i pozwolicie nam wrócić do domu.

– Idźcie na południe, na północ... Nic tam nie ma, ale możecie sami sprawdzić – powiedziała Grace. – Obawiam się jednak, że Rój powstrzyma was, jeśli spróbujecie udać się na wschód.

– Dlaczego? Co obchodzi Rój, dokąd się udamy? – spytała Lily, nie kryjąc frustracji. Po raz kolejny stanęła w obliczu dziwacznej „reguły”, której przestrzegały Sploty. Nikt nie zaryzykował odpowiedzi.

– Przykro mi, że to ja wam to mówię, ale Rój nie pozwoli wam wędrować na wschód – powtórzyła Grace. – Będzie nam za to niewypowiedzianie miło, jeśli zostanieie tutaj.

Kelnerzy w białych rękawiczkach napełnili szklanki wodą. Lily wpatrywała się w tę przed pustym miejscem. Było to niczym pytanie bez odpowiedzi.

– Jaka jest reszta świata? – spytała Juliet, przerywając zbyt długie milczenie. – Wiedźmy i mechanicy są też w innych krajach?

– Nie tacy jak tutaj – odpowiedziała Grace. – Na całym świecie są ludzie z talentem, ale brakuje im środków, by z niego korzystać.

– Korzystać? – powtórzyła Juliet i w tej samej chwili zrozumiała. – Wolity. Dochowaliście tajemnicy.

– W istocie – potwierdziła Grace.

– W naszych książkach historycznych napisane jest, że przed Nadejściem Splotów hodowanie wolitów było najsilniej strzeżonym sekretem Sabatów – powiedziała Juliet, jakby chciała poinformować mieszkańców Zachodu o tym, jak to się robi na Wschodzie, ale tak naprawdę wprowadzała Unę, Kanapkę i Lily w temat, zanim któreś z nich powie coś niewłaściwego. – Nawet teraz hodowanie wolitów to ostatnia z umiejętności, jakiej uczą się najbardziej zaawansowani mechanicy.

– My postępujemy tu inaczej – wtrącił łagodnie Ivan.

– Tylko Czarownica Bower i dwóch mechaników poznają formułę – dokończyła za niego Mała.

– Kiedy naczelny mechanik albo jego zastępca umiera, natychmiast zostaje wybrany następny, żeby formuła nie zaginęła – uzupełnił wyjaśnienia Toshi. Spojrzał na Ivana i w tym spojrzeniu kryło się wiele rozdziałów ich wspólnej historii.

– Zatem tylko trzy osoby hodują wolity dla każdego w Bower? – upewniła się Una.

– Mechanicy pilnują hodowli i dajemy wolity tylko tym, którzy mają prawdziwy talent – uściśliła Mała. – Nie dajemy ich komu popadnie, jak to robicie na Wschodzie.

– Jak się domyślam, nie dajecie też wolitów obywatelom innych krajów – powiedziała Lily.

– Nie. Chyba że zostali wybrani, by się tutaj osiedlić – odpowiedziała Grace.

– Ale mufle i mechanicy z innych krajów nie mogą otrzymać wolitów ze Wschodu, bo jest niedostępny – powiedział zdezorientowany Kanapka.

– A to znaczy, że Bower ma monopol na samą magię, na wszystkie magiczne produkty i leki oraz władzę, jaka z tego wynika – podsumowała Juliet, odchylając się na oparcie krzesła. Wydawszy usta i lekko potrząsając głową, rzuciła Grace spojrzenie pełne rozczarowania, które Lily znała aż za dobrze.

– Z całego świata – mruknął Tristan pod wrażeniem. – muszą przyjść do was. Nic dziwnego, że w waszym porcie panuje taki ruch.

Grace przytaknęła.

Widziała dezaprobatę w spojrzeniach i twarzach przybyszy ze Wschodu.

– Grecja utrzymywała w tajemnicy sposób wytwarzania greckich ogni, a wiedza o nich przepadła razem z ich ginącą kulturą. Chiny przez wieki utrzymywały tajemnicę wytwarzania jedwabiu – powiedziała twardo. – Bower utrzymuje tajemnicę wolitów.

– I ciągnie z tego ogromne zyski – uzupełniła Juliet, marszcząc brwi.

– Tak. Miasto jest bogate, naszym ludziom niczego nie brakuje – oświadczyła Grace. – Powiedzcie, czy w trakcie wycieczki do portu widzieliście jakieś slumsy? Ludzi zebrzących na ulicach?



– Nie. Ponieważ, jak się domyślam, czegoś takiego nie macie w Bower, prawda, Grace?

– Nie mamy. – Uśmiechnęła się gubernator. – Czy to nie jest niesamowite? Rozprawiliśmy się z biedą.

Caleb po raz kolejny mruknął z odrazą.

– Wy się rozprawiliście.

Lily pomyślała o muflach i mechanikach na całym świecie, których talent został stłumiony, ponieważ Rój nie wybrał ich na mieszkańców Bower. Pamiętała, jak wyglądało jej życie, zanim przybyła do tego świata: migreny, gorączki i drgawki, które ją niemal zabiły. Odsunęła krzesło ze zgrzytem.

– Wiesz co? Już chyba nie jestem głodna – powiedziała.

– Naprawdę chciałabym, żebyś została – poprosiła Grace. – Zaraz dołączy do nas ktoś jeszcze.

Lily stała, nie zwracając uwagi na zszokowane miny członków swojego sabatu, na rzucane na nią spojrzenia.

– Naprawdę. Myślę, że ja już skończyłam.

– Lily – odezwał się głos za jej plecami.

Niski głos. Głos, którego nie słyszała od miesięcy, a który niemal słyszała we śnie każdej nocy. Zmusiła się, by się obrócić i stanąć twarzą w twarz z właścicielem tego głosu.

– Rowan.

\*\*\*

Lily nie widziała krzesła, ale poczuła wstrząs w kręgosłupie, gdy usiadła z impetem. Tristan, Caleb i Una wstali, gdy ona się osunęła. Ich szok szybko zmienił się w złość. Padły niemądre pytania w stylu: „jak się tu dostałeś”, i niepotrzebne stwierdzenia jak: „zostawiliśmy cię z Alarykiem”.

*Rój musiał wybrać go i przynieść do Bower, powiedziała Lily do swego drugiego ja. Najwyraźniej nie został z Alarykiem. Musiał śledzić nas cały ten czas. Miesiącami. Wyjechał za nami na terytorium Roju i Rój go zabrał, tak jak nas.*

Caleb albo Tristan chcieli go uderzyć. Może obaj, ale Lily nie była w stanie tego stwierdzić, bo czuła, że obaj chcą też wziąć Rowana w ramiona. Głosy podnosiły się coraz bardziej. Szpilka rozzłoszczonego żaru urosła do kropki wielkości dziesięciocentówki i pulsowała za lewym okiem Lily. Temperamenty zaczynały się rozgrzewać. I w końcu cała jej głowa wypełniona była brzęczeniem i gorącem, aż nie mogła tego znieść.

– Dość – powiedziała.

Jej głos ledwie wzniósł się nad poziom szeptu, ale wraz z nim wyrwała się z Lily fala energii i owo jedno słowo było niczym kamień wrzucony do sadzawki. Mechanicy złapali się za skronie, jakby ogłuszył ich przeszywający hałas. Każda

osoba w sali balowej została odepchnięta od Lily i ciśnięta na lśniąca posadzkę. Szkło zabrzęczało i zaczęło pękać.

Ciemne strumienie opadły na ziemię przy domu. Ramy potrząskanych okien otworzyły się szeroko i do budynku wkroczyły Siostry na swych patykowatych, strusich nogach. Ich egzozbroje połyskiwały nad pasiastą skórą, a bicz drżały w ludzkich dłoniach.

Wiedźmi wiatr zawył, pędząc ku Lily. Mechanicy równocześnie nabrali powietrza, czując już nadchodzący Dar. Lily poczuła, jak umysł Rowana łączy się z jej, wskakuje na miejsce niczym brakujący kawałek układanki, jasny jak diament i ostry. Niemal poddała się przemożnej potrzebie.

– Lily, nie! – krzyknął Toshi, przypadając do dziewczyny. Rój Robotnic zawirował wokół Sióstr, czerniąc powietrze na podobieństwo rozwścieczonej sadzy. – Reagują na twoją agresję. Musisz przestać!

Lily poczuła pragnienie swoich mechaników. Kątem oka dostrzegła wykrzywioną twarz Grace i przez głowę przemknęło jej: wiedźma podżegaczka.

Wycofała się. Uwolniła mechaników, mając nadzieję, że nie uczyniła tego zbyt późno. Zalały ją chaotyczne myśli, gdy próbowali się z nią sprzeczać.

*Co robisz?*

*Jesteśmy bezbronni...*

*Zaatakują!*

*Już przegraliśmy.*

– Poczekaście – powiedziała głośno. Ostatnia myśl pochodziła od Rowana. Miał rację. Członkowie jej sabatu byli pokryci Robotnicami. Bez stosu nie mogła dać im siły potrzebnej, by przeżyli użądlenia.

Poczuła Robotnicę na swej odsłoniętej szyi. Spojrzała na Siostrę, próbując przeniknąć tęczyowy połysk spowijający czarne ślepie, i skupiła się bez reszty na opanowaniu chęci strącenia Robotnicy. Siostra zakołysała biczem i zatrzepotała skrzydłami, jednak stała w miejscu.

– Przestałam – powiedziała do niej Lily.

Potworna głowa Siostry poruszyła się błyskawicznie, ale ciało pozostało napięte. Lily nie miała pojęcia, czy została zrozumiana, ani nawet czy to ta Siostra przewodziła grupie. Wszystkie były identyczne, Lily po prostu wybrała najbliższą.

*Niech nikt nic nie robi. Lily, nie możesz zachowywać się, jakbyś była spokojna. Musisz być spokojna,* pomyślał do niej Rowan.

Wypchnęła go ze swojego umysłu zirytowana, że się ośmielił uzurpować sobie prawo do dawania jej rad. Ale zrobiła to, co mówił, wiedziała bowiem, że

miał rację. Gdy ona się odprężyła, Rój także. Robotnice zostawiły mechaników, a Siostry Wojowniczkę cofnęły się, nie poruszając skrzydłami.

Najbliższa z Sióstr poruszyła głową błyskawicznie, po czym poderwała się w powietrze. Reszta Roju podążyła za nią, opuszczając salę balową równie szybko, jak się w niej pojawiły.

Lily rozejrzała się po pomieszczeniu. Poprzewracane krzesła i stoły utworzyły krąg wokół niej. Wszyscy goście też leżeli na podłodze, zbyt przerażeni, by choćby drgnąć.

– Musisz nauczyć się panować nad temperamentem – chrapliwy głos Grace przerwał ciszę. – Rój nie pozwoli na to po raz kolejny.

Lily odkryła, że pani gubernator przygląda jej się z mieszaniną zrozumienia i wyrzutu.

– Nie chciałam... – Lily urwała i rozejrzała się ponownie. Wszędzie pełno było rozbitego szkła, niektórzy z gości krwawili. Zrobiło jej się gorąco ze wstydu. – Przepraszam.

– Ja również – odparła Grace z namysłem. Rozłożyła ręce, wskazując na Rowana i Lily. – Myślałam, że zostaliście rozdzieleni i teraz nastąpi szczęśliwe połączenie.

Rowan rzucił jej spojrzenie spod zmarszczonych brwi, ale milczał. Goście zaczęli się podnosić i oglądać swoje obrażenia. Lily i jej sabat ofiarowali się z pomocą, ale Ivan odmówił.

– Nie trzeba, naprawdę – zapewnił ich. – Jest tu sporo uzdrowicieli, poza tym lepiej chyba będzie, jak wyjdziecie. Toshi? – Ivan rozglądał się, póki nie odnalazł wzrokiem swojego ucznia. – Może zabrałbyś Lily i jej sabat do ich pokoi?

Toshi skinął głową i zwrócił się do Lily. Ruchem podbródka wskazał Rowana.

– Czy on idzie z tobą?

Lily odwróciła się do Caleba.

– Idzie? – spytała.

*Nie podoba mi się to, ale teraz im więcej masz ochrony, tym lepiej,* odpowiedział w myślach Caleb.

*Wszyscy w tym pomieszczeniu wyglądają, jakby chcieli dostać kawałek ciebie,* dodała Una. Tristan, Kanapka i Juliet burkliwie poparli tamtych dwoje.

– Może iść – powiedziała Lily, unikając patrzenia Rowanowi w oczy.

Gdy skierowali się do wyjścia, Mała jastrzębim wzrokiem śledziła każdy krok Lily.

*A kawałek, który ona by chciała wziąć, to twoja głowa,* skomentowała Una.

Gdy przechodzili przez dziedziniec, Toshi znalazł się u boku Lily.

– Mógłbym znaleźć dla niego jakieś inne miejsce – powiedział cicho, gestem dając do zrozumienia, że chodzi o Rowana, który szedł na samym końcu.

– Nie trzeba – zapewniła go Lily. – Odległość nie ma znaczenia. – Uśmiechnęła się smutno. – Postarałam się, by dzielił nas cały kontynent, i to też nie pomogło.

Toshi zmarszczył brwi.

– To dlatego ruszyłeś na zachód? By uciec od byłego?

– Nie do końca. – Spojrzała na uzdrowiciela uważniej. – I skąd wiesz, że to mój były?

– Z doświadczenia, niestety. – Sprawiał wrażenie zawstydzonego. – Zdarzyło mi się rozzłościć jedną czy dwie dziewczyny do tego stopnia, że rzucały we mnie przedmiotami. Żadna jednak nie próbowała rzucić całej sali balowej.

Lily zaśmiała się bezgłośnie, a Toshi przyglądał jej się z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

– Co? – spytała.

– Lubię sprawiać, że się śmiejesz – powiedział zaskoczony. – Grace nie żartowała, że Rój nie pozwoli ci na kolejny pokaz takiej agresji.

– Wiem – odparła.

– Ale czy z nim będziesz czuła się dobrze?

– W porządku. Potrafię nad sobą zapanować – zapewniła go. Przynajmniej taką miała nadzieję. Posłała Toshiemu słaby uśmiech. – Już raz walczyłam z Rojem i nie spieszy mi się zrobić to raz jeszcze.

Toshi wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Niesamowite. Nikt nie walczy z Rojem – szepnął zdumiony i zostawił ją pod drzwiami apartamentu.

Lily i jej sabat przeszli od razu do męskiego salonu, żeby powiedzieć, co było do powiedzenia. Czuła, że już kłóć się w myślach, choć jeszcze nie włączyli jej do dyskusji. Cisza była niczym krzyk.

Usiadła, czekając, aż będą chcieli, by wzięła udział w rozmowie. Omijała Rowana spojrzeniem. Gdy ich nie było, ktoś przyniósł do pomieszczenia świeże kwiaty.

Lily sięgnęła myślami ku Lillian, tak bardzo spragniona była jakiegś rady.

*Rowan wrócił, oznajmiła.*

*Dobrze. Potrzebujesz go,* odparła Lillian. *Wybacz mu i uważaj się za szczęściarę, że znów masz go przy sobie.*

*Nie mam go. Opuścił mnie, pamiętasz?*

*Zawsze będzie twój, a ty jego. Przestań marnować czas.* Lily wychwyciła porażający, skręcający trzewia ból i Lillian zerwała kontakt.

– Lily! – zawołał Tristan ostro.

– Co? – Ocknęła się gwałtownie.

– Znowu nas wszystkich blokujesz. – Zmrużył oczy.

– Och. – Nawet tego nie zauważyła. Już po raz drugi otoczyła się murem zupełnie nieświadomie.

– Z kim rozmawiałaś w myślach? – spytał Rowan podejrzliwie. Nie odpowiedziała.

– Zechcesz się przyłączyć, Lily? – odezwał się Kanapka. – Sporo się dzieje.

Lily zachowała neutralny wyraz twarzy. Nie było to trudne, całe podniecenie minęło i czuła się wyczerpana.

– Chyba nie mogę wiele dodać, prawda? Rowan jechał za nami, zapewne wykonywał rozkazy Alaryka i został pochwycony przez Rój, tak jak my. To by wyczerpywało kwestię, dlaczego on tu jest. Jeśli chodzi o to, co zamierza tu robić, ta kwestia nie ma większego znaczenia, czyż nie? Jest za daleko, by skontaktować się z Alarykiem, a ja nie zamierzam dopuścić go do siebie na tyle blisko, by mógł być zagrożeniem. – Wstała, wygładziła kimono, nie patrząc na Rowana. – Jeśli spróbuje się zbliżyć, będzie cierpiał. Co mi powiedział o Scotcie i Gideonie? „Naznacz swoich wrogów”. No to już go naznaczyłam, może raz mnie zaskoczył, ale więcej na to nie pozwolę. Czyli mamy to już ustalone. Coś pominęłam?

– Nie chcesz czegoś powiedzieć albo o coś zapytać? – spytała Juliet. Jej wielkie oczy były okrągłe z niepokoju, a przez myśl przemknęły słowa. *Jak Lillian.*

Lily odwróciła się do siostry.

– Nie. Nie chcę. Idę spać.

Czuła, jak Rowan ją przyciąga, gdy przechodziła obok, przestrzeń zakrzywiła się wokół jego ciała, grożąc, że ją pochwyci. Ale z każdym krokiem było łatwiej i gdy Lily doszła do swojej sypialni, obecność Rowana przestała jej ciążyć.

\*\*\*

Carrick cierpliwie czekał, aż ktoś do niego przyjdzie. Był tu półtora dnia i na razie miał do czynienia jedynie ze sługusami. Oni nigdy nie wiedzieli, co z nim począć. Zawsze gdy Carrick odwiedzał eleganckie domy potężnych ludzi, którzy potrzebowali jego talentów, jak Gideon i jego ojciec, służący nie byli w stanie zdecydować się, jak go traktować. Czy jako gościa, ponieważ ich panowie go potrzebowali, czy jak szumowinę, bo tak ich panowie o nim myśleli.

Kobieta, która przyszła do niego rano, Mala, niczym się od nich nie różniła. Nie była głupia. Potrafiła wyczuć, czym był, i nie mogła zrozumieć, dlaczego jej pani, Zewnętrzna o imieniu Grace Chyłąca Drzewa, chce gościć w swoim domu zabójcę.

– Wielkie przyjęcie – powiedział. – Z mojego okna nic nie widziałem, ale słyszałem. Doszło do walki. Słyszałem brzęk szkła i wiedzmi wiatr.

– Tak – potwierdziła Mala. Stała, odchylając się lekko od Carricka, jakby w pewnym stopniu chciała rzucić się do ucieczki. – Nie jesteś jednym z nich, prawda?

– Wiem, kim są. Znam wiedźmę Lily. I ona zna mnie.

Mala przełknęła nerwowo ślinę, wytrącona z równowagi tym, jak wymówił imię Lily.

– Grace powiedziała, że ją śledziłeś.

Carrick wpatrywał się w Malę. Po coś tu przysła, ale bała się o to poprosić. Zaczął zatem od kwestii oczywistej.

– Chyba nie lubisz jej za bardzo?

Wargi Mali aż drżały od słów, które chciała powiedzieć.

– A ty ją lubisz?

Carrick wzruszył ramionami.

– To, co robię, nie zostawia zbyt wiele miejsca na lubienie.

– Co właściwie? Śledzisz ludzi?

– Jasne – potwierdził. Jeśli wygodnie jej było udawać, że tylko tym się zajmował, zamierzał jej na to pozwolić. Wiedziała lepiej. Niech jednak udaje przez chwilę.

– Mieszka w innym skrzydle budynku. Będziesz ją dla mnie śledził...?

Carrick wskazał drzwi ruchem podbródka.

– Nie ma zamków.

Mala nie zrozumiała:

– No i?

Carrick westchnął. Może jednak nie była tak bystra, jak sądził, a jeśli nie była bystra, może nie była też wcale potężna. Mogła być głupia jak pień, nie obchodziło go to, ale potrzebował kogoś na tyle wpływowego, by zapewnić mu możliwość poruszania się bez ograniczeń. Jeśli mogła to zorganizować, to mogli dobić targu.

– Nikt nie zostawia mnie w pokoju bez zamka na drzwiach, chyba że mają lepszy sposób na pilnowanie mnie.

– Nie potrzebujemy zamków – odpowiedziała Mala. – Rój nie pozwala na przemoc.

Carrick wstał. Mala się nie cofnęła. To był dobry znak. Miała kręgosłup.

– W takim razie, jeśli chcesz, bym zrobił to, czego ty nie możesz, musisz znaleźć sposób, żeby utrzymać Rój z dala ode mnie, prawda?

Powoli skinęła głową, wreszcie rozumiejąc, co miał na myśli.

– Póki go nie znajdziesz, będę tylko śledził.

## Rozdział 4

Cętki światła rozjaśniły świat po drugiej stronie powiek Lily i na chwilę cały stał się ciepły i różowo-czerwony. Kołysanie wagonika kiwało jej głową w jedną i w drugą stronę między niewidzialnymi dłońmi, unosząc ją z ciała. Ciepło się rozwiało, różane światło zmieniło się w ciemnoszare. Ktoś, kto był jej przyjacielem, spotkał się z nią we Mgle. Ktoś smutny i samotny. Ktoś zagubiony.

Ktoś, kto cierpiał.

Lily zobaczyła przed sobą rozległą armię. Zobaczyła sztandary łopoczące na wietrze i ciepki posmak kutego żelaza sprawił, że pod język napłynęła jej ślina.

– Lily? – Głos Toshiego wyrwał ją z tego stanu niemal snu. – Przepraszam – powiedział, krzywiąc się na widok jej miny. – Musimy niedługo wyskoczyć.

Lily rozejrzała się, wracając do roziskrzonego promieniami słońca Bower.

*Lillian?* – zawołała w myślach, ale nie otrzymała odpowiedzi.

– Wszystko w porządku? – zatroskał się Toshi.

Lily kiwnęła głową.

– Miałam dziwny sen – wyjaśniła, poprawiając pakunki na kolanach.

Pół dnia spędzili na zakupach, zatrzymując się co rusz w kafejkach, by się napić lub posilić. Teraz, gdy dzień zbliżał się ku końcowi, Lily znalazła się sama z Toshim. Una poszła na pedicure, o którym marzyła od dawna, Juliet na masaż, a chłopcy postanowili zyskać fryzurę wykonaną nożyczkami, a nie nożem.

Rowana z nimi nie było. Oświadczył, że już kiedyś wiedźma obsypała go podarunkami i to się dobrze nie skończyło. I odszedł, zostawiając ich wszystkich nieco mniej już zadowolonych możliwością dogadania sobie.

Lily popatrzyła na swoje pakunki z dziwną obojętnością. Po kilku miesiącach w drodze rezygnacja z nowych ubrań byłaby raczej mało rozsądna. Same zakupy wydawały się czymś niestosownym, jednak gdyby ubrania były gorszego gatunku albo otoczenie nieco mniej wykwintne, nie przywróciłyby zmarłych do życia. Wyjrzała przez okna w roziskrzony dzień. Tutaj łatwo zapominało się o śmierci. Bower nie życzyło sobie mieć nic do czynienia z mrokiem, deszczem czy smutkiem. Nie posypywało głowy prochami żałoby. W tym mieście rozbrzmiewała jedna radosna nuta i wszyscy byli zmuszeni się do tego dostosować.

Wysiedli z kolejki i Toshi skierował się do perfumerii. Lily doszła do wniosku, że skoro musi używać perfum, to równie dobrze może używać takich, które lubi na tyle, by się nimi skrapiać każdego dnia. Elegancka kobieta o ciemnej skórze, odziana w sari, stała za ladą gotowa do pomocy, zbyt jednak wyrafinowana, by wtrącać się w ich poszukiwania.

– Dużo ich masz? – spytał Toshi, wyciągając szklaną pałeczkę z butelki wypełnionej miodowym płynem.

– Dużo czego? – nie zrozumiała.

– Dziwnych snów. – Kapnął kropelkę na pasek papieru, poczekał, aż wyschnie, i pomachał nim pod nosem Lily. Odetchnęła bergamotką i czerwoną pomarańczą.

– Cały czas. – Pokręciła głową, odrzucając zapach: – Za słodki.

Toshi ruszył wzdłuż lady i wyjął pałeczkę z innej butelki.

– Po tym, co przeszłaś... – urwał. – Nie mogę sobie tego wyobrazić. Żeby ruszyć między Sploty w nieznanie. Bez mapy. Bez najmniejszego pojęcia, co tam jest, góry, pustynie, rzeki nie do przebycia. – Pomachał przed nosem Lily kolejnym papierkiem. Cytryna z werbeną ją orzeźwiły.

*Och, tak naprawdę w pewnym sensie wiedzieliśmy, jak dotrzeć do Kalifornii. Nie jestem Sacajawęą*, pomyślała, powstrzymując się od uśmiechu. Ale nie miała z kim podzielić się tym żartem. Tristan by go zrozumiał.

– I znów jesteś smutna – zauważył Toshi.

Lily nie odpowiedziała, przeszła do kolejnych butelek. Sama wybrała następną pałeczkę. Rozszedł się pudrowy babciny zapach. Odłożyła szklany pręcik natychmiast i postanowiła zdać się jednak na Toshiego.

– Zawsze byłaś żądna przygód? – spytał, kapiąc perfumami na kolejny pasek papieru.

– Wcale nie! Prawdę powiedziawszy, przez większość życia nigdzie nie mogłam pojechać. Najbardziej ekscytującą wyprawą była wycieczka do szpitala. – Odetchnęła zapachem świąt. Śniegiem i piernikami. – Ten mi się podoba, ale nie jest dla mnie.

– A co jest dla ciebie? – zapytał zamyślony. – Jesteś kobietą, która w sekundę zmienia się z rozbawionej w smutną. Kobietą, która twierdzi, że nie ciągnie ją przygoda, a właśnie przeżyła największą w życiu. Jesteś kobietą potężną, a jednak mógłbym podrzucić cię w powietrze jedną ręką. – Zbliżył się i pochylił lekko ku niej. – Co jest dla ciebie?

Lily odwróciła wzrok.

– Nie jestem taka, za jaką mnie bierzesz, Toshi.

– Nikt nie jest taki, za jakiego się go bierze. – Machnął lekceważąco dłonią.

Wyciągnął pałeczkę z maleńkiego słoika, w którym było zaledwie kilka kropli ciemnego, oleistego płynu. Sprzedawczyni zeszywniała na ten widok, ale Toshi uśmiechnął się do niej i skinął głową.

Nie marnował cennego płynu i nie użył papierka, a podstawił Lily pod nos sam pręcik. Dym i przyprawy. Dojrzała słodycz żywicy z młodego drzewa. Sól. I coś jeszcze, gdzieś w głębi nuta zapachu, zwierzęca, niemal odpychająca, której Lily nie mogła właściwie skojarzyć, tak samo jak nie mogła przestać wąchać.

– A teraz powiedz mi, dlaczego jesteś smutna.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Toshi przygląda się jej z troską.



Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Straciłam kogoś. – Rozpacz i poczucie winy wezbrały w niej wraz z tymi słowami, które starała się wypowiedzieć jak najbardziej beznamiętnie, by nie wybuchnąć płaczem. – Zginął w mojej obronie.

– Kochałaś go?

– Oczywiście.

– W takim razie był szczęściarzem. – Oderwał wzrok od Lily i odwrócił się ku sprzedawczyni. – Weźmiemy dwadzieścia cztery tego – powiedział sucho.

Lily przyglądała mu się, przechyliwszy głowę.

– Często ci się to zdarza – zauważyła.

– Co?

– Że kończysz coś, przerywasz moment, zanim wybrzmi. Albo zanim sytuacja wymknie się spod twojej kontroli.

Skinął głową z namysłem.

– Nauczyłem się nie czekać na aplauz. Nigdy.

– Och, za tym kryje się jakaś historia – stwierdziła, uśmiechając się lekko.

– Kiedy indziej – odparł, a jego spojrzenie pomroczyło.

– O, wspaniale, jesteś człowiekiem wrażliwym – powiedziała Lily, wywracając oczami.

Wydawał się dotknięty.

– Nikomu nie odpuszczasz, co?

Wysiliła się, by złagodzić brzmienie swego głosu.

– Nie, nie odpuszczam – przyznała. – Ale ja właściwie takich ludzi cenię. To był komplement.

Odwrócił wzrok i nie była w stanie odczytać jego emocji. Sprzedawczyni wybawiła go z niezręcznej sytuacji, wracając z fioleczką, którą umieściła ostrożnie w wyściełanej torebce. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Wszystko jest w porządku – zapewnił ją Toshi raz jeszcze. – Dziękuję.

Lily odczekała, aż wyszli z perfumerii.

– Domyślam się, że wybrałam zapach, który kosztuje fortunę?

– Tak, ale pieniądze nie są problemem – zbył jej zastrzeżenia Toshi. – Tylko jedna osoba w całym mieście używa tych perfum.

Lily parsknęła śmiechem. Wiedziała kto.

– Grace.

– No.

– Interesujące. Wiem, dlaczego mnie podoba się ten zapach – powiedziała, myśląc o dymie, rozgrzanej żywicy i słonawej woni potu skwierczącego w żarze stosu, myśląc o mocy, o podnieceniu, jakie towarzyszyło wlewaniu części siebie w inną osobę. – Ale dlaczego podoba się jej, skoro nie ma mechaników? – Zatrzymała się i obróciła, stając twarzą w twarz z Toshim. – Jesteś naznaczony?

– Nie! – Sprawiał wrażenie szczerze wstrząśniętego.

– Słuchaj, nie jestem najbystrzejszą osobą na świecie, ale jedno wiem. – Dźgnęła palcem maleńką torebkę. – Ten zapach wiedźma poznaje, wchodząc w ogień, i pragnie czuć ten zapach, tylko jeśli dała mechanikom Dar. Wiesz, mówiliście, że niby naznaczanie jest niewolnictwem, ale ja tego nie kupuję. – Uśmiechnęła się do niego ironicznie. – I proszę, nie mów mi, że ludzie w Bower są tak nieskazitelni, że nie kusi ich naznaczenie.

– O, bardziej niż kusi – zapewnił ją żarliwie Toshi. – I zdarza się, oczywiście, że tak. A kiedy się zdarza, to wtedy jest wielki skandal i głośny publiczny proces. I straszliwy, straszliwy bałagan. Naznaczanie to jedyna zbrodnia popełniana w tym mieście i karana jest wygnaniem.

Lily zatrzymała go gestem.

– Czekaj, czy ty powiedziałaś, że to jedyna zbrodnia, jaką się tu popełnia?

– Tak.

Patrzyła na niego absolutnie zdumiona.

– Ale chyba macie prawo zabraniające morderstwa, gwałtu i innych takich?

– Oczywiście. Ale takie rzeczy się tu nie zdarzają.

Lily zaczęła się śmiać, Toshi jednak jej nie zawtórował. Spoważniała.

– Nie żartujesz?

– Lily, posłuchaj uważnie. W Bower nie ma przestępstw. Morderstw, gwałtów, podpaleń, kradzieży, przemocy domowej, żadnych porwań czy napaści. Żadnych zbrodni. Poza naznaczeniem.

– Niemożliwe.

Toshi wyciągnął rękę i pozwolił przejść Robotnicy z rękawa Lily na swój kciuk. Dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że Robotnica tam była.

– Kto wie, ile Robotnice rozumieją z tego, co mówimy? – powiedział zamyślony Toshi. – Siostry na pewno, przynajmniej część, ale jak twierdzi Grace, pojmują to inaczej. Cokolwiek to znaczy. Wiemy na pewno, że Rój wyczuwa coś, czego my nie jesteśmy w stanie wyczuć. Rozpoznają wrogość, strach i agresję w każdej formie. Ostatniej nocy sama miałaś okazję się przekonać, jak szybko zainterweniowały. Nie pozwalają na żadne zbrodnie, z którymi wiąże się przemoc. Jeśli chodzi o takie bez użycia przemocy, jak kradzieże, no cóż, Rój jest wszędzie. Widzą, co się dzieje, nawet jeśli nie wiedzą, co to dokładnie jest. Wystarczy, że zgłosisz, że coś ci skradziono, i natychmiast zostanie znalezione, a przestępcy postawieni przed obliczem sprawiedliwości. W Bower nic nie uchodzi na sucho. Ale naznaczenia to jedyna zbrodnia, której Rój nie rozumie, ponieważ nie przypomina ona pozostałych.

– Obie strony się na to zgadzają – dopowiedziała Lily już przekonana.

– I to z przyjemnością, z tego, co słyszałem – dodał Toshi cicho. –

Wszystkich nas to kusi. Ale ponieważ jest to jedyna zbrodnia popełniana w Bower, my, ludzie nie mamy nic innego, co moglibyśmy ścigać. Dlatego zapewniam cię, że Grace nie ma naznaczonych. A już na pewno nie mnie.

W jego głosie zadźwięczał żal. Lily zrozumiała spojrzenia rzucone na nią i na jej sabat, i dlaczego mieszkańcy Bower trzymali się z daleka z taką niechęcią czy nawet odrazą. Jak ona sama by się czuła, gdyby całe życie kusiło ją coś, czego by jej odmawiano, a potem zobaczyła całą grupę, cieszącą się bez ograniczeń tym, czego tak bardzo pragnęła? Oni też powinni mieć do tego prawo. Zmarszczyła brwi.

– Dlaczego to nielegalne? – spytała.

– Hm? – Toshi był wyraźnie rozkojarzony, wypatrywał kolejki w górze ulicy.

– Naznaczanie jest dobrowolne, obie strony się na to godzą – myślała na głos. – Czarownica nie może wymusić na nikim naznaczenia. Wolit by się roztrzaskał, gdyby spróbowała złamać wolę tego, kto go nosi. Dlaczego zatem to nielegalne?

– Są inne metody stosowania przymusu – przypomniał jej Toshi. – Sposoby na to, by skłonić ludzi do wyrażenia zgody.

– W takim przypadku to powinno być nielegalne, wymuszone naznaczenie, ale nie naznaczenie jako takie – upierała się Lily. – Co obchodzi prawodawców, że ludzie dobrowolnie oddają się sobie nawzajem? To tak naprawdę nie ich sprawa.

Toshi nie odpowiedział.

– A co z braterstwem w kamieniu? – drążyła dalej. – Przeciwno temu chyba nie mogą się sprzeciwiać?

– Nielegalne – odparł Toshi.

– Dlaczego?!

– Sprzyja tajemnicom, obsesjom, i jest to kolejna forma intymności, która może prowadzić do przymusu. Umysły powinny pozostać całkowicie autonomiczne i ta autonomia jest chroniona przez miasto – wyrecytował Toshi.

– Przecież to niedorzeczne – odparła Lily. – Nie można mówić ludziom, że są autonomiczni, by w tym samym zdaniu odebrać im prawo wyboru.

Podjechała kolejka i Toshi skupił się na wsiadaniu. Lily zastanawiała się, czy usłyszał to, co mówiła, ale postanowiła nie naciskać go dalej. Jeśli ją słyszał, to najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać.

Spotkali się w przydzielonych im pokojach i przez kilka minut pokazywali nawzajem swoje zakupy. Rowan wśliznął się do pokoju kilka minut po Toshim i Lily. Był nieobecny dłużej niż którekolwiek z nich, ale nie miał żadnych pakunków. Nie przywitał się z nikim, usiadł milcząco w pewnym oddaleniu, podczas gdy Una, Juliet i Tristan zaglądali do każdej torby.

– Jak długo podróżowaliście? – spytał Toshi, podnosząc z podłogi jakąś

część garderoby, przypadkiem tam upuszczoną, i składając ją równo.

– Trzy miesiące, cztery? – Tristan spojrzął na Caleba.

– Niemal cztery – odparł Caleb.

Toshi był pod wrażeniem.

– Czy twoje plemię często wędruje? – spytał Caleba.

– Dość często, ale ja nigdy dotąd nie byłem tak długo w dziczy.

– Sprawy na Wschodzie przybrały zły obrót? Dlatego wyruszyliście w tę podróż? – chciał wiedzieć Toshi.

– Zdefiniuj zły – odpowiedział Tristan, wciąż przerzucając tuniki.

– No, nie wiem. Nie mam pojęcia, jak to jest żyć poza miastem – przyznał Toshi. – Ale zakładam, że musiało się wydarzyć coś naprawdę wielkiego, skoro zaryzykowaliście wyprawę na zachód. Uznaliście, że coś tu być musi, czy ruszyliście na ślepo?

– Strasznie jesteś ciekawski – stwierdził Rowan, tonem pełnym dezaprobaty.

– A kto by nie był. – Toshi wzruszył ramionami. – To musi być niesamowita historia. Szukaliście jakiejś innej osady? Albo fortu? Do którego wyruszyliście?

– Nikt na Wschodzie nie ma pojęcia, że cokolwiek tu jest, a już na pewno nie miasto – odparł Tristan.

*Wyciąga z nas informacje. Nic mu nie mówcie,* odezwał się do nich Rowan w myślach.

*Jest po prostu ciekawy,* zaoponował Kanapka. *To całkowicie naturalne.*

*To szpieg,* Rowan obstawał przy swoim.

*Swój pozna swego,* skwitował Caleb. Lily poczuła, jak bardzo słowa Caleba zaboląły Rowana.

– Zobaczymy dziś Grace? – spytała Lily, zmieniając temat zarówno tej głośniejszej rozmowy, jak i tej prowadzonej w myślach.

– Obiad. Wieczorem – odpowiedział Toshi z uśmiechem. – Grace żałuje, że nie może spędzić z tobą więcej czasu.

– Nie wątpimy, że ma liczne obowiązki – zapewniła go Juliet.

– Czy zamierza wyjaśnić, czego naprawdę chce od Lily, czy ten obiad to tylko kolejny etap jej czarującej kampanii? – warknął Rowan.

Toshi zamarł na moment.

– Jestem pewien, że Grace i Lily będą miały wiele do omówienia – powiedział wreszcie. – Ale na jaki temat, nie jestem w stanie powiedzieć.

– Dziękuję ci, Toshi – odpowiedziała Lily. – Jeśli zobaczysz Grace, powiedz jej, że nie mogę się doczekać naszej rozmowy.

Odczekała, aż Toshi wyjdzie, a potem zwróciła się do Rowana.

– Nie jesteś zbyt przyjacielski – stwierdziła.

– O, czyli znowu na mnie patrzysz? – odparł. – Dobrze wiedzieć, że dołączki Toshiego nie oślepiły cię bez reszty.

- On nie ma... – zaczęła protestować Lily, ale przerwała.
- Nie, zaczęłaś, to dokończ – zażądał Rowan, wstał i ruszył w jej kierunku.
- Wystarczająco blisko – powiedziała, zatrzymując jego krok. Rowan stanął, jakby natrafił na mur, z jedną uniesioną nogą.

Przejmowanie kontroli nad jego ciałem było błędem. Lily zrozumiała to od razu. Nie dlatego, że postąpiła niewłaściwie, ale dlatego, że tak bardzo ją to dotknęło.

Zobaczyła skórę Rowana, zanim się w nim zanurzyła. Doskonałą złocistą gładkość rozciągniętą na ścięgnach i mięśniach, skąpaną w słońcu miękkość okrywającą siłę, którą był Rowan. Zapomniała już, jaki był silny. Jak jego doskonale ciało odpowiadało na jej pragnienia, jak je dla niej spełniało. Każde marzenie o gracji w ruchu, jakie by sobie wyśniła, on mógł dla niej spełnić. Jeśli chciałaby skoczyć z klifu we wzburzone fale albo biec w rozrzedzonym powietrzu do gwiazd, mógł stać się naczyniem dla tego marzenia.

I nawet jeśli jego ciało było dla Lily krainą cudów, to jego umysł zachwycał jeszcze bardziej. Tylko Rowan mógł ułagodzić jej dzikie myśli. Tylko on miał rezydencję o niezliczonych pokojach pełnych pomysłów, przez które mogła ganiać jak szalona, wybierając gorączkowo, jak to miała w zwyczaju, i zrywać obrazki wspomnień ze ścian. Tylko Rowan mógł jej pozwolić biegać wewnątrz siebie bez niepokoju, że cokolwiek zniszczy.

Pozwalał jej brać całego siebie, bo tylko on był na tyle silny by znieść jej szorstkie traktowanie. Witał ją z otwartymi ramionami.

Ich oczy się spotkały i Rowan wygrał. Chciała go. Bardziej niż cokolwiek i kogokolwiek na świecie. Wystarczył ułamek chwili wewnątrz niego, by poczuła, że może się zgubić w tym labiryncie na zawsze.

Uwolniła go, tak jakby wypuściła kłuszące ostrze rozgrzanego noża. Tupnęła, stawiając uniesioną stopę. Dyszał zszokowany. Nie sądził, że Lily naprawdę go posiadzie. A ona widząc zdumione twarze pozostałych członków sabatu, zrozumiała, że oni też się tego nie spodziewali.

*Głupia*, pomyślała. Może Lillian ją usłyszała?

– Pokazałaś, co chciałaś, Lily – powiedział chrapliwie. – Nie martw się. Nigdy już do ciebie nie podejść.

Ostateczność wybrzmiewająca w tych słowach zabolowała na tyle, by Lily odzyskała całkowicie panowanie nad sobą. Kiedy odezwała się do sabatu w myślach, w jej słowach i odczuciach nie było żalu czy próby przeprosin.

*Nazywajcie Toshiego szpiegiem, jeśli chcecie, ale prawda jest taka, że jesteśmy tu obcy. My jesteśmy zagrożeniem. Grace chce się o nas dowiedzieć czegoś więcej i używa Toshiego, żeby zdobył dla niej te informacje. Postąpiłabym tak samo. Nic mu nie powiedziałam i wy też nie powinniście, za to wiele się dowiedziałam od niego.*

Otworzyła dla nich wspomnienie z perfumerii, żeby mogli sami zobaczyć, jak reagował na jej pytania odnośnie praw zakazujących naznaczania.

*A teraz, czy możemy już definitywnie odłożyć na bok koncepcję, że jestem tak naiwna, żeby wypaplać wszystko ładnemu chłopcu, i zacząć zastanawiać się nad tym, że znaleźliśmy się w mieście kontrolowanym przez Sploty?*

*Uważasz, że on się boi o tym mówić z uwagi na Rój,* podchwycił Tristan.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Teraz, gdy już wiedział, że nie znalazła się pod wpływem urody Toshiego, znów był po jej stronie.

*A jaki jeszcze może być powód? Są wszędzie i ciągle nas słuchają.*

*Ale czy mogą zrozumieć? Caleb wpatrywał się w podłogę głęboko zamyślony. Na balu Siostry Wojowniczkii nie odeszły, póki nie wyczuły, że Lily jest spokojna. Zapewnianie ich o tym nie wystarczyło.*

*Nie sprawiały wrażenia, że rozumieją cokolwiek z tego, co mówi Lily,* dodała Una, zgadzając się z Calebem.

*Nie wiemy, co rozumieją. Potrzebujemy więcej informacji,* wtrąciła Juliet. *Toshi mógł mieć dziesiątki powodów, żeby omijać kwestię prawa. To my zakładamy, że robił to z uwagi na Rój.*

*Co zrobimy w takim razie? Spróbujemy nawiązać rozmowę z jedną z Robotnic?* – spytał Kanapka uśmiechając się kpiąco. Sama myśl była niedorzeczna, na tyle zwariowana, że rozbawiła wszystkich. Poza Rowanem.

*Ja chciałbym się dowiedzieć, skąd one przybywają,* oznajmił. Wszyscy na niego popatrzyli. *Mówią o nich Rój, ale czy ktoś widział gniazdo albo ul?*

Nikt nie widział.

*Szukałem cały dzień miejsca na tyle dużego, by pomieściło większą liczbę Sióstr. Gdzie mogłyby się zbierać. Ale poza tymi wieżami, nic nie znalazłem. Wieże pomieszczą dziesięć Sióstr na raz, więcej raczej nie. Zatem gdzie jest ich ul?*

*Gdzieś na polach?* – podsunął Tristan.

Rowan wzruszył ramionami. Lily wyczuła zażenowanie pozostałych członków sabatu, szczególnie Caleba. Gdy oni siedzieli u fryzjera, Rowan próbował zebrać informacje o gospodarzach Bower. Lily spojrzała na niego.

*Masz jakieś sugestie?*

Niechętnie prosiła o wskazówki właśnie jego. Co gorsza, po raz pierwszy musiała tak naprawdę na niego popatrzeć. Zeszczupłał. Oczy mu się zapadły, skóra lekko zwiotczała, a włosy miał na tyle długie, by dotykały ramion. Wyglądał na głodnego i udręczonego. Ale przyglądanie się Rowanowi było niczym patrzenie na płonącą pustynię. Lily tylko przez chwilę była w stanie znieść to cierpienie. Odwróciła wzrok.

*Zajmij Toshiego jutro. Rozejrzę się jeszcze trochę, może zobaczę, którądy przychodzą i odchodzą,* odpowiedział.

*Pójdę z tobą*, zaproponował Caleb.

Rowan potrząsnął głową.

*Obaj pójdziemy*, dodał Tristan.

*Nie. Trzymajcie się blisko naszej czarownicy.* Ciemne rozpalone oczy na moment pochwyliły spojrzenie zimnych i jasnych oczu Lily. *Jest w większym niebezpieczeństwie, przebywając z Toshim, niż sądzi. Nie ma pojęcia, do czego może posunąć się osierocony mechanik.*

\*\*\*

Lily użyła nowych perfum, szykując się do obiadu. Kiedy tylko to zrobiła, zorientowała się, że jeden ze składników został tak zaprojektowany, by wsiąkać w skórę i przyjemnie poprawiać nastrój. Widziała, jak płynie żyłami, rozświetlając ją od wewnątrz. Zastanawiała się, czy ta substancja, czym by nie była, naturalnie występowała w składzie kosmetyku, czy została dodana specjalnie dla niej. Ale podobało jej się to. Może aż za bardzo. Kiedy wyszła z łazienki i dołączyła do pozostałych w damskim salonie, czuła się zuchwale lekkomyślna.

Podeszła do dzbanka z zimną wodą, który stał na srebrnej tacy nieopodal uchylonych drzwi balkonu. Nocny jaśmin rozchyłał swe kwiaty na werandzie i kilka Robotnic wędrowało wśród jego aksamitnych płatków. Napisała się, czując, jak chłód wody wędruje w dół jej przełyku, i patrzyła, jak Robotnice wprawiają kwiaty w drżenie, wydając się przy tym skupione jedynie na zbieraniu nektaru.

Kiedy się odwróciła, cały sabat wpatrywał się w nią w milczeniu. Jej spojrzenie pomknęło do Rowana i przy nim zostało.

*Urodził się, by nosić czerń*, pomyślała do Lillian, i zastanawiała się, czy ta w ogóle słucha, choćby częścią swojego nieustannie zajętego umysłu. *Jest niczym ciemny płomień, niczym smukła kolumna nicości między pozostałymi.*

Rowan przymrużył lekko powieki, zauważywszy wlepione weń spojrzenie Lily. Uśmiech niemal zdołał się przebić przez ponurą i gniewną minę. Dym w jego wolicie zawirował płataniną cienia i światła, i przez chwilę Lily nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle toczyli wojnę.

A potem przypomniała jej się klatka.

*Zostawiłby mnie tam na śmierć*, powiedziała do Lillian, choć jej druga wersja była pochłonięta bez reszty czymś innym. I wtedy Lily przyszła do głowy kolejna myśl. I zabolęła dotkliwie.

*Czy on wciąż chce mojej śmierci?*

– Lily? – odezwał się Rowan, marszcząc czoło ze zmieszaniem. – Z kim rozmawiasz w myślach?

Lily odwróciła wzrok.

*Jakim cudem on zawsze wie, że coś kombinuję?* – poskarżyła się Lillian.

– Czekamy na kogoś? – spytała, ignorując jego pytanie.  
– Tylko na ciebie – odparł Toshi. Znieruchomiał na moment i powęszył w powietrzu. – Użyłaś ich.

Wymienili uśmiechy konspiratorów.

– Ciekawe, czy Grace zauważy.

– O, zauważy – zapewnił i podszedł, by podać Lily ramię. – Nawet jeśli niczego nie powie.

– Powiedziałaś jej, że je kupiłam?

Toshi spojrział na nią z urazą.

– Nie mówię Grace wszystkiego.

Położyła mu dłoń na ramieniu i przez chwilę przyglądała się bacznie, zastanawiając, na ile ta deklaracja była prawdziwa.

Poprowadził ich na dół, do kolejnego skrzydła imponującej rezydencji. Lily była ciekawa, czy willa gubernatorska była jak Biały Dom, czy co cztery lata witała nowego mieszkańca.

– Jak często macie tu wybory? – spytała Toshiego.

– Co pięć lat do parlamentu, co dziesięć, by obsadzić urzędy – odpowiedział.

– A co ze stanowiskiem gubernatora albo naczelnego mechanika?

– Z naczelnym mechanikiem sprawa ma się inaczej – odparł Toshi. – To stanowisko zdobywa się talentem, a Ivan jest najbardziej utalentowanym mechanikiem w mieście.

Lily zerknęła na ciemny wolic Toshiego, chciałyby wiedzieć, czy te słowa podyktowała mu lojalność wobec mentora, czy naprawdę uważał, że Ivan jest najlepszy.

– A co z Grace? – włączył się do rozmowy Kanapka. – Czy gubernator musi być wiedźmą?

– Grace została wybrana przez Rój, żeby pośredniczyć między nimi a ludźmi. Tylko z nią się komunikują – powiedział Toshi, odwracając głowę tak, by włączyć do rozmowy i resztę sabatu. – Znosi im propozycje ustaw, a potem wraca do parlamentu z odpowiedzią, czy Rój zaakceptował prawo, czy odrzucił.

Lily poczuła, jak Caleb się zjeżył.

*Żeby pytać Sploty, czy się zgadzają...*

– Czyli to dożywotnia posada? – zgadła Lily.

– Tak. Podobnie jak stanowisko naczelnego mechanika.

– Bardzo wygodnie – powiedział Kanapka na tyle głośno, by go usłyszano.

Lily zaśmiała się i zaczęła rozglądać. Pokoje gubernatorskiej willi rozciągały się dalej, niż sugerował to fronton budynku. Lily odruchowo zaczęła liczyć korytarze, próbowała też zerkać w głąb klatek schodowych, obok których prowadził ich Toshi. Zorientowała się, że zmieniają poziomy, nie używając schodów, a to znaczyło, że budynek ma więcej pięter, niż mogłoby się wydawać,



zanim jednak zdążyła zapytać o to Toshiego, dotarli do sali jadalnej już pełnej gości. Mała powitała ich przed podwójnymi drzwiami z uśmiechem, któremu niewiele brakowało, by stać się grymasem odrazy.

– Lily – powiedziała, odsłaniając zęby – jak zawsze stosownie spóźniona.

– Czy to jakiś problem? – spytała Lily, ale Mała już odwróciła się na pięcie i odeszła. – Czy jest jakiś powód, dla którego ona mnie nienawidzi, czy jest taka dla wszystkich? – odwróciła się do Toshiego.

– Czuje się zagrożona – wyjaśnił. – Była przygotowywana, by pewnego dnia przejąć stanowisko gubernatora, a tu nieoczekiwanie Grace jest bardzo zainteresowana twoją osobą.

Lily pomyślała o tym i wzruszyła ramionami. Był taki okres w jej życiu, gdy taka niska zazdrość i rywalizacja z innymi kobietami wypełniały ją bez reszty.

*A to, że byłam bez pamięci zakochana w Tristanie, nie pomagało, pomyślała do Lillian. Każda inna dziewczyna była dla mnie zagrożeniem, bo wydawało się, że on ma w planach zaliczyć każdą na całym świecie, poza mną jedną. Dziwne, jak bardzo się to wydaje teraz odległe.*

– Powiedziałem... żebyś nie lekceważyła Mali.

Lily podniosła wzrok na Toshiego i uświadomiła sobie, że przyglądał jej się dziwnie. Musiał powtórzyć to, co powiedział.

– Wiem – odparła pospiesznie. Czuła na sobie uważne spojrzenie Rowana i zaniepokoiła się, na jak długo wyłączyła się z rozmowy. – Ale ja nie jestem zagrożeniem i nie wątpię, że Mała szybko to zrozumie.

Toshi spojrział na nią spod przymrużonych powiek.

– Jak myślisz, ile mam lat?

– Ee... – zawahała się Lily. – Dziewiętnaście? Dwadzieścia?

– Sześćdziesiąt cztery.

– Nie gadaj! – wyrwało się Unie.

– A jak myślisz, ile lat ma Grace? – pytał dalej zupełnie niezrażony.

Lily gapiła się na Toshiego ogłuszona. Nie żartował.

– Nie wiem. – Nie zdecydowała się zgadywać.

– Ja też nie. Grace była gubernatorem Bower, zanim stało się miastem, kiedy było tu tylko kilka tipi i ognisk – poinformował ich Toshi i pochylił się ku Lily. – Mała czeka już bardzo długo. Bądź ostrożna, jeśli o nią chodzi.

Obrócił się i wszedł do sali jadalnej. Lily gestem zatrzymała swój sabat o kilka kroków przed drzwiami, żeby mogli się uspokoić i przegrupować.

– To miejsce nagle stało się o wiele bardziej interesujące – stwierdził Tristan. – Ciekawe, jak długo Grace jest u władzy.

– Wystarczająco długo, byśmy się jej bali – odpowiedziała Juliet. – Władza robi z ludźmi zabawne rzeczy, przedstawia im coś w głowach, i im dłużej masz władzę, tym bardziej stajesz się wypaczony. Chciałabym wiedzieć, czego ona chce

od Lily.

Lily poczuła, jak od siostry płynie ku niej fala opiekuńczych uczuć, i uśmiechnęła się ciepło, ale Juliet była zbyt zmartwiona, by dać się udobruchać. Pomiędzy jej brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

*W porządku, siostrzyczko. Nie boję się Grace.*

*Powinnaś, odpowiedziała Juliet. Westchnęła i przewróciła oczami. Ale wiem, że nie będziesz. Więc ja będę bała się za ciebie.*

Weszli do jadalni, gdzie czekała już na nich niewielka grupa osób.

– Lily. – Na pozbawionej wieku twarzy Grace pojawił się szeroki uśmiech. – Chodź, poznasz naszego ministra handlu. Właśnie opowiadałam mu o twojej wyprawie do doków.

Kelnerzy krążyli wokół stołu z kolorowymi drinkami w szklankach o dziwnych kształtach. Podano przystawki. Grace szybko przedstawiła Lily kilku osobom z tytułem ministra, szefa, naczelnika. Wszyscy przyglądali jej się jak nowemu, niesamowitemu nabytkowi w ich menażerii. Gapili się na ogromny wolit i starali się obchodzić niezręczny temat naznaczania, nie poruszali go otwarcie, ale też nie odpuszczali do końca. Kobiety były mniej taktowne, jeśli chodziło o kwestię sabatu. Robiły bynajmniej niezawołowane przytyki, jak wielu młodych, przystojnych mężczyzn pozyskała Lily.

– Nie możesz zaprzeczyć, że więdmy na Wschodzie mają tendencję do naznaczania urodziwych mechaników, gdy tylko trafi się okazja – powiedziała minister architektury. – Wystarczy spojrzeć na wasz sabacik, by mieć tego przykład.

– Nie jestem zainteresowany Lily w tym sensie. Wolę mężczyzn – oznajmił Caleb śmiało.

– A ja jestem z nią. – Kanapka wskazał Unę. – Z tą przerażającą.

– To prawda. – Lily skinęła głową. – Ona jest przerażająca.

– Jak dla mnie wyglądasz trochę zbyt dorodnie i zdrowo. – Kanapka zwrócił się do Lily. – Bez urazy.

– Nie czuję się urażona.

– A dla mnie nieco zbyt kobieco – dodał Caleb, uśmiechając się od ucha do ucha.

– To niewątpliwie fakt. Jestem kobietą – powiedziała przepaszając, wzruszając ramionami, po czym zwróciła się do pani minister. – A więc nie. Więdmy nie wybierają mechaników, aby otaczać się potencjalnymi partnerami. Wybieramy ich w oparciu o zaufanie. – Spojrzała na Rowana, który rozmawiał z kimś po drugiej stronie pomieszczenia. – Albo jego braku.

Ta niezdrowa ciekawość nie ustała nawet, gdy już siedli do stołu. I wreszcie przyszła kolej Mali, by postawić sabat w niezręcznej sytuacji.

– A więc, Uno, jak to jest być kobietą mechanikiem? – spytała, wychyliwszy

wcześniej dwa drinki.

– Mnie się podoba – odparła Una.

– I nigdy nie chciałaś być czarownicą, i mieć własne stadko adorujących cię mechaników, jak Lily? – naciskała wicegubernator.

– Nie – odpowiedziała Una. – Powiedz mi, więdźmy tutaj wstępują na stos?

– Nie ma do tego powodów – wtręciła Grace stanowczo. – Ogień potrzebny jest więdźmom do walki.

– No więdź słyśzałam, jak Lily krzyczy na stosie. – Una przygwoździła Małą spojrzeciem. – I pod każdym względem wolę walczyć w polu, niż wejść na stos. Ze stadkiem czy bez.

*Zabierzcie mnie stąd*, jęknęła Lily do Juliet.

*Zachowaj spokój*, odpowiedziała jej siostra, poprawiając serwetkę na kolanach. *Testuj cię, żeby sprawdzić, czy uda im się wytręcić cię z równowagi.*

Lily poczuła dotknięcie myśli Rowana. Prosił, by wpuściła go do swojego umysłu. W chwili słabości niemal uległa, ale zaraz wzięła się w garść. Nie chciała jego wsparcia. Kiedy podano jedzenie, Toshi delikatnie tręcił ją łokciem, spojrzęła na niego, a on uśmiecchnął się pokrzepiająco.

– Jestem pewna, że Lily nie naznaczyła swoich mechaników z powodów czysto egoistycznych. – Grace wzięła czarownicę w obronę. – Na Wschodzie więdźma potrzebuje mechaników, inaczej nie jest bezpieczna. Ale tu naznaczanie jest niepotrzebne. Rój chroni wszystkich obywateli jednakowo. – Odłożyła pałeczki i spojrzęła na swego gościa. – No więdź, Lily, podjęłaś już decyzję?

– Decyzję? – nie zrozumiała Lily.

– Czy chcielibyście zostać w Bower, czy nie.

– Tak naprawdę to jeszcze nie – odpowiedziała szczerze. Popatrzyła po członkach swojego sabatu. – Jeszcze nie zdecydowaliśmy – uściśliła.

– Szkoda. To miasto może wiele zaoferować komuś o twoich umiejętnościach. Więdźcej, niż mogłabyś uzyskać na Wschodzie, choć nie wętpię, że byłaś tam bardzo ważną osobą – dodała Grace.

– Nie do końca. – Lily skrzywiła się lekko.

– O? – Grace przechyliła głowę na bok.

– To skomplikowane.

– Lily Proctor. – Grace oparła się wygodniej. – W osadzie Salem w Zatoce Massachusetts żył John Proctor. Był pierwszym mechanikiem, a jego żona, Elizabeth, pierwszą, która skorzystała z magii stosu. Ich potomkinie regularnie wracały na stanowisko Czarownicy Salem. Czy nie pochodzisz z Salem?

Lily nie miała zbyt wielkiego wyboru, jeśli chodzi o odpowiedź, więdźziała o tym.

– Jest wielu ludzi, którzy noszą to nazwisko.

Uśmiec Grace nie sięgał jej oczu, za którymi myśli przesuwęły się niczym

figury po szachownicy. Przy stole zapadła nieprzenikniona cisza, skupiając uwagę wszystkich na Lily.

– Nie, nie ma – odparła Grace cicho. – Ty jesteś Lillian Proctor z Salem. Jesteś Czarownicą Salem, a Rowan Fall jest twoim głównym mechanikiem.

Lily poczuła natarczywą prośbę Rowana. Zignorowała go. Sama mogła sobie z tym poradzić.

– Nigdy nie wspominałam, że moje pełne imię brzmi Lillian – odpowiedziała tak samo cicho i tak samo pewnie. – Skoro Rój nie pozwala nikomu wędrować na Zachód, skąd ty to możesz wiedzieć?

Grace jakby tego nie usłyszała...

– Pytanie, na które chciałam usłyszeć odpowiedź, czego Toshi nie zdołał się dla mnie dowiedzieć, brzmi: dlaczego? Dlaczego opuściłaś Salem?

Lily uznała, że skoro Grace ma prawo ignorować jej pytania, to ona może zrewanżować jej się tym samym. Napięcie przybrało na sile, Grace jednak sprawiała wrażenie rozluźnionej. Wreszcie się roześmiała.

– Podobasz mi się, Lily Proctor. Przypominasz mi mnie. – Przechyliła głowę, rozważając swoje słowa. – To może być coś dobrego. – Wstała, a Mala pospiesznie próbowała zrobić to samo. – Jak mówiłam, Rój pokazał jasno, że chce ciebie, zatem ty i twój sabat jesteście tu mile widziani. Ale jest jedna kwestia: jeśli zdecydujesz się pozostać w Bower, musisz zrezygnować z naznaczonych. Takie obowiązuje tu prawo. Muszą rozbić swoje woluty i zacząć od nowa. Zrozumiano?

Lily potwierdziła skinieniem głowy.

– Dam ci kilka dni do namysłu. – Rysy Grace złagodniały, a jej uśmiech był zaskakująco smutny. – Oni tylko cię zranią, jeden po drugim. Nieważne, jak dobrze według siebie ich znasz, wszyscy oni zwrócą się przeciwko tobie. – Jej spojrzenie zatrzymało się wymownie na Rowanie, po czym Grace odwróciła się i opuściła jadalnię. Mala podążyła za nią.

Lily czuła ciężar spojrzeń. Zerknęła na swój talerz.

– Iwanie, czy mógłbyś podać mi sól? – zapytała z wymuszoną uprzejmością.

Do końca obiadu nie usłyszała ani słowa, ale ucieczka i ukrycie się w swoim pokoju nie stanowiły rozwiązania. Toshi próbował kilkakrotnie się usprawiedliwić, jednak Lily za każdym razem go zbywała. Rozmowa prowadzona w myślach członków sabatu odwracała jej uwagę, podczas gdy żuła, przełykała i się zastanawiała.

*Grace naprawdę uważa, że wszyscy po prostu rozbijemy woluty?* – spytał Tristan z niedowierzaniem.

*Albo to, albo możemy spróbować przetrwać w dziczy. Rój nie pozwoli nam wrócić,* odparł Caleb.

*Tak mówi Grace, zwrócił mu uwagę Kanapka. A ona może kłamać.*

*Skąd wie, jak Lily ma na imię?* – spytała Una.

*Skąd wie, kto jest teraz Czarownicą Salem, skoro minęły dziesięciolecia od chwili, gdy Rój przyniósł kogoś do miasta?* – dodał Rowan.

*Toshi musiał nas okłamać,* stwierdził Kanapka. *Oni wszyscy tu kłamią.*

*Nie sądzę,* Rowan był innego zdania. *Mam wrażenie, że dzieje się tu coś innego, coś, o czym nie mamy pojęcia.*

Kiedy deser dobiegł wreszcie do końca, Lily podniosła się i podziękowała Ivanowi. Jej sabat wstał równo z nią i wszyscy wyszli z sali bez słowa. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Lily usłyszała eksplozję zszokowanych szeptów.

– Najgorsza impreza w życiu – oświadczył Kanapka, przełamując gniotące ich napięcie.

– A pamiętasz, jak dostałam drgawek u Scotta? – przypomniała mu Lily.

– A, no tak. – Kanapka uśmiechnął się szeroko. – Dobrze, dla ciebie druga najgorsza w kolejności.

– Lily, zaczekaj. – Toshi pobiegł za nimi. Złapał ją za łokieć, a sabat natychmiast ustawił się w pozycji obronnej. Toshi cofnął rękę. – Chciałem powiedzieć: przepraszam.

– Za co? – spytała Lily.

– Za... wyciąganie informacji? Za nieszczerłość odnośnie moich zamiarów? – zaryzykował i zaraz się skrzywił. – Właściwie to w tej chwili sam nie wiem, dlaczego przepraszam, bo nie wyglądasz na rozgniewaną.

– Nie jestem. Robiłeś to, co musiałeś – powiedziała. – Wróc z nami do naszych pokojów, chcę z tobą porozmawiać.

Usiedli w męskim salonie i zamknęli za sobą drzwi. Lily odwróciła się do Toshiego.

– Grace mówi, że Rój nie pozwoli nam pójść na wschód, ale co, jeśli mój sabat i ja zdecydujemy się wyemigrować do Japonii, Rosji albo Chin? Czy na to Grace pozwoli?

– Tu nie chodzi o Grace. – Toshi rozejrzał się i westchnął ciężko. – Ilu z was wie, jak hodować wolicy?

– Nie możemy odpowiedzieć na to pytanie – odezwał się Rowan i spojrzał na Lily. *Nie mów mu tego* poprosił. Lily skinęła głową.

– Przykro mi, Toshi – odparła. – Chciałabym móc ci zaufać, naprawdę.

– Nie, nie mam pretensji – odpowiedział ze smutkiem. – Słuchajcie, jeśli są między wami tacy, którzy tego nie wiedzą i mogliby to udowodnić przed parlamentem, wtedy nie mieliby podstaw prawnych, by was zatrzymać. Ale rozumiecie, o jakie stawki chodzi?

– Tak – odpowiedziała Juliet.

– Na pewno? – Toshi zmarszczył brwi. – Przybyliście ze Wschodu, czy macie pojęcie, jakie wpływy nasze miasto ma na cały świat? – Naprawdę nie był tego pewien.

Lily popatrzyła na niego.

*Ma sześćdziesiąt cztery lata, pomyślała do Lillian. A wygląda ledwie na dwadzieścia. Ciekawe, czy wyleczyli już raka. Mógłby ci pomóc. Ocalić... Jest na pewno lepszym uzdrowicielem niż Rowan. I z nim nie musiałabyś się martwić. Sekret Rivera Falla pozostałby na zawsze ukryty przed Rowanem.*

– Lily? – Głos Rowana ją wystraszył. Znowu odpłynęła w myślach. Naprawdę będzie musiała nad tym zapanować.

– Rozumiemy – odpowiedziała na pytanie Toshiego. Nie wydawał się usatysfakcjonowany.

– Nie chodzi tylko o hodowanie wolitów. One chcą ciebie. – Toshi pozwolił, by słowa te zawisły w powietrzu. Lily patrzyła, jak Robotnica wspina się po jego ramieniu.

*Teraz już wiemy, po co są mury wokół miasta,* powiedziała Juliet do wszystkich. *By zatrzymać ludzi.*

– Rozumiemy – powtórzyła Lily.

– Muszę iść – oświadczył Toshi. – I tak za długo już tu jestem.

Zanim zamknął drzwi, bezgłośnie powiedział do nich: „Bądźcie ostrożni”.

Lily otworzyła umysł dla członków sabatu.

*Jakieś przemyślenia? Komentarze?*

*Nie ufam mu, pomyślał natychmiast Rowan.*

*Ja nie ufam tobie, a jednak nie powstrzymało mnie to przed podjęciem z tobą współpracy,* odparowała Lily. Przez jego twarz przemknął wyraz bólu, a Lily wolała odwrócić wzrok, niż doświadczać tego bólu wraz z Rowanem. *Nie sądzę też, byśmy mieli zbyt wiele czasu na podjęcie decyzji. Zostajemy czy odchodzimy?*

Jej sabat nie potrafił udzielić na to pytanie odpowiedzi. Tylko Tristan zadał własne:

*Czy w Bower jest tak źle?*

Wszyscy spojrzeli na niego.

*Nie mówię, że jest idealnie, ale z drugiej strony, gdzie jest?*

*Zarządzają nim Sploty,* przypomniał mu Caleb zdegustowany.

*I jak dla mnie, zarządzają całkiem nieźle,* upierał się Tristan.

*Może poza tym drobnym faktem, że ludzie są tu najwyraźniej uwięzieni,* zwróciła mu uwagę Juliet.

*Pomyśl o Salem. O tamtych murach. Czy tam nie jesteśmy uwięzieni przez Sploty?*

*Mam wrażenie, że podjąłeś już decyzję,* stwierdził Rowan. *Ale nie wiesz, jak to jest rozbić swój wolit.*

*Ty to przetrwałeś. Nie jestem taki słaby, jak sądzisz, Ro.*

*Nigdy nie uważałem, że brakuje ci siły fizycznej, Tristanie. Ale wybierasz złoconą klatkę, jaką Rój stworzył ludziom, nad ciężki los człowieka wolnego. Spróbuj mi powiedzieć, że na tym polega siła.*

Wszyscy poczuli, jak głęboko słowa Rowana zraniły Tristana. I zupełnie wbrew swojej woli, Lily przypomniała sobie przepowiednię Grace, że każdy członek sabatu złamie jej w końcu serce.

*Nie musimy zostawać tu wszyscy,* stwierdził obrażony Tristan.

*Chcesz się rozdzielić,* zrozumiała zdziwiona Una.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Myślę, że każdy powinien sam zdecydować – powiedziała Lily, patrząc na Rowana. – Niektórzy z nas mogą mieć osobiste powody do opuszczenia sabatu.

Zostawiła ich, żeby przedyskutowali to bez niej. Desperacko chciała wyplątać się z kimona, zmyć makijaż, a jeszcze bardziej pragnęła ciszy wokół siebie, jak i w swojej głowie.

Myśl, że Tristan zostanie w Bower, zabolęła mniej, niż powinna. Właściwie to Lily nawet z ulgą przyjęła możliwość, że nie będzie musiała go widywać i wciąż wracać myślami do faktu, że nie był jej Tristanem i nigdy nie będzie. Gdy to sobie uświadomiła, poczucie winy zalało ją ze zdwojoną siłą, wciągnęło w głębinę i odebrało dech. Była już przy drzwiach, gdy za plecami usłyszała głos Rowana.

– Lily. – Zatrzymał się kilka kroków od niej i trzymał ręce tak, by mogła je widzieć. Nawet nie próbował nawiązywać kontaktu w myślach. – Myślisz o tym, by zostać?

– Chwilowo w ogóle nic jeszcze nie myślę – odpowiedziała. – A ty?

Nienawidziła się za to, że ta odpowiedź miała dla niej tak wielkie znaczenie.

– Jeśli zostaniesz, zostanę, jeśli odejdziesz, odejdę z tobą.

– Dlaczego? – westchnęła, potrząsając głową. – Nic tu cię nie czeka. Nie ze mną.

– Mogę z tym żyć – powiedział i po raz pierwszy od chwili, gdy znów się spotkali, Lily zobaczyła jego uśmiech.

\*\*\*

Carrick osuszył kieliszek wina i wrócił do steku. Próbowali podać mu na obiad jakąś surową rybę i morskie wodorosty, ale tego nie tknął. Był pewien, że w takim eleganckim miejscu ryba musiała być świeża, ale i tak. Nie wiedzieli, że można się w ten sposób nabawić robaków? Carrick zawsze gotował rybę dokładnie, nawet taką, którą złapał osobiście.

– Głodny? – spytała Grace Chyląca Drzewa.

Wzruszył ramionami.

– Bywałem już bardziej głodny – odpowiedział. Skrzywieniem warg dał kobiecie do zrozumienia, jak wielkie to niedopowiedzenie. Był bliski śmierci

głodowej i to nie raz. Zastanowił się przez moment i doszedł do wniosku, że pani gubernator może w ogóle nie wiedzieć, czym jest głód. Ciężko to było stwierdzić. Teraz żyła na wysokim poziomie, ale jemu wydawała się nie na miejscu. Rysy miała wygładzone, a w oczach spokój, jaki zyskuje się po latach walki z przeciwnościami losu. Z drugiej strony, wyglądała młodo. Carrick nie potrafił określić dokładnie, ale nie miał wątpliwości, że przeżyła już wiele lat.

– Miałbyś ochotę na więcej wina? – zaproponowała.

– Później – odparł, odchylając się na oparcie fotela, grubo wyściełanego. Carrick nie lubił takich poduch na meblach.

– Dlaczego po prostu nie spytasz mnie o to, o co przyszłaś mnie spytać?

Uśmiechnęła się do niego, takim powolnym, wszytkowiedzącym uśmiechem. Był jej więźniem. I choć pałac z niezliczoną służbą i wykwinnym jedzeniem, i wanną tak dużą, że można by w niej pływać, nie przypominały lochów, w jakich Carrick dotąd bywał, i tak nie dał się zwieść. Niektórzy torturowali swych więźniów. Niektórzy ich rozpieszczali. Carrick wiedział wszystko o dynamice tych relacji, rozumiał dokładnie swoją sytuację. Skoro nadal żył, to znaczy, że ona czegoś od niego chciała. Co dziwniejsze, to dawało jemu władzę nad nią. Szanowałby ją bardziej, gdyby go choć trochę potorturowała.

– Interesujący z ciebie człowiek, Carricku. Masz jakieś nazwisko? – spytała, nalewając mu wina nieproszona.

– Zwabiacze nie mają nazwisk, by je przekazać swoim dzieciom. Są tym, co robią. Każdy Zewnętrzny to wie. – Chciał, żeby było jasne, że nawet jeśli nosiła koraliki i pióra, nie była taka jak on.

– Jesteś zatem Carrick, syn Anokiego, i to wszystko?

Zmrużył oczy. Niewielu ludzi wiedziało, kim był jego ojciec. Musiała się dowiedzieć tego od Zewnętrznego, ale jeśli którykolwiek Zewnętrzny wiedziałby coś o mieście na Zachodzie, wszyscy by to wiedzieli. Takich rzeczy nie dawało się utrzymać w sekrecie, bez względu na to, jak wiele się za to zapłaciło.

– Jak udaje ci się powstrzymać swoich szpiegów, by nie wspominali o tym miejscu? – spytał.

Uśmiechnęła się. Miała ładny uśmiech, ale Carrick o to nie dbał.

– Skąd pomysł, że mam szpiegów?

– Nie udawaj. To do ciebie nie pasuje.

– Mam oczy skierowane na sytuację na Wschodzie – odpowiedziała, ważąc słowa, zanim rzuciła najistotniejsze: – Stąd wiem, że są dwie Lillian Proctor.

Carrick czekał, aż pani gubernator powie coś jeszcze. Ludzie uwielbiali mówić, szczególnie po to, żeby udowodnić jacy są genialni i potężni. Wielkie ego nawet najbystrzejszych skłaniało do nieostrożności. I Carrick już dawno odkrył, że milczenie działa lepiej niż bicie na ludzi, którzy uważają się za ważnych. Za wyjątkiem Lillian. Ona nigdy niczego o sobie nie zdradziła, jeśli nie chciała tego



robić. Nigdy nie mówiła o sobie. Nigdy się nie przechwalała. Prawdopodobnie dlatego, że nie była dumna z tego, co zrobiła.

– Miałam nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej od Lillian tutaj, ale ona wyjątkowo dobrze umie trzymać język za zębami. Albo Toshi nie jest wcale taki zniewalający, jak myślałam – dodała po namyśle.

Carrick uśmiechnął się, gdy to usłyszał.

– Nie licz na to, że ładna buzia zdoła oczarować Lily na tyle, by przestała się pilnować – powiedział. Rowan mógł przez jakiś czas skupić na sobie jej uwagę, ale nie należała do tych, którym można zawrócić w głowie. Z lochu wyszła zmieniona. Teraz lubiła cierpienie, Carrick to wiedział. Dlatego była dla niego idealna.

– Zatem do której należysz? – spytała Grace. – Do chorej Lillian w Salem czy zdrowej tutaj? Domyślam się, że to chora jest twoją wiedźmą, a zdrowa nie ma pojęcia, że tu jesteś.

Carrick nie mógł odgadnąć, skąd ona wie o dwóch Lillian. Musiałyby mieć kogoś, kto potwierdziłby obecność Lillian w Salem, po tym jak Lily znaleziono tutaj. Ale nikt nie mógłby tak szybko przedostać się przez kontynent. Ani rozmawiać na taką odległość w myślach, nawet nie Lillian. Carrick wyczuwał, że Chyłąca Drzewa jest potężna, jednak nie była Lillian. Skąd zatem zdobywała informacje? Zaczął wymieniać w myślach wszystkich szpiegów, jacy przychodzili mu do głowy, i nagle przerwał. Poprawił go, gdy powiedział „szpiedzy”.

– Oczy, nie szpiedzy – mruknął i popatrzył na Grace. – Co za oczy?

Westchnęła wyraźnie rozczarowana. Wreszcie zaczynała rozumieć, że nic z niego nie wydobędzie i że sama może zdradziła więcej, niż zamierzała. Była na tyle doświadczona, żeby to dostrzec.

– Nie wiem, dlaczego nie chcesz ze mną współpracować, Carricku, synu Anokiego. Twoja wiedźma już długo nie wytrzyma. Torturowałabym cię, by wydrzeć z ciebie informację, ale mam niepokojące wrażenie, że to by ci się spodobało. – Wstała, ale zanim wyszła, zatrzymała się na moment w progu. – Proszę, pij na zdrowie.

\*\*\*

Lily przerzuciła poduszkę na chłodną stronę i natychmiast odkryła, że chłodna strona jest wciąż ciepła po tym, jak odwróciła poduszkę pięć minut wcześniej.

Przewracała się w łóżku, zasłaniając oczy ramieniem. Okno było otwarte i słonawy powiew wiatru poruszał zasłonami, ale noc wciąż była dla Lily zbyt upalna. Jej przegrzany mózg nieustannie wracał do Rowana, jak kopnięty pies. Sen nie nadchodził i wiadomo było, że nie nadejdzie. Do tego miała wrażenie, że słyszy kroki nad głową, i zaczęła zastanawiać się, ile pięter ma willa. Wydawało jej się, że to ich pokoje znajdują się na najwyższym.

*Myślisz za głośno*, zwróciła jej uwagę Juliet.

*Chodź, dotrzyмай mi towarzystwa*, odpowiedziała Lily, podekscytowana bardziej niż powinna faktem, że siostra ją usłyszała. Minutę później Juliet przydreptała do pokoju. Na policzku miała czerwony ślad.

– Masz poduszkową twarz – poinformowała ją Lily.

– Ty masz poduszkowe włosy – zrewanżowała się Juliet.

Lily pomacała dziką burzę skłębionych loków.

– Chyba pasują do tego, co dzieje się pod nimi.

– Kłopoty z facetami? – Juliet padła na łóżko i rozłożyła się tak szeroko, że Lily była zmuszona się posunąć.

– Jestem dla niego za ostra? – spytała, wiedząc, że Juliet natychmiast się domyśli, kogo dotyczy pytanie.

– Tak i nie. – Juliet przechylała głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby podkreślała dwie strony medalu. – Nie, jeśli wziąć pod uwagę, co przez niego przeszedł, tak, jeśli wziąć pod uwagę, co on przeszedł od tamtej chwili. My mieliśmy na szlaku siebie nawzajem. Rowan był sam.

– Podzielił się z wami wspomnieniami?

– Niektórymi. Caleb i Tristan naciskali. – Juliet wyciągnęła gęsie pióro z poduszki siostry. – Nie spał za dużo. Nie mógł. Nie było nikogo, kto mógłby trzymać wartę albo pomóc mu walczyć ze Splotami. – Przesuwała piórko między palcami. – Przeszedł przez piekło.

– Cholera. – Lily westchnęła potężnie. – Pokazał wam, dlaczego opuścił plemię i ruszył za nami?

– Wdał się w potworną kłótnię z Alarykiem o bomby. Pozostały dwie, których Carrick nie rozłożył. – Juliet spoglądała na piórko. Imię Alaryka utkwilo jej w głowie na dobre.

– Musiało być ci ciężko na to patrzeć. Widzieć Alaryka.

– Myślałam o tym. Nie powinnam była od niego uciekać – szepnęła Juliet. – Powinnam była walczyć z nim bardziej.

– Odeszłaś dla mnie. I nie odpowiadasz za jego wybory.

Juliet podniosła wzrok. W jej brązowych oczach płonął ogień.

*Wiem, że możliwość pozostania tutaj, po drugiej stronie kontynentu, wydaje się dużo bardziej pociągająca, gdy pamięta się o bombach, ale nie możemy tego zrobić. Musimy wrócić i go powstrzymać.*

Przez myśli Juliet przepłynęły obrazy Trzynastu Miast. Miast, których Lily nigdy nie widziała. Cudownych miejsc, niektórych zbudowanych na pontonach i unoszących się na wodzie. Jedno wzniesione zostało wysoko w koronach drzew niczym zaczarowana elfia osada. Juliet wyobraziła sobie, jak te drzewa płoną. Jak ludzie krzyczą. Złapała Lily za rękę, niezdolna znieść własnych myśli.

Spopielone światy Lillian pływały w myślach Lily i dziewczyna musiała

zerwać kontakt myślowy z Juliet, by tamta ich nie zobaczyła. Nie było przy tym sensu ukrywać, co chciała powiedzieć o Roju.

– Wiem. Nie wiem, jak go zatrzymać, ale... wiem, o co ci chodzi. – Zaśmiała się gorzko. – Zawlokłam cię na drugi koniec kontynentu, bo miałam jakiś zwariowany pomysł, że tu kryje się rozwiązanie problemu Splotów, jakby Zachód był jakąś oazą cudów. Pomyślałam, że znajdę miejsce, gdzie ludzie i Sploty będą żyły obok siebie, żeby Zewnętrzni nie tkwili w pułapce i żeby nie było żadnej wojny. – Miała ochotę kopnąć się solidnie. – No cóż, Sploty i ludzie mogą żyć razem. Ale nie o to mi chodziło.

– To nie jest życie razem. To jest życie jedni pod drugimi – powiedziała Juliet i aż się wzdrygnęła.

Lily wzruszyła ramionami.

– Już jesteśmy ich więźniami. – *Na razie*, dodała w myślach. Niemal nie zadała tego pytania, ale w końcu nie zdołała się powstrzymać. – We wspomnieniach Rowana nie było nic o mnie?

– Zrobił to, by cię ratować – odpowiedziała Juliet.

– No wiesz! – powiedziała Lily z niedowierzaniem. – Zabrał moje woliity i wsadził mnie do klatki.

– Alaryk wierzył, że sprzymierzyłaś się z Lillian. Zamierzał poderżnąć ci gardło tam, gdzie stałaś. Rowan zrobił jedyną rzecz, jaka mogła utrzymać cię przy życiu, poza zarżnięciem swego wodza, a potem wybiciem całego plemienia, żeby cię przed nimi ochronić.

Lily odwróciła wzrok. Myślała o wyrazie twarzy Rowana, gdy zabierał jej woliity. Nie było w niej gniewu. Ani niechęci. Nie zabrał jej kamieni powodowany goryczą czy nienawiścią. To był skalkulowany ruch, a nie podyktowany emocjami, jakby podejmował decyzję dotyczącą innych ludzi, nie siebie. Jeśli w ogóle dało się dostrzec w nim jakieś uczucia, to jedynie żal. To, co zrobił, zrobił dla niej, i nawet mając świadomość, że ocalenie życia Lily będzie go kosztowało jej miłość.

Czy była aż tak wyzuta ze skłonności do wybaczenia?

– Właściwie to nigdy nie rozpaczałam tak naprawdę, kiedy do tego doszło, byłam nieszczęśliwa, ale też strasznie zdezorientowana, ponieważ wiedziałam, że Rowan by mnie nie zdradził. I kiedy wszystko wskazywało na to, że jednak zdradził, to w głębi duszy chyba widziałam, że kryje się w tym wszystkim coś więcej – przyznała.

– Mogę odtworzyć dla ciebie to wspomnienie. Pokazał nam. Chcesz?

– Nie trzeba. I chyba nie chcę. – Wiedziała, że Juliet mówi prawdę, że Rowan najprawdopodobniej ocalił setki istnień, w tym jej, ale nadal czuła w sobie ostrą, palącą niechęć. Urazy i jeszcze czegoś, czego nie umiała dokładnie określić.

– Klatka nie jest tym, co stoi między nami.

– A co jest? – zapytała łagodnie Juliet.

– Jaki jest twój ojciec? James w tym świecie? – spytała Lily zamiast odpowiedzieć. – Jaki on jest?

Juliet uśmiechnęła się krzywo.

– Ledwie go znam. Nie interesował się nami za bardzo, gdy byliśmy dziećmi, a potem Lillian go odesłała, bo stał się zbyt zainteresowany tym, co robiła jako dorosła. Wiesz, kiedy już została Czarownicą Salem.

– Mojego ojca nigdy przy nas nie było – szepnęła Lily. Cała jej klatka piersiowa zdawała się obolała.

Juliet wyraźnie czekała na kolejne słowa siostry, lecz ta milczała.

– Czy kiedykolwiek wybaczysz Rowanowi? – wróciła do poprzedniego tematu.

– Nie jestem zbyt dobra w wybaczeniu. – Lily pomyślała, jak nie chciała wybaczyć Scotowi. Jak nigdy tak naprawdę nie wybaczyła ojcu, że ich zostawił, ani Tristanowi, że ją zdradził. A teraz wszyscy oni nie żyli.

– I taką właśnie chcesz być osobą? – spytała Juliet łagodnie.

– Nie. Ale nie wymyśliłam jeszcze, jak być kimś innym. – Lily się wzdrygnęła. – Dość tego. Obudziłaś się już? Znaczą całkiem?

Juliet przytaknęła.

*Mam ochotę pomyszkować po okolicy,* pomyślała Lily. *Idziesz ze mną?*

Juliet uśmiechnęła się szeroko i siostry wysliznęły się z pokoju.

Ruszyły tą samą trasą, jaką szły wcześniej tego wieczora, i odnalazły te miejsca, na które Lily zwróciła uwagę. Pilnując, by ich magiczne światło nie stało się zbyt jasne, powoli wspięły się na ciemne schody.

*Też to słyszałaś?* – zapytała w myślach Juliet.

*Kroki nad nami? Tak. Z balkonu nie wygląda na to, że ten budynek ma jeszcze jedno piętro, ale pewnie musi, prawda?*

*To samo pomyślałam,* odparła Juliet. *Idziemy w tę stronę,* zdecydowała, gdy znalazły się na szczycie schodów. *Nasze pokoje powinny być poniżej.*

Poszły długim korytarzem bez okien. Był duszny i rozpalony od promieni słonecznych, które prażyły dach w ciągu dnia. Wydawało im się obu, że ściany na nie patrzą. Korytarz kończył się drzwiami.

Nie zostały obłożone zaklęciem, tylko zamknięte na prosty zamek. Lily wzruszyła ramionami do siostry i otworzyła zapadki, używając woli. Zamek szczęknął i drzwi stanęły otworem. Lily zajrzała do środka. Pozwoliła, by jej światło magiczne stało się odrobinę jaśniejsze, i zobaczyła nierówne, przysadziste kształty kulące się w pomieszczeniu. Gdy wzrok przyzwyczaił jej się odrobinę, rozpoznała meble przykryte ochronnymi pokrowcami.

*Ślepa uliczka,* pomyślała do siostry.

*Niekoniecznie,* odpowiedziała Juliet. *Chodźmy na drugą stronę. Chyba widzę tam jeszcze jedne drzwi.*

Ruszyły, klucząc między skrzyniami, wieszakami na płaszcze, połamanymi szafami, stojakami na buty, teleskopem, a nawet globusem. Lily zatrzymała się i zsunęła z niego pokrowiec. Obejrzała go i stwierdziła, że nie ma na nim ani Meksyku, ani Kanady, tylko jeden wielki kontynent z Trzynastoma Miastami po jednej stronie i Bower po drugiej. Nie miała pojęcia, jak długo istniało Bower ani ile lat miał ów globus, ale wydawał się stary, stuletni albo jeszcze starszy.

Dotarły do drzwi na tyłach strychu i Lily złapała za klamkę. Drzwi okazały się otwarte. Pchnęła je i weszła do pomieszczenia, w którym znalazła jedynie schody wiodącą w górę i kolejne drzwi po przeciwległej stronie.

*Tu nie ma kurzu, zauważyła.*

*Ktoś tu bywa, odpowiedziała Juliet i ruszyła prosto do schodów.*

*Czekaj, chcę najpierw sprawdzić, co jest za tamtymi drzwiami,* powstrzymała ją Lily. Czowała znajome przyciąganie magii i gdy podeszła bliżej, zorientowała się, że to potężne zaklęcie ochronne. Zatrzymała się, bojąc podejść bliżej. Pomieszczenie było ukryte, z jednej strony osłaniał je strych pełen zapominanych przedmiotów, z drugiej potężne bariery magiczne.

*Po co nakładać tak potężne zaklęcie na jedne drzwi, a drugie, te, przez które przeszliśmy, zostawiać niestrzeżone?*

*Może kiedyś i na nich było zaklęcie, ale się z biegiem czasu rozwiało. Droga, którą przyszedliśmy, wygląda raczej na nieużywaną, zapomnianą nawet, odparła Lily. Chcesz wejść na górę?*

*Lily, ja nie mam magii i jestem naznaczoną Lillian, nie twoją,* zawahała się Juliet.

Po wszystkim, co razem przeszły, dziwnie było myśleć, że Juliet nie była tak naprawdę siostrą Lily, a jej drugiej wersji. Nieważne, jak bardzo Lily ją kochała. Ta Juliet należała do Lillian, wraz ze swoim wolitem.

*Jeśli coś pójdzie nie tak, kontynuowała tymczasem Juliet, nie mogłabym być dla ciebie naczyniem. Może powinniśmy wrócić i obudzić Rowana?*

To było pierwsze imię, jakie wpadło Juliet do głowy. Nie zamierzała wymieniać Rowana z jakiegoś szczególnego powodu, po prostu w naturalny sposób skłaniała się ku temu z mechaników, który był w stanie najlepiej je obronić. Jednak Lily miała wrażenie, że imię przeszywa ją na wylot. Za każdym razem, gdy ktoś wspominał Rowana, uświadamiała sobie, że nie była przygotowana, by usłyszeć jego imię.

*Przepraszam, skrzywiła się Juliet.*

*W porządku. I nie chcę wracać,* powiedziała Lily, duma wzmacniała jedynie jej upór. Wspięła się po schodach, pchnęła klapę i wyszła na dach budynku.

Zobaczyła całe miasto. Gubernatorską willę wzniesiono w najwyższym punkcie Bower, a one stały na samym jej szczycie. Świecący jasno księżyc pozwalał Lily widzieć wszystko od oceanu z jednej strony, po rozległe pola

kwiatów ciągnące się aż po rozmazaną linię horyzontu z drugiej.

*Lily, chodź i spójrz tylko*, odezwała się Juliet za jej plecami.

Stała obok jakiegoś sporego, lśniącego łagodnie kształtu, który zajmował centralną część dachu. Lily podeszła bliżej i zrozumiała, że to gigantyczny kryształ, złożony na metalowej podporze; miał piętnaście stóp wysokości i był szeroki na pięć, a może nawet sześć stóp.

– Co to jest? – spytała Lily na głos.

– Mówiący kamień – odezwał się niski głos za jej plecami. Lily odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Rowana.

– Skąd wiedziałeś...

– Że wyszłaś? – dokończył za nią. – Obłożyłem drzwi naszych pokoi zaklęciem.

– A skąd wiedziałeś, dokąd poszłam?

– Zawsze cię odnajdę – odpowiedział, wzruszywszy lekko ramionami. – Jeszcze się o tym nie przekonałaś?

Zamknęła usta ze słyszalnym wręcz kłapnięciem. Znalazł ją w lochach. Znalazł po tym, jak Straż Miasta najechała tunele metra. Zdołał nawet wysledzić po drugiej stronie kontynentu. Zawsze ją znajdował. Wystarczyło, że o nim pomyślała, a się zjawiał. Lily przyszło do głowy, że dlatego zawsze umiał ją znaleźć, bo jakaś jej część nieustannie do niego wołała.

– Powinnaś przyjść tu w towarzystwie mechanika. Bez urazy, Juliet, ale ty nie zdołasz jej obronić. – Niewiele brakowało, a rozgniewałby się na Lily, gdy nagle chyba przypomniał sobie, że nie ma już do tego prawa. Zauważyła, że zatrzymał się kilka stóp od niej i nie próbował nawiązywać rozmowy w myślach. To był ich nowy sposób postępowania. Nowa „normalność”. Na tę myśl coś skurczyło się w Lily boleśnie. Odwróciła się do mówiącego kamienia.

– Do czego służy? – spytała.

– Pozwala wiedźmom kontaktować się z umysłami naznaczonych na duże odległości – wyjaśnił. – Rozmieszczano je co kilkaset mil i wszystkie działają jak sieć przekaźników. Lata temu Czarownica z Salem miała w zwyczaju umieszczać po jednym ze swoich naznaczonych w Sabatach rządzących w każdym z Trzynastu Miast, w ten sposób mogła mieć pod kontrolą teren od Exeter po Savannah, nie opuszczając bezpiecznych murów Salem.

– Nie używano ich od lat – wtrąciła Juliet. – Nie wiedziałam nawet, że tak wyglądają.

– W Salem nadal jeden jest – powiedział Rowan. – Na szczycie Cytadeli, nad pokojami Lillian.

– Czy Lillian korzystała z nich kiedykolwiek? – spytała Lily.

– Nie sędzę – odparł. – Bo niby po co? Nie miała naznaczonych w innych Sabatach, a kamienie działają tylko, gdy chodzi o wiedźmę i jej naznaczonych. –

Spojrzał na Lily spod przymrużonych powiek. – Ale dlaczego jej o to nie spytasz? Wy dwie cały czas ze sobą rozmawiacie, prawda?

– Skąd wiedziałeś... – zaczęła, ale zaraz urwała i spuściła wzrok na swoje dłonie. – Tak.

Coś na kształt uśmiechu złagodziło linię jego ust. Lily poczuła, że płoną jej policzki.

– Z kim się kontaktowała? – Juliet nie odrywała spojrzenia od kamienia.

Lily zgubiła wątek rozmowy.

– Kto się kontaktował?

– W Bower nie pozwala się wiedźmom naznaczać – przypomniała im Juliet, marszcząc brew. – Zakładam, że kamień należy do Grace, skoro nie ma naznaczonych, to do czego go używa?

Rowan obszedł kryształ i przebiegł palcami po jego powierzchni.

– Ktoś na pewno go używał. Widzisz te światełka w środku?

Lily przyjrzała się dokładniej i zobaczyła, jak wewnątrz iskierki światła gonią się z pasmami ciemności, zupełnie jakby kamień był żywy.

– To wolit? – powiedziała zdumiona.

– Ta sama rodzina, inne możliwości. Mówiące kamienie są zbyt duże, by jeden umysł mógł się z nimi związać, nie można ich zatem wykorzystywać do wielu rzeczy, jak można wolit, ale braki w subtelności i niuansach nadrabiają czystą mocą – wyjaśnił Rowan.

Lily wpatrywała się w gigantyczny kryształ.

– Każdy go może użyć? Czy dostraja się do jednej czarownicy? – spytała głośno.

– Każdy może. Ale tylko do kontaktu ze swoimi naznaczonymi. To nie działa jak wasze telefony, gdzie każdy może zadzwonić i każdy odebrać połączenie.

– Ach. – Lily przypomniała sobie, jak uczyła Rowana korzystać z telefonu, gdy znaleźli się w jej świecie. Był zachwycony tym wynalazkiem. Zresztą w ogóle uwielbiał komputery i wszystko, co wiązało się z nowoczesną technologią. A najbardziej podobało mu się to, że każdy miał do nich dostęp, a nie tylko mechanicy i czarownice.

*Mój świat jest magiczny na swój sposób, pomyślała do Lillian. Spójrz, jak wielki musi być mówiący kamień, a jego zasięg i tak nie przekracza kilkuset mil. Ciekawe, ile ich ułożono i w jakim kierunku. Północ-południe? A może jednak wschód-zachód?*

– Rozmawiasz z nią teraz, prawda? – spytał Rowan.

– Nie słucha mnie. Jest zajęta – odpowiedziała Lily.

– To po co się do niej odzywasz?

– Bo chcę – warknęła i odwróciła się z powrotem do kamienia. – Jest

jakikolwiek sposób, żeby dowiedzieć się, kto tego używał, a kto słuchał?

Rowan nadal wyglądał na zatroskanego.

– Nie – odpowiedział, po czym przeszedł do kwestii, która go niepokoiła. – Lily, powiedziałaś jej o tym miejscu?

– Oczywiście, że tak! – Wyrzuciła ręce w powietrze.

– Lily! – zawołała zszokowana Juliet.

– Co? – odpowiedziała Lily, coraz bardziej zmieszana pod pełnym dezaprobaty spojrzeniem Juliet. – Ona nie jest przeciwko nam. Nie w tej kwestii.

– A mówiła ci, co zamierza z tym zrobić? – spytał Rowan.

– Nie do końca. Jest zajęta, jak wspominałam.

– Czym? – Rowan skrzyżował ręce na piersi.

Lily wzruszyła ramionami, czując się głupio. Sama tak wiele mówiła Lillian, ale nie przyszło jej do głowy spytać, czym też zajmuje się jej druga wersja. Lillian zdawała się pochłonięta czymś bez reszty i były takie chwile, że Lily czuła jej ból.

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego jej powiedziałaś? – Rowan sprawiał wrażenie raczej zatroskanego niż zagniewanego.

– Bo nikt inny tego nie rozumie. – Lily uciekła spojrzeniem w bok. – Nikt inny nie wie, jakie to uczucie.

– Jakie uczucie? – drążył.

Czuła w gardle rosnącą kulę, choćby jej życie od tego zależało, nie zdołałaby wydusić tych słów. Wspomnienie Tristana biegnącego przez płonącą równinę, by stawić czoła Rojowi, wypłynęło z jej pamięci i zakłuło pod powiekami, zanim zdołała je odepchnąć.

– Nie mogę – powiedziała zdławionym głosem.

Obojętność i odrętwienie, w jakich się na siłę pogrążyła, teraz wyparowały w mgnieniu oka, a ich miejsce zajął gniew. Była zła na siebie i na Rowana. Spojrzała mu w oczu i poczuła, jak ta fala gniewu uderza w niego, prawdziwa, namacalna, zupełnie jak w sali balowej. Zatoczył się, jakby Lily go pchnęła.

– Powinniśmy wrócić do środka – odezwała się Juliet z napięciem. Patrzyła w górę.

Lily uniosła głowę i zobaczyła ciemne kształty zataczające kręgi na niebie. Nawet z tej odległości czuła drzenie powietrza, wprawionego w ruch brzęczeniem skrzydeł. Rój przybywał wezwany gniewem Lily.

Rowan zrobił krok w jej stronę, zanim przypomniał sobie, że nie wolno mu jej dotknąć.

– Idź – powiedział tylko, wskazując klapę w dachu. – I spróbuj się uspokoić.

Lily zeszła niezgrabnie na strych śladami Juliet i pobiegła przez puste pomieszczenie. Czuła, że Rowan podąża za nią, w odległości zaledwie kilku kroków nie zwlekając, przemierzyła zakurzony strych i duszny korytarz.

Wrócili do apartamentów niezauważeni. Lily zastanawiała się, czy to, że



Siostry widziały ich na dachu, miało znaczenie. Czy to, że wpadła w gniew w środku nocy i na dachu opóźniło jakoś ich reakcję? Nie sądziła, by to było możliwe. W takim przypadku Rój reagowałby nadmiernie, na przykład na napad złości u dziecka.

Kto decydował tutaj, co było, a co nie było normalnym zachowaniem?

Kiedy wrócili do pokoi, Rowan i Juliet pokazali pozostałym członkom sabatu, co widzieli, ale nikt nie miał do powiedzenia nic nowego na temat kamieni.

*Zobaczmy, czego zdołamy dowiedzieć się jutro, gdy wyjdziemy*, stwierdził Caleb. *Lily, możesz spytać Toshiego, czy wie coś na ten temat?*

*Mogę spróbować*, odpowiedziała. *Ale Toshi może nie móc powiedzieć mi prawdy. Jest tak samo więźniem tego miejsca, jak my.*

*Jak wszyscy w tym mieście*, dodał Rowan. *Myślisz, że Toshi zgodziłby się na naznaczenie?*

Pytanie Rowana zszokowało wszystkich. Najbardziej Lily.

*To tutaj nielegalne*, przypomniała mu niepotrzebnie.

Rowan sapnął ze zniecierpliwieniem.

*Toshi chce być częścią naszego sabatu i jest potężny. Jeśli coś pójdzie nie tak i nie pozwolą nam stąd odejść, będziemy potrzebować dużo więcej mechaników niż sześcioro nas, jeśli mamy mieć jakąkolwiek szansę wywalczyć sobie drogę poza mury.*

Caleb i Una poparli go natychmiast.

*Myślałam, że nie chcesz, żebym go naznaczała*, powiedziała Lily.

*Dlaczego? Moim najważniejszym obowiązkiem jest cię chronić. I to zawsze próbowałem robić.*

Lily nie odpowiedziała. Właściwie to trochę chciała, żeby był zazdrosny.

Niewiele czasu zostało do poranka, ale członkowie sabatu zdecydowali się wrócić do łóżek. Gdy Lily złapała za klamkę drzwi swojej sypialni, usłyszała za plecami Rowana. Tym razem też zatrzymał się kilka kroków od niej i odezwał się głośno, co stało się teraz regułą, gdy byli sami.

– Spytałaś ją, co zamierza zrobić? – Nie musiał wspominać imienia Lillian, oboje wiedzieli, o kim mówił.

– Blokuje mnie teraz – odparła Lily cicho. – Ale spytam. Głupotą było, że nie zrobiłam tego wcześniej.

– Jak często rozmawiasz z nią w myślach? – spytał.

– Nie wiem. – Westchnęła. Nagle poczuła się samotna i zmęczona. – Nawet tego nie zauważam. Po prostu zaczynam mówić.

To stwierdzenie zaniepokoiło Rowana jeszcze bardziej. Otworzył usta, ale zaraz zamknął je bez słowa.

– O czym rozmawiasz z nią, czego nie możesz omówić ze swoim sabatem? – spytał w końcu. – I nie mam na myśli siebie. Tylko Juliet. Unę. Tristana.

Potrzasnęła głową. Nic nie rozumiał.  
– Nie chodzi o to, co jej mówię, chodzi o to, co ona już wie. O to, co nas łączy, ją i mnie.  
– Na przykład?  
– Jakie to uczucie decydować, kto z ludzi, których kochasz, umrze.  
Rowan przyglądał się Lily przez długą chwilę.  
– Chodzi ci o Tristana. Dlatego jesteś taka na mnie zła. Już nie o klatkę.  
– Zrobiłam Tristana moim głównym mechanikiem, kiedy Rój po nas przybył. Nie był gotowy – powiedziała, patrząc na niego suchymi oczyma. – Nie był tobą.  
– Powinienem tam być – szepnął Rowan.  
– Tak. – Gniew powrócił natychmiast, wypełniając Lily bez reszty. – Powinienesz. – Zdusiła emocje, zmusiła się do odrętwienia, by nie alarmować Roju.  
– Dlaczego nie poszedłeś z nami?  
Rowan zacisnął usta. Nie mógł, a może nie chciał jej odpowiedzieć. Ze ściśniętym sercem weszła do sypialni i zatrzasnęła drzwi. Oboje właśnie zrozumieli, że to tego Lily nie mogła wybaczyć Rowanowi. Nieobecności.  
\*\*\*

Carrick stał na dachu gubernatorskiej willi przed wielkim kryształem, który jego brat przyrodni nazwał „mówiącym kamieniem”. Siostry Wojowniczkki wylądowały na dachu wokół niego, przechylając swoje bulwiaste głowy. Nie zwracał na nie uwagi. Zachowuj się spokojnie, to i one pozostaną spokojne. Sploty pochodzące od insektów zawsze stanowiły problem dla ludzi. Nieważne, ile razy powtarzano ludziom, by się nie ruszali i nie próbowali odganiać owadów, większość nie była w stanie się powstrzymać, gdy usłyszała brzęczenie skrzydeł i zobaczyła pasiaste istoty. Ale Carrick różnił się od większości.

Siostry trzymały się z daleka i obserwowały, jak on przygląda się kamieniowi. Carrick wyciągnął rękę i dotknął powierzchni kryształu. Kamień wydawał się ciepły.

*Lillian*, zawołał w myślach.

*Carricku*, odpowiedziała. Poczul jej dezorientację. Minęły tygodnie od chwili, gdy mogli się w ten sposób skontaktować. *Gdzie jesteś?*

*To była długa podróż. Bardzo męcząca, zaczął. Czy możesz, pani, użyć mówiącego kamienia, by dać mi siły do złożenia ci raportu?*

*Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś robił coś takiego. Myślałam, że mówiące kamienie służą tylko do rozmowy.*

*To by było okropne marnotrawstwo. Spróbuj*, naciskał. Pomyślał, że pewne korzyści płynęły z faktu, że nie szkolono go w Cytadeli. Nie wiedział, co było niemożliwe. Uśmiechnął się, czując, jak Lillian karmi jego wolit siłą, i zaczął

opowiadać, jak porwał go Rój.

## Rozdział 5

Wydajesz się rozkojarzona.

– Przepraszam. – Lily otrząsnęła się i skupiła na Toshim i na bieżącej chwili, którą spędzała w eleganckiej restauracji nad brzegiem oceanu, gdzie jadła wysmienity brunch. Zmusiła się do uśmiechu. – Mój sabat jest dziś wyjątkowo gadatliwy.

Toshi najpierw spojrział na nią zaskoczony, ale moment później już zrozumiał. Ściągnąwszy brwi, spojrział na bijące o brzeg fale.

– Słyszysz ich teraz? Jak używają mowy myśli? – spytał. Odpowiedziała twierdzącym skinieniem. – Jak daleko od ciebie są teraz?

– Rozeszli się po okolicy i cieszą się tym pięknym dniem – skłamała, wzruszając ramionami. Nikt z członków sabatu nie cieszył się niczym w tym mieście. – Juliet i Tristan są niedaleko tej perfumerii, do której mnie zabrałeś. Caleb i Rowan są przy wschodniej części muru, a Una i Kanapka jedzą brunch w willi.

Toshi się uśmiechnął.

– Czy to cię czasem irytuje? To, że słyszysz ich myśli?

– Och, irytuje przez większość czasu – odparła, a Toshi się roześmiał. – Ale nauczyliśmy się dawać sobie przestrzeń w razie potrzeby.

*Zarzuciłaś przynętę, a teraz ciągnij, dziewczyno,* odezwała się Una.

*Czy słyszałaś, co mówiłam o przestrzeni? Trochę by mi się jej przydało.* Lily miała cały sabat w głowie, ale oni bynajmniej nie rozkoszowali się dniem w zalanym słońcem Bower. Obserwowali Rój, podczas gdy Lily próbowała skusić Toshiego, by stał się jednym z nich.

*To beznadziejne,* stwierdziła.

*On chce być naznaczony,* instruowała ją Juliet. *Nie przestawaj.*

Lily czuła się przyparta do muru. Na chwilę zablokowała wszystkich poza Juliet, bowiem tylko przy siostrze czuła się na tyle bezpieczna, by to powiedzieć.

*A co, jeśli nie chcę go naznaczyć? Jeśli nie mogę już tego dłużej? Co, jeśli nie chcę już nikomu przewodzić?*

Przez umysł Juliet pomknęły rozmaite opcje. Bez naznaczonych byli uwięzieni w Bower i nie mieli szans na ucieczkę. Juliet próbowała wyobrazić sobie, jak to będzie. Piękne stroje i przyjęcia. Zupełnie jak w bajkach, gdzie na zaklętym balu goście tańczyli tak długo, póki ich stopy nie zaczęły krwawić. Próbowała sobie wyobrazić, jak to by było już nigdy nie móc czuć gniewu.

*A bez gniewu jak możesz naprawdę nad czymś ubolewać? Jak możesz kogoś oplakiwać? W głębi duszy wszyscy pozostajemy zamrożeni, udajemy, że wszystko w porządku, bo żadne z nas nie może się po prostu zezłościć, żadne więc nie może*

*pogodzić się ze śmiercią Tristana. Ty najbardziej z nas wszystkich. Wiem, że w siebie wątpisz, że cierpisz. Dam ci dziesięć sekund na uzalanie się nad sobą, a potem będziesz walczyć ze wszystkich sił, by naznaczyć Toshiego. Nie spędzę reszty życia w tym więzieniu i niech mnie szlag, jeśli pozwolę na to tobie.*

Lily uśmiechnęła się do siebie. Poczuła, jak część gnębiącego ją napięcia znika, zabrana przez Juliet.

*Dobrze. Uznaj, że skopałaś mi tyłek jak należy.*

*Proszę cię uprzejmie.*

– Możesz zobaczyć to, co oni? – spytał Toshi z ciekawością, obserwując coraz szerszy uśmiech Lily. – Jesteś tam, gdzie oni?

– Mogłabym, ale staram się być w jednym miejscu naraz albo staje się to szalenie dezorientujące. Kiedy więcej osób dzieli moje wspomnienia albo widzi te same obrazy, towarzyszą temu dziwaczne powidoki.

– Po... co?

– Powidoki. Jak echo. Nie tylko dźwięku, ale też obrazu. – To było słowo z jej świata, skrzywiła się w duchu i spróbowała zatuszować błąd. – Nie używacie tu tego słowa?

Pokręcił przecząco głową.

– Ale chyba jestem w stanie wyobrazić sobie, jak to jest. – Spojrzał w stojący przed nim kieliszek szampana. – Choć co ja mogę wiedzieć na ten temat? Tak naprawdę to może być coś zupełnie innego od tego, co ja sobie wyobrażam. Nigdy nie byłem w czyjejs głowie. To, jak ja widzę błękit, może bardzo różnić się od tego, jak ty go widzisz.

– Nie różni się – zapewniła go Lily. – Błękit to błękit, a czerwień to czerwień dla nas wszystkich. Naznaczyłam tysiące i to jest to samo. – Zastanowiła się chwilę. – Poza ludźmi, którzy nie widzą kolorów.

– Tysiące – szepnął wstrząśnięty. – Naznaczyłaś tak wielu?

Cień uśmiechu przemknął po jej wargach, gdy patrzyła na Toshiego.

– Tak – potwierdziła.

– To cała armia.

– Armia, którą zostawiłam na Wschodzie. – Przygryzła dolną wargę i zaryzykowała. – Niestety – powiedziała cicho.

Toshi z obawą spojrzął na kwiaty na stole.

– Jest jakiś limit osób, które możesz naznaczyć?

– Jeśli jest, ja swojego jeszcze nie osiągnęłam.

Toshi z wyraźnym wysiłkiem przełknął ślinę.

– Naznaczanie musiało już cię znudzić.

– Znudzić? – Wolno pokręciła głową. – Nigdy.

Pochylił się nad stołem. Różowy wolił wyśliznął mu się zza kołnierza i

zakołysał w stronę Lily, jakby wzywany. Lily chciała naznaczyć Toshiego. Bez względu na koszty. Tego pragnienia nigdy nie zaspokoi, nieważne, ilu jeszcze straci albo jak głęboko przeżyje utratę któregoś z nich. To była jej choroba. Głód, by naznaczyć cały świat.

*Oddział Sióstr opuścił swoją wieżę i kieruje się za mury, na wschód,* zameldował Rowan.

*Gdybyśmy mogli wejść gdzieś wyżej, moglibyśmy zobaczyć, dokąd lecą,* dodał Caleb. Podzielił się tym, co widział.

Lily zobaczyła, jak Rowan próbuje wspiąć się na jedne ze schodów wbudowanych w mur otaczający miasto. Z góry spłynęła Siostra i go powstrzymała. Zawisała nad nim w powietrzu, strzeliła biczem i zabrzęczała gniewnie skrzydłami. Jej wyłupiaste czarne ślepia błyskały oleściami. Nie można było odgadnąć ich wyrazu.

*Musimy spróbować czegoś innego, ale w tym mieście nie ma za wiele punktów widokowych, skąd dałoby się zobaczyć, co jest za murem,* pomyślał do nich Rowan.

*Dach gubernatorskiej willi,* podsunęła Lily. *Una i Kanapka, szybko.*

Toshi wyprostował się i skinął na kelnera, prosząc o rachunek.

– Znowu jesteś z nimi – stwierdził zirytowany.

– Mogę ich zablokować... – Czują, jak Una i Kanapka pędzą przez willę, bezszelestni.

– Nie, nie trzeba. – Toshi zacisnął usta. – I tak lepiej, żebyśmy skończyli ten temat.

Odczekała kilka sekund.

– Naprawdę lepiej?

Toshi zaśmiał się krótko, z napięciem.

– Dla mnie na pewno.

Wyszli z restauracji i ruszyli w kierunku kolejki.

*Coś widzę,* odezwała się Una z dachu. Użyła wolitu, żeby unieruchomić powietrze wokół siebie i wzmocnić maleńkie mięśnie, które odpowiadały za ułożenie soczewek w jej oczach. *Siostry kierują się chyba do lasu poza polem kwiatów.*

*Pokaż,* zażądał Rowan i Una spełniła jego prośbę. *Cieężko powiedzieć, ale Una chyba ma rację, lecą w stronę tych gigantycznych drzew.*

*Pokażcie,* poprosiła tym razem Lily i natychmiast zobaczyła to samo, co Una. *To sekwoje. To las sekwojowy.* Przekazała im wspomnienie mapy Kalifornii ze swojego świata, było tam kilka takich miejsc, gdzie las sekwoi niemal dochodził do brzegu oceanu. W tym świecie właśnie w takim miejscu wzniesiono Bower.

*Spytaj, czy będziemy mogli wyjść obejrzeć sekwoje,* podsunął Caleb.

– Czy ludzie wychodzą tu za mury? – spytała Toshiego.

– Oczywiście. Mnóstwo ludzi mieszka za murem – odpowiedział Toshi. – Są tam farmy, winnice i całe osady.

– Chciałabym to zobaczyć. Może zabrałbyś mnie na jakąś farmę albo na wycieczkę za miasto, do lasu?

– Może – odpowiedział Toshi oględnie. – Myślałem, że masz dość łona natury po swojej wędrówce.

– Chyba tak długo żyłam pod gołym niebem, że mi teraz tego brakuje.

– Zobaczymy – odparł zdawkowo Toshi.

*Toshi wie, że Grace cię nie wypuści*, odezwał się Tristan.

*Założę się, że nie wypuszczają ze te mury nikogo z wolitem*, dołączyła Juliet. *Przynajmniej ja bym nie wypuściła, gdybym chciała utrzymać w tajemnicy sekret ich hodowli.*

*No to musimy się wymknąć dziś wieczorem*, stwierdziła Lily.

*To my, Caleb, Tristan i ja, musimy się wymknąć*, skorygował Rowan. *Ty zostaniesz w mieście z Uną, Kanapką i Juliet, dla ochrony.*

*Uważaj, bo.*

*Lily...*

– Powiedz mi prawdę – zaczął Toshi. – Nie jesteśmy tak naprawdę sami, prawda? Twój sabat słyszy wszystko, o czym mówimy.

Lily miała tyle przyzwoitości, że poczuła się zawstydzona.

– Są bardzo opiekuńczy.

– Rozumiem – stwierdził Toshi. – Też bym był.

Uśmiechnęła się.

– Gdybyś był mój.

Z gardła Toshiego wyrwał się zdławiony dźwięk.

– Czy mógłbym być przez godzinę z tobą sam? – poprosił. – Tak naprawdę sam?

*W żadnym wypadku*, zaproponował Rowan.

*Hej, to był twój pomysł. Nie pozwoli mi się naznaczyć, jeśli nie będzie mi ufał, a jeśli nie będzie mi ufał, to ja go nie chcę naznaczać. Spróbowałam tego z tobą i zobacz, jak się skończyło.*

Zamknęła swój umysł przed członkami sabatu.

– Zrobione – poinformowała Toshiego. – Masz moją całkowitą uwagę.

– Tędy. – Wskazał. Wyraźnie popadł we frywolny nastrój. Złapał Lily za rękę i zmusił do biegu obok mijającego ich wagonika. Pomógł jej wskoczyć do środka i sam zaraz do niej dołączył, uśmiechając się szeroko.

– Dokąd jedziemy? – wydyszała Lily.

Toshi patrzył w okno, jedną ręką trzymał się poręczy. Drugą położył Lily na plecach, jakby chciał pomóc jej utrzymać równowagę w rozkołysanym wagoniku.

– Do domu.

Jechali wzdłuż wybrzeża na południe, aż do końca linii. Tutaj mur wydawał się górować nad całym otoczeniem. Kolejka zatrzymała się wewnątrz budynku stacji i musieli przejść przez turniket pilnowany przez jedną z Sióstr. Tu nie było czarujących nadmorskich restauracyjek.

– Co to za miejsce? – spytała Lily.

– Punkt kontrolny. Technicznie opuszczamy miasto, choć wciąż jesteśmy w obrębie murów, ale teraz wchodzimy do strefy zastrzeżonej – odpowiedział Toshi.  
– Cokolwiek będzie się działo, nie ruszaj się.

Siostra Wojownicza podleciała do Lily, poruszając głową. Znalazła się tak blisko, że Lily widziała głąszczki wysuwające się z ust i błyskawicznie omiatające twarz, by ją oczyścić. Ludzkie dłonie Siostry bawiły się kolcami na końcu bicia, a czarne oczy zdawały się skupiać na wolicie Lily. Siostra nagle opadła na ziemię tuż obok Lily, zniżyła głowę tam, gdzie w staniku kimona tkwiły ukryte pozostałe dwa kamienie. Kilka Robotnic zeszło z ramion Wojowniczkę i wylądowało na skórze Lily, zaczęły po niej wędrować, próbując dostać się pod ubranie.

– Toshi – jęknęła Lily drżąc.

– Nie ruszaj się – powtórzył z naciskiem, ale w jego tonie słychać też było zrozumienie.

Lily czuła, jak Robotnice smakują jej skórę owadzimi językami, jakby zbierały z niej nektar, dostała od tego dreszczy. Zmusiła się, by stać nieruchomo i nie stracić owadów. Siostra najwyraźniej dostała to, czego chciała, bo wycofała się i odleciała, zabierając ze sobą Robotnice. Poza jedną, która została na gardle Lily.

– Ta jedna zostanie tam cały czas, gdy będziesz poza miastem – poinformował ją Toshi.

Lily zauważyła, że i on miał Robotnicę na karku.

– I będzie tak siedziała? – spytała, wskazując owada na jego tętnicy szyjnej.

– Tak. Nie rób niczego, co mogłoby ją zaniepokoić.

Lily popatrzyła na innych ludzi w punkcie kontrolnym. Tylko ona i Toshi mieli wolity, ale każdy miał Robotnicę usadowioną na gardle, z trującym żądłem umieszczonym dokładnie nad tętnicą.

– Jakbym miała chodzić z nożem na gardle – oświadczyła Lily. Poczwała drobne łaskotanie nóżek Robotnicy i wzdrygnęła się, świadoma, że łązi po niej robak. – Gorzej.

Toshi spojrział na Lily.

– To musisz zrobić, jeśli chcesz, by twoje dzieci albo wnuki miały kiedykolwiek szansę na to, że Rój je wybierze. O ile któreś z nich będzie miało szczęście i urodzi się z talentem do magii.

– A jeśli nie?

– Będą czekać.



Wyszli ze stosunkowo pustej stacji i dołączyli do strumieni ludzi płynących ulicami zastrzeżonej strefy. Budynki tu były właściwie wielkimi betonowymi blokami, nagimi i pozbawionymi ozdób. Ulice lśniły czystością, ale szarość tego miejsca przytłaczała, a unoszący się w powietrzu zapach środków chemicznych przygnębiał równie mocno co brud. Na każdym skrzyżowaniu z chodnika wyrastała wieża, a platforma na jej szczycie pełna była Sióstr Wojowniczek. Tutaj Robotnice nie brzęczały wesoło, nie latały wokół, zbierając pyłek z kwiatów. Tu nie było kwiatów, a owady pozostawały przyczepione do przechodniów, nieustannie zagrażając życiu tych, którzy je na sobie nieśli. Toshi wziął Lily za rękę, żeby nie zostali rozdzieleni przez rwący ludzki prąd, a Lily przytłoczona otaczającym ją tłumem przywarła do ramienia swojego przewodnika. Słońce nadal świeciło, ale w powietrzu czuło się chłód. Ludzie odziani w ponure barwy nie nosili makijażu czy biżuterii, nie pachnieli perfumami i nie podnosili głów. Ogromny mur, na którym siedziały Siostry, zdawał się ich wszystkich przygniatać.

– Rodziny czekają w strefie przez całe pokolenia – wyjaśniał Toshi, przekrzykując hałas. – Pracują w mieście albo na farmach poza murami i mają nadzieję, że urodzi im się dziecko, albo wnuk, albo prawnuk obdarzony talentem, bo tylko tacy zostają wybrani przez Rój.

Kobieta w obszarpanym stroju podeszła do Lily, jęcząc coś w języku, którego dziewczyna nie rozumiała. Toshi zrobił krok naprzód, powiedział kilka słów po japońsku i jeszcze kilka w języku, którego Lily nie rozpoznała. Obszarpana kobieta cofnęła się i odeszła, złożona wpół rżącym atakiem kaszlu.

– Ona potrzebuje pomocy – stwierdziła Lily, spoglądając przez ramię. Toshi pociągnął ją naprzód.

– Prawdopodobnie tak. Tu każdy czegoś potrzebuje.

– Domyślam się, że nie mają w łazienkach magicznego mydła, które daje im młodość i zachowuje zdrowie.

– Nie. Nie mają. A Rój nie pozwala go dać. Nie pozwala pomóc tym ludziom w żaden sposób, ani medycznie, ani finansowo.

Lily widziała napięcie w ramionach Toshiego, ponury grymas, który zacisnął jego usta.

– Jak długo twoja rodzina mieszkała tutaj, zanim się urodziłeś?

– Tylko dwa pokolenia – odparł.

– A co, jeśli ktoś przybywa tu już z talentem?

– I tak musi czekać. Wszyscy czekają. – Spojrzenie Toshiego stało się odległe. – Nie słyszałem nigdy, żeby Rój wybrał kogoś, kto dopiero zszedł z łodzi, niezależnie od tego, jak bardzo był utalentowany. Jeśli Rój cię chce, Siostry przychodzą i cię zabierają. Jeśli nie, czekasz.

Gdy kluczyli ulicami, Lily widziała ludzi każdej przynależności etnicznej, każdej kultury, jakie tylko mogła nazwać. Toshi prowadził ją główną arterią i

potem wąskimi alejkami, aż dotarli na zaplecze jakiegoś sklepu i uzdrowiciel wszedł do środka, jakby był u siebie.

– Toshi! – rozległ się kobiecy głos. Lily poczuła, jak ujmuje ją za rękę i popycha do przodu.

– A to kto? – spytał stary Japończyk. Plecy miał przygarbione, ręce gruzłowate. Lily widziała zapalenie stawów, pulsujące gorączką i bólem tuż pod skórą.

– Tato, to jest Lily – powiedział Toshi, a staruszek zgiął się w ukłonie. Lily popatrzyła na starca i na Toshiego zdezorientowana, zanim przypomniała sobie, ile tak naprawdę ma lat jej towarzysz.

– Miło mi pana poznać – powiedziała grzecznie. Schyliła się, próbując oddać ukłon, ale w jej wykonaniu nie wypadł tak naturalnie. Zza pleców starca wyszła kobieta w średnim wieku i też się skłoniła. Zarówno on, jak i ona mieli Robotnice na szyjach.

– To dla nas zaszczyt, pani – powiedziała kobieta.

– Moja siostra, Hana – przedstawił ją Toshi.

– Toshi? – rozległ się drżący starczy głos z drugiego pokoju. – Czy to Toshi?

– Tak, matko – odpowiedział on sam. I uśmiechnął się do Lily. – Daj mi chwilę, zaraz wrócę, dobrze?

Zostawił ją z siostrą i ojcem i udał się do matki. Do pokoju wpadło dwoje dzieci. Chłopiec miał jakieś sześć lat, dziewczynka wydawała się z rok młodsza. Lily nie była w stanie stwierdzić, czy tych dwoje bawiło się, czy kłóciło, bo na jej widok oboje znieruchomieli, mimowolnie otwierając usta, i wlepili oczy w jej woli. Oboje mieli na szyjach Robotnice. Lily poczuła, jak wzbiera w niej gniew, i zdławiła go od razu, gdy poczuła trzepot skrzydeł na gardle.

Hana przyciągnęła dzieci do siebie i zamknęła im usta palcem. Maluchy natychmiast uciekły z pokoju, pełne podniecenia i smakowitego przerażenia, zanim Lily zdążyła się z nimi przywitać.

– Moje wnuki nie widują wielu prawdziwych czarownic – powiedziała Hana wyjaśniającym tonem. Uśmiechnęła się szeroko i gestem zaprosiła Lily dalej. – Proszę wejść i usiąść. Zaparzyłam herbatę.

– To są twoje wnuki? – powtórzyła Lily, wciąż próbując pogodzić się z faktem, że siostra Toshiego i prawdopodobnie sam Toshi mieli dość lat, by zostać dziadkami.

– Tak. Moja córka pracuje w mieście. Pilnuję ich w trakcie dnia. Pomagają w sklepie. – Przy słowie „pomagają” skrzywiła się wymownie, żeby dać do zrozumienia, jaka to była „pomoc”.

Lily odpowiedziała uśmiechem. Nie umiała odczytać japońskiej kaligrafii, ale wiedziała, co znaczą rzędy szuflad na wszystkich ścianach, każda ze starannie wypisaną etykietą, i płynący z nich zapach ziół i korzeni.

– To apteka? – zgadła.

– Tak. I nawet muflę z miasta przychodzą do nas na zakupy – powiedziała Hana z dumą. – Nasze zioła są najmocniejsze i najlepsze w całej strefie. Dlatego pozwolono mojej córce na drugie dziecko. Dlatego i z uwagi na talent Toshiego.

Lily uznała, że musiała się przesłyszeć.

– Pozwolono mieć więcej niż jedno dziecko?

Hana zmarszczyła brwi.

– Tak. Takie jest prawo – odpowiedziała niepewnie. – Jedno dziecko na parę, chyba że są dowody, że ktoś w rodzinie ma talent magiczny. Wtedy można mieć dwoje.

– Lily nie pochodzi z Bower – wyjaśnił Toshi, stając w progu.

Jego ojciec chrząknął zaskoczony. Zarówno on jak i Hana popatrzyli wyraźnie zdezorientowani na ogromny wolit Lily.

– Lily jest z Salem – tłumaczył Toshi. – Ona i jej sabat podróżowali na zachód, kiedy zostali wybrani przez Rój.

Rodzina Toshiego nie byłaby chyba bardziej zdziwiona, gdyby oznajmił, że Lily pochodzi z księżycy, oboje jednak byli na tyle dobrze wychowani, by tego nie okazywać. Hana zaczęła pospiesznie nalewać herbatę.

– Słyszeliśmy, że do miasta został sprowadzony ktoś z zewnątrz – przyznał ojciec Toshiego. – Ale nie wierzyliśmy.

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Lily spodziewała się, że gospodarze mogą pytać ją o Wschód, jednak tego nie uczynili. Nie wiedziała, czy to dlatego, że obawiali się Roju, czy też po prostu takie pytania w ich kulturze były uznawane za niegrzeczne. Próbowwała zdecydować, czy powinna sama opowiedzieć im o Salem, czy jednak trzymać buzię na kłódkę, obserwując zarazem, jak starzec niezdarnie łapie naczynie z herbatą spuchniętymi palcami. Nawet ten drobny ruch przyprawiał go o katusze.

– Proszę mi pozwolić – powiedziała, ujmując mężczyznę za rękę. Różowy wolit ukryty w staniku zapłonął światłem i Lily usłyszała, jak Toshi gwałtownie wciąga powietrze.

– Nie, Lily! – Skoczył i odciągnął ją od ojca.

Lily poczuła nagle ukłucie na gardle. Czekwała, aż żądło przebije skórę, ale Robotnica znieruchomiała, jakby czekała na następny ruch czarownicy.

– Spokojnie. – Toshi sam z wysiłkiem próbował zachować spokój. – Opuść ręce po bokach i się odpręż.

Zrobiła, co kazał, i przestała czuć dotyk żądła. Widząc, że Robotnica zmieniała pozycję, Toshi powoli zwolnił uścisk. Lily czuła nieprzyjemne łaskotanie nóg owada, ale nie ośmieliła się podrapać.

Toshi wypuścił wstrzymywane powietrze.

– Nie wolno używać magii w strefie, powinienem był jasno to powiedzieć.

– Nie. To ja powinnam się domyślić. – Lily potrząsnęła głową, ubolewając nad własną głupotą. – Powinnam wiedzieć, że wyleczyłbyś ojca i, jak się domyślałam, również matkę, o ile nie groziłoby im w takiej sytuacji coś znacznie gorszego. Twój kamień jest bardzo ciemny, więc na pewno jesteś lepszym uzdrowicielem niż ja.

Toshi sprawiał wrażenie, jakby na usta cisnęły mu się pytania, ale milczał. Począł, aż pospiesznie dopiją herbatę, powiedział „do widzenia” rodzinie i wrócili na ulicę. Szli oboje pogrążeni w pełnym zadumy milczeniu, które przerwała wreszcie Lily.

– Rój nie pozwala mieszkańcom Bower pomagać ludziom ze strefy, nawet członkom rodziny, żeby więcej osób nie kusila emigracja – wysunęła przypuszczenie.

Toshi skinął głową.

– Zaludnienie strefy stanowi problem. Rój zezwala na jedno dziecko na parę, by utrzymać populację pod kontrolą. Udowodniłem swoje zdolności, gdy miałem siedem lat, dlatego moim rodzicom wolno było mieć Hanę. Poza tym nie ma żadnych innych korzyści dla ludzi, którzy tu przybywają, żadnych poza nadzieją, że ich dziecko wydestanie się ze strefy.

– Chciałeś przyprowadzić mnie tu pierwszego dnia.

– Chciałem, żebyś zobaczyła coś więcej niż tylko dobrobyt i bogactwo Bower. Chciałem, żebyś okazała się osobą, która bardziej dba o ludzi niż o władzę. Nie zawiodłaś mnie. – Jego spojrzenie ześliznęło się z twarzy Lily do miejsca, gdzie ukrywała dwa dodatkowe kamienie. – Masz więcej niż jeden. – Tylko na tyle się zdobył.

– Widziałeś, co?

– Poczulem. Trzymaj je w ukryciu. Przez nie łatwiej cię zranić.

– Wiem. – Po raz pierwszy od tygodni pomyślała o Carricku. Zatrzymała się i zastąpiła Toshemu drogę. Wspomnienie tego, co zrobił jej Gideon wróciło jak żywe. – Mogę ci zaufać?

Toshi ujął Lily za rękę i przyciągnął do siebie. Otoczył ramionami i pochylił głowę do jej ucha. Gdyby ktokolwiek ich zauważył, zobaczyłby jedynie dwoje ludzi obejmujących się mocno w cichej alejce. Poczuli ciepło oddechu Toshiego na karku, a wywołany tym dreszcz sprawił, że Robotnica poruszyła się pobudzona.

– Długo na ciebie czekałem. Wiem, czego chcesz, i ja też tego chcę, ale nie tutaj. Muszę podjąć pewne przygotowania.

Resztę drogi przez strefę przebyli w milczeniu. Gdy minęli turnikiet na stacji, Lily poczuła, jak Robotnica podrywa się do lotu, i dopiero teraz dziewczyna odważyła się odprężyć. W kolejce raz po raz zerknęła na Toshiego, ponownie rozważając sytuację. Jego matka była chora, być może umierająca. Jeśli Lily go naznaczy i odejdzie z Bower, będzie musiał wybierać pomiędzy swoją wiedzmą a

swoją rodziną.

Gdy Toshi odprowadził Lily do apartamentu w willi, słońce chyliło się ku zachodowi. Musnął ustami jej policzek i zostawił samą pod drzwiami.

– Spędziłaś przyjemne popołudnie? – spytał Rowan, gdy weszła do damskiego salonu. Pytanie zabrzmiało bardzo formalnie nawet jak na ich obecne, dość chłodne relacje. Gdy Lily do niego podeszła, zorientowała się, że Rowan nie jest sam. Towarzyszył mu Ivan Volkov, Naczelny Mechanik Miasta Bower. Na widok Lily podniósł się ze swojego miejsca.

– Owszem – odpowiedziała. – Nie wiedziałam, że spodziewaliśmy się gości. *Gdzie reszta?* – spytała w myślach.

*Nadal obserwuję Rój. Poczulem zakłócenia bariery, jaką ustawiłem przy naszych drzwiach, wróciłem i zastałem przy nich Ivana. Nie wiem, czy tylko zapukał, czy próbował się włamać. Nie zachowywał się podejrzanie.*

– Dobry wieczór, panno Proctor. Przepraszam za najście – odezwał się Ivan.

– Proszę mówić mi Lily. – Usiadła naprzeciwko mechanika. – Szukasz Toshiego? Właśnie wyszedł.

– Nie, przyszedłem rozmawiać z tobą, o Toshim, licząc, że nadarzy się okazja – odparł Ivan.

Po raz pierwszy Lily miała okazję przyjrzeć się Ivanowi dokładnie. Siedział wyprostowany, buty miał wyczyszczone do połysku, a słowa dobierał starannie i z rozwagą, wszystko to charakteryzowało człowieka minionej ery. Lily ciekawa była, ile Ivan mógł mieć lat, i doszła do wniosku, że skoro Toshi przekroczył sześćdziesiątkę, a wygląda na dwudziestolatka, to Ivan musi być dwakroć starszy od niego.

Lily przyjęła z lekkim uśmiechem podaną przez Rowana filiżankę kawy.

*Jesteś w dobrym nastroju*, zauważył. Nie patrzył na nią. Czują, jak zazdrość kąsa go bezlitośnie, i musiała sama sobie przypomnieć, że to on wyszedł z pomysłem, by zbliżyła się do Toshiego.

*Toshi zgodził się na naznaczenie*, odpowiedziała.

*Naznaczyłaś go?*

*Jeszcze nie.*

*Dlaczego zwlekasz?*

*Byliśmy w zastrzeżonej strefie.*

*No i? Co za różnica?*

*Tam jest o wiele większy nadzór, a ja i tak spowodowałam scenę.*

*Jaką scenę? Coś się stało?*

Lily zaczęła wyrzucać z siebie wyjaśnienia, zanim w ogóle przypomniała sobie, że już nie musi się przed nim tłumaczyć.

*Spróbowałam wyleczyć jego ojca, a Robotnica przeczepiona do mojej szyi niemal mnie uządliła. Toshi zgadł, że mam więcej niż jeden wolit, i uważał, że nie jestem bezpieczna...*

*Co rozumiesz przez: Toshi zgadł? – Rowan nie był zadowolony.*

*Później pokażę ci wspomnienie. Pozwól mi najpierw zająć się Ivanem, okay?*

– Proszę nam wybaczyć – zwróciła się do gościa. Rozmowę w mowie myśli prowadziło się z prędkością tej myśli, ale nagle zmiana emocji malujących się na twarzach rozmówców była zauważalna dla bystrego obserwatora. Ivan wodził spojrzeniem od Rowana i Lily, z taką uwagą i zaciekawieniem, jakby obserwował piłkę w meczu tenisowym. – Słucham, Iwanie. Chciałeś rozmawiać o Toshim.

– E... tak – potwierdził Ivan, nadal przenosząc spojrzenie z Lily na Rowana i z powrotem. – Obawiam się, że to, co mam do powiedzenia, zabrzmi dość obcesowo, może nawet niegrzecznie. Ryzykuję sporo, przychodząc tutaj, ale musiałem to zrobić.

Lily gestem zachęciła go, by mówił dalej.

– Trzymaj się z dala od Toshiego – wypalił Ivan. – Wasza wzajemna sympatia została zauważona. A nawet zaplanowana.

Lily kiwnęła głową i uśmiechnęła się do naczelnego mechanika.

– Nie uznałam tego za przypadek, że Grace była demonstracyjnie nieobecna i że Toshi został wybrany na mojego przewodnika po mieście i jej domu. Miała nadzieję, że go polubię i będę z nim rozmawiać bardziej otwarcie niż z nią?

– Dokładnie – potwierdził.

– A czego miała nadzieję się dowiedzieć?

– Nie jestem pewien. – Iwan zmarszczył brwi, a na jego twarzy starzejącego się boksera pojawiły się głębokie bruzdy. – Toshi ma większy talent niż jakikolwiek mechanik, jakiego dane mi było poznać, wyłączając obecnych, oczywiście. – Ivan skinął głową Rowanowi, który podziękował w identyczny sposób. – Obawiam się jednak, że ma on skłonność do dość radykalnych pomysłów, co nie pozwoliło mu dotąd awansować. Miesiące temu złożyłem wniosek, by uczynić go moim zastępcą, ale do dziś nie otrzymałem odpowiedzi. Nie miej wątpliwości co do tego, że Toshi jest tak samo poddawany próbie jak ty, moja droga, a ja naprawdę nie chciałbym zobaczyć, jak jego przywiązanie do ciebie, no cóż, nie da się tego powiedzieć oględnie, niszczy nie tylko karierę, ale i całe jego życie. – Ivan pochylił się ku Lily. – Możliwe, że jesteś zbyt cenna, by cię uwięzić. Ale mechanicy to nie wiemy.

– Trafiłam już do więzienia – odparła Lily cicho. – I nie mam najmniejszej ochoty powtarzać tego doświadczenia ani pozwolić, by stało się udziałem kogoś, na

kim mi zależy.

Jednak ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała Ivana.

– Toshi jest moim uczniem od czterdziestu dwóch lat. Myśli, że wie, jak funkcjonuje to miasto. – Spojrzał na Lily z mieszaniną obawy i strachu, przytłumionych ciężarem przeżytych dekad. – Myśli, że rozumie, ale nie mogę ci nawet powiedzieć, jak bardzo się myli w swych kalkulacjach. I obawiam się, że kiedy zorientuje się, że popełnił błąd, będzie już dla niego za późno.

Ivan wbił wzrok w podłogę, na moment zatopiony bez reszty w swych myślach, po czym wstał.

– To wszystko, co chciałem powiedzieć. Zbyt wiele i zbyt mało zarazem.

Lily i Rowan też się podnieśli.

– Miło było cię gościć – pożegnała go Lily i, zmarszczywszy brew, dodała: – Chyba.

Ivan uśmiechnął się do niej.

– Jesteś kochaną dziewczyną – stwierdził, a gdy uniósł dłoń Lily, by złożyć na niej pocałunek, dziewczyna poczuła, jak wsuwa jej między palce przedmiot wielkości wykałaczki. – Życzę ci jak najlepiej – dodał szczerze. Puścił rękę Lily, skłonił się uprzejmie Rowanowi i wyszedł.

*Coś mi wcisnął do ręki. Dlaczego po prostu mi tego nie dał?*

*Widocznie ukrywa to przed Rojem.*

*Nie mam pojęcia, jak to obejrzeć, by nikt nie zauważył.*

Spojrzenie Rowana prześliznęło się po kwiatowych kompozycjach zdobiących pokój.

*Tu nie ma takiego miejsca, żebyśmy mogli to zrobić. Coś wymyślę. Daj mi to.*

Przysunęła się do niego, by dokonać wymiany w sposób nierzucający się w oczy. Włożyła swoją dłoń w jego i poczuła dotyk skóry Rowana. Znieruchomiał, a ona objęła spojrzeniem znajomy zarys jego ramienia, linię szczęki widoczną tuż nad firanką jej rzęs.

Znów zobaczyła jego marzenie o Kalifornii. Nie była w stanie stwierdzić, czy to odtwarzane wspomnienie, czy może jednak wychwyciła myśli Rowana, ale nagle poczuła zapach grilla, zobaczyła basen bardziej niebieski niż po prostu niebieski, usłyszała niosący poczucie komfortu szmer głosów przyjaciół i ich śmiech rozbrzmiewający na podwórku tak, jak to sobie kiedyś wyobraziła. Zerknęła przez okno. Żłociste słońce Kalifornii leniwie toczyło się w stronę oceanu.

– Jesteśmy tu – powiedziała, wdychając aromat jaśminu i chłonąc ten wspaniały widok. – Udało się nam.

– Nie wszystkim – odparł. Spojrzała na Rowana i już pamiętała. To nie był sen. A Tristan nie żył.

Rowan puścił jej dłoń, zabierając zarazem rzecz od Ivana, po czym się odsunął. Została w tym samym miejscu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek się do tego przyzwyczai.

Niedługo po tym pojawiła się reszta sabatu i napięcie między Rowanem a Lily znacznie zelżało. Podzielili się wspomnieniami, pokazując sobie, co zobaczyli, szukając jakiejś drogi wyjścia z miasta. Nie wyglądało to zbyt obiecująco. Pozornie skupiali się na picciu herbaty i objadaniu się owocami i ciastem, zachowując się, jakby byli na wakacjach, ale w tym samym czasie pokazywali Lily, na jakie trudności natrafiali, próbując wydostać się z Bower.

*Wygląda, jakby można było wejść i wyjść, kiedy tylko się chce*, myślała nerwowo Juliet, skubiąc cynamonową bułeczkę, *ale to nieprawda. Próbowaliśmy z Tristanem wyjść i zostaliśmy zatrzymani.*

*I to nie dlatego, że my to my*, dodał Tristan. *Zauważyliśmy, że nikt inny też nie wychodzi.*

Lily sączyła herbatę i patrzyła przez okno.

*Toshi zabrał mnie dzisiaj do strefy zastrzeżonej.*

Podzieliła się ze swoim sabatem najważniejszymi momentami dnia, nie pokazała jedynie, jak Toshi objął ją w alejce. Zrobił to, by ukryć fakt, że do siebie szepczą, o ile można było cokolwiek ukryć przed siedzącą na gardle Robotnicą, ale i tak Lily czuła się dziwnie, wspominając ten moment. I nie chciała, by Rowan to zobaczył. Zakończyła więc wspomnienia chwilę po tym, kiedy Toshi zgadł, że jego towarzyszka ma więcej niż jeden wolit.

*Toshi chce, bym go nazaczyła, ale to dla niego zbyt niebezpieczne*, wyjaśniła. *Zastawiono na niego pułapkę. Zostanie przyłapany na próbie dołączenia do mojego sabatu, a przynajmniej Ivan tak myśli.*

Rowan zdał im relację z wizyty Ivana, jednak nie odtworzył wspomnienia. Lily nie wiedziała, dlaczego tego unikał, ale zauważyła, że od chwili powrotu nie pokazał jej ani jednego ze swych wspomnień.

*Zamierzam sprawdzić, co takiego Ivan dał Lily*, oznajmił. Wstał i skierował się do swojej sypialni. *Nie sądzę, bym miał jakąś Robotnicę w łóżku, więc udam, że ucinam sobie drzemkę, i obejrzę to pod kołdrą. Reszta powinna zająć się swoimi sprawami i udawać, że nie rozmawiamy ze sobą w myślach.*

Lily zabrała filiżankę z herbatą na balkon, by oglądać zachód słońca. Juliet przyłączyła się do niej, Caleb, Una i Kanapka poszli do męskiego salonu, żeby odgrywać zrelaksowanych i pogrążonych w lekturze. Lily przypomniała im wszystkim, żeby nie zapomnieli oddychać spokojnie. Po kilku minutach usłyszeli myśl Rowana.

*To mapa*, wszyscy poczuli, jak bardzo był zdumiony. Pokazał im, na co patrzy. *To chyba droga ucieczki z miasta.*

Lily przez moment widziała podwójnie: krwistoczerwoną plamę słońca



zachodzącego za krawędź jej filizanki i mikroarkusik rozciągnięty między palcami Rowana. Potrwało chwilę, zanim zrozumiała, że widzi schemat pokazujący przede wszystkim to, co znajdowało się pod powierzchnią gruntu. Mapa uwzględniała tylko jeden budynek, który miał służyć za punkt odniesienia dla tuneli wydrążonych pod miastem. Kanapka pierwszy rozpoznał budynek.

*To Sala Posłuchań, stwierdził kwaśno. Zepsuła mój żart.*

*Te jaskinie pod spodem wyglądają jak Zbiorniki w Salem, zauważyła Juliet. Tam, gdzie hoduje się bio-zasoby.*

Lily poczuła, że teraz Rowan też rozpoznał schemat.

*Masz rację Juliet, pomyślał. Te wysokie i wąskie pomieszczenia są doskonałym miejscem dla skórokrosien, a główna jaskinia idealnie nadałaby się na macicowe klastry. Ale jest ogromna, o wiele większa niż ta w Salem.*

*Khem... Co to skórokrosna, a co to macicowy klaster? Jedno i drugie brzmi tak, że się człowiekowi zbiera na wymioty, wtrąciła się Una.*

*Skórokrosna to takie wielkie ramy do hodowania arkuszy skórzanki, odpowiedział jej Tristan. A klastry to kadzie, w których hodujemy plecionkę, z której powstaje hodowlane mięso i udomowione Sploty.*

*Nie mogę sobie tego wyobrazić, poskarżył się Kanapka.*

*Pokażę ci, odpowiedział natychmiast Tristan i odtworzył swoje wspomnienie ze Zbiorników pod Salem...*

...Ostrożnie schodzę po stopniach wykutych w skale. Tyle stopni. Nie prowadzą tylko w dół, ale też na zewnątrz. Dziwnie jest myśleć, że kiedy człowiek wchodzi do głównej jaskini, to znajduje się już poza murami miasta, pod Puszczą Splotów. Ciekawe, co robią tam na górze.

Rowan jest tu już od kilku godzin. Nie mam pojęcia, jak znosi ten smród. Krew, krew i jeszcze więcej krwi. Nawet najdokładniejsze sprzątanie nie usunie tego zapachu ze skały. Może to dlatego, że Rowan jest Zewnętrznym. Jest pokryty krwią od chwili, gdy się urodził.

Docieram do końca schodów i mijam pomieszczenie, gdzie mieszczą się skórokrosna. Widzę nowego kandydata na mechanika, ma na imię Gavin, chyba, wyciąga jedną z wysokich cienkich ram, która wysuwa się bezszelestnie na prowadnicach. Gavin miesza pędzlem w wiadrze z pożywką, szykując się do malowania ramy. Za dwa dni będzie można zdjąć z ramy doskonały arkusz skórzanki.

Wchodzę do głównego pomieszczenia, katedry, której sufit znajduje się wysoko, wysoko nad głową, oświetlony, tak jak i ściany, nieforemnymi kryształami płonącymi magicznym światłem. Unoszą się one niczym niewielkie bańki, przywierające do surowo ciosanej skały. W pomieszczeniu stoją stalowe kadzie wypełnione plecionką. Klastry. To od nich to miejsce zyskało swoją nazwę. Niektóre z nich są gigantyczne, dlatego jaskinia jest taka wysoka. Mój nauczyciel

mówił mi, że w nich hodowano kiedyś wielkie smokowce, ogromne i przerażające, jak smoki z legend. Teraz hodują je już tylko w Nowym Jorku, a i tam rzadko kiedy. Minęły czasy, kiedy Trzynaście Miast nieustannie ze sobą wojowało. Mechanicy dosiadałi smokowców do bitwy. To dopiero musiał być widok. Zawsze chciałem móc latać.

Wyglądam zza jednej z mniejszych kadzi i trzy rzędy dalej dostrzegam Rowana. Podchodzę. Wyciąga część plecionki, żeby sprawdzić embriony udomowionych Splotów, które dojrzewają w sześciokątnych komórkach. Kiedy podnosi ją do światła, ta wygląda jak wielki plaster miodu. A w każdej komórce zagnieżdżona jest iskra życia. Nie wiem, jak on może to robić gołymi rękoma. Zupełnie jakby nie przeszkadzało mu lodowate zimno. Wewnątrz komórki sam embrion otulony jest warstewką ciepła utrzymywanego przez mufle. Reszta ma temperaturę kilku stopni poniżej zera. Tak dochodzi do mniejszej ilości infekcji, ale za to chwytanie tego do ręki to tortura, dla mnie przynajmniej. Rowan mnie zauważa i uśmiecha się leniwie.

– Dzień dobry – mówi.

– Dobry wieczór – poprawiam go i natychmiast orientuję się, w czym rzecz, gdy widzę szeroki uśmiech Rowana. – Wiem, miałem być tu o dziewiątej – zaczynam się tłumaczyć. Dlaczego zawsze mam uczucie, że muszę się przed nim tłumaczyć?

– Nie przejmuj się. Chodź i pomóż – mówi, wyrozumiały i skłonny do wybaczenia, jak zawsze. Nie wiem, co uważam za bardziej irytujące. Że jest naprawdę lepszy we wszystkim, czy że tak cholernie wyrozumiały wobec faktu, że wszyscy wokół są gorsi...

*Przepraszam, Tristan gwałtownie uciął wspomnienie. Nie chciałem tego tak ciągnąć. Przepraszam, Ro.*

*W porządku, odparł Rowan.*

Lily czuła, jak ich przyjaźń znów się umacnia, jak postrzępione krawędzie w miejscu, gdzie spotykały się ich osobowości, zaczynają ponownie się splatać, jakby żaden z nich nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego walczyli.

Słońce już zaszło i światła miasta zaczynały się zapalać, niczym ziemskie echo gwiazd płonących na niebie.

*Jakie to ładne więzienie, pomyślała Lily i, odstawiwszy filiżankę, weszła do pokoju.*

*Jaskinia na mapie wygląda jak Zbiorniki, ale jest większa, pomyślała, próbując wrócić do tematu. Tylko dlaczego Ivan dał nam tę mapę? Rowan, wspomniałeś, że jest na niej droga prowadząca poza mury?*

*Tak. Zwrócił ich uwagę na koniec jaskini, skąd prowadził wiodący w górę korytarz zakończony niewielkim otwarciem. To może być tunel na powierzchnię.*

*Może, ale nadal musimy odpowiedzieć na jedno pytanie, wtrącił Caleb.*

*Dlaczego Ivan chce się nas pozbyć z Bower?*

*Ivan uważa, że Grace próbuje złapać Toshiego w pułapkę, wysunęła przypuszczenie Lily. Jeśli go naznaczę, tak jak Grace to zaplanowała, zostanie złapany i wtrącony do więzienia. Sądzę, że Grace ma plan zastąpić Toshiego Rowanem na stanowisku zastępcy Ivana. Toshi jest silny, ale Rowan jest wciąż silniejszy.*

*Niewątpliwie stara się ochronić Toshego, powiedział Rowan. Może przede mną. A może przed tobą.*

*Nie ulegało wątpliwości, że z nich dwojga Rowan uważał Lily za większe zagrożenie.*

*Nie zamierzam nikomu rujnować życia, oświadczyła Lily dotknięta. Pomyślała o rodzicach Toshiego, o spuchniętych dłoniach jego ojca, słabym głosie jego chorej matki. Toshi ma tu rodzinę i oni go potrzebują. Doszłam do wniosku, że naznaczenie go nie wchodzi już w grę, nawet jeśli on tego chce. Zaczęła przeglądać swoje rzeczy, szukając jakiegoś odpowiedniego ubrania. Jest tylko jeden sposób, by się przekonać, dlaczego Ivan dał nam mapę. Pójdziemy tam i może jeszcze dzisiaj wydostaniemy się z miasta.*

*Pozwoliła, by jej sabat przedyskutował wszystkie za i przeciw. Było tyle samo powodów, żeby działać natychmiast, ile żeby czekać. Żaden z nich nie miał już dla Lily znaczenia. Chciała tylko wydostać się z Bower.*

*W czarnej jedwabnej tunice, czarnych spodniach i czarnych butach na płaskiej podeszwie usiadła na brzegu łóżka w ciemnej sypialni i zrozumiała, że i tak tam pójdzie, z sabatem czy bez. Miała już w kieszeni torebkę z solą i niewielki słoiczek magicznego mydła, na wypadek gdyby rzeczywiście udało jej się uciec z miasta.*

*Dobrze. Ale idziemy w trzech grupkach, a nie jednym stadem, upierał się Rowan.*

*Lily wstała i poszła do łazienki. Zapaliła wszystkie świece, jakie tylko mogła znaleźć, i zaczęła gromadzić energię powoli, aby przypadkiem nie zaniepokoić Roju. Nie wiedziała, czy napełnianie mechaników mocą zostanie uznane za akt agresji, ale nie zamierzała ryzykować. Najlepszym sposobem na uniknięcie kontaktu z Rojem było zachowywać się spokojnie. Wiedźmi wiatr zagwizdał w oknie, Lily zwolniła jeszcze proces pobierania energii, póki podmuch nie zmienił się w cichutkie zawodzenie.*

*Caleb przejął dowodzenie, tak jak to robił na szlaku.*

*Una, Tristan i Lily pójdą pierwsi. Juliet i ja za nimi. Kanapka, ty i Rowan pójdziecie na końcu.*

*Idę z Lily, nalegał Rowan.*

*Nie, rozkazał mu Caleb. Idziesz z Kanapką albo wcale.*

*Lily czuła, jak Rowan zмага się ze sobą, ale zdławiła chęć, by go wesprzeć.*

*Chodźmy*, powiedziała, kończąc dyskusję. Zmieniła w moc energię zgromadzoną ze świec i napełniła nią wolity swojego sabatu. Poczula, jak przyjaciele przeciągają się i wzdychają zadowoleni, nasiąkając jej siłą.

Poczekali, aż w willi zapadnie cisza, a potem opuścili pokoje gościnne w układzie i kolejności wyznaczonej przez Caleba. I gdy Lily mknęła przez ciemność między Uną a Tristanem, połączyła członków swojego sabatu, każdego z każdym. Ostrożność Caleba, podniecenie Tristana, zręczność w skradaniu się Uny, wszystkie te cechy złączyły się w jedno. Tylko niezadowolenie Rowana z faktu, że rozdzielono go z Lily, było niczym fałszywa nuta w piosence.

Sabat minął westybul i przez boczne drzwi dotarł do długiego przejścia łączącego willę z Salą Posłuchań. Żadne drzwi nie miały zamka, więc każda z trzech grup przemykała tak szybko i tak cicho dzięki wypełniającej ich sile Lily, że stali się niemal niewidzialni. Lily wiedziała, że w budynku znajdowały się Robotnice, ale nawet ich fasetowe oczy nie mogły dostrzec jej nadludzko szybkiego sabatu pod osłoną ciemności.

Lily miała mapę w głowie, gdy rozglądała się po sali. Oculus rzucił krąg księżycowego światła na marmurową podłogę, lecz blask ginął w srebrzysto-czarnych cieniach między kolumnami. Powietrze było ciężkie, a przestrzeń gotowa pochwycić i wzmocnić najmniejszy dźwięk. Cisza dzwoniła Lily w uszach. Nagle dziewczyna dostrzegła jakiś ruch między kolumnami, na samym skraju jej pola widzenia. Gwałtownie odwróciła głowę, ale niczego nie wypatrzyła.

Dwie kolejne grupy dołączyły do nich chwilę później.

*Szukajcie drogi wiodącej w dół*, polecił im Rowan.

*Drzwi*, odpowiedział Tristan, idąc już w tym kierunku. *Jedne prowadzą do willi, a pozostałe dwie pary?*

Caleb pomknął jednym z korytarzy, jego połączenie z Lily słabło z każdą chwilą, gdy kryształy w marmurze zakłócały wibracje wolitu. Wrócił, potrząsając głową.

*Przejście prowadzi do kolejnego rządowego budynku, w którym chyba są biura.*

Tristan otworzył trzecie drzwi, za nimi ziała pustka.

*Nie ma schodów. Jak schodzą bez schodów?*

*Do tego potrzeba skrzydeł*, zażartował Kanapka.

Rowan wychylił się za próg i wzmocnił magiczne światło, próbując ocenić głębokość otworu. Nie zobaczył dna.

*Tak. Trzeba*, powiedział nagle poważnie i skoczył.

Serce poderwało się Lily do gardła. Przepchnęła się między pozostałymi mechanikami i przykleknęła na progu, patrząc jak światło Rowana gaśnie w ciemności. Gdy dotarło do dna, było jedynie słabym blaskiem. Najpierw stopy,

potem kolana, a w końcu ręce Rowana dotknęły gruntu, gdy rozpraszał energię płynącą z upadku w kolejnych etapach, przenosząc ją na coraz wyższe partie ciała. Wreszcie jego dłonie plasnęły o skałę. Lily zadygotała, klekocąc zębami wraz z Rowanem.

*Nic mi nie jest*, odezwał się. Przez chwilę kucnął, badając otoczenie, w końcu się wyprostował. *Dwoje z was musi skakać z Juliet i Lily, ale wszyscy powinniście dać radę.*

Lily wciąż drżała, kiedy Tristan wziął ją w ramiona i skoczył. Trzymała go mocno za szyję i wstrzymywała oddech, gdy spadali w dławiące wnętrza ziemi. Lily czuła dobijający szum kwarcu w glebie wokół niej. Jakby schodziła do własnego grobu.

Całe jej ciało zadygotało od siły lądowania. Tristan robił, co mógł, by ją osłonić, ale nawet dla mechanika wypełnionego mocą wiedzy był to długi upadek. Lily poczuła dłonie Rowana, które delikatnie sprawdzały, czy nie odniosła obrażeń.

*Nic mi nie jest*, powiedziała mu w myślach. Cofnął ręce, niemniej zignorował rozkazy i trzymał się blisko niej, gdy sabat ruszył poprzez mrok.

Rozproszyli się tak, by magiczne światło oświetlało możliwie najwięcej drogi przed nimi, ale przestrzeń wydawała się nie mieć końca.

– To miejsce jest trzy, może cztery razy większe niż Zbiorniki Salem – stwierdziła Juliet. Lily podskoczyła na dźwięk jej głosu, jednak zaraz uświadomiła sobie, że nie mieli już powodu, by używać mowy myśli. Na dole nie było Robotnic. Niczego żywego poza nimi.

– Ale wygląda tak samo – zauważył Tristan. – Popatrz, tu są pomieszczenia na skórokrosna.

Minęli całą serię wysokich i wąskich korytarzy. Kanapka wyciągnął jedną z ram. Mimo że była trzy razy tak wysoka jak on, lekko chodziła w prowadnicach.

– Pusta – stwierdził. – Chyba już nie używają tu skórzanki.

– A po co im? – prychnęła Una. – Mogą mieć tyle najlepszej włoskiej skóry, ile zapragną. Stać ich.

Lily kiwnęła potakująco głową i ruszyła do ogromnych kształtów, majaczących w ciemności głównej jaskini. Gdy tylko zbliżyła się do pierwszego rzędu kłastrów, od razu zorientowała się, że są stare. Położyła dłoń na stalowej powierzchni, wyobrażając sobie, że każda pełna jest plecionki, a w każdej komórce dojrzewający embriion Splotu.

*Tyle Splotów*, pomyślała Lily. Rozjaśniła blask magicznego światła jak mogła najbardziej, nie oślepiając się przy tym, nadal jednak nie widziała końca kadzi.

– Nigdy nie widziałem tylu kłastrów naraz. – Rowan podzielał zdumienie Lily. – Nawet w Nowym Jorku.

- Zbiorniki Nowego Jorku są największe? – spytała Una.
- Największe wśród Trzynastu Miast. Hodowanie udomowionych Splotów to ich główna gałąź przemysłu. Większość miasta znajduje się pod ziemią, w części, która u was nosi nazwę Long Island. Ale to miejsce jest znacznie większe.
- Powinniśmy znaleźć przeciwległą ścianę, gdzie na mapie Ivana są schody.
- Przypomniał im Caleb.

Spróbowali jakoś odszukać właściwą drogę wśród niezliczonych rzędów kadzi. Lecz z każdym krokiem zagłębiali się tylko w niekończącą się przestrzeń, która ich dezorientowała. Filary podtrzymujące sufit wyrastały tu i ówdzie z podłogi, dzieląc główną jaskinię na mniejsze sekcje, co jeszcze gorzej wpływało na poczucie kierunku uciekinierów. Po jakimś czasie nie byli już w stanie powiedzieć, która sekcja wiodła na lewo, która na prawo, a która z powrotem.

– Musimy raz jeszcze się rozdzielić – stwierdził Caleb. – Pamiętajmy o tym, żeby utrzymywać ze sobą stały kontakt poprzez Lily.

Członkowie sabatu sięgnęli ku niej myślami, a Lily stworzyła sieć meldunkową i rozwijała ją, podczas gdy jej towarzysze rozchodzili się coraz dalej w ciemności. Rzędy kadzi zakrzywiały się po przekątnej, w miarę jak zmieniały się ich rozmiary.

*Różne Sploty*, pomyślał Rowan. Myślał do siebie, ale Lily była z nim w tak mocnym kontakcie, a on trzymał jej się fizycznie tak blisko, że usłyszała tę myśl.

*Większe smokowce, najpewniej sądząc po rozmiarach klastrow*, ciągnął i Lily zobaczyła obraz wielkiego jaszczura o mieniającej się skórze, gigantycznych szponach i oszłamiająco wielkich skrzydłach. Tak wielkiego, że na jego grzbiecie zmieściłoby się kilka osób.

*A obok, w mniejszych, pewnie robili maskoty.*

Stworzenie, które pojawiło się w myślach Lily, wyglądało jak wielka hybryda węża i węży. Przywarło do wysokiego masztu i wydawało się rozglądać czujnie, wypatrując niebezpieczeństw na niebie. Jego podwójne skrzydła napełniały żagle wiatrem, podczas gdy długi, pokryty łuskami ogon owijał się opiekuńczo wokół rei. Lily odgadła, że widzi maskotę.

*Tam z tyłu, w średnich klastrach, hodowali pewnie stróży i inne mieszanki ssaków.*

Tym razem Lily na moment zobaczyła stróża przykutego u podstawy zielonej wieży.

*Do czego zatem były najmniejsze? To nie są tak naprawdę klastry. Tych jest najwięcej, ale nie mam pojęcia, co mogłoby w nich rosnąć. Sploty, które szybko kiełkują... Może z gatunku jajorodnych, to najbardziej prawdopodobne.*

Myślał o stworzeniach, które dla Lily wyglądały jak dzikie Sploty. Głównie insektoidalne, ale po części pochodzące od gadów lub ssaków, żaden z nich nie był podobny do drugiego.

*Kto chciałby wyhodować ich aż tyle? Po co?*

Kadzie stały niczym żołnierze, szereg za szeregiem, tworząc idealną formację, której końce niknęły w ciemnościach.

– To armia – szepnęła Lily i lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach, bo gdy tylko powiedziała to głośno, zrozumiała, że ma rację.

Rowan odwrócił się w stronę dziewczyny i od razu wyprowadził ją z błędu.

– Nie, tego typu Sploty niczemu nie służą, są zrobione z resztek materiału genetycznego, który zostaje z produkcji użytecznych gatunków, jak stróże, smokowce, maskoty i czyściciele. To czyściciele pochodzą głównie od owadów – wyjaśnił, widząc, że Lily nie do końca rozumie, o co chodzi. – Kiedy zrobi się kilka partii pożytecznych Splotów, wrzuca się to, co zostanie, do jednej z tych kadzi i czeka, czy z mieszanki wykluje się coś dobrego. Dziewięćdziesiąt procent uzyskanych Splotów zostaje potem zniszczonych, bo zdolne są jedynie do tego, by jeść, walczyć i... – Zamilkł, a jego twarz zastygła w wyrazie szoku.

– Dość dokładny opis dzikich Splotów grasujących na terenach wokół Trzynastu Miast, czyż nie? – stwierdziła Lily.

– Nie, bo dzikie Sploty rozmnażają się jak szalone. – Rowan potrząsnął głową, wyraźnie nie był w stanie zaakceptować tego, z czym przyszło mu stanąć twarzą w twarz. – Pilnujemy, żeby były bezpłodne, wszystkie Sploty hodowane w klastrach są wysterylizowane. Nie mogą się rozmnażać.

– Zatem jak dzikie Sploty zaczęły się mnożyć? – spytała łagodnie Lily.

– To było prawie dwieście lat temu. Wypadek...

– Naprawdę? – Odetchnęła głęboko. – A co, jeśli to nie był wypadek?

Spojrzenie Rowana stało się nieobecne, jakby patrzył w głąb siebie, a Lily czuła, jak podnoszą się jej włosy na karku.

– Tyle klastrów – powiedział, zaczynając wyobrażać sobie niewyobrażalne.

– Dość, by zalać kontynent dzikimi Splotami – powiedziała. – A jeśli będą mogły się rozmnażać, to wystarczy użyć klastrów tylko raz.

Przeciągnęła palcem po warstewce wiekowego kurzu na powierzchni nieskazitelnej kadzi. Pytania, które dręczyły ją od miesięcy, na które udzielano jej całkowicie niewyjaśniających niczego odpowiedzi, teraz kawałek po kawałku obnażały straszliwą prawdę.

– A co, jeśli dzikie Sploty zostały tak zaprojektowane, by rozmnażać się jak szalone? Zaprojektowane, żeby ich mięso było trujące i ludzie nie mogli przeżyć, gdy je zjedzą? Zaprojektowane, by atakować ludzi nawet nieprovokowane? Zbyt wiele kwestii dotyczących Splotów nie ma sensu, zbyt wiele dziwacznych reguł, chyba że założysz, że ich powstanie nie było przypadkowe. – Postukała bok kadzi. – Te z pewnością nie powstały przez przypadek.

Rowan siadł na pokrytej kurzem podłodze. Wpatrywał się we własne dłonie, ale chyba ich nie widział. Lily usiadła obok i oparła się plecami o stal. Czuła, jak

przez jego głowę mkną myśli, niczym chmury gnane po niebie wiatrem, i czekała. Chmury poczerniały i zaiskrzyły błyskawicą. Rowan wreszcie podniósł wzrok na czarownicę.

– Musimy dowiedzieć się dlaczego. Muszę wiedzieć, co się stało, a nie tylko się domyślać – oznajmił. – Ivan to wie. Dlatego nas tu wysłał. – Roześmiał się z goryczą. – Pożegnalny prezent, zanim znajdziemy się za drzwiami.

Skinęła głową. Nie mogła nie czuć straszliwego bólu, który narastał w Rowanie na myśl o tych wszystkich, których stracił przez Sploty. O dzieciństwie, odebranych mu przez nieustające walkę i głód. Objęła Rowana i pozwoliła, by przycisnął ją mocno do tego pękającego z bólu serca. Nieważne, ile razy próbowała go odepchnąć, Rowan zawsze zdołał zakorzenić się w niej jeszcze głębiej. Pasował do jej wnętrza tak idealnie, że żadna wina ani gorycz nie mogły zdusić w Lily potrzeby chronienia go przed tym strasznym kłamstwem, w jakim trwał całe swoje życie.

*Lily, chodź szybko, musisz to zobaczyć.*

Oboje z Rowanem poderwali się na nogi, oboje poczuli nagłą ton wezwania Tristana i pospieszyli w jego kierunku. Gdy Lily się pośliznęła, dotarło do niej, że podłoga nie jest już pozioma, a wznosi się pod łagodnym kątem. Rowan pochwyił dziewczynę błyskawicznie i podtrzymał, zanim rąbnęła na kolana. Spojrzała pod nogi.

– Co to?

Pochylili się i dokładniej zbadali substancję pod stopami. Rowan przykucnął, dotknął jej, a potem potarł palce.

– To chyba воск – stwierdził.

Szli dalej i szybko zobaczyli, że воск pokrywa też filary, które mijali. Skończyły się rzędy kadzi i woskowa pokrywa stała się grubsza, teraz ich stopy już się w nią zapadały.

– Widzę ślady pozostałych – odezwał się Rowan.

Ostrożnie szli tropem przyjaciół, aż dotarli do kilku niezbyt szerokich tuneli.

Przejście zwężało się z każdym krokiem, w końcu posuwali się szczeliną, której ściany pokrywał heksagonalny wzór. Powietrze pachniało słodyczą. Lily zobaczyła, jak Rowan powoli nabiera oddechu.

– Miód – oznajmił, rozglądając się. – Jesteśmy w starym plastrze miodu.

Dotarli do przewężenia, precyzyjnie się przez nie i znaleźli się w dusznej jaskini, pachnącej miodem i piżmem. Lily zobaczyła najpierw plecy swoich mechaników i poczuła ich szok. Rozstąpili się, by ją przepuścić.

Przed nią, na wpół zatopiony w wosku, wznosił się gigantyczny tron. Na nim zaś, podparty aksamitnymi poduszkami, tkwił kobiecy tors. Poniżej pasa nie było bioder i nóg, ale blady, rozdęty do tytanicznych rozmiarów brzuch. Tors wieńczyła



owadzia głowa o wylupiających, czarnych oczach pszczoły.  
Na szyi Królowej lśnił złoty wólit.

## Rozdział 6

Carrick nie widział, jak Lily i jej sabat opuścili willę. Poruszali się zbyt szybko, by mógł nadażyć za nimi wzrokiem, ale wyczuł, że apartament w jednej chwili pełen ludzi, w następnej opustoszał zupełnie.

Zaklął cicho. Lillian mogła wypełnić go mocą, używając jednego z tych mówiących kamieni, gdyby tylko przyszło mu do głowy ją o to prosić. Niestety uznał, że sabat Lily zostanie w willi jeszcze jedną noc. Cały dzień sprawdzali miasto, a wieczorem długo siedzieli w ciszy, co na pewno oznaczało, że knuli jak się stąd wydostać. Jednak Carrick uznał, że jego młodszy brat jest zbyt ostrożny, by wyruszyć tak od razu, bez zapasów czy koni. Ktoś inny musiał przejąć dowodzenie. Może nawet sama Lily. Była wystarczająco w gorącej wodzie kąpana.

Nieważne. Teraz zniknęli, a Carrick nie miał żadnej wymówki dla Lillian. Małą nawet nie zaprzętał sobie głowy. Wicegubernator chciała, by Lily zniknęła z miasta tak czy inaczej, i z pewnością nie zmartwi się ucieczką czarownicy ze Wschodu. Poza tym już zrobiła to, czego Carrick od niej oczekiwał, umożliwiła mu wychodzenie z wyłożonej aksamitem celi. Ale Lillian będzie chciała wiedzieć, dokąd udała się Lily. Miał jej przecież pilnować i przekazywać Lillian te informacje, którymi jej druga wersja nie podzieliła się w trakcie ich rozmów. Na przykład wspomnieć o istnieniu mówiących kamieni czy obsesji Grace, co do rozwiązania zagadki istnienia dwóch Lillian. Lily była bardzo otwarta w stosunku do Lillian, jednak to nie znaczyło, że mówi jej o wszystkim. Tymczasem Lady Salem życzyła sobie wiedzieć absolutnie wszystko na temat Bower, zanim zaatakuje.

Carrick obejrzał uważnie marmurową posadzkę. Nie spodziewał się, że uda mu się śledzić Lily i jej sabat poprzez marmur, ale musiał spróbować. Nadal wściekły na siebie za błędne kalkulacje, ruszył głównymi schodami, a potem przez westybul. Coś mu podpowiadało, że uciekinierzy skierowali się ku rządowym budynkom. Może wyczuwał moc Lily albo wieczny smutek spowijający przyrodniego brata, sam nie wiedział, jednakże posłuchał przeczucia i dotarł do drzwi prowadzących w czeluść.

Nie miał innego wyjścia, jak tylko wezwać Lillian i powiedzieć jej, co się stało. Odpowiedziała na wezwanie. Zmęczona. Choroba postępowała i odbierała jej siły akurat wtedy, gdy Lillian potrzebowała ich wszystkich. Carrick jednak nie wątpił, że Lillian przeżyje wystarczająco długo, by doprowadzić swe plany do końca. A nawet jeśli nie, zawsze pozostawała Lily.

Oczywiście Carricka Lillian uważnie spojrzała w czeluść widniejącą za drzwiami.

*Chyba tam poszli, powiedział. Nie mogę skoczyć, nie mając twojej siły, pani. Mogę napęłnić cię mocą, ale kiedy już zejdziesz, nie zdołam do ciebie*

*sięgnąć, by dać ci więcej, odparła.*

*Będę zatem rozsądnie używał tego, co dasz mi teraz.*

*Dobrze.*

Carrick tak był pochłonięty kontaktem z Lillian, tak skupiony na tym, że nie czuje strachu, gdy skoczył w ciemną pustkę, że nie zauważył Siostry Wojowniczk podążającej jego śladem.

\*\*\*

Chwiejnym krokiem Lily zbliżyła się do Królowej, nie odrywając od niej spojrzenia. Robotnice nieustannie kursowały w górę i w dół ciała Królowej, jedne ją czyściły, inne maszerowały do otworu gębowego, dostarczając kolejne porcje pszczelego mleczka. Gigantyczny odwłok zadygotał, a ludzkie dłonie zacisnęły się niczym szpony na aksamicie poduszek.

– Co ty wyprawiasz?! – syknęła Una, widząc, jak Lily podchodzi bliżej.

– Ona cierpi – odparła Lily.

Nie można było odczytać wyrazu twarzy Królowej. Fasetowe oczy lśniły nieprzeniknioną czernią, nie dało się w nich dostrzec żadnych emocji. Usta, wilgotne ssawki i nieustająco poruszające się zuwaczki przyprawiały o mdłości. A jednak Lily, patrząc na owadzią twarz, wiedziała, że Królowa cierpi. Podeszła bliżej i ujęła jedną z ludzkich dłoni, gdy potężnym brzuchem wstrząsnęły skurcze.

Lily chciała jakoś pocieszyć tę istotę, ale nie sądziła, by Królowa mogła usłyszeć czy zrozumieć słowa, dlatego sięgnęła ku niej myślami i natychmiast poczuła wyraźną wibrację, uniemożliwiającą wszelki kontakt. Wrażenie było tak nieprzyjemne, że Lily wycofała się natychmiast. Zupełnie jakby ktoś zalał jej zimną wodą odsłonięte nerwy zębów. Natychmiast zrozumiała co to, mimo że doświadczyła czegoś takiego po raz pierwszy. Przestraszona popatrzyła po członkach swojego sabatu.

– Ona jest czyjaś naznaczoną – oświadczyła. – Jakaś wiedźma kontroluje Królową.

– Grace – stwierdziła Juliet, jakby dopiero wypowiedzenie tego imienia głośno sprawiło, że cała sytuacja stała się realna i prawdziwa.

– Skoro Grace kontroluje Królową, czy kontroluje też cały Rój? – spytała Una.

– No chyba nie ma wątpliwości. – Kanapka złapał Unę za rękę i pchnął w kierunku przewężenia. – Musimy się stąd wydostać. Natychmiast.

Lily dostrzegła, że Caleb wyciągnął z cholewy buta myśliwski nóż. Powstrzymała go gwałtownym ruchem ręki.

– Nie! Jeśli ją zabijesz, zaalarmujesz cały Rój. Nigdy nie wydostaniemy się stąd żywi – zawołała.

– O, na pewno się wydostaniemy – oznajmił twardo Rowan. Porwał Lily w ramiona, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, i zaczął kopać w wosk wokół brzucha królowej, by dostać się do pomieszczenia za tronem.

– Rowan! Co ty wyprawiasz? – warknął Tristan.

– Nie zdołamy podskoczyć na tyle wysoko, by wrócić do Sali Posłuchań. Musimy iść tędy – odpowiedział mu Rowan identycznym warknięciem.

Rozdęty brzuch Królowej zadygotał tuż przy głowie Rowana. Lily delikatnie położyła dłoń na obrzmiałej skórze, pod którą napinał mięśnie kolejny skurcz.

– Biedactwo – szepnęła, rozdarta potrzebą udzielenia pomocy cierpiącej.

Nie umknął jej wyraz odrazy malujący się na twarzy Rowana, który nie przestał rozkopywać wosku. Pozostali członkowie sabatu najwyraźniej otrząsnęli się z początkowego szoku i teraz doń dołączyli. Wosk był gruby i miękki, nie pękał na kawałki, ale absorbował siłę kolejnych kopnięć i nie dawał się łatwo usunąć.

Przez chwilę Lily obawiała się, że zaatakują ich Robotnice doglądające Królowej, ale one tego nie uczyniły. Właściwie w ogóle nie zwróciły na nich uwagi i nie zatrzymały się nawet na moment, jakby całkowicie ślepe na wszystko poza Królową.

*Z Siostrami może nam nie pójść tak łatwo*, stwierdził Rowan, wychwyciwszy echo myśli Lily.

Przebił się przez ścianę wosku i postawił czarownicę na ziemi.

*Chroń Juliet*, poprosiła go Lily bezgłośnie. *Tylko ona, poza mną, nie wie, jak walczyć.*

Kanapka, Caleb i Una ustawili się tak, by osłaniać Lily i Juliet, i ruszyli w kierunku, gdzie powinno być wyjście. Droga prowadziła obok gargantuicznego tułowia Królowej.

*Ostrożnie*, ostrzegł ich Tristan w myślach.

Szeregi Robotnic biegały od i do ciała Królowej i uciekinierzy musieli bardzo uważać, gdzie stawiają stopy, aby nie nadepnąć żadnej niby-pszczoły. Ta część ciała Królowej miała co najmniej trzydzieści stóp długości, a wysoka była na dziesięć. Podtrzymało ją rusztowanie z wosku, które przesłaniało też koniec gigantycznego odwłoku.

*Stać*, Rowan uniósł ostrzegawczo rękę. Przed nimi coś się poruszało. Rowan spojrzał na Caleba i lekko poruszył głowę. Na ten niemy rozkaz Caleb wysunął się naprzód i znikł w ciemnościach przejścia.

*Chyba nic nam nie grozi*, zameldował po długiej chwili. *Tylko idźcie powoli.*

Poszli i na końcu ciała Królowej zobaczyli stojące w rzędzie Siostry. Lily najpierw zatrzymała się gwałtownie, ale już w następnym momencie zorientowała się, że te Siostry wyglądają inaczej. Ich ciała były delikatniejsze, nieosłonięte chitynową zbroją, żadna nie miała biczka. Nie zwracały też uwagi na otoczenie, całkowicie skupione na swoim zadaniu. Z każdym skurczem wielkiego cielska

Królowej z jego końca wypadło przezroczyste jajo, wprost w ramiona czekającej Siostry. Po wielkim jaju Siostra czekała jeszcze chwilę, podstawiając dłoń, do której spadał deszcz jajek maleńkich jak Robotnice. Złapawszy wszystkie, Siostra tuliła je opiekuńczo do piersi i odchodziła, a następna zajmowała jej miejsce.

*Chyba się porzygam, oznajmiła Una.*

*Spokojnie, odpowiedział Rowan. Niech wszyscy zachowają spokój. Zachowujmy się tak, jakbyśmy mieli prawo tu być, a one prawdopodobnie nawet nas nie zauważą.*

Przemaszerowali obok szeregu niegroźnych Sióstr do jednego z sześciokątnych tuneli wiodących w górę. Droga prowadziła przez pomieszczenie, w którym stało ze dwadzieścia woskowych sarkofagów. Gdy przechodzili między nimi, Lily zobaczyła wijące się w środku ciała o męskich kształtach. Ich blade i umięśnione kończyny wykręcone były do góry wraz ze skrzydłami, poznaczonymi grubą siatką czarnych żył. Poczowała ulgę, że wszyscy mieli odwrócone twarze.

*Trutnie, skonstatował Tristan. Nie zatrzymuj się, Ro.*

Tunel otworzył się na kolejną rozległą jaskinię. Wieże z wosku zawierały sześciokątne komórki, a w nich, za ochronną błoną, widać było kształt dojrzewającej Siostry. Przy jednej ścianie pracowały już dorosłe osobniki. Składały jaja w pustych komórkach i zabezpieczały je woskiem ze swoich żuwaczek. Rowan poprowadził grupę dalej.

Przeszli przez kilka prowadzących w górę platform i tuneli, a im dalej szli, tym silniejszy stawał się zapach pyłku i miodu. Miliony Robotnic brzęczały w powietrzu niczym żywa, ciemna mgła. Lily bała się oddychać, by nie wciągnąć którejś i nie połknąć. Ściany ociekały tu miodem i czuła w gardle słodko-gorzki, kredowy posmak pyłku.

*Te Robotnice wracają tu z zewnątrz, zauważył Caleb. Którędy?*

Kanapka pierwszy zwrócił ich uwagę na czarną chmurę pszczelich ciał najprawdopodobniej zasłaniających coś, co było wyjściem. Sabat powoli ruszył w tamtą stronę. Prawdziwe Siostry Wojowniczk, o mocnych ciałach okrytych zbroją, z biczami w dłoniach wisiały nad wyjściem. Czepiały się ścian i zlizywały z nich miód długimi językami. Ich głowy poruszały się tymi nagłymi, błyskawicznymi ruchami. Siostry pozostawały nieustannie czujne, ale ich zmysły skierowane były na świat zewnętrzny, nie na wnętrze ula.

*To szaleństwo, pomyślał do nich Kanapka, a serce Lily zabiło szybciej. Jedna z Sióstr oderwała się od ściany i wylądowała przed sabatem z odgłosem przypominającym głośny klaps. Sięgnęła ręką do żądła, by uzyskać z niego jad, w tym samym czasie czujnie smakowała powietrze, jakby próbowała podjąć decyzję, czy napotkani ludzie stanowią zagrożenie. Zamarła, skupiona bez reszty na Rowanie, który stał na czele. Jego pierś unosiła się coraz szybciej, tętniąc krwią i oddechem.*

Lily czuła strach narastający w jej towarzyszach, który porwał ich niczym niepowstrzymana fala przyływu i uniósł, pozbawionych ciężaru i wierzgających wściekle, z dala od bezpieczeństwa brzegu. Podmuch wywołany milionem drgających skrzydeł natychmiast rozniósł po jaskini woń paniki. Pozostałe Siostry Wojowniczkki obróciły głowy jak na komendę.

Rowan pierwszy pozbył się strachu i ponaglił zastygły z przerażenia sabat.

*Ruszać.*

Lily poczuła, jak Rowan przygarnia ją do piersi, i sabat rzucił się do nadludzko szybkiego biegu.

Zdołali wydostać się z siedziby Roju i dobiec do mrocznego lasu, zanim ujęły ich dziesiątki okrytych zbroją ramion. Lily pochwyciła jeszcze strzępek myśli Rowana:

*Są za szybkie...*

I została wyrwana z jego ramion.

– Lily, nie! – krzyknął, chwytając dziewczynę za przedramiona, potem nadgarstki, palce, aż jego dłonie złapały jedynie powietrze i zostali rozdzieleni. Lily zauważyła jasne plamy u nasady szyi Sióstr i zrozumiała, że to blask wolitów, napełnianych mocą przez czarownicę.

Rowan wyłonił się spod pasiastych ciał przeciwniczek, poruszał się błyskawicznie, napędzany furią i desperacją. Ukręcał im głowy, wyrwał skrzydła i kończyny, ale bez względu na to, ile Sióstr unicestwił, na ich miejscu natychmiast zjawiały się następne. Lily poczuła kolczastą dłoń na karku i została rzucona na kolana. Ziemia tu była sucha, najeżona opadłymi igłami. Lily podniosła wzrok i zrozumiała, że dotarli do lasu gigantycznych sekwoi. Widziała, jak sabat utworzył krąg wokół Juliet, by ją ochronić, ale słabli.

*Lily, uratuj nas*, błagała Una. Cała była pokryta Robotnicami, które celowały w nią żądłami, gotowe zaatakować w każdej chwili. Czekwały jedynie na rozkaz swojej czarownicy.

Lily odetchnęła głęboko, wiatr przybrał na sile i zawył, pędząc ku niej. Ona zaś sięgnęła w głąb siebie, szukając jakichkolwiek zasobów siły, którą mogłaby przekazać swemu sabatowi.

*Nie rób tego*, powstrzymał ją Rowan. *Zużyjesz to, co niezbędne ci do życia. Twoje ciało się podda i umrzesz.*

Siostry Wojowniczkki patrzyły na Lily. Powietrze znieruchomiało, igły, kawałki poszycia zawisły wokół niej, gdy szykowała się, by transmutować resztki swych sił.

– Nie wygrasz, Lily Proctor – rozległ się znajomy głos. – Zabijesz swój sabat jeśli nie przestaniesz walczyć.

Lily spojrzała w górę i zobaczyła Grace, niesioną przez Siostry Wojowniczkki. Jej czarny kamień otaczała aureola fioletowo-zielonego światła,

czarownica transmutowała energię, by napęlić swoich naznaczonych. Siostry opuściły Grace na ziemię. Zeskoczyła z ich splecionych dłoni z wypraktykowaną łatwością, świadcząca o tym, że robiła to nieskończenie wiele razy.

– Nie masz stosu i nie zostało ci już nic dla twego już zmęczonego sabatu, podczas gdy moi naznaczeni wciąż są w pełni sił, gotowi do walki – kontynuowała, podchodząc do swych więźniów.

– Naznaczeni – warknęła Lily z odrazą. – Myślałam, że tutaj tego nie robicie.

– Powiedziałam, że nie naznaczamy ludzi. Sploty to nie ludzie – pouczyła ją Grace. – Powiedz twoim mechanikom, żeby przestali się szamotać. Mamy nad wami ogromną przewagę liczebną, a wam brakuje już opcji.

Lily zawisła w uścisku dwóch Sióstr trzymających ją za ramiona. Wchłonęła ponownie resztki swych sił i magiczny wiatr wypuścił wstrzymywany oddech, pozwalając śmieciom opaść na ziemię. Serce Lily biło nadal, jej nerwy wciąż działały, ale mięśnie odmówiły pracy z wysiłku.

Rowan szarpnął się w uścisku. Grace skinęła głową i Siostry go uwolniły. Potykając się ze zmęczenia, podszedł do Lily i osunął się przed nią na kolana. Próbował wyrwać dziewczynę z ramion Splotów, ale dopiero po kolejnym skinieniu Grace, Siostry wypuściły ją i się cofnęły. Dłonie Rowana natychmiast przesunęły się nad ciałem Lily.

– Widzisz, Toshi, choć zachowanie Rowana może na pierwszy rzut oka być wrzeszczące, on tak naprawdę jest jej niewolnikiem – powiedziała Grace.

Lily uniosła głowę i zobaczyła, jak Siostry stawiają na ziemi Toshiego. Niepokój malujący się na jego twarzy i niezręczne ruchy były widowym dowodem, że nigdy jeszcze nie podróżował w ten sposób.

– To nie jest miłość. Jeśli ona umrze, on zostanie pozbawiony tego, od czego jest uzależniony – mówiła Grace, wcielając się w rolę łagodnej nauczycielki. – Oszczędziłam ci życia w uzależnieniu i wiecznej służbie.

Toshi skinął głową, przybierając skupiony wyraz twarzy.

– Rozumiem. Tak. Oczywiście masz rację, Grace.

Lily uśmiechnęła się do niego smutno. Sprawiał wrażenie ogłuszonego i przygnębionego. Ivan miał rację. Toshi nie wiedział, jak miały się sprawy w Bower. A teraz, gdy już się dowiedział, było za późno. Rój rządził miastem, ale to Grace rządziła Rojem.

Musiła odwrócić głowę i gdy to uczyniła, zobaczyła błysk czegoś białego i długi płowy ogon znikający za potężnym pniem sekwoi. Uznała, że ma przywidzenia z wyczerpania. To przecież nie mogła być ta, o której myślała.

*Próbują nas rozdzielić*, odezwał się Caleb.

Lily zobaczyła, że Siostry wyrrywają Juliet z opiekuńczych ramion Caleba, i zaczęła w niej narastać panika. Juliet była najbardziej narażona na zranienie, najstarsza z ich grupy. Rój umiał wyczuć coś takiego i Lily wiedziała, że to

wykorzystają. Ale Juliet nie należała do osób, które poddają się cicho.

– Nie próbujesz ratować Toshiego, tylko siebie – powiedziała z goryczą. – To twoje prawo przeciwko naznaczaniu ma zapobiec temu, by inna czarownica zebrała sabat na tyle silny, żeby rzucić ci wyzwanie.

– Nie ma sabatu na tyle silnego, żeby mnie wyzwąć. – Grace zmierzyła Lily płonącym spojrzeniem. – Moim sabatem są Sploty. Cały ten kontynent należy do mnie.

Lily poczuła, jak zrozumienie rozjaśnia błyskiem myśli jej towarzyszy. Wreszcie wszystkie kawałki układanki zaczęły do siebie pasować.

– Używasz mówiących kamieni, by się z nimi komunikować... Nie, by je kontrolować – odgadła Lily, postanawiając, że skłoni Grace do mówienia jak się tylko da najdłużej. – To dlatego Sploty nie schodzą pod ziemię. Tam zostałyby odcięte od kontaktu z tobą, nie słyszałyby twoich rozkazów, żeby utrzymać każdą czarownicę w obrębie murów miasta. Żeby zabić, zabić, zabić.

Grace wychwyciła w tonie Lily echo szyderstwa i obnażyła zęby we wściekłym grymasie.

– No cóż, to proste istoty – odpowiedziała. – Lepiej wydawać im proste polecenia.

– Prostsze umysły łatwiej też naznaczyć. Nie musisz nawet dotykać ich woliów, prawda?

– Niższe gatunki mają mniej zdefiniowane pojęcie siebie. Rój w ogóle nie postrzega się jako zbioru jednostek, podobnie jak dzikie Sploty. Nie mają woli, nie tak, jak my. Zresztą nie na wiele by mi się przydały, gdyby ją miały.

Lily zmusiła się, żeby wlać do swego głosu nieco podziwu.

– Stworzenie Splotów tak, by wolity wyrastały im wewnątrz ciał, było naprawdę genialne. Ale założę się, że naznaczanie na odległość, poprzez kamienie, ma swoje wady. Niektóre z wyższych Splotów mają wolę i nie mogłaś ich w pełni naznaczyć, nie bez ich zgody i nie bez dotknięcia ich woliów. Oparły się i wyrwały spod kontroli, prawda?

Grace uśmiechnęła się powoli.

– Było kilka gatunków użytecznych na początku, jednak z upływem pokoleń trudniejszych do kontrolowania.

– Stado. Wataha. Kojoty. Założę się, że Kojoty uwolniły się jako pierwsze. W Stadzie i Watasze istniał silny instynkt podążania za alfą – stwierdziła Lily. – To dlatego w końcu przerzuciłaś się na insekty, na Rój. One chyba nawet nie rozumieją koncepcji nieposłuszeństwa, co?

– Dość na temat mojego sabatu. – Grace zaczęła się niecierpliwić. Pstryknęła palcami i zbита grupa Sióstr rozstała się, ukazując kolejnego pasażera. – Porozmawiajmy o twoim.

Carrick zrobił krok do przodu. Plecy miał zgarbione, głowę przechyloną po



ptasiemu. Lily znieruchomiała. Sam jego widok wystarczył, by zmrozić jej krew w żyłach.

– On nie jest mój – wychrypiała z wyraźną odrazą.

– Wiem – odpowiedziała Grace. – Co sprowadza nas do odpowiedzi na pytanie, dlaczego pozwoliłam ci tak długo żyć. Dlaczego mój Rój pojmał cię, zamiast od razu zabić. – Splotła wdzięcznie dłonie. – Wyjaśnij mi, jak jedna Lillian Proctor może stać tu przede mną, a druga być w Salem. Próbowałam być miła, ale Toshi jakoś nie mógł cię oczarować na tyle, by wydostać tę informację. Carrick nie chce mi powiedzieć, podejrzewam, że jego czarownica, ta druga Lillian, nie zawahałaby się go zabić, gdyby próbował. W każdym razie myślę, że wystarczająco długo już byłam miła. Wyjaśnij, jakim sposobem istniejecie we dwie, to pozwolę jej żyć.

Grace przechyliła głowę, na co dwie Siostry odciągnęły Juliet od grupy i rzuciły na kolana przed Lily.

– Nie... Ona też nie jest moja. Nie naznaczyłam jej – wykrztusiła Lily. Panika trzepotała w piersi dziewczyny jak ranny ptak. – Nie ma potrzeby jej krzywdzić. Proszę.

Grace gestem zbyła prośby Lily, wyraźnie zaczynała się irytować.

– Wiem, że nie jest twoja. Twój mechanicy nosili ją ciągle, więc nie możesz napęłnić jej siłą. Ale i tak kochasz ją jak siostrę, prawda?

Lily tylko kiwnęła głową odrętwiała, nie odwracając spojrzenie od oczu Juliet.

Juliet uśmiechała się smutno, oddech zacinał jej się lekko na granicy szlochu. Wyglądała na młodszą, jak w czasach gdy obie z Lily były jeszcze dziećmi, twarz miała tak bladą, że szeroko otwarte oczy wydawały się okrażone sińcami. Lily widywała już ten wyraz krańcowego przerażenia na twarzy siostry, ale to zawsze ona była bliska śmierci, nie Juliet. Oddałyby wszystko, żeby i teraz tak było. Milion razy bardziej wolałyby sama być w niebezpieczeństwie. Szukała gorączkowo jakiegokolwiek rozwiązania... Spojrzała na Rowana, ale tylko pokręcił głową, spoglądając na nią równie zrozpaczonymi oczami. Nie miał już sił. Cały jej sabat był krańcowo wyczerpany. Pozostała tylko jedna osoba, którą Lily mogła prosić o pomoc, i nie mogła uwierzyć, że tak długo trwało, zanim o niej pomyślała.

*Lillian. Maja Juliet.*

Poczuła, jak oszołomiony umysł Lillian budzi się ze snu. Ból pochłonął Lily niczym lawa, zanim Lillian jej przed nim nie osłoniła.

– Czekam – warknęła Grace przez zaciśnięte zęby.

– Dobrze. Tak. Jest nas dwie. Dwie Lillian – wyznała Lily, gotowa powiedzieć cokolwiek, by kupić sobie czas. – Więcej niż dwie. Nieskończenie wiele mnie, ciebie, wszystkich w innych wszechświatach.

– Gadasz jak szaman – roześmiała się Grace, ale zaraz zmarszczyła brwi, po

części przekonana.

*Lily, zapalę tu ogień, czekaj, odezwała się Lillian. Carrick ci pomoże.*

Carrick zaczął odsuwać się poza zasięg Sióstr Wojowniczek. Lily poczuła, jak Rowan zeszywniał na chwilę, jakby słuchał kogoś w myślach,

*Carrick ma krzemień i stal, przekazał Lily moment później. Musimy odwrócić ich uwagę, żeby miał czas skrzesać iskrę.*

– Tak, szaman. Szaman mnie nauczył – wypaliła Lily. Rozejrzała się, szukając rozpaczliwie jakiegoś sposobu na odwrócenie uwagi Grace i Splotów.

– Szaman nauczył cię czego? Zagładania w przyszłość? Wędrowki ducha? Jak to może wyjaśnić fakt istnienia dwóch Lillian?

Za pnem drzewa znowu mignęło coś białego, a Lily była zdesperowana na tyle, by uciec się do przeczucia, a nie do strategii. Sięgnęła do zbitki zapachów, do wyraźnych i zarazem zupełnie obcych wrażeń, jakich doświadczyła przed miesiącami, gdy znalazła wolit ukryty pod skórą białego kojota. To wtedy po raz pierwszy pomyślała o podróży na zachód, to przez to połączenie, które uważała za niemożliwe. Dopiero teraz, zdołała zrozumieć wszystko.

*Płowa. Pomóż.*

– Naprawdę nienawidzę czekać – powiedziała smutno Grace.

Lily wiedziała, że w którymś wszechświecie wszystko zadziało jak trzeba. Gdzieś w pianie wszechświatów jakaś wersja Lily wcześniej zrozumiała, że płowy kojot jest jedną z jej naznaczonych. Gdzieś w pianie wszechświatów jakaś wersja Lillian nie spała i ogień już płonął, więc mogła zareagować szybciej. Ale to nie był taki świat. Lily skończył się czas. Siostry wymieniły rozpaczliwe spojrzenia.

– W porządku – szepnęła Juliet i jej oczy wypełniło wybaczenie, na które Lily wiedziała, że nie zasługuje.

Grace nawet nie mrugnęła, gdy Siostra Wojownicza mocnym szarpnięciem złamała Juliet kark. Lily patrzyła, jak światło gaśnie w brązowych oczach. Żywe stały się martwe w jednej chwili. I to nie ciało jej siostry upadło na ziemię. To nie mogła być jej siostra. Nie. Jej siostra była pełna radości i ciepła, i nadziei, pełna życia. Nie była jakąś szmacianą lalką, która leżała bezwładna i zepsuta na dywanie z igieł.

– Juliet? – szepnęła Lily. Wstanie. Przecież nie umarła. – Juliet! – krzyknęła, jakby chciała ją obudzić.

– Toshi, zabierz jej największy wolit – poleciła Grace spokojnie. – Zostaw tamte dwa, będzie wystarczająco przytomna, żeby czuć, co z nią zrobić.

Lily nie wiedziała, czy to ona krzyczy, czy Lillian, czy może obie, bo krzyk wibrował w niej i wokół niej, wszędzie. Świat zwolnił. Zalał się czerwienią furii.

Płowy kojot skoczył nad głową Lily i zaatakował Grace. Siostry Wojownicze rzuciły się do powalonej czarownicy, a wtedy Carrick skrzesał ognia, prosto pod stopy Lily. Nasycone żywicą igły zapłonęły natychmiast. Lily podniosła

się, stanęła wśród płomieni i zaczerpnęła żaru wprost do woluty. Siostra Wojowniczką uderzyła Carricka grzbietem dłoni. Padł na ziemię i znieruchomiał.

Wiedźmi wiatr zawył wściekle. Sekwoje płonęły, Grace spojrzała na Lily ze strachem.

*Obdaruj mnie, błagał Rowan. Wyrwę jej serce.*

*Nie. Rój jest za silny. Nie mogę stracić i ciebie.*

– To jeszcze nie koniec – obiecała Lily Grace. Zaczerpnęła tyle żaru, ile tylko mogła, wezwała woluty swego sabatu i katapultowała ich wszystkich wprost do swojego świata.

## Rozdział 7

Lily nie spała. Nie była też nieprzytomna ani nie śniła. To stało się naprawdę. Było na wskroś rzeczywiste.

Juliet umarła. Może nie jej Juliet, nie ta wersja, z którą Lily dorastała, ale nadal jej siostra. Lily nie zamierzała przejść nad tym faktem do porządku dziennego, nie zamierzała się z tym pogodzić i wybaczyć, jak zrobiłaby to sama słodka Juliet. Lily zamierzała wrócić do Bower, ale tym razem na czele armii. Kwaśny smak nienawiści wypełnił jej usta. A kiedy już wróci do Bower, zabije wszystkich.

Oderwała wzrok od leśnego poszycia. Stała otoczona swym sabatem. Świt powoli zalewał światłem sekwoje, które wyciągały w górę swe potężne ramiona, jakby podtrzymywały sklepienie nieba. Poczowała się mała w porównaniu do nich, jak mrówka wśród gigantów. W innym wszechświecie jej umierająca wersja płakała rozpaczliwie. Lily miała suche oczy. Czowała rozdzierający szloch Lillian i zdecydowała, że te łzy będą musiały wystarczyć. Jedna z nich będzie płakać, druga będzie stała mocno na ziemi, i może razem jakoś to przetrwają. Zawołała do swego drugiego ja:

*Lillian, musisz się uspokoić.*

*Moja siostra nie żyje. Nie mogę się uspokoić.*

*Mamy robotę. Zbierz swoją armię.*

*Zaczęłam ją gromadzić, gdy skontaktowałam się ze mną po raz pierwszy. Już wyruszyliśmy.*

*Dlatego byłaś ciągle taka zajęta?*

*Tak. Grace musi umrzeć, Lily.*

Kiedyś Lily miałyby obiekcje, ale od tamtej chwili wszystko się zmieniło. Tristan nie żył. Juliet nie żyła. Lily popatrzyła na Unę, Caleba, drugiego Tristana, Kanpkę i Rowana i wiedziała, że jeśli chce ich utrzymać przy życiu, będzie musiała przekroczyć niejedną granicę. Tak, jak uczyniła to Lillian.

*Tak. Musi, zgodziła się.*

*Nareszcie do mnie dołączyłaś,* odparła Lillian i przez chwilę wspólnie spoglądały na świat.

Zobaczyła, jaką armię zebrała Lillian. Mężczyzn, kobiety, całą menażerię udomowionych Splotów. Maszerowali już i maszerowali szybko. Lillian wspięła się na grzbiet większego smokowca i wzbijała się w powietrze. Lily widziała opalizujące skrzydła zagarniające wiatr i potężne szpony, które wydawały się orać

niebo. Lillian była jak te spragnione wojny więdźmy sprzed lat i nie zamierzała walczyć, lecz całkowicie zniszczyć wroga, zmieść go z powierzchni ziemi. Nie musiała tego mówić, ale Lily wyczuła, że teraz wrogiem był każdy mieszkaniec Bower. Nagle zaniepokoiła się o Toshiego, jego siostrę, starzejącego się ojca i chorą matkę. Wspomniała dwoje dzieci wpatrujących się w nią z otwartymi buziami.

*Lillian, zamierzam zniszczyć Rój, ale ludzie z Bower nie mają pojęcia, że to Grace wszystko kontroluje, zarówno Rój jak i dzikie Sploty. Są niewinni.*

Czekała na odpowiedź, jednak Lillian zerwała połączenie i zablokowała swojej drugiej wersji możliwość kontaktu.

– Lily? Nic ci nie jest? – zapytał Rowan.

Drgnęła i obejrzała kończyny, ale nie zauważyła śladów oparzeń. Ogień prawie jej nie tknął.

– Nie mówię o ciele – uściślił, widząc, co Lily robi.

Spojrzała na niego. Na jedynego Rowana. Nie miał kopii. Jeśli zginie, to koniec. Po raz pierwszy wydał jej się nieskończenie kruchy, a świadomość, że granicą między życiem a śmiercią może być jedno mocne szarpnięcie, wprawiła Lily w rozpacz. To mogło przydarzyć się jemu.

*Zrobiłaś to specjalnie? – spytała swojego drugiego ja. Dopilnowałaś, żebym miała go tylko jednego?*

Ale nie dostała odpowiedzi. Nie potrzebowała jej właściwie. Dla nich obu zawsze istniał tylko jeden Rowan.

– Lillian prowadzi swoją armię na Bower – poinformowała go. – Oczyszcza cały szczyt muru, zabrała straż miejską i naznaczyła tysiące z pozostałych Trzynastu Miast. Zamierza podbić Zachód.

Rowan skinął głową, jakby spodziewał się takiego rozwoju zdarzeń.

– Alaryk nie przeoczy wymarszu armii. Dowie się o Bower i będzie chciał miasta dla siebie.

– Pewnie już wie – wtrącił Caleb. – Nie zdołasz utrzymać takiego sekretu, gromadząc przy tym armię. Lillian nie maszeruje na Zachód bez celu.

– A co z pozostałymi Sabatami? – spytał Tristan. – Richmond, Exeter, Nowy Jork... Wszystkie będą chciały część tego, co zyskał Zachód.

– Sabaty poczekają, żeby zobaczyć, co stanie się z Lillian – odparł Rowan. – Jeśli zginie wraz ze swoją armią, próbując dotrzeć na zachód, wtedy ich oczy zwrócą się na Salem. Nina, która teraz jest prawą ręką Lillian, nie zdoła utrzymać władzy jako Czarownica Salem. Nie jest czarownicą ognia, nie może korzystać z mocy stosu.

– Pamiętam Ninę – powiedziała Lily, mrużąc oczy. To Nina usiadła okrakiem na Rowanie, wtedy w klubie, w noc śmierci Eliasa. Lily już wtedy miała ochotę ją uderzyć, a gdy tylko przypomniała sobie, jak Nina przerzuca nogę przez

biodra Rowana, gładząc dłońmi jego klatkę piersiową, to nadal chciała ją walnąć.

Rowan odwrócił się do Lily całkowicie nieświadom jej ataku zazdrości.

– Czy Lillian wie, że to Grace kontroluje Sploty?

– Wie to, co my wiemy – odparła Lily. – Maszeruje na zachód, żeby skończyć ze Splotami raz na zawsze.

*I zamierza zabić Grace bez względu na to, ilu ludzi zginie przy okazji*, dodała w myślach już tylko do Rowana.

*Nie winię jej. Juliet była wszystkim, co jej zostało.*

Lily skrzywiła się boleśnie na sam dźwięk imienia siostry, ale przemocą zdusiła swój żal. *Później*, powiedziała sobie. *Będę płakać później.*

– Nawet ze wszystkimi naznaczonymi Lillian nie zdoła wygrać z Rojem – stwierdził Rowan na głos.

Caleb przytaknął.

– Rój liczy sobie milion – dodał ponuro.

– Czy powiedziała innym Sabatom o Grace i Splotach? Może by jej pomogli? – podsunął Kanapka.

– Nie wiem. Wątpię, czy byliby chętni podjąć takie ryzyko, jak Lillian – westchnęła Lily. – Właściwie to im nic nie zagraża.

– No tak – sapnął Caleb ze złością. – Czarownice nie mają powodu pozbywać się Splotów. Mają się świetnie, rządząc swoimi miastami za murami.

– Czy Alaryk mógłby pomóc Lillian? – spytała Una. Caleb, Tristan i Rowan wlepili w nią spojrzenia pełne niedowierzania. – Nie, no serio, ludzie, Lillian prowadzi osobistą krucjatę przeciwko Splotom, dobra, ale tak naprawdę to muszą się ich pozbyć Zewnętrzni. Gdyby Alaryk wiedział, że to Grace je stworzyła i wciąż kontroluje, to chyba by chciał z nią walczyć? – W jej głosie dzwięczało oburzenie. – Jest Zewnętrzną, która zabija Zewnętrznych od niemal dwustu lat. Alaryk powinien chcieć skopać jej dupę, gdy tylko się dowie.

– To nie jest decyzja Alaryka – wtrąciła zimno Lily. – Tylko moja. Bo to jest moja armia, on jedynie udaje, że stoi na jej czele. To moi naznaczeni. – Wszyscy umilkli, a Lily przetarła twarz palcami i usiadła na ziemi. – I są po drugiej stronie kontynentu.

– I w innym świecie – przypomniał jej Kanapka.

– E tam, skakanie ze świata do świata zrobiło się już dla Lily łatwe – stwierdziła Una. – Tylko na nią popatrzcie.

Lily była tak wyczerpana, że jej mięśnie kurczyły się mimowolnie, jednak z pewnością nie znajdowała się na granicy śmierci.

– No, nie powiedziałabym, że łatwe – burknęła.

– Dlaczego nie możesz skoczyć tym sposobem na wschód? – zapytał Tristan.

– Bo to... nie to samo – odpowiedziała, próbując sobie wyobrazić, jak w ogóle zrobić coś takiego. – To teleportacja, a nie skoki między światami.

– Ja bym powiedział, że to łatwiejsze – dorzucił Kanapka. – Znaczący, rozumiesz, inny wszechświat jest jednak dalej niż Salem, nie?

Lily próbowała na niego popatrzeć, lecz była tak zmęczona, że wzrok jej się mącił.

– Nie, właśnie nie. Każdy wszechświat oddalony jest zaledwie o wibrację.

Kanapka wzruszył ramionami.

– Może Salem też?

Lily spojrzała na niego spod zmrużonych powiek. Próbowała uporządkować myśli, żeby wytłumaczyć mu, na czym polega jego błąd. Gdyby nauczyła Kanapkę wędrówki ducha, jak to zamierzała przed miesiącami, może by zrozumiał różnicę. A może by nie zrozumiał. Szaman nauczył Lily jedynie, jak wędrować do innych wszechświatów, ponieważ jego celem było przywrócenie równowagi. Nauczył ją więc tyle, by mogła wrócić do swojego świata, ale teraz, gdy się nad tym zastanawiała, dochodziła do wniosku, że musiał być jakiś sposób wędrowania duchem w obrębie jednego wszechświata. Musiała tylko odkryć jaki.

Na początku, przy okazji pierwszych wędrówek, gdy jeszcze nie do końca wiedziała, co robi, pamiętała, że się unosiła i rozglądała. Jej duch znajdował się w tym samym świecie, co jej ciało, ale wszystko było szare. Jak szaman nazywał ten szary świat duchów, do którego wchodziła? Nadświatem? Nie miała pewności, czy w ogóle wypowiedział to słowo, ale czuła, że to właściwe określenie. Jak Mgła. Teraz uświadomiła sobie, że mogły być jednym i tym samym. Zdezorientowana potarła czoło.

– Powiedział, że muszę być bliska śmierci, żeby mój duch mógł wędrować, zagłodzona, odwodniona, i za każdym razem, gdy spotykałam Lillian we Mgle, obie byłyśmy bliskie śmierci albo cierpiałyśmy bardzo. Mgła czy nadświat, czy jak to tam się nazywa, może być drogą. Mostem do miejsc w tym świecie, a nie tylko w innym – wymamrotała.

– Kto powiedział? – zapytał ostrożnie Rowan.

– Szaman – odpowiedziała rozkojarzona. W jej głowie kształtowała się koncepcja i Lily nie chciała sobie przerywać. – Gdybym mogła duchem powędrować do Salem i znaleźć jego wibrację, może mogłabym nas przenieść tam fizycznie. Ale czy miejsca mają wibracje? Czy tylko wszechświaty?

– Szaman? – zapytał Tristan z troską.

– Ta. Widzicie, szaman miał swój własny plan – myślała na głos. – Chciał się mnie pozbyć z tego świata, a nie nauczyć docierać tam, gdzie miałam ochotę. Może z Lillian było tak samo? Może nie nauczył jej niczego o nadświecie i jak się w nim przemieszczać, więc wymyśliła własną nazwę? Mgła.

Lily zerknęła w górę i odkryła, że członkowie sabatu wpatrują się w nią oczyma rozszerzonymi niepokojem.

– Martwy szaman? – upewnił się Kanapka.

Byli przekonani, że gdy wtrącono Lily do lochu, szaman już dawno pożegnał się z życiem.

– Rozumiecie? Piana wszechświatów łączy różne światy. Nadświat, Mgła... jak zwał, tak zwał, łączy różne punkty w obrębie jednego z nich. To w ten sposób mogliśmy spotkać się z Lillian na tratwie – powiedziała Lily.

– Tratwie? – Zwątpiła Una. – Spotkałaś się z Lillian na tratwie?

Lily warknęła, by dać ujście frustracji.

– To naprawdę ma sens! Szaman nie powiedział mi o nadświecie. Chciał, żebym musiała wybierać pomiędzy ucieczką z jego świata a śmiercią. Gdybym wiedziała, że mogę się wyteleportować z lochu, to by się mnie nie pozbył, jak planował.

– Myślę, że powinniśmy dać Lily odpocząć – powiedział Rowan. – Później zastanowimy się, jak dotrzeć do Salem.

– Myślicie, że zwariowałam – domyśliła się. – Mówię wam. Szaman naprawdę był ze mną w lochu.

– Dobrze, Lily. – Una próbowała ją uspokoić. – Ja ci wierzę, ale faktycznie powinnaś teraz odpocząć.

Usiedli, tworząc wokół czarownicy dość duży krąg. Wszyscy potrzebowali czasu, by pogodzić się ze stratą Juliet. To był jeden z tych momentów, w których istniejąca między nimi więź potęgowała emocje, zamiast je łagodzić. Lily z chęcią skryłaby się teraz za grubymi ścianami Cytadeli, byle tylko odgrodzić się od uczuć swego sabatu. Zaczęła błądzić bez celu między drzewami, aż stopy odmówiły jej posłuszeństwa. Usiadła w samym środku tej żywej katedry i uniosła wzrok ku sklepieniu porannego nieba.

Sięgnęła myślami do Juliet, licząc, że może jakaś część siostry pozostała w nadświecie. Wysilała się i sięgała, jak najdalej mogła, siłą ugniotła swą myśl w małą kulkę, którą posłała w nadświat niczym modlitwę. Nikt nie odpowiedział. Gdzie się nie zwróciła, znalazła jedynie ciszę i mgłę.

Wtedy wreszcie pozwoliła sobie na płacz. Płakała tak bardzo, że aż dławiła się szlochem, a żołądek zapłonął goryczą połykanych łez. Płakała, aż boki przeszywał ostry ból, nieważne, jak mocno zaciskała na nich dłonie. Rowan położył się za Lily i ją objął. Czowała się, jakby miała połamane żebra i tylko jego ręce trzymały ją w jednym kawałku. Nie odezwał się ani słowem. Nie odepchnęła go.

Śniła o Królowej. Matka Roju topiła się w miodzie i sięgała ku Lily w bezgłośnym błaganiu. Miała oczy Juliet. Lily obudziła się gwałtownie. Rowan spał obok z głową wspartą na ramieniu. Nadal był chudy i spalony słońcem szlaku. Kosmyki długich włosów przesłaniały nieco ostre rysy jego twarzy, nadając mu prawdziwie dziki wygląd. Lily bolał ten widok. Rowan wyczuł, że mu się przygląda, i otworzył oczy.



*Zostawiłam ciało Juliet, powiedziała w myślach.*

*Nie miałaś wyboru. W przeciwnym razie wszyscy zginęlibyśmy razem z nią.*

*Jak myślisz, co Rój z nią zrobi?*

*Nie myśl o tym. Proszę, Lily. Nie wyobrażaj sobie tego.*

*Ciało Tristana też zostawiłam. Nie mogę nawet pochować ludzi, którzy oddali za mnie życie.*

Czuła, jak bardzo chciał ją przyciągnąć do siebie, przytulić do piersi. Nie wiedziała, co zrobić. Powinna go pocałować i kochać, to zdawało się najnaturalniejsze w świecie, ale nie mogła. Nie, gdy w myślach wciąż miała obraz gnijących zwłok jej Tristana. Rowan pochwycił coś z tego, co działo się w głowie Lily i odwrócił wzrok. Chwila minęła i Lily wstała.

Sabat już przygotowywał się do drogi. Tristan przyglądał się Lily, gdy wychodziła spomiędzy drzew. Uważne spojrzenie zawisło na moment na jej opuchniętej twarzy i zaczerwienionych oczach.

– A gdzie Rowan? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Gdzieś z tyłu – odpowiedziała, a jej obojętny ton miał nie pozostawić wątpliwości, że ich relacje nie uległy ociepleniu. Tristan wydawał się tym zmartwiony, zmieniła więc temat. – Czy ktoś ma jakieś jedzenie?

– Właśnie o tym rozmawialiśmy – poinformował ją Kanapka. – Zna ktoś to całe Monterey?

– Widziałam tylko zdjęcia – odparła niepewnie Lily.

– Każdy, kto choć raz widział reklamę jakiegoś samochodu, widział zdjęcia z Monterey – zauważyła Una. Caleb i Tristan mieli identycznie niepewne miny. Potrząsnęła głową. – Ach. Faktycznie. Żaden z was nie był jeszcze w tym świecie.

– Będziemy potrzebować glejtu, żeby wejść do miasta?

Rowan wyszedł spomiędzy zarośli.

– Nie. I możesz się zrelaksować, Calebie. W tych lasach nie ma Splotów.

Na te słowa Caleb rozluźnił ramiona i dopiero wtedy Lily zorientowała się, że przez cały ten czas mechanik był w pełnym pogotowiu.

– Może się tu kręcić jakiś górski lew czy niedźwiedź, ale okolica jest raczej bezpieczna – dodała. – A do miasta możemy wejść bez żadnych dokumentów.

Caleb i Tristan wymienili spojrzenia i może jakieś uwagi w myślach. Najwyraźniej obaj byli zaniepokojeni tym, jak łatwo poruszać się w tym świecie.

– Za to potrzebujemy pieniędzy – powiedział Kanapka. Wstał i otrzepał spodnie z igieł. Przyjrzał się krytycznie swojemu ubraniu, które pochodziło z Bower. – Zastanawiam się, czy w tych ciuchach wyglądam jak kozak, czy jak palant.

Una parsknęła śmiechem.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Jesteśmy w Kalifornii – odezwała się Lily, zanim tamtych dwoje rozpoczęło niekończące się przekomarzanki. – Założę się, że tutaj „normalny” to bardzo szerokie pojęcie. Nie powinniśmy się wyróżniać.

– Kalifornia – wyszeptał Rowan i uśmiechnął się na poły z goryczą, na poły szczęśliwie. Uniósł wzrok i wziął głęboki wdech, pozwolił, by przesiane gałęziami promienie słońca zatańczyły na jego twarzy. – Czujecie to?

– Co? – zapytał Tristan.

– Nie ma się czego bać.

Gdy byli już w drodze, Lily kilkakrotnie poczuła dotknięcie myśli Lillian, która chciała wiedzieć, dokąd zmierzają. Lily ją odcięła. Wiedziała, że znów musi zacząć myśleć strategicznie. Nie mogła uciekać po pocieszenie do swojego drugiego ja za każdym razem, gdy sytuacja wymykała się spod kontroli.

Nadal nie wiedziała, jak skłonić Lillian i Alaryka do współpracy. Nie miała tylko wątpliwości co do tego, że musi to zrobić osobiście. Lillian nie może mieć czasu na przygotowanie kontry. Jedyłą szansą Lily na zjednoczenie wszystkich armii było doprowadzenie do konfrontacji i wymuszenie na nich sojuszu. Nie miała pojęcia, jak tego dokona. Dopóki czegoś nie wymyśli, będzie musiała ukrywać swoje zamiary przed Lillian, choć nie wymyśliła jeszcze, jak to zrobi. Niemniej miała świadomość, że to konieczne, bowiem gdyby Lillian wiedziała, co zamierza jej druga wersja, mogłaby te plany udaremnić. A to nieuchronnie wiązałoby się ze śmiercią wielu niewinnych ludzi. Lillian nie zawahałaby się poświęcić wszystkich swoich naznaczonych, byle tylko dopaść Grace.

Dotarcie do najbliższej drogi zajęło im kilka godzin. Na szczęście głód już ich nie męczył. Co parę kroków to Rowan, to Caleb znajdowali coś jadalnego, co można było zerwać lub wykopać, i dzielili się tym z resztą grupy.

– Normalnie dzień targowy – stwierdził ponuro Caleb.

– Tutaj rośnie w zasadzie wszystko – zgodził się Kanapka. – Rolnictwo to największa część kalifornijskiej gospodarki.

Ta informacja tylko bardziej rozżłościła Caleba.

– A Grace zatrzymała to wszystko dla siebie. – Rzucił gniewnie.

Kanapka i Una wymienili z Lily zmartwione spojrzenia. Im więcej czasu miał Caleb na przetrwanie tego, jak ogromną krzywdę Grace wyrządziła jego ludowi, tym bardziej rozpalał się w nim gniew. Lily spojrzała na Rowana, spodziewając się podobnych uczuć, a zobaczyła jedynie smutek. Chłonał majestat lasu, jakby po raz pierwszy w życiu mógł się cieszyć zielenią, bez strachu o własne życie.

Prowadząca brzegiem droga była podobnie oszałamiająca. Wąski pasek betonu ciągnął się wzdłuż pokrytych zielenią klifów, u stóp których ciemne wody oceanu zmieniały się w fontannę pereł.

– Surferzy – zauważył Rowan, wskazując podskakujące na wodzie postacie

w czarnych piankach pływackich. Zachód słońca nadchodził wśród wysokich fal i surferzy sunęli po ich grzbietach oświetleni roztopionym złotem promieni.

Caleb z Tristanem patrzyli na surferów, jakby nigdy dotąd nie widzieli nic równie oburzającego.

– Widzieliście te skały? Gość igra ze śmiercią – skrytykował skrzywiony Tristan.

– Nie. Tu nie pozwalają pływać amatorom. Na pewno wiedzą, co robią – wymamrotał Rowan, nie odrywając wzroku od surfera, który wiosłował oburącz, by chwilę później zakołysać się na fali. Ta jednak złamała się wpół i młodzieniec spadł z deski. – Ach! – krzyknął Rowan, wskazując palcem śmiałka. Odwrócił się do grupy. Reszta jednak nie wydawała się tak poruszona, jak on.

– Wiecie, to nawet do niego pasuje – stwierdził Kanapka, przyglądając się Rowanowi.

– Też tak myślę. Rowan surfer – zgodziła się Una.

Tamten zarumienił się lekko i spuścił wzrok.

– Raczej nie – powiedział już dużo mniej wesoło. – Ale chciałbym spróbować.

Do miasta było jeszcze daleko. Na szczęście nie musieli wędrować pieszo, jeden z surferów, wracający z plaży, zatrzymał się i pozwolił im wsiąść na pakę swojego pickupa.

– Poradzicie sobie dalej? – zapytał, gdy wysiadali.

– Znajomi nas zgarną – skłamał Kanapka.

– Spoko. Gdyby się jednak nie zjawili, wpadnijcie do nas na imprezę – zaprosił ich. – Miller jestem.

– Siema, Miller. Na mnie mówią Kanapka. To moja pani, Una, Tristan, Caleb, Rowan i Lily. Rowan chciałby zostać surferem.

– Serio? Ekstra! – Miller uśmiechnął się szeroko.

I tak właśnie Kanapka zyskał nowego kumpla. Miller zabrał ich na imprezę. Na miejscu czekała masa słonych chipsów i guacamole dla Lily w ilościach wystarczających, by mogła uzupełnić siły swoje i sabatu. Jedno po drugim przekradali się do łazienki, żeby skorzystać z okazji i obmyć się nieco. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Połowa gości spędziła cały dzień nad wodą i była równie rozczochrana i potargana wiatrem jak oni.

– Czy wszyscy w tym świecie są tacy szcudrzy? – zapytał Caleb z niedowierzaniem.

– Nie wszyscy – odpowiedział Kanapka – ale surferzy tak.

Tristan się rozejrzał. Kilka dziewczyn podchwyciło jego spojrzenie.

– Podoba mi się ta Kalifornia – stwierdził.

Lily z Rowanem spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się porozumiewawczo, ale zaraz spochmurnieli. Łatwo było zapomnieć, że nie należą do tych bez trosk

ludzi, że nie należą już do siebie.

– Zagadałem z kumplem i powiedział, że przenocuje waszą ekipę – oznajmił Miller, podchodząc do sabatu.

– Dzięki, naprawdę – odparł Kanapka. – Będę tylko musiał podejść do bankomatu, żeby dorzucić się do drinków.

– Nie musisz. Powiedzcie mi tylko, gdzie dorwaliście takie naszyjniki. – Miller nie odrywał wzroku od wolitów Lily. – Co to za kamienie? Skąd są?

– Hoduję je – wyjaśnił Rowan. *Ma talent*, przekazał reszcie w myślach. *Lily go przyciąga*.

*Pewnie dlatego nas zabrał*, odgadła Una.

– Hodujesz kryształy? Niemożliwe! – wykrzyknął Miller, przyglądając się Rowanowi z podziwem. – Powinniśmy razem posurfować. Zabiorę cię rano na naszą plażę.

Rowan zrobił zbolaną minę.

– Chciałbym, ale nie mam deski.

Miller zbył jego opory wzruszeniem ramion.

– Możesz użyć którejs z moich. Mam też dodatkowe pianki. Bez nich nie wejdiesz tutaj do wody.

– Miller, jest tu może telefon stacjonarny? – wtrąciła się Lily, żeby Rowan nie musiał mu odmawiać. – Mieszkam w Massachusetts. Muszę dać znać siostrze, że nic mi nie jest. Zadzwoń na jej koszt.

– Nie ma mowy. Normalnie zadzwonisz – poprawił ją Miller, potrząsając głową. Odstawił piwo i gestem zachęcił Lily, by szła za nim. – Gość, który tu mieszka, to dzieciak z funduszem powierniczym. Nawet się nie zorientuje.

Miller zaprowadził Lily do kuchni, w której grupka ludzi zebrała się wokół centralnej wyspy i garnka z fondue. Śmiali się i bałaganili beztrudnie, byli przy tym tak radośni... tak wolni... Lily przyglądała się im z uśmiechem na ustach. Wyobraziła sobie, że wśród tego gwaru rozlega się też dźwięczny śmiech Juliet. Miller podał jej słuchawkę telefonu i przesunął szklane drzwi prowadzące na zadaszony taras.

– Tu będzie ciszej – wyjaśnił.

– Dzięki, Miller. To zajmie tylko chwilę.

Stał w progu z ręką opartą o otwarte drzwi.

– Więc ty i Rowan... – zaczął sugestywnie – jesteście razem?

– Tak – odpowiedziała, by nie komplikować sprawy. To kłamstwo przyszło jej nadzwyczaj łatwo. Tak łatwo, że aż musiała sobie przypomnieć, że prawda wyglądała zgoła inaczej.

– Spoko – powiedział Miller i się wycofał, nagle niezręcznie stawiając stopy.

Lily zasunęła drzwi i popatrzyła na Millera po drugiej ich stronie; wyraźnie się ociągał, wreszcie odszedł, potrząsając głową, jakby miał ochotę wrócić i

powtórzyć całą konwersację.

Lily drżącymi palcami wystukała numer i jak zwykle Juliet wyczuła, że siostra zadzwoni, i odebrała, zanim jeszcze wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Lily? – spytała.

– Jules. – Głos Lily się załamał, po policzkach popłynęły łzy.

– Jesteś ranna? Co się stało? – spytała Juliet tonem, w którym słychać było wysokie nuty niepokoju i przyspieszony oddech.

Lily chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała.

– Nie powinnaś dzwonić...

– Juliet. Potrzebuję pieniędzy. Dużo pieniędzy – wykrztusiła w końcu.

– Prześlę ci – zadeklarowała natychmiast Juliet. – Możesz tylko pomyśleć dokąd, nie mówiąc na głos?

Minęły miesiące, odkąd Lily i reszta sabatu zostawili ciało Scotta w śniegu. Jednak powinna była się domyślić, że upływ czasu nie zniechęci agentki FBI prowadzącej tę sprawę.

– Simms. – Lily wymieniła nazwisko agentki-rottweilera.

Popatrzyła przez szybę w drzwiach i zobaczyła Millera chodzącego w tę i z powrotem po kuchni niczym kot w klatce i nagle zrozumiała. Simms nie była w stanie odpuścić. Pewnie sama nie wiedziała, dlaczego ściga Lily z taką zajadłością, ale Lily zrozumiała. Simms była albo nieaktywnym mechanikiem, albo muflą.

– To daleko, Jules. – Lily wróciła myślami do tego, co dziś widziała. Długo koncentrowała się na poszczególnych obrazach i ich powiązania z miejscem, w którym się znajdowała. Minęło parę minut, nim Juliet odpowiedziała.

– Już wiem. Rany, zawsze chciałam się tam wybrać.

Lily jednocześnie zaśmiała się i pociągnęła nosem.

– Bardzo za tobą tęsknię.

– A ja za tobą. Ale powinnaś już iść. Kasa będzie w Walmarcie – zapewniła ją siostra. – Uważaj na siebie.

Lily rozłączyła się i rozejrzała. Nawet mrok nocy nie zdołał przyćmić pięknego widoku. Dom wybudowano na samym brzegu klifu, fale z sykiem rozbijały się o skały poniżej, wypełniając powietrze stłumionym szumem. Powierzchnia wody skrzyła się blaskiem księżyca. Zapach igliwia mieszał się ze słoną wonią oceanu.

Lily stała nieruchomo, niepewna, co właściwie powinna teraz zrobić.

Usłyszała szelest przesuwanych drzwi i odwróciła się, przekonana, że zobaczy Millera, ale to był Tristan. Uśmiechnęła się do niego.

– Nie powinieneś teraz łamać serc miejscowych dziewcząt? – zakpiła.

Tristan zaśmiał się, ale odwrócił wzrok.

– Chyba już się tym zmęczyłem – powiedział i usiadł obok Lily na brzegu tarasu. – Wiedzieć, że masz wokół siebie mnóstwo dziewcząt naraz, to jedno. Ale

spotkać samego siebie i zobaczyć się z tymi dziewczynami, to już zupełnie co innego.

Kiwnęła głową.

– Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Lillian, mam na myśli te pierwsze sekundy, gdy stanęłam z nią twarzą w twarz, natychmiast ją znienawidziłam. Pewnie właśnie dlatego, że zobaczyłam w niej wszystko to, czego najbardziej w sobie nie lubię. Nigdy do nikogo nie czułam wcześniej takiej nienawiści.

Spojrzał na nią z nagłą uwagą.

– Nigdy nie mówiłaś mi o waszym pierwszym spotkaniu.

– Nikomu nie mówiłam – odparła Lily. – To właściwie żenujące zobaczyć siebie tak wyraźnie. Wiedzieć, nie tylko podejrzewać, ale wiedzieć na pewno, że wcale się nie jest wspaniałym, jak się myślało czy miało nadzieję.

– Dokładnie – zgodził się Tristan. – Zawsze miałem nadzieję, że będę lepszy. Ale kiedy spotkałem tego drugiego Tristana, kiedy wymieniliśmy się wspomnieniami... no cóż. Teraz już wiem, jak wiele mam wad. Więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Nawet ty.

Wziął głęboki wdech, jakby zamierzał powiedzieć coś istotnego, ale ostry dźwięk gdzieś zza rogu sprawił, że Tristan podskoczył i zaczął rozglądać się nerwowo. Szklane drzwi za ich plecami rozsunęły się cicho.

– Rozmawiałaś z nią? – zapytała Una, wychodząc na taras, za nią podążał Caleb.

– No – potwierdziła Lily, wracając myślami do Juliet. – Kasa w drodze. Niestety mamy towarzystwo. – Lily przesłała wszystkim obraz Simms.

– Samolot odpada – stwierdziła Una. – Znajdzie nas, gdy tylko spróbujemy wsiąść na pokład.

– Zawsze zostaje autobus. Albo możemy wynająć samochód na fałszywe nazwisko – zaproponowała Lily.

– Druga opcja bardziej mi się podoba. Będzie dyskretniej – uznała Una.

– Może Kanapce uda się coś załatwić z Millerem. Możemy powiedzieć, że któreś z nas potrzebuje fałszywki, żeby kupić alkohol czy coś – podsunęła Lily.

– To nie będzie zbyt trudne. – Una uśmiechnęła się sarkastycznie. – Miller zacząłby się szykować do ślubu, gdyby Kanapka poprosił. – Jej spojrzenie stało się nieobecne, gdy przekazywała Kanapce prośbę Lily.

– Myślę, że Miller jest bardziej zainteresowany Lily – zauważył Caleb.

Lily kiwnęła głową w zamyśleniu. Dopiero teraz zorientowała się, jak bardzo Miller przypominał Scota.

– Powinniśmy wyjechać tak szybko, jak to możliwe.

– Ile zajmie nam podróż na Wschodnie Wybrzeże? – zapytał Caleb.

– Jeżeli będziemy prowadzić na zmianę? Słyszałam, że da się w trzy dni – odpowiedziała Una.

– Niewiarygodne – szepnął Tristan. – Caleb, ile czasu zajęła nam sama przeprawa przez góry?

– Tygodnie. – Caleb wyraźnie nie miał ochoty na wspomnienia. Zmarszczył brwi. – Powrót za trzy dni. Potem skok, a trzeba będzie jeszcze dotrzeć do Alaryka...

– Kto powiedział, że idziemy do Alaryka? – zapytała Lily.

Spojrzał na nią zaszokowany.

– Nie zamierzasz chyba przyłączyć się do Lillian?!

Spojrzała Calebowi w oczy. Kiedy go nazaczyła, obiecała mu, że będzie walczyć z Lillian, nie ze Splotami, nie z jakąś wiedźmą mieszkającą o trzy setki mil dalej, nie z wcieleniem zła, ale z Lillian. Wytrzymał jej spojrzenie bez mrugnięcia. Powinna była się domyślić, że kiedyś zażąda, żeby dotrzymała słowa.

Westchnęła i popatrzyła w noc. Wzdłuż wybrzeża rozbłyskiwały małe światełka. Mogłaby wstać i ruszyć w ich kierunku. I nie dopadłby jej żaden potwór. Żadna wiedźma nie zabiłaby jej bliskich, gdyby ich tu zostawiła. Mogłaby zejść na brzeg, zrzucić ubranie i wykapać się w chłodnej, słonej wodzie oceanu. Ale nie mogła tego wybrać. Czas, kiedy miała możliwość pozostać w swoim świecie, minął. Lillian zwyciężyła. Niezależnie od tego, czy Lily przyłączy się do jej armii, czy nie. Tak naprawdę przyświecał im przecież ten sam cel.

– Nie wiem, co zrobię – zaczęła. – Nie mam podstaw, by ufać Alarykowi czy Lillian, ale będziemy potrzebować ich obojga, jeśli chcemy pokonać Rój.

*To też może być za mało*, pomyślał do niej Rowan. Podszedł od drugiej strony tarasu.

– Skłonienie Alaryka i Lillian do współpracy może się okazać niemożliwe – powiedział cicho. – I nie chodzi tu tylko o nich dwoje. Ludzie, którymi oni dowodzą, nienawidzą siebie nawzajem.

Lily zacisnęła zęby.

– To po co w ogóle wracać? Po co ich ratować, jeśli są za głupi, by sami o to zawalczyć? – Spojrzała ku wodzie srebrzystej w świetle księżyca. – Alaryk nazywa Lillian wrogiem, Lillian nazywa wrogiem Alaryka, ale my widzieliśmy, kto tak naprawdę zagraża ich światu. Teraz musimy sprawić, żeby oni również to zobaczyli. Jeżeli nie potrafimy tego zrobić, to jaki z nas pożytek?

Rowan kiwnął głową.

– Dobrze. Do kogo idziemy najpierw? Alaryka czy Lillian?

– Chyba nie mówicie poważnie? – Caleb rzucił Rowanowi gniewne spojrzenie spod zmarszczonych brwi. – Naprawdę zamierzacie rozmawiać z Lillian?

– O to prosi nas nasza wiedźma, Caleb – zgnął go Rowan. – Czy to coś gorszego, niż prosić Lily, by poszła do Alaryka po tym, co jej zrobił?

– Alaryk nie jest nawet w połowie tak zły, jak Lillian – upierał się Caleb.

– Czy my mówimy o tym samym gościu? – zirytowała się Una. – Alaryk. Świr z bombami atomowymi? Ten sam, który zamierza wysadzić w powietrze całą wschodnią część kontynentu? I uważasz, że on niby jest taki godny zaufania?

Caleb spuścił wzrok. Zapadła cisza. Próbowali wyobrazić sobie przebieg rozmów z Lillian i Alarykiem.

– Czyli naprawdę zamierzamy walczyć z Rojem? – odezwał się Tristan z drżeniem w głosie.

Siedzieli, każde wspominając najstraszniejsze chwile poprzednich konfrontacji. Dla Lily był to dźwięk: brzęczenie skrzydeł, które przyprawiało o ciarki i wywracało wnętrzności. Usłyszała przesuwające się za nią drzwi i stłumiła dreszcz.

– Gość od fałszywych dokumentów będzie tutaj jutro rano – poinformował ich Kanapka, wychodząc na taras. – Ale nie będzie to tania usługa. – Zauważył poblądłe twarze i zaciśnięte usta i zrozumiał, że wszedł w delikatnym momencie. Ostrożnie usiadł przy Unie. – Znów myślicie o Juliet?

– Teraz już tak. – Una przewróciła oczami. Wstała i weszła do środka.

– No co? – zapytał, gdy reszta sabatu ruszyła w jej ślady.

\*\*\*

Impreza nie miała końca. Sabat udał się po prostu w co cichsze części domu, by zdrzemnąć się choć trochę. Gdy rano Lily weszła do kuchni, zastała w niej Rowana smażącego omlety dla Tristana, Caleba i Uny.

– Kanapka pojechał z Millerem – zakomunikował, gdy dołączyła do nich przy stole.

– Za kilka godzin wróci z wozem z wypożyczalni – dodała Una między jednym kęsem a drugim.

– Przecież nie odebrałam jeszcze kasy – powiedziała Lily.

– Miller powiedział, że nam pożyczycy – wyjaśnił Caleb, spojrzał na nią wymownie. – Miło z jego strony.

– Hm – mruknęła tylko. Nie chciała angażować Millera bardziej niż to konieczne.

– Nalegał – poinformował ją Rowan. – Oddamy mu pieniądze i wyjedziemy jeszcze dziś wieczorem.

Podeszła do szklanych drzwi. Odsunęła je i raz jeszcze spojrzała w stronę brzegu. W Bower zmieniono linię wybrzeża, żeby zwiększyć efektywność portu. Mimo to dało się zauważyć pewne znaki szczególne. Dzięki mocy wolitu Lily mogła odwołać się do idealnie zachowanych wspomnień i nałożyć na siebie dwa obrazy pochodzące z dwóch światów. Były do siebie tak podobne, a zarazem tak różne.

– Lily, chcesz owsiankę czy naleśniki? – zapytał stojący za nią Rowan. –



Powinnaś coś zjeść.

Lily wzdrygnęła się i odwróciła w jego stronę.

– Myślisz, że miejsce może mieć swoją własną wibrację? Jakiej nie ma żadne inne miejsce w całym wszechświecie.

Rowan wziął głęboki wdech, wciągnął świeży powiew morskiego powietrza i zamknął oczy. Jego wolit zabłysnął, gdy myśl przeobraziła się w energię. Lily śledziła te światła, podchodząc coraz bliżej i bliżej do Rowana, aż poczuła ciepło i zapach jego ciała. Otworzył oczy, a Lily odskoczyła. Spojrzenie Rowana złagodniało.

– Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, sprawdzałem cię raz za razem. Wszystko było identyczne. Każda komórka twojego ciała była taka sama jak u Lillian, ale nie byłaś nią. – Zmarszczył lekko brwi. – Tam w chacie, chwilę przed tym, jak mnie nazaczyłaś, zastanawiałem się, czy jeśli związę się z tobą, nie związę się też z Lillian. Ale tak się nie stało. Może każda osoba ma swoją wibrację, niezależnie od tego, ile jej kopii żyje w równoległych światach. Może tak samo jest z miejscami. Czujesz przecież coś takiego. Czujesz, że to miejsce różni się od wszystkich innych. I nie chodzi o to, jak wygląda czy jak pachnie. Ono po prostu jest inne. Dokładnie tak, jak ty okazałaś się inna.

Lily spojrzała w stronę oceanu, poczuła jego puls, gdy uderzał o brzeg. Czowała ciepło słonecznych promieni rozlewające się po ziemi i wodzie. Czowała wiatr, który dał i pchał, wirował i unosił się nieustannie. Rytmicznie i przypadkowo zarazem.

– Nie mogę go znaleźć – oświadczyła.

– Znajdziesz – odpowiedział Rowan bez cienia wątpliwości w głosie. – A póki co, owsianka czy naleśniki?

Uśmiechnęła się do niego.

– Naleśniki. Poproszę.

Wrócił do kuchenki, a Lily podświadomie ruszyła za nim. Zupełnie jakby z każdym krokiem ciągnął ją za sobą.

Kilkoro ludzi przewinęło się przez kuchnię. Rowan karmił wszystkich. Jednym z nich był nawet sam właściciel domu, który w żaden sposób nie zareagował, że jakiś nieznajomy przejął rządy w jego kuchni. Wszedł, zjadł i wyszedł, rzucając do Rowana:

– Dzięki, Robercie. Swoją drogą, świetny ten sos holenderski.

Zupełnie jakby przywykł do tego, że ktoś przyrządza mu posiłki.

– Dzięki, Robercie – powtórzyła Una, chichocząc.

– Może powinniśmy dać ci jakiś napiwek? – zapytał Tristan, kontynuując żart.

Rowan uśmiechnął się szeroko, z radością godząc się na drwiny. Powoli i opornie, ale zaczęli traktować go jak członka grupy.

Kanapka z Millerem wrócili jeszcze przed południem. Kanapka zajechał z

łokciem za oknem i basem dudniącym z niewielkich głośniczków minivana.

– Hej, ślicznotko. Chciałabyś się przejechać tą lukstorpedą? – rzucił żartobliwie do Uny.

– Jak mogłabym odmówić? – odpowiedziała z pełną powagą. – Nic mnie tak nie nakręca, jak ten kawowy brąz.

Zaparkował, wyskoczył z auta i zaczął ganiać się z Uną. Miller przyjechał zaraz za nim. Wsiadł i podszedł do grupki, która zebrała się wokół wynajętego vana.

– Miejsca dla siedmiu osób – powiedział Caleb i natychmiast zamilkł. Teraz zostało ich już tylko sześcioro.

Po ciele Lily rozlało się to charakterystyczne ciepło, które pali w uszy, powoduje chrypkę i zapowiada łyzy cisnące się do oczu. Odchrząknęła i uśmiechnęła się bez powodu.

– Często jeżdżę do Yosemite – odezwał się Miller niepokojąco pełen nadziei, gdy usłyszał o dodatkowym miejscu w ich aucie. – Znam mnóstwo ukrytych miejscówek. Mógłbym wam pokazać to i owo.

Lily potrzebowała chwili, by zrozumieć, o co chodzi. Kanapka najwyraźniej powiedział nowemu kumpłowi, że jadą do Yosemite.

– No cóż, niestety musimy wyjechać jeszcze dzisiaj – stwierdziła Lily. – W zasadzie to już powinniśmy być w drodze.

– Mogę jechać – odpowiedział Miller z jeszcze większym entuzjazmem – Dajcie mi tylko dziesięć minut na spakowanie ciuchów.

*Cholera!* – przesłała do reszty w myślach. *Czy nikt w tej okolicy nie ma prawdziwej pracy? Pomóżcie mi się go pozbyć.*

– Słuchaj, Mills, przyjacielu – zaczął Kanapka. Położył rękę na ramieniu Millera i odciągnął go na bok. – To dla nas ciężki czas. Zmarła nasza przyjaciółka. Ta wycieczka to właściwie ku jej pamięci.

Podczas gdy Kanapka urabiał Millera, Lily zabrała kluczyki do auta i wsiadła za kierownicę.

– Wrócę z kasą – poinformowała pozostałych.

Rowan wskoczył na siedzenie pasażera, nim ktokolwiek zdążył zaprotestować, i oboje ruszyli do Walmartu.

Lily stanęła w krótkiej kolejce do okienka bankowego. Starła się nie spoglądać na kamerę wiszącą na ścianie za ladą, ale gdy tylko wypłaciła pieniądze od Juliet, wiedziała, że nie zostało im wiele czasu. Weszli do sklepu i zaczęli robić zakupy tak szybko, jak tylko było to możliwe bez wzbudzania podejrzeń.

– Powinno pasować na Caleba – powiedział Rowan, trzymając w ręku parę jeansów.

– Powinny pasować – poprawiła go Lily. – Spodnie są w liczbie mnogiej.

– Zawsze mnie zastanawiało dlaczego – odpowiedział z zagadkowym

uśmieszkiem. – To w końcu jedna część ubrania.

– Dziury na nogi są dwie.

– Nie. – Pokręcił głową. – Jak dla mnie, to nie ma sensu.

– A wiesz co? Faktycznie nie ma. – Uśmiechnęła się. – To naprawdę nie ma sensu. Powinniśmy mówić „spodeń”. Jednego „spodnia” poproszę.

Przechylił głowę, wczuwając się w brzmienie nowopowstałego słowa, i skrzywił się.

– To nie brzmi najlepiej.

– Brzmi okropnie.

– Dobrze, zostanemy przy spodniach.

Kontynuowali zakupy i oboje uśmiechali się do siebie. Rowan przestrzegał zasady, by nie podchodzić do Lily bliżej niż na dwa kroki, jeśli nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo. Za to ona zorientowała się, że nieświadomie przekracza tę granicę. Rowan, przyłapawszy Lily na tym kilkakrotnie, nie zwiększył dystansu. Wykorzystywali wkładanie produktów do koszyka jako pretekst, by zbliżyć się do siebie, a czasem nawet dotknąć.

Starali się wybierać ciuchy, które nie rzucały się w oczy, w stonowanych kolorach, bez żadnych napisów czy symboli. Kupili też czarne plecaki i bluzy z kapturem. Załadowali samochód wodą i przekąskami, zajęchali na stację benzynową i wrócili do domu, gdzie odbywała się impreza, żeby zabrać resztę sabatu.

Gdy wysiedli z samochodu, ruszyli w stronę śmiechów dobiegających z drugiej strony budynku. Tam, przy okalającym dom tarasie, znajdował się odkryty basen, nad którego brzegiem rozłożyli się ich przyjaciele. Zaraz obok, otoczony leżakami stał grill, z przekąskami dymiącymi na ruszcie. A wszystko osłaniał parasol ogrodowy w wesołym kolorze muchomora, przyciągając spojrzenie ku krawędzi basenu, gdzie przelewająca się woda zdawała się łączyć z błękitem nieba.

– Brakuje tu jeszcze tylko psa – powiedziała Lily, przypominając Rowanowi jego marzenia o Kalifornii.

Rowan gwałtownie odwrócił głowę i potrząsnął nią, uśmiechając się smutno.

– Nie tylko.

Odsunął się, jakby duchy Juliet i Tristana stanęły między nimi i niewidzialnymi rękami odpychały ich od siebie.

– Powiedzcie, że kupiliście mi coś lepszego niż to – jęknęła Una, podnosząc kardigan.

Rowan parsknął pod nosem.

*Wybacz, Una, nawet ty musisz wtopić się w tło na czas tej podróży. Sama wiesz, jak bardzo ryzykujemy.*

*Mniej, niż byśmy ryzykowali w twoim świecie* wtrąciła się Lily na wypadek, gdyby próbował zasugerować, że wyprawa jest zbyt niebezpieczna. Jednak Rowan

tego nie zrobił. Nie burczał też, że na Lily czekają rozmaite zagrożenia i jak to powinna ich unikać. Teraz nie było już bezpiecznych rozwiązań i żadnych możliwości, by trzymać się na uboczu wydarzeń.

– Pora się zbierać – powiedział Rowan.

– Nie chcesz chociaż na chwilę wskoczyć do wody? – zapytał Tristan, kiedy do nich podpłynął.

Rowan spojrział na basen, potem na ocean, który niemalże całkowicie zlewał się z niebem: akwamaryna, lazur i szafir aż po chmury.

– Nie – uciął.

Jedno po drugim wymieniali się w łazience i przebierali w nowe ciuchy. Caleb dwukrotnie sprawdził samochód i zapasy.

– Wiesz, jeśli nam czegoś zabraknie, możemy po prostu zatrzymać się i to kupić – zauważył Kanapka.

– Tylko patrzę – odpowiedział Caleb obronnym tonem. – Chcę wiedzieć, co mamy, a czego nie.

– Zostaw go, Kanapka – wtrącił się Tristan z uśmiechem. – Caleb żyje, by przeliczać zapasy.

– W Yosemite jest tyle genialnych szlaków – rzucił Miller, podchodząc do nich. – Byłoby słabo, gdybyście je przegapili. – Starał się wyraźnie, by zabrzmiało to naturalnie, ale przez tę próbę sprawiał wrażenie zdesperowanego.

*Jest chyba zdrowo spięty, oceniła Una. Żal mi gościa.*

*Nie żałuj go, odpowiedziała Lily. Będzie mu dużo lepiej bez nas.*

Miller wciąż czekał na jakiś znak, że zauważono jego obecność, ale nikt się nie odezwał. Nie znali już więcej uprzejmych sposobów, by powiedzieć chłopakowi, że nie jest zaproszony, więc po prostu go ignorowali.

– Wielkie dzięki za wszystko, co dla nas zrobiłeś – odezwała się do niego Lily, gdy już wsiadali do auta. – Podziękuj też od nas swojemu znajomemu. – Kiwnęła głową w stronę domu, dając znać, że ma na myśli gospodarza.

– Jasne! – rzucił Miller, jednak w jego twarzy widać było rozgoryczenie.

Kiedy odjeżdżali, pomachała mu jeszcze na pożegnanie. Nie odpowiedział.

\*\*\*

Carrick w końcu znalazł dom, w którym zatrzymał się sabat, akurat by zobaczyć, jak odjeżdżają, zostawiając za sobą wyraźnie zdruzgotanego młodzieńca.

Odwrócił się i zwymiotował. Nadal widział wszystko jak przez mgłę. A w głowie pulsował ból z każdym uderzeniem serca. Cios Siostry pozbawił go przytomności na pół dnia. Rój zostawił go wśród sekwoi na śmierć i Carrick pewnie zapadłby w wieczny sen, gdyby nie wołania Lillian wciąż rozbrzmiewające w jego umyśle.

Nie zamierzała pozwolić mu umrzeć. Nie, dopóki był jej potrzebny.

Nieustannie powtarzała mu, że jeśli ktoś miałby go zabić, to tylko i wyłącznie ona.

Carrick dźwignął się na nogi, z trudem utrzymując równowagę, i zrozumiał, że Lillian przeniosła go do świata Lily, by podążyć za sabatem i informował o ich ruchach. Na początku było łatwo, w lesie pozostawili po sobie mnóstwo śladów. Odkąd dotarli do betonowej drogi, zadanie okazało się dużo trudniejsze.

Miał problemy ze wzrokiem, co nieustannie go irytowało. Kiedy tropił, polegał na wszystkich zmysłach, nie ograniczał się jedynie do wzroku, ale byłoby mu dużo łatwiej, gdyby mógł z niego korzystać. Ostatniej nocy nie widział prawie nic, przez co nieraz podchodził niebezpiecznie blisko krawędzi klifu. Głowa bolała go tak bardzo, że kilkakrotnie rozważał, czy nie poddać się, położyć na ziemi i po prostu poczekać na śmierć. Ale Lillian mu na to nie pozwoliła.

W końcu osiągnęły z Lily jakieś porozumienie, choć druga wersja Lady Salem wciąż jeszcze była zbyt wielką idealistką jak na potrzeby Lillian. Chciała uniknąć śmierci niewinnych. Uroczu. Lillian wysłała za nią Carricka, by mieć pewność, że gdy zajdzie potrzeba, by zrobić coś odstręczającego, nie będzie musiała negocjować z Lily. Carrick wykona brudną robotę, o ile zajdzie taka konieczność. A zawsze się jakaś pojawiała.

Jej nalegania, by podążyć za sabatem, były wyjątkową torturą. Nigdy jeszcze nie pragnął snu tak bardzo, jak teraz. Kiedy tylko próbował przymknąć powieki i odpłynąć w ciemność, Lillian przejmowała kontrolę nad jego ciałem. Zmuszała go do marszu, odbierając upragniony odpoczynek. Nikt jeszcze tak okrutnie nim nie władał. Nauczył się kochać za to swoją wiedźmę i mógł mieć tylko nadzieję, że Lily będzie jej godną następczynią.

Czas uciekał coraz szybciej. Po śmierci Juliet płomień zemsty zapłonął w Lillian ze zdwojoną siłą. Jednak dwa razy jaśniej oznaczało też dwa razy szybciej. Carrick wiedział, że Lillian wkrótce wypali się do cna. Liczył jednak na to, że będzie wtedy bardzo daleko od niej. Gdy umierała tak potężna wiedźma, zawsze zabierała ze sobą innych, szczególnie jeśli umierała w bitwie. A nie wyobrażał sobie, by Lillian miała odejść w jakikolwiek inny sposób.

Carrick patrzył, jak jasnobrazowy pojazd unosi członków sabatu w dal. Osunął się na kolana, tuż obok kałuży własnych wymiocin. Znów ich zgubił. Przynajmniej na razie. Zapamiętał dokładnie numery z tablicy wozu. Pulsujący ból w jego głowie zmienił się w nieprzeniknioną ciemność.

*Carrick, obudź się. Carrick...*

Lillian przywróciła mu przytomność i ból. Skupił się na tej tępej agonii, wziął głęboki wdech, pragnąc zachować jej chociaż trochę, nim znów otworzy oczy.

Była noc. Niebieskie i czerwone światła błyskały na podjeździe i wokół domu, w którym wcześniej przebywał sabat. Wszędzie kręcili się mężczyźni i

kobiety w mundurach. Szukali czegoś. Zobaczył kobietę wysiadającą z pomalowanego na czarno auta. Znał tę kanciastą sylwetkę i kręcone, siwiejące włosy. To była agentka, która ścigała Lily i jej rodzinę, gdy poprzednio wróciła do tego świata. Simms.

*Sprawdź, ile wie ta kobieta*, rozkazała Lillian.

Carrick brnął przez ciemność, żeby spełnić życzenie Lady Salem, jednak jego ciało było za słabe. Lillian przesłała Carrickowi siły, by go ożywić. Ból nie ustał, tego nie złagodziła, ale w połączeniu z mocą czarownicy, zmienił się w przyjemność. Jego wiedźma znała go tak dobrze.

Wspiął się po ścianie budynku tak szybko, że dla przypadkowego oka byłby jedynie rozmazaną plamą, otworzył okno na drugim piętrze i wskoczył do środka. Skradał się po domu, aż znalazł miejsce, w którym najlepiej słyszał głos agentki. Odpytywała właśnie właściciela.

– Nie, już wam mówiłem – powtarzał wyraźnie zmęczony. – Nie znam ich. Jeden z nich przygotował dla mnie śniadanie. Wziąłem go za kucharza. Roger? Ronald? Nie pamiętam dokładnie. Nie przeprowadzam z gośćmi rozmów kwalifikacyjnych. Nic więcej nie wiem. – Brzmiał, jakby zawsze traktował ludzi z góry. – Były z nimi dwie gorące laski. I tyle.

– Grupka nieznajomych przyjechała do twojego domu, a ty tak po prostu ich wpuściłeś? – spytała Simms z niedowierzaniem. – Wszystko, czego potrzeba, żeby wejść na twoją imprezę, to dwie atrakcyjne dziewczyny?

– Ja ich przyprowadziłem – odezwał się inny męski głos. – Całą ekipę.

– Panie... – Nastąpiła przerwa i szelest kartek w notesie. – Miller. Skąd znał pan podejrzanych?

– Nie znałem. – Głos brzmiał pusto i cicho. – Zobaczyłem ich, jak szli wzdłuż jedynek, i zgarnąłem ich do mojego auta.

– Zawsze zgarnia pan autostopowiczów i zabiera do domów swoich przyjaciół? – indagowała Simms.

– Nie. Nigdy nie zabieram ludzi z drogi.

– Dlaczego zatem tym razem zrobił pan wyjątek?

Carrick słyszał, jak przesłuchiwany bierze głęboki wdech.

– To przez nią. Przez Lily. Spojrzała na mnie i to wystarczyło, żebym się zatrzymał. Nie wiem dlaczego. Oni nawet nie machali do mnie ani nic. Sam zaproponowałem im podwózkę... – Głos mu się złamał. – Ściga ją pani?

– Powiedzieli panu, że jadą do Yosemite? – Zignorowała jego pytanie.

– Tak. To wszystko, co wiem.

– Yosemite jest całkiem spore. Mówili panu, gdzie dokładnie się wybierają? Mają się z kimś spotkać? Mieli ze sobą sprzęt campingowy? – Wyrzucała z siebie pytania jedno po drugim.

– Nie. Żadnego sprzętu. – Miller wydawał się coraz bardziej pobudzony. –

Mówili coś o jakichś przyjaciółach, ale raczej kłamali. Agentko Simms, czy pani ją ściga?

Cisza się przeciągała.

– Tak – odpowiedziała wreszcie Simms.

– Zabierzcie mnie ze sobą. – To nie była prośba. W tonie Millera dźwięczała absolutna desperacja. – Mogę pomóc. Ona mi ufa.

– Agentko Simms? Mamy dla pani jeszcze jednego – rozległ się jeszcze inny głos.

Carrick słyszał protesty młodego mężczyzny, którego wprowadzono do pomieszczenia.

– Mówiłem wam, nie wiem, gdzie trzymają tę bombę! Słyszałem tylko, jak mówili, że jakiś gość ma atomówki. To wszystko.

– O co chodzi? – zapytała groźnie Simms.

– Już chyba siódmy raz powtarzam – tłumaczył chłopak rozpaczliwie. – Stałem na zewnątrz. Było ciemno. Cała ekipa wyszła na taras i gadali. Jedna z nich wspomniała coś o atomówkach i wysadzeniu w powietrze całego Wschodniego Wybrzeża. Potem weszli do środka. Wydawało mi się, że to bzdura, dopóki wyście się nie zjawili. Wtedy do mnie dotarło, że mogli mówić serio. Znaczy, wiecie, to nie brzmiało jak żart, ale przecież to jest totalne wariactwo. Prawda? – Najwyraźniej naprawdę chciał, żeby ktoś mu to potwierdził.

– Sprawdziliście to? – Simms najpewniej pytała ludzi, którzy jej towarzyszyli.

– Jesteśmy w trakcie – odpowiedział ktoś. Simms ruszyła ku wyjściu, więc podniósł głos: – Na razie brak jakichkolwiek dowodów!

– Powiadom wszystkich – rozkazała Simms. – Nie zamierzam siedzieć i czekać na atak terrorystów.

– Agentko, niech mnie pani weźmie – krzyczał Miller. – Naprawdę mogę pomóc!

Nie dostał odpowiedzi. Simms wyszła z pokoju. Carrick wycofał się w cień.

*Czy mam śledzić Lily, o pani?*

*Nie. Oboje dobrze wiemy, że Lily nie jedzie do Yosemite. Jedzie do domu, Carrick, odpowiedziała Lillian.*

*Powinienem zatem wyruszyć do Salem, tak?*

*Nie. Zostajesz przy Simms.*

*Co mam zrobić, jeśli znajdzie Lily?*

*To, co trzeba.*

## Rozdział 8

Wzrok Lily na moment stracił ostrość, droga nadal rozwijała się przed maską samochodu, a pasmo górskie, nagle płaskie, wisiało daleko przed nią niczym filmowa dekoracja. Lillian próbowała nawiązać kontakt. Lily wahała się przez chwilę, ale w końcu otworzyła umysł.

*Simms depcze ci po piętach, powiedziała Lillian bez wstępów. Wypytała ludzi z domu na skarpie.*

*Jedzie do Yosemite czy do Salem?*

*Właśnie dotarła do Yosemite. Niedługo zorientuje się, że nie ma cię tam. Idzie twoim tropem, nie tylko korzystając ze zdjęć i zeznań świadków. Tropi cię swoim pragnieniem. Trzymaj się z dala od głównych dróg.*

*Tak zrobię.*

*Wracasz do mojego świata?*

*Tak. Kiedy tylko dotrę wystarczająco daleko na wschód, skoczmy z powrotem. Nie było sensu dłużej ukrywać planów przed Lillian.*

*Nawet nie myśl, że uda ci się zawrócić mnie z wojennej ścieżki, ostrzegła ją Lillian.*

*Nie śmiem o tym marzyć. Wracam, żeby zniszczyć Rój.*

*W końcu doszliśmy do porozumienia. Moja armia jest już w drodze. Zbierz swoją i dołącz do mnie.*

Lily zaśmiała się ironicznie na myśl o połączeniu sił z Lillian, ale ów śmiech zmienił się zaraz w lodowaty dreszcz, gdy przypominała sobie o drugim wrogu-sojuszniku.

*Jak dowiedziałaś się o Simms, Lillian?*

Nie otrzymała odpowiedzi i ciarki przeszły jej po plecach.

*Przeniostaś tu Carricka? Gdzie on jest?*

Poczuła, że kontakt został zerwany, wróciła więc myślami do rzeczywistości. Spojrzała we wsteczne lusterko i zobaczyła, że Rowan jej się przygląda.

– Lillian? – zgađł. Przytaknęła, nie mogła pojąć, skąd zawsze wiedział, z kim ona rozmawia w mowie myśli. – Nadal planuje zaatakować Bower sama? – zapytał.

Lily uśmiechnęła się krzywo.

– Chce, żebym się do niej przyłączyła. Ale nie zaczekała na moją odpowiedź. Nie spodoba jej się propozycja połączenia sił z Alarykiem, nieważne, jak dobre jest to rozwiązanie. – Przyszło jej coś do głowy. – Jest tylko jedna osoba, której słucha, i z pewnością nie jestem to ja. Ktoś, kogo pomocy będziemy potrzebować, żeby to się udało. – Zobaczyła pytające spojrzenie Rowana. –



Nieistotne – ucięła. – Tylko rozważam opcje.

Rowan kiwnął głową i spojrział za okno, uśmiechając się lekko. Pozostali członkowie sabatu spali, ale on nie chciał przegapić ani odrobiny tych widoków.

– Gdzie ona jest? – zapytał po dłuższej chwili.

Lily pozwoliła swoim zmysłom popłynąć ku jej drugiej wersji. Zobaczyła kolumny maszerujących mężczyzn i kobiet. Wyładowane wozy, konie i inne zwierzęta pociągowe, pędzone w niesamowitym tempie przez gorący, parny las. Wokół armii kroczyli strażnicy, a nad nimi krążyło kilka mniejszych i większych smokowców wypatrujących dzikich Splotów, które mogłyby zagrozić ludziom. Udomowione Sploty polowały na dzikie. Nawet Lillian nie mogła całkowicie zrezygnować ze Splotów, nieważne, jak bardzo ich nienawidziła.

Lily przypomniała sobie o Płowej, swej naznaczonej, i sięgnęła ku niej myślami. Płowa była daleko, ale Lily zdołała wyczuć ten kłębek wrażeń niesionych przez zmysły, który był umysłem kojota, a w nim wyraźne wyczuwalne oddanie. Uderzył ją wir bodźców, głównie zapachów. Płowej udało się wymknąć w zamieszaniu, jakie wybuchło, gdy powaliła Grace. Sprytne stworzenie. W porównaniu do niej wielkie smokowce Lillian to zaledwie zwierzęta domowe, imponujące psy bojowe, a nie naznaczeni. W przeciwieństwie do Płowej, Sploty hodowane przez wschodnie sabaty nie miały wolitów i nie mogły być naznaczone przez wiedźmę. Lillian widziała w Splotach jedynie zwierzęta, nic ponad to. Lily czuła w głębi serca, że to błąd.

– Lily? – odezwał się Rowan.

– Nie przeszli jeszcze przez Appalachy – odpowiedziała, otrząsając się z transu. – Lillian daje armii siłę i prędkość, ale kosztuje ją to wiele mocy.

Znów spojrzała w lusterko i zobaczyła niepokój malujący się w oczach Rowana.

– Chcesz, żebym poprowadził?

– Tak – przyznała z wdzięcznością.

Zatrzymała się na poboczu i oboje wysiedli. Wykorzystali chwilę, by rozprostować kości, przetrzeć zmęczone oczy. Byli w drodze od szesnastu godzin, zmieniając się tylko co jakiś czas za kierownicą. Poranek był chłodny i Lily usłyszała, jak Rowan z drzeniem nabiera powietrza, podczas gdy przyglądał się otaczającym ich górom i pustyni.

Po obu stronach czarnego asfaltu ciągnęły się wydmy niczym zatrzymane w bezruchu fale złocistego oceanu. Młode, ostre szczyty gór wyciągały się do czystego nieba.

– Sam nie wiem, co zachwyca mnie bardziej: pustynia czy ocean – powiedział.

Lily kiwnęła głową na znak, że rozumie. Powiew suchego wiatru wzburzył jej włosy i pogładził po szyi.

– Zaraz chyba wjedziemy do parku narodowego. Rezerwatu wydm czy czegoś w tym stylu.

Za ich plecami pojawił się jakiś jeep, wskoczyli więc do auta i zamknęli drzwi.

– Odpal silnik – ponagliła Rowana.

Jeep zwolnił wystarczająco, by kierowca mógł zajrzeć do ich vana. Był młody, na głowie miał kapelusz z szerokim rondem.

– Strażnik parku – poinformowała Lily swego mechanika. – Włącz kierunkowskaz. – Zamachała do strażnika, dając znać, że wszystko jest w porządku. Pojechał dalej, a oni wrócili na szosę.

– Zawróć. Nie jedziemy za nim.

Zrobił, jak mu kazała.

– Dokąd?

– Musimy się trochę cofnąć i objechać park. – Wyciągnęła mapę żeby poszukać alternatywnej trasy. W lusterku wstecznym zobaczyła, że strażnik zatrzymał jeepa. – Szybciej – pospieszała Rowana.

– Chyba już za późno – odpowiedział.

– Wiem – rzuciła, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Przyjrzała się wydomom, przez które nie sposób było się przeprawić. Musieli zjechać z drogi, ale ich van nie miał szans w tym terenie. Reszta sabatu obudziła się, czując niepokój bijący od Rowana i Lily. Przez chwilę analizowali wspomnienia Rowana z kilku ostatnich minut i od razu zrozumieli, co się dzieje.

– Nie gazuj, Ro – mitygował przyjaciela Kanapka.

– Już nas zauważyli – stwierdziła Una.

– Wiem. Ale musimy wypatrywać jakiegoś zjazdu, który moglibyśmy wykorzystać – uzmysłowił Kanapka. – Jakiejś gruntowej drogi. Wszystko jedno czego, bylebyśmy przestali być tak strasznie widoczni na tej prostej.

– Nie uciekniemy im – zgodziła się Lily.

Wszyscy obserwowali krajobraz naokoło. Caleb co chwila spoglądał w tylną szybę.

– Widzę ich – oznajmił ponuro. – Wygląda na to, że strażnik zebrał wszystkich swoich kolegów.

Lily też się odwróciła i zobaczyła kilka czarnych punktów na szosie za nimi.

– Tam! – krzyknął Tristan, pokazując palcem. – Zjazd!

To była tylko wąska gruntowa droga prowadząca przez wydmy, ale lepsze to niż nic.

Rowan szarpnął kierownicą. Koła wyrzuciły fontannę piasku. Lily spojrzała na chmurę za samochodem i wzięła głęboki wdech. Wolit rozbłysnął, gdy odbierała pęd drobinkom piasku. Najpierw spowolniła chmurę, a potem opuściła ją z powrotem na ziemię, zacierając ślady.

– Cokolwiek robisz, Lily, nie przestawaj – mruknął Rowan przez zaciśnięte zęby, próbując utrzymać panowanie nad kierownicą. Piasek przesypywał się pod kołami i van sunął przez pustynię niczym sanie po śniegu.

Lily zatrzymała ziarenka piasku i złagodziła światło. Gdy promienie słońca przestały odbijać się od metalu, kawowy van niemal zupełnie zlewał się z otaczającym go krajobrazem.

Minęło dziesięć minut, piętnaście, pół godziny, ani śladu pościgu. Brnęli przez piach mozolnie, w strasznie wolnym tempie. Jedna z osi zaczęła skrzypieć od przeciążeń. Słońce weszło wyżej i zwróciło całą moc swego spojrzenia na pustynię.

Lily oparła dłonie na desce rozdzielczej i pobierała tyle ciepła z silnika, ile tylko mogła, ale nic nie była w stanie zrobić, by utrzymać oś w całości. Zebraną energią napełniała wolity swoich mechaników i w miarę upływu godzin wszyscy byli pijani mocą. Kiedy oś w końcu się poddała, wydawali się wprost szczęśliwi, że mogą opuścić vana i spożytkować jakoś nadmiar sił. Ona jednak nie cieszyła się wcale na myśl o pieszej wędrownicy przez pustynię.

Wysiadła z samochodu i poczuła, jak jej jasna skóra napina się protestująco. Rowan otworzył swój plecak i zaczął pakować w niego chipsy dla Lily.

– Nie przestawaj transmutować słonecznego ciepła – poinstruował ją. – Będzie ci lepiej. W razie czego mam zapas kremu na poparzenia.

– Super – wymamrotała. Wyjęła z torby bluzę z kapturem i narzuciła na ramiona, wołała się spocić, niż poparzyć.

Kanapka przeliczył zapasy wody i spojrział na mapę.

– Nie jest najgorzej, ale dobrze też nie – zwrócił się do Rowana. – Mamy dość wody, żeby dotrzeć do stacji benzynowej za tymi wydymami, ale będziemy musieli naprawdę ostro przeć do przodu.

– Trudno. Tak zrobimy – odpowiedział. Nie musiał im przypominać, że nie mogli czekać, aż słońce zajdzie. Musieli być w ruchu.

Wziął jedną butelkę wody, wrzucił do środka trochę ziół i mocno wstrząsnął. Odciągnął Lily na bok i podał jej mieszankę.

– Trzymaj. Da ci to zastrzyk energii na jakiś czas.

Lily opróżniła butelkę, rozszerzyły jej się źrenice, a mięśnie wypełniła niezwykła lekkość. Sabat mknął przez wydmy z niesamowitą prędkością.

\*\*\*

Carrick usłyszał zniekształcony głos docierający z czarnego urządzenia przy pasku Simms. Poprawił mundur, by ukryć plamę krwi na kołnierzu. Choć Simms pozostawała na nogach bez nawet chwili odpoczynku, towarzyszący jej funkcjonariusze zmieniali się często. Wystarczająco często, żeby Carrick mógł „pożyczyć” mundur jednego z nich i zastąpić go na posterunku bez wzbudzania

niczyich podejrzeń.

– Grupa nastolatków pasujących do opisu była widziana na drodze do Parku Narodowego Great Sand Dunes w Kolorado – poinformował agentkę bezcielesny głos. – Jadą na kalifornijskich blachach.

Chwilę później podyktował kombinację liter i cyfr, którą Carrick doskonale pamiętał. To była Lily i jej sabat. Ku jego zaskoczeniu wyraz twarzy agentki świadczył, że i ona miała tę pewność, choć przecież nie widziała samochodu Lily.

– To oni – powiedziała do urzędnika. – Śledźcie ich, ale nie zbliżajcie się, dopóki nie przyjadę. – Simms odwróciła się do funkcjonariusza w cywilnym stroju. – Odpalajcie śmigło. – zakomenderowała. Miała rozszerzone źrenice i Carrick wyczuł, że na skórze wystąpił jej pot niosący wyraźną woń adrenaliny. Za to mężczyzna, z którym rozmawiała Simms, nie wydawał się przekonany.

– Mamy setki podobnych zgłoszeń – zaproponował. – Masa nastolatków wybiera się teraz na wycieczki do parków narodowych. Dlaczego po prostu nie poprosimy lokalnych, żeby ich skontrolowali i przysyłali nam zdjęcia?

– Abbot, to oni – zapewniła go stanowczo. – Jestem tego pewna. Marnujemy tylko czas.

Jednak ten irracjonalny wybuch tylko osłabił jej pozycję w oczach kolegi.

Westchnął i zacisnął palce u nasady nosa.

– Ostatnio mieliśmy naprawdę masę roboty.

– To oni – powtórzyła cicho Simms. – Od samego początku coś było z tą sprawą nie tak. Zaginięcia w dziwnych okolicznościach, rytualne zabójstwa, a teraz broń nuklearna. Musimy ich powstrzymać, zanim... – urwała, nie była w stanie określić, czego w zasadzie się obawia.

– Nie mamy pewności czy to oni – zaczął Abbot.

Ale Simms już go nie słuchała. Ominęła innego funkcjonariusza i wyszła na zewnątrz, by samodzielnie wezwać owo śmigło.

– Cholera! – zaklął Abbot i ustąpił. – Wyślijcie jej wsparcie.

– Jakże? – zapytał mundurowy.

– Jakże się da – odpowiedział Abbot, wyrzucając ręce w powietrze.

Carrick wyszedł za Simms. Widział, jak krzyczy na sternika niedużego statku z obrotowymi ostrzami na dachu. Wydawało się, że te ostrza tną powietrze na kawałki i Carrick szybko zrozumiał, że ma przed sobą śmigło.

– Ja tu dowodzę, nie Abbot – wrzeszczała Simms na sternika. – I chyba nie muszę ci przypominać, że tu chodzi o terrorystów, poza tym... – Zauważyła postać zbliżającą się do maszyny. To był jeden ze świadków z domu na skarpie. Miller. – Co ty tu robisz? – krzyknęła do niego.

– Lecę z wami – powiedział. – To ona. Oboje to wiemy. – Przepędował nerwowo z nogi na nogę. – Muszę z wami lecieć.

Simms spojrzała na Carricka, jakby dopiero teraz zauważyła jego obecność.

– A ty?

– Szef Abbot powiedział, że mam lecieć z panią – skłamał gładko i spojrział na sternika. – Powiedział, że mamy się pospieszyć.

Sternik uniósł ręce w geście bezsilności i zaczął manipulować przy drążkach i przyciskach.

– Wszyscy na pokład – zarządził.

Carrick wskoczył na tylne siedzenia, pozwalając Simms zająć miejsce z przodu. Nie żeby robiło jej to jakąś różnicę. Oboje z Millerem byli zbyt skupieni na tym, by znaleźć się jak najbliżej mocy bijącej od Lily, nie byli w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Carrick uśmiechnął się szeroko, wpatrując się w tył głowy Simms. Śmigło oderwało statek od ziemi.

Ludzie zawsze przestają zwracać uwagę na szczegóły, gdy są blisko osiągnięcia celu.

\*\*\*

*Lily. Simms was znalazła. Leci do was z ogromną prędkością i ciągnie ze sobą mnóstwo ludzi w mundurach. Ktoś słyszał, jak rozmawialiście o bombach Alaryka. Mówiąc o tobie, używa określenia, które sprawia, że szeregi twoich przeciwników rosną z każdą chwilą.*

*Jakiego?*

*Terrorystka.*

Lily zatrzymała się i spojrzała na stację benzynową po drugiej stronie szosy, kilka jardów od nich. Wypowiedziane przez Lillian słowo wciąż dzwoniło jej w myślach złowieszczym echem.

– Co się dzieje? – zapytał Rowan.

– Simms nas znalazła. Jest blisko.

Członkowie sabatu spoglądali wzdłuż wąskiego pasa asfaltu, aż do miejsca gdzie rozmywał się z horyzontem. To była boczna droga. Rzadko używana. Odkąd zeszli z wydm, widzieli na niej tylko jedną ciężarówkę, która przemknęła z ogromną prędkością, zostawiając za sobą tumany kurzu i falę gorącego powietrza.

– Potrzebujemy wody – stwierdziła Una.

Lily przełknęła ślinę. Tristan patrzył na nią z troską. Spróbowała się do niego uśmiechnąć, ale za bardzo bolały ją popękane usta. Spojrział na stację benzynową i warknął ze złości.

– Idę tam – oznajmił. Rowan złapał go za ramię, Tristan natychmiast strząsnął jego dłoń. – Nie dojdziemy do następnej. Teraz albo nigdy, Ro.

Rowan ustąpił.

Kanapka westchnął i też ruszył w kierunku stacji.

– Chyba powinien iść z nim ktoś, kto wie, jak wyglądają amerykańskie banknoty.

Reszta sabatu została na poboczu. Wiatr dmuchnął mocniej, kradnąc z ich ciał wilgoć. Chmury były tak rozrzedzone, że jedynie rozcieńczały błękit nieba. Oto znaleźli się w krainie nieskończonego letniego popołudnia, bez żadnego schronienia, z utęsknieniem czekając na zachód słońca.

*Godzina wieżm,* zaszeptał ktoś w głowie Lily.

– Przysięgam na Boże Narodzenie, jeśli ten pajac gawędzi sobie z kasjerką...  
– wyrwało się Unie.

Kanapka wrócił po chwili, która zdawała się trwać wieczność. Był już w połowie szerokości drogi, gdy ze stacji wyszedł Tristan z szerokim uśmiechem na twarzy. W chwilę później usłyszeli szum wirników helikoptera.

– Uciekać! – wrzasnął Caleb.

Niebiesko-czerwone światła pojawiły się nagle z obu końców wąskiej szosy. Kanapka przebiegł szybko na drugą stronę i pochwycił wyciągnięte ręce Uny. Helikopter przeleciał nad flotą radiowozów i zawisł nad uciekającą grupką. Powietrze spod śmigła uderzyło w nich jak wodospad.

Rowan odwrócił się do Lily z uśmiechem przesyconym żalem. Za nim, po drugiej stronie jezdni, odcięty od pozostałych przez pech i fizyczną odległość, stał Tristan. Rowan wiedział, co Lily pomyśli, zanim zdołała ubrać to uczucie w słowa.

*Tylko nie on. Nie mogę stracić jeszcze jego.*

– Ochronię go. Obdaruj mnie! – zawołał Rowan.

Lily ściągnęła do siebie żar pustyni. Nagle wszystko uniosło się w powietrze. Jakby grawitacja uległa jej mocy. Samochody, policjanci biegnący w ich stronę, nawet skały, wszystko oderwało się od ziemi i ruszyło ku niebu. Huk potoczył się po wydmach, a wieżmi wichur skręcił się w słupek i wyrzucił Lily w górę, w sam środek niezwykle zimnego wiru. Helikopter przechylił się jak pijany, trącony silnym prądem powietrza. I Lily zobaczyła siedzących w środku ludzi jak na talerzu.

Pilot, desperacko walczący o panowanie nad maszyną, nie zwrócił nawet uwagi na dziewczynę unoszącą się na tej samej wysokości, co śmigłowiec. Simms patrzyła na nią z mieszanką przerażenia i triumfu. Lily rozpoznała pobladłego ze strachu Millera, choć nie mogła zrozumieć, jakim cudem się tam znalazł. A za nimi siedział Carrick. Głód, z jakim się jej przyglądał, odebrał Lily oddech. Carrick bez trudu poruszał się po kabinie śmigłowca, nie odrywając wzroku od Lily ani na chwilę, otworzył drzwi i rzucił się w dół z gracją węża.

Helikopter zbliżał się do ziemi niezgrabnie, o włos mijając stację benzynową. Carrick wylądował na kolanach i przeturlał się przez ramię, rozładowując energię upadku. Wstał, strzepnął kurz z munduru i ruszył w kierunku

armii policjantów biegnącej do Rowana.

Rowan stał samotnie pośrodku drogi i czekał. Upewnił się, że Tristan dołączył do reszty grupy, spojrział raz jeszcze na Lily i rzucił się wprost na sunącą ku niemu falę przeciwników.

Skoczył, a Lily tchnęła w niego moc, unosząc głowę ku niebu i krzycząc w szalonej ekstazie. Wolit Rowana zapłonął magicznym blaskiem. Oślepił pierwszy szereg funkcjonariuszy. Ci osunęli się na kolana, zasłaniając twarze w niezdarnej próbie chronienia oczu. Uderzył na kolejny szereg, nim zdążyli wyjąć broń z kabur. Poruszał się między nimi tak szybko, że jego trasę dało się określić, jedynie patrząc na nieprzytomnych policjantów, jakich za sobą zostawiał.

Trzeci szereg zdążył dobyć pistoletów i jak na komendę wystrzelił w kierunku zbliżającego się do nich potwora.

Huk wystrzałów ucichł, nim zdążył wybrzmieć. Lily przyjęła energię tysięcy małych eksplozji równie radośnie, jak nocne niebo przyjmuje fajerwerki. Obdarzyła resztę sabatu nowymi siłami i pomknęli po zmrożonych wydmach niczym spadające gwiazdy.

Radiowozy wciąż nadciągały z obu kierunków. Droga zaczęła przypominać rzekę błyskających świateł. Wystrzały pojawiały się teraz zupełnie losowo. I choć Lily pochłaniała energię kul tak szybko, jak potrafiła, nie była w stanie wychwycić wszystkich. Nie mogła ryzykować, że znów straci któregoś ze swych mechaników. Musiała nadać im odporności, tak jak to zrobiła w walce z Rojem. To przecież nic wielkiego. Niewielka różnica zaledwie, nic strasznego, przynajmniej w porównaniu ze śmiercią.

Tylko Rowan zorientował się, gdy Lily posiadała jego kamień i przejęła nad nim całkowitą kontrolę.

*Nie, Lily. Co ty robisz?*

*Wzmacniam ciebie, wzmacniając siebie.* Jeszcze chwilę stawiał opór, ale bardzo szybko się poddał.

Lily użyła do transmutacji energii wszystkich wolitów jednocześnie. Dodatkowe pięć źródeł w połączeniu z jej trzema napęliło ją mocą, jaką jeszcze nigdy dotąd nie władała. Napęliła ciała mechaników taką dawką energii, że Rowan zapomniał, iż cokolwiek było nie w porządku.

Stała się Nimi.

Oni zaryczeli, przepelnieni pragnieniem walki. Oni skakali po samochodach, by jak najszybciej dopaść ukrytych za radiowozami wrogów. Nie miało znaczenia, jak wielu stawia czoła. Oni byli niepokonani. Patrzyli na świat ze swojego powietrznego tronu, mrużąc z przyjemności, jaką sprawiała im bitwa. I wtedy zobaczyli między sobą kogoś, kto nie był jednym z nich. Fałszywą nutę, która zaburzyła dźwięk w ich symfonii.

Bańka ekstazy, która ją otaczała, pękła i Lily znów była sobą.

Carrick nie obezwładniał swoich przeciwników. Zabijał każdego policjanta, który stawał mu na drodze. Poczula, że krew krzepnie jej w żyłach.

*Lillian, musisz powstrzymać Carricka. Zabija niewinnych.*

*Czuje, że musi zabijać, by cię chronić,* odpowiedziała jej druga wersja.

*Kłamie. Robi to, bo sprawia mu to przyjemność.*

Lily widziała, jak na tyłach zbierają się cięższe jednostki, wyrzutnie rakiet, czołgi i karabiny snajperskie. Carrick będzie zabijał dalej. Jeśli ona nie powstrzyma teraz sabatu, nie będą mieli wyboru i też zaczną zabijać.

Widziała, jak oficerowie meldują gotowość. Mieli zamiar odpalić wszystko w jednym momencie, ale skoordynowany atak mógł tylko wzmocnić siły Lily. Im więcej mocy pochłaniała, tym groźniejszy stawał się jej sabat.

Rowan także dostrzegł ciężkie uzbrojenie i czuł, co się szykuje.

*Lily, musimy stąd zniknąć,* odezwał się. *Jeśli tego nie zrobimy, za chwilę zginą setki ludzi. Musimy skoczyć. Nie dostaniemy się na wschód w tym świecie, jeśli będziemy musieli zmagać się z takimi przeciwnikami.*

*Jeśli przeniesiemy się teraz do twojego świata, będziemy maszerować miesiącami. Nie zdążymy zebrać mojej armii. W tym czasie wojska Lillian zostaną zmiecione przez Rój. Zginą setki tysięcy ludzi,* oponowała Lily.

Musieli dostać się na wschód i musieli dostać się tam teraz. Lily musiała przynajmniej spróbować skoczyć. Wysłała swojego ducha na zwiad.

Z wysoka dostrzegła twarz otaczającej ich krainy. Zobaczyła piach na skałach, pomarszczoną skórę, okrywającą kości. Posłała swojego ducha głębiej, by znalazł kryjący się za twarzą umysł. Kraina miała swój puls, wyjątkową tożsamość, która objawiała się niską, ciężką wibracją. Nie było innego miejsca na ziemi, które pulsowałoby w tym samym rytmie. Wiedziała, że jeśli kiedyś zapragnęłaby tu wrócić, wystarczy, że odtworzy ten rytm w swoim wolicie, a otworzy drogę do tego miejsca. Przywołała ducha z powrotem do swojego ciała.

Spojrzała w dół na Simms, która gapiała się na nią ze złością. Krew ściekała jej z rany na czole, ale agentka nie zamierzała ustąpić. Nie mogła się poddać – tak samo jak Lily. Simms wspomniała kiedyś, że wychowywała się w Beverly, położonym zaledwie kilka mil od Salem, gdzie dorastała Lily. Może to ta kraina sprawiła, że obie były tak samo uparte. Może to właśnie była wibracja, do której Lily powinna się dostosować.

Lily zobaczyła, jak jeden z oficerów unosi dłoń i wydaje komendę „Ognia!”. W akcie desperacji znów wysłała swojego ducha w przestrzeń. W tej chwili czuła wdzięczność dla pustyni za to, że pozbawiła jej ciało potrzebnej wody. Szybko odnalazła Mgłę i zamiast w niej dryfować, wbiła się prosto do nadświata.

Rozejrzała się wśród szarości. Otaczało ją coś, co przypominało jakby niewyraźną odbitkę jej świata, bardziej duch niż realne miejsce. Wiedziała, że



równie dobrze mogłaby teraz pokonać niewyobrażalną odległość w mgnieniu oka albo przez wieczność walczyć o zrobienie choć jednego kroku. Znalazła się w krainie cieni, nieustannie się zmieniającej, w której można było się zgubić równie łatwo jak w pianie wszechświatów, jeśli nie miało się jakiegoś drogowskazu, latarni prowadzącej do właściwego celu. Pomyślała o swoim domu. Przypomniała sobie niesforne fale oceanu nieustannie rozbijające się o nieugiętą skałę. Przywołała niski gwizd wiatru i cichą wibrację skalistego podłoża. Jej duch dotarł tam w jednej chwili.

W tej postaci mogła bez problemu usłyszeć wibrację swojej krainy. Nie zdziwiło jej też, że знаła ją od lat. Była pod jej skórą, płynęła w jej krwi. Wróciła do ciała.

Ściana ognia już prawie ich dosięgnęła, gdy Lily odtworzyła wibrację swojego Salem w wolicie. Zebrała energię, którą skierowali w jej stronę przeciwnicy, i przeniosła sabat na drugą stronę kontynentu.

\*\*\*

Carrick uniósł głowę znad krwawej jatki i zorientował się, że wszyscy mundurowi uciekali w popłochu. To mogło oznaczać tylko jedno. Mieli zamiar zakończyć konflikt jedną silną salwą. Coś takiego wzmocniłoby Lily, ale nie Lillian, bo ta nie była obecna, żeby pochłonąć energię wystrzałów.

*Trzeba mi więcej siły, pani, zawołał do swojej czarownicy.*

*Nie mogę ci już bardziej pomóc, Carricku, odpowiedziała. Sugeruję, żebyś uciekał.*

W ferworze walki nie zauważył, że wrócił na miejsce, w którym starcie się rozpoczęło. Zobaczył wrak helikoptera, wskoczył za niego, by się schronić, i poczuł, że coś ciągnie go do ziemi.

– Trzymać go! – szczeękęła Simms.

Miller ze sternikiem przydusili Carricka ze wszystkich sił. Próbował się wyrwać, ale właśnie wtedy opuściły go resztki mocy, którą ofiarowała mu Lillian. Sternik wyciągnął broń z kabury, wycelował w Carricka i to położyło kres szamotaninie. Carrick oparł się o wrak i demonstracyjnie uniósł puste dłonie. Były czerwone od krwi jego przeciwników.

Simms spojrzała na Lily lewitującą nad polem bitwy. Ręce miała szeroko rozłożone, a jej drobne stópki zwiisały nad nimi.

– Na twoim miejscu bym się schował – ostrzegł Carrick.

Sekundę później od strony policyjnej barykady rozległ się wściekły ryk wystrzałów i... zamilkł. Błysk eksplozji również zgasł w ułamku sekundy. W ciszy słychać było grzechot spadających na ziemię pocisków, które nagle zostały pozbawione całej energii. Dało się usłyszeć gwałtowny podmuch wiatru, jakby ziemia gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Czarownica i jej sabat zniknęli.

Wszyscy zamilkli. Najpierw wpatrywali się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą lewitowała Lily. Potem rozległy się zdumione okrzyki, które zmieszały się z jękami rannych. Simms podczołgała się do Carricka. Twarz miała bladą jak ściana.

– Wyjaśnisz mi to – powiedziała cichym, drżącym głosem. – A gdy już to zrobisz, powiesz mi, gdzie się przeniosła i jak ją złapać.

Spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– A niby dlaczego miałbym to zrobić?

Simms dała znak sternikowi. Znów wycelował w Carricka pistolet.

– Nie zostaniesz postawiony przed sądem. Nie wsadzimy cię do celi, z której mógłbyś zniknąć jak pozostali. Po prostu zginiesz, tu i teraz – obiecała. – Albo powiesz mi to, co chcę wiedzieć.

Uśmiechnął się do niej.

– Nie pasujesz do tego świata. Ale znam taki, w którym czułabyś się doskonale.

## Rozdział 9

Lily spadła z nieba.

– Łapcie ją! – krzyknął Rowan.

Caleb był najbliżej. Udało mu się doskoczyć do niej, nim uderzyła o ziemię. Wyciągnął potężne ramiona i Lily wpadła w nie z impetem. Caleb chciał ją postawić, ale zaraz znów podniósł, gdy tylko zorientował się, jak bardzo jest osłabiona.

– Zmęczona? – mruknął domyślnie.

Kiwnęła głową, a świat zakołysał jej przed oczami. Ale przynajmniej był to jej świat.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– W moim ogrodzie. – Opuściła głowę na ramię Caleba i westchnęła głęboko. – Zadziałało.

– Lily? – Usłyszała głos Juliet.

Lily uniosła głowę i zobaczyła zaniepokojoną twarz siostry, wyglądającą z okna na piętrze.

– Juliet! – zawołał Rowan, zanim zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie – Powinniśmy wejść do środka.

– Tak, oczywiście. Jasna cholera... – Z góry dobiegł stłumione łupnięcie, gdy Juliet wpadła na coś z pośpiechu, a potem szybkie kroki, gdy zbiegała po schodach. Otworzyła drzwi, a sabat wszedł do środka. Teraz, gdy Lily już nie karmiła ich mocą, poczuli zmęczenie bitwą i wszystkie odniesione rany.

– Wchodźcie, wchodźcie – popędzała Juliet, przytrzymując drzwi. – Jesteście cali? Jak dotarliście tutaj tak szybko? – zarzucała ich pytaniami.

Lily objęła siostrę za szyję i rozplakała się. Juliet wyraźnie się wystraszyła, ale przygarnęła ją opiekuńczo.

– Zgaduję, że macie mi dużo do opowiedzenia – powiedziała, głaszcząc jej włosy.

Weszli do kuchni i usiedli. Una i Kanapka na zmianę wyjaśniali, co się wydarzyło. Lily próbowała się uspokoić, lecz łzy wciąż napływały jej do oczu, nieważne jak często je ocierała. Co chwila łapała Juliet za rękę i ścisła, by dodać sobie otuchy.

Wieść o własnej śmierci Juliet przyjęła, decydując się potraktować temat pobieżnie, przynajmniej na razie. Zamiast tego zrelacjonowała przybyłym wszystko, co działo się w jej świecie od chwili ich zniknięcia.

– Prasa nazywa tę sprawę „Morderstwami Czarnej Magii”. Zrobili z tego szopkę w mediach – stwierdziła z goryczą. Przypomniała sobie o czymś i zwróciła się do Tristana. – Nieważne, co usłyszysz o swoich rodzicach, nie wracaj do domu. Będą chcieli wydać cię policji.

Tristan spojrział na nią zmieszany, aż w końcu do niego dotarło.

– Nie ten Tristan – poprawił Juliet niezręcznie.

– Gdzie on jest? – zapytała, spojrzała na Lily i gwałtownie wciągnęła powietrze. – Nie. Nie mówcie, że on też...

Odrętwiała Lily kiwnęła głową.

– Nie żyje – powiedziała, by fakt nabrał realności.

Juliet odchyliła się na krześle, jakby ktoś ją spoliczkował. Zakryła usta dłonią. Miała nieobecny wzrok.

– Nie... O Boże... – mamrotała. – Nie wierzę.

– Nie żyje – powtórzyła Lily i po raz pierwszy sama zaakceptowała tę myśl.

Położyła głowę na blacie. Przy tym stole tysiące razy siadali z Tristanem, jedli, gadali, grali, kłócili się... Wspomnienia popłynęły wartką falą: Tristan rozdający karty, pykający cygarem z gumy balonowej. Ich dwoje krążących wokół stołu, próbujących ułożyć nieukładalne puzzle z obrazkiem góry cukierków w kształcie czerwonych serc. Tristan zjadający hot-doga z winogronowym dżemem. Wspólne odrabianie lekcji. Wspólne robienie absolutnie niczego. Znow się rozpląkała. Ktoś położył jej dłoń na plecach.

– Już dobrze, Lillian – powiedziała Samantha.

Podniosła głowę ze stołu i wcisnęła twarz w brzuch matki.

– To moja wina – łkała. – To przeze mnie nie żyje. Oni wszyscy zginęli przeze mnie.

– O nie, kochanie – zaprzeczyła mama. Odchyliła buzię Lily i otarła jej łzy. – Nie miałaś wpływu na to, co stało się z Tristanem ani z twoim ojcem. – Zachichotała nerwowo, a jej oczy zapłonęły milionem równoległych światów. – To nawet bardziej przerażające. Dlatego większość ludzi, gdy traci kogoś bliskiego, woli poczucie winy zamiast bezsilności. Ale prawda jest taka, że nie miałaś na to wpływu.

Uśmiechnęła się do córki, jakby to, co powiedziała, w jakiś sposób poprawiło sytuację. Lily przestała płakać. Ale nie dlatego, że poczuła się lepiej. Wręcz przeciwnie.

Samantha odsunęła się i odwróciła do Rowana.

– Ty powinieneś jej to powiedzieć – stwierdziła. – Co stało się w twoim namiocie, gdy Lily była nieprzytomna.

– Co się stało? – zapytała jej córka, ale Samantha odeszła, nucąc coś pod nosem. Lily spojrziała Rowanowi w oczy.

– Co się stało?! – zażądała.

Twarc Rowana była pozbawiona wszelkich emocji.

– Nie wiem – wymamrotał.

– Pogarsza jej się – wtrąciła się Juliet, patrząc ze zmartwioną miną na Samanthę wspinającą się po schodach – Kamery, policja, przesłuchania, presja, by

za każdym razem opowiadać tę samą historię, gdy nawet nie jest pewna, w którym świecie się znajduje. To zbyt wiele.

Lily dopiero teraz spojrzała uważnie na siostrę. Juliet straciła na wadze. Oczy miała podkrążone.

– A ty jak się trzymasz? – spytała Lily. – Jak studia?

– Jakie studia? Rzuciłam, żeby zająć się mamą. – Przetarła twarz ręką. – Nie żebym miała jakiś wybór. Dziennikarze czekali na mnie pod drzwiami każdej sali.

– Zrzuńowałam ci życie – podsumowała Lily.

Juliet zdołała się uśmiechnąć.

– Nie słyszałaś, co powiedziała mama?

– Że to nie moja wina?

– Właśnie. – Juliet popatrzyła po członkach sabatu i zobaczyła, w jakim są stanie. – Wyglądacie okropnie – stwierdziła i w odpowiedzi uzyskała falę ponurych uśmiechów. Spojrzała na Kanapkę, który podtrzymywał jedną rękę drugą. – A tobie co się stało?

– Postrzelili mnie. – Pokazał czerwono-fioletową pręgę na ramieniu. – Ale kula nie przeszła na wylot. Można powiedzieć, że się odbiła. Ale najpierw mnie walnęła.

– Dlaczego nie zszedłeś jej z drogi? – zapytała Una.

Przewrócił oczami.

– Kolor mi się podoba. Au!

Tristan podciągnął koszulkę, by pokazać Kanapce paskudny ślad pod żebrami.

– Ja mam lepszy siniak – powiedział, po czym skrzywił się z bólu i opuścił koszulkę.

– To niesamowite. Wszyscy jesteście kuloodporni? – zdziwiła się Juliet.

– Zwykle nie. – Rowan spojrzał na Lily podejrzliwie – Co nam zrobiłaś?

Czarownica złożyła przed sobą dłonie tak, by stykały się nadgarstkami, i poruszała palcami.

– To trochę jak takie pole, rozumiesz?

– Nie rozumiem – odparł.

– Pole siłowe w sensie – wyjaśniła, czując się głupio.

– Jak w tym filmie „Gwiezdne Wojny”, który kazałaś mi oglądać? – spytał zdeorientowany.

– Nie, tam była Moc. Pole siłowe to raczej ze „Star Treka” – sprostował Kanapka. – Ogromna różnica.

– Zrobiłaś to już wcześniej – skojarzyła Una. – Dlatego Robotnice nie mogły nas użądlić, gdy walczyliśmy z Rojem. Robisz się w tym coraz lepsza.

– Nie spotkaliście się z tym wcześniej? – rzuciła Lily lekko, jakby nie było to nic ważnego.

– To ja cię nauczyłem wszystkiego, co wiesz na temat magicznego pola – przypomniał jej Rowan. – I wiem, że nie jest na tyle silne, żeby powstrzymać kule. Ty zrobiłaś co innego. Przez moment to czułem.

– Bo to nie jest takie pole magiczne – wycofywała się Lily. – Zamiast wlewać energię w wasze wolity, wykorzystuję je, żeby transmutować ją bezpośrednio. Wtedy wy jesteście otoczeni polem energii na tyle silnym, by odbijało kule. Przynajmniej przez chwilę.

– Kontrolujesz nasze wolity? – Tristan nie czuł się dobrze z tą myślą. Poprawił się na krześle. – A nas też kontrolujesz, kiedy to robisz?

W ogniu walki żadne z nich nie byłoby w stanie zauważyć różnicy, tak subtelnej, że Lily zaczęła mieć serdecznie dość tej nieprzekraczalnej granicy. No i co z tego, że posiadała ich ciała, żeby to zrobić? W ten sposób zostali przy życiu.

– Zrobiłam to tylko na moment, gdy do was strzelali. – Prychnęła z desperacją i zwróciła się do Rowana. – To była pierwsza rzecz, której mnie nauczyłeś. Pamiętasz, jak kazałeś mi wyleczyć kostkę poprzez twój wolit, mojej pierwszej nocy w twoim świecie? Albo jak walczyliśmy ze Splotami przy chacie? Też nie miałam wtedy wolitu, więc użyłam twojego, żeby transmutować energię. Teraz zrobiłam to samo. – Patrzyła na zaniepokojone miny członków swojego sabatu. – Zawsze to wiedziałeś, Rowan, wiedziałeś, że mogę użyć wolitu każdego z moich naznaczonych, jak swojego. Czy to taka wielka sprawa, że przejęłam wasze ciała na sekundę czy dwie, żeby uratować wam życie?

Podszyszała, jak Rowan szepcze do siebie w myślach: „Ja to zrobiłem”. Mina mu się wydłużyła, gdy patrzył na nią. Nieoczekiwanie w jego pamięci pojawiło się wspomnienie:

...Tristan siedzi naprzeciwko mnie, zły i zazdrosny. Lily wciąż jest w moim łóżku i wiem, że on myśli, że do czegoś między nami doszło. I doszło. Pozwoliłem jej mnie naznaczyć, a teraz dałem jej wolit, narzędzie, by mogła stać się prawdziwą czarownicą. Jestem takim durniem. Może powinien dać sobie spokój i najlepiej sam zacząć wieszać ludzi?!

– Co się stało z trzymaniem jej z dala od swojej głowy? – pyta Tristan.

– Nie miałem wyboru – odpowiadam, zadowolony, że ta rozmowa nie odbywa się w myślach. Bo miałem wybór. Mogłem uciekać i zostawić ją na pewną śmierć. Dlaczego nie mogę odpuścić? – Wierz mi. Już tego żałuję – zapewniam go.

– Jak w ogóle na to wpadłeś?

– Pomyślałem o tym, jak uleczyła swoją nogę – odpowiadam. – To było ryzykowne, ale uznałem, że skoro już transmutowała energię w sobie, używając mojego kamienia, to przelanie jej z powrotem we mnie to tylko następny krok.

– Cholernie poważny krok. – Tristan sprawia wrażenie wystraszonego. Powinien się bać. Ja się boję. – Myślisz, że mogłaby wtargnąć do naszych kamieni? Bez pozwolenia?...

Wspomnienie błysnęło i zgasło, a Lily odruchowo spojrzała na smuklejszą i długowłosą wersję Rowana z tamtej opowieści. Jedno się natomiast nie zmieniło. Nadal jej się obawiał.

– O co chodzi z tym wtargnięciem do kamienia? Co to znaczy? – spytała. Czowała płynące od reszty dezorientację i ciekawość.

– To znaczy, że nie musisz dotykać woluty, żeby go naznaczyć – odparł Rowan, z jego tonu wynikało, że nie zamierzał już unikać nieuniknionego. – Możesz posiąść dowolny kamień, o ile nie zajęła już go inna czarownica. – Zmarszczył brew, jakby tknięty nagłą myślą. – I może mogłabyś nawet ukraść wolit innej czarownicy. Musiałabyś z nią walczyć, ale raczej mało która miałaby szansę dotrzymać ci pola.

– Jedna od razu przychodzi mi do głowy – mruknęła Lily, przypominając sobie wrażenie, jakie miała, dotknąwszy woluty Królowej Roju.

– Grace? – odgadł Rowan.

– Naznaczała Sploty, używając mówiących kamieni od dziesiątek lat – odparła Lily. – Może spokojnie wtargnąć do woluty. I jest silna. Jeśli fizycznie dotknęła woluty, to raczej nie zdołałabym go jej odebrać. Ale jeśli go nie dotykała i używała kamieni mówiących do naznaczenia, to dam radę jej odebrać taki wolit.

– Skąd wiesz? – spytał Tristan.

– Bo już to zrobiłam. – Poczwała na sobie palące ciekawością spojrzenia i zrozumiała, że musi im wyjaśnić, bez względu na to, jak bardzo te wyjaśnienia mogą niektórymi wstrząsnąć. – Naznaczyłam Splota, którego nazywam Płową. Kiedyś należała do Grace. Dotknęłam jej woluty i teraz należy do mnie.

– Ten Splot kojot, który zaatakował nas pod Baltimore – stwierdził Tristan. – To dlatego szła naszym śladem.

Lily przytaknęła niepewnie.

– Drugi Tristan ci o tym powiedział?

– Pokazał mi wspomnienie was dwojga siedzących pod drzewem, rozmawiających o badaniach nad Splotami. Powiedziałaś mu, żeby zostawił ją w spokoju, że ona nas nie skrzywdzi – potwierdził Tristan. Spojrzał na blat kuchennego stołu i powiódł po nim rękoma, jakby dopiero teraz go rozpoznał. – Pokazaliśmy sobie niemal wszystkie wspomnienia, gdy byliśmy na szlaku.

Kształt jego dłoni, rysy jego twarzy w doskonale znanym świetle domu niemal pozwoliły Lily zobaczyć w nim jej Tristana. Powstrzymała się jednak. Jeśli zacznie myśleć, że obaj byli tą samą osobą, że jej Tristan nadal żyje w tym świecie, wtedy jego śmierć przestanie mieć znaczenie.

– A więc nie tylko nas teraz kontrolujesz, ale jeszcze naznaczasz Sploty?! – spytał Caleb ze ściśniętym gardłem. – Mamy może zostać braćmi w kamieniu z tą Płową? Podzielić się wspomnieniami w mowie myśli? O, przepraszam, jak to się będzie nazywało w odniesieniu do kojota? Szczekanie w myślach? – Skrzywił się

ze wstrętem.

Lily zerknęła na Rowana i zobaczyła, że przygląda jej się z ostrożnością wymalowaną na twarzy.

– Widzicie, dlatego wam nie mówiłam. – Wyrzuciła ręce. – Sploty są inteligentne... Mają myśli i uczucia, jak my. Wiedziałeś, że to Płowa nas ocaliła? To ona skoczyła na Grace, dając Carrickowi szansę...

– Musiała tylko na kogoś wskoczyć i już jest inteligentna? – odparował Caleb, podrywając się na nogi. – Pewnie Carricka też będziemy musieli przyjąć, bo zapalił ogień?

– Nie, to nie... tego nie powiedziałam – wyjąkała Lily bez tchu. – Sploty... Carrick... To nie to samo!

– Może nie dla ciebie – odpowiedział Caleb, marszcząc brwi. Tristan też wstał i położył dłoń na ramieniu przyjaciela, ale Caleb ją stracił. – Nie mów mi, że mam być spokojny. – Spojrzał na Rowana. – Dobrze wiesz, dlaczego jestem taki zły.

Rowan skinął głową i opuścił wzrok na swoje dłonie. Zapadła pełna frustracji cisza.

– Lillian? Czy wszyscy są już gotowi do drogi? – spytała Samantha, przerywając to napięcie.

Odwrócili się do niej, po raz pierwszy od lat miała na sobie wyjściowy strój i niosła spakowaną walizkę. Jej dłoń raz po raz podrywała się do potarganych włosów.

– Chodzi o to, że niektóre wersje nas już odeszły, no to uznałam, że i my niedługo ruszymy – wyjaśniała niepewnie i przestąpiła z nogi na nogę jak małe dziecko.

– Co masz na myśli, mam? – zapytała Juliet z łagodną cierpliwością.

– Musimy wracać do tamtego świata, Juliet, bo ty i ja jesteśmy jedynymi osobami, które mogą przekonać Lillian i tego tam, Alaryka, żeby połączyli siły. – Samantha odwróciła się do Lily, prostując ramiona i spoglądając zaskakująco przytomnie. – Masz mnóstwo do zrobienia, Lillian, więc musimy cię szybko podpalić, żebyś mogła się do niej zabrać.

Członkowie sabatu, całkowicie zaskoczeni, zapomnieli, że kłócą się ze sobą i zagapili na Samanthę.

– Może pani widzieć przyszłość? – zdziwił się Kanapka.

– Nie. – Samantha roześmiała się cicho. – W innym wszechświecie nie było tej kłótni przed chwilą, co zaoszczędziło mnóstwo czasu. Niektóre wersje nas już przeszły do następnej sprawy, to znaczy, Lily zaczęła przekonywać Juliet i mnie, byśmy wróciły z wami. – Zastanowiła się. – Nie nazwałabym tego przyszłością, tylko nieco inną linią czasu.

Wpatrywali się w nią jeszcze kilka sekund i wreszcie Rowan odchrząknął.



– Sądzę, że najpierw powinniśmy coś zjeść i odpocząć. Wkrótce się ściemni. Wtedy zaczniemy budować stos.

Caleb wyszedł z kuchni, wciąż kipiąc złością. Rowan chciał pójść za nim, ale Tristan go powstrzymał.

– Ja to załatwię – zapowiedział i poszedł za swym bratem w kamieniu.

Una i Kanapka zaczęły wyciągać jedzenie i napoje z lodówki. Juliet podniosła się, wyraźnie zaniepokojona.

– Naprawdę muszę wrócić tam z wami? – spytała.

– Tak – powiedziała Lily, było jej żal Juliet i bała się o nią. – To niebezpieczne i nie prosiłabym cię o to, gdyby nie to, że w ten sposób ocalimy tysiące istnień.

– Jak mogę się nie zgodzić w takiej sytuacji? – spytała Juliet z westchnieniem. – Wyjaśnij mi to wszystko, jak będzie okazja, dobrze?

– Oczywiście – zapewniła Lily i siostry uśmiechnęły się do siebie nawzajem.

– I tak naprawdę, możesz odmówić.

– Nie mogłabym. Uznam, że w innym wszechświecie wysłuchałam twoich argumentów i zostałam przekonana. – Juliet westchnęła ponownie. – Nie żeby moje życie tutaj było takie wspaniałe. – Wstała. – Lepiej zbiorę swoje rzeczy.

– Nie bierzcie zbyt wiele – uprzedził je Rowan. – Nie wiem, na co natkniemy się po skoku. Może być, że będziemy musieli od razu uciekać.

Juliet skinęła głową i podeszła do Samantha.

– Chodź, mamó. Zobaczymy, co tam spakowałaś. – Wzięła walizkę matki i lekko nią potrzasnęła. W środku coś zagrzecotało. Juliet pytająco uniosła brwi.

– To tylko zabawki dla kota – wyjaśniła Samantha zakłopotana.

– Nie mamy kota – powiedziały jednocześnie Lily i Juliet.

– Och, to dobrze! – wykrzyknęła z ulgą Samantha. – To by było straszne.

Lily odprowadziła spojrzeniem Juliet i matkę, które udały się na piętro.

– Wiecie, w którymś ze światów mamy kota – mruknęła, przypominając sobie, że matka już kiedyś mówiła coś podobnego. – I w tym świecie coś złego się staje.

– Ale tobie czy kotu, to jest pytanie – stwierdził Rowan.

Lily wzruszyła ramionami i spojrzała na niego uważniej. Una i Kanapka przygotowywali kolację, więc Lily i Rowan byli przy stole sami.

– Co powinieneś mi powiedzieć? – spytała, nie zapomniawszy o wcześniejszych słowach Samantha.

Rowan uśmiechnął się z żalem i potrząsnął głową.

– Nie mogę – uciał stanowczo i zanim zaczęła obstawać przy swoim, ujął jej rękę, by złagodzić trochę ostrość słów. – Daj spokój, dobrze?

Patrzyła, jak delikatnie wodzi kciukiem po grzbiecie jej dłoni. Czekał, by go powstrzymała, i wiedziała, że w końcu to zrobi, ale przez chwilę pozwoliła sobie

udawać, że nie rozumiała, co to znaczy. Usłyszała, jak jego oddech staje się głębszy, i poczuła iskrzenie w powietrzu między nimi. Jej spojrzenie zawadziło o blat stołu, przy którym ona i Tristan tak często siadywali, i pomyślała, że gdyby Rowan był z nimi, gdy walczyli z Rojem, to Tristan może i dzisiaj by tu z nimi siedział. Wyjęła dłoń z palców Rowana. Jeśli go to zraniło, nie dał po sobie poznać. Oboje zaczęli się już przyzwyczajając do tego tańca do przodu i wstecz, drobienia wokół tego, co się stało, i według ich obojga odstać się nie mogło.

– Twojej matce potrzebny będzie wolit, by mogła skoczyć do mojego świata – powiedział Rowan.

– Rzeczywiście – zmartwiła się Lily. – Co zrobimy?

– Ostatnio, gdy tu byliśmy, wyhodowałem więcej, niż było nam potrzebne. Schowałem je wtedy. – Wstał i delikatnie powiódł opuszkami palców po jej policzku. – Zajmę się tym – oznajmił i ruszył za Juliet i Samanthą.

Lily usłyszała głuchy stukot siekiery i wyjrzała przez okno. Nie było jeszcze ciemno, ale Caleb zaczął już rąbać drewno na stos Lily. Tristan wrócił do domu, wzruszył ramionami, odpowiadając na pytające spojrzenie Lily, i udał się za Rowanem na piętro.

– Jedz. – Una postawiła przed Lily pojemnik z humusem i torebkę z plackami pita.

– Ta, i nie martw się o Caleba – dodał Kanapka, podsuwając jej słoik z piklami. – Musi upuścić pary.

Lily wiedziała, że to coś znacznie poważniejszego.

– Wy dwoje nie macie mi nic do powiedzenia? – spytała, sięgając po jedzenie.

Wymienili spojrzenia i Kanapka postanowił zacząć.

– Byłoby miło z twojej strony, gdybyś powiedziała nam, co robisz, niż pozwoliła dowiedzieć się w ten sposób – powiedział z lekką naganą.

– Rozumiemy, że zrobiłaś to, by nas chronić – dodała Una.

– Nawet nie wiedziałam, co robię, gdy walczyliśmy z Rojem – wtrąciła Lily. – Przysięgam, to się po prostu stało.

– I doceniamy – kontynuowała przyjaciółka. – Ale i tak powinnaś coś powiedzieć, gdy już wiedziałas, w czym rzecz.

Lily pomieszała humus kawałkiem placka; wolała wpatrywać się we wzór na powierzchni potrawy, niż spojrzeć przyjaciółom w oczy. Przypomniała sobie, co to znaczy tworzyć mozaiki i jak Rowan jej tłumaczył, że czarownice ciągle robią coś takiego.

– Robicie z igły widły. Przecież to nie było dla zabawy, nie przeszukuję waszych umysłów, szukając tajemnic. Wiedźmy robią swoim naznaczonym o wiele gorsze rzeczy niż to, co ja zrobiłam, żeby was chronić.

– Niby tak, ale my nigdy nie zostalibyśmy naznaczonymi takiej wiedźmy –

odparł Kanapka, dając jej tym samym najsubtelniejsze ostrzeżenie.

– Chcecie mi powiedzieć, że mam tego więcej nie robić? – spytała Lily.

Znów wymienili się spojrzeniami, tym razem zatroskanymi.

– Każesz nam wybierać pomiędzy naszą wolnością a bezpieczeństwem, ale tu jest miejsce na coś pośredniego – odpowiedziała Una. – Możesz najpierw poprosić o naszą zgodę.

– Byłam zajęta ratowaniem wam życia. Nie miałam czasu zatrzymać się i zapytać, czy nie macie nic przeciwko – warknęła Lily z kwaśną miną.

– Lily, mnóstwo rzeczy możesz usprawiedliwić, mówiąc, że robisz to, żeby ratować życie – powiedział Kanapka ostrym tonem, tak do niego niepodobnym. – Zaczyna się od rzeczy niewielkich. Sprawdzania cudzych maili, ludzie nawet tego nie zauważają, prawda? Tak jak my nie zauważyliśmy, gdy nas posiadałaś. Ale to początek równi pochyłej. Naprawdę chcesz dotrzeć do samego dołu?

W obliczu analogii z własnego świata Lily nie mogła dłużej udawać, że miała rację. Potrząsnęła głową.

– Myślicie, że Caleb mi wybaczy?

– Nie wiem – odparła Una szczerze. – Jeszcze go nie straciłaś, ale możesz, jeśli nie odpuścisz. Rozumiesz?

– Tak.

– To dobrze. – Una odprężyła się i uśmiechnęła do Lily. – I dzięki za uratowanie nam życia.

Lily odpowiedziała uśmiechem, choć w gardle rosła jej twarda kula.

– Nie mogę już stracić żadnego z was – powiedziała. – Nie mogę. Dlatego to zrobiłam – mówiła nienaturalnie wysokim, łamiącym się głosem. – Przepraszam.

– My zajmiemy się Calebem – zaproponował Kanapka.

Lily zgodziła się na tę propozycję i wreszcie zaczęła jeść. Z pełnym brzuchem udała się na górę, by wziąć prysznic i zmienić ubranie. Sypialnia pachniała obco. Policja przeszukiwała jej rzeczy i większość była w pudłach. Lily stała owinięta ręcznikiem i rozglądała się jak gość, niepewna, czy może usiąść na łóżku. Nie była zła czy zmartwiona faktem, że jakiś obcy człowiek czytał jej wypracowania z ósmej klasy albo przeglądał kolekcję szpitalnych opasek na rękę, będących pamiątką po chorowitym dzieciństwie. Była zbyt odrętwiała, by czuć się urażona, i zbyt wiele przeszła, by oplakiwać utratę przedmiotów. Wiedziała też, że przyjdzie jej stracić jeszcze więcej.

Powiedziała Unie i Kanapce, że nie jest w stanie stracić już nikogo więcej, a jednak miała świadomość, że gdy stanie do walki z Rojem, to ona i jej sabat nie mają raczej wielkich szans, aby ująć z tego z życiem. A jednak i tak zamierzała wrócić i zabrać ich ze sobą.

Otworzyła komodę i wyciągnęła z niej T-shirty, które nakłaniały każdego, kto ją mijał, by ratował dzieci, ratował wieloryby, ratował świat. Kiedyś myślała,

że jest krzyżowcem. Tym dobrym bohaterem. Teraz nie wiedziała już, co to znaczy. Odłożyła T-shirty i zasunęła szufladę.

Usłyszała delikatne pukanie do drzwi.

– Tak?

– Lily, masz chwilę? – Tristan pchnął drzwi i zobaczył, że Lily ma na sobie tylko ręcznik. Opuścił wzrok. – Przepraszam, przyjdę później.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego spod uniesionych brwi. – Widziałeś mnie nagą niemal codziennie, w trakcie jakiegoś tam rytuału. O co chodzi?

Zawahał się w progę.

– Chodzi o Rowana. Jest coś... – przerwał i się odwrócił.

– Samantha zaczyna się denerwować – oznajmił Rowan, stając za Tristanem. – Mówi, że powinnaś ją naznaczyć jak najszybciej, żebyśmy mogli już stąd odejść.

– Powiedziała dlaczego? – spytała Lily. Rowan potrząsnął przecząco głową. Odczekał, aż Tristan wyjdzie i zamknął drzwi, żeby Lily mogła się przebrać.

Zeszła na dół w zwiewnej sukience, odsłaniającej szyję i jej trzy woluty.

Samantha kręciła się roztrzęsiona, wyłamując dłonie, miała rozbiegane, niespokojne oczy.

– Musimy się zbierać, Lillian – powiedziała.

– Dlaczego? Co się dzieje? – Lily starała się usunąć ze swego głosu całą frustrację, jaka ją przepelniała. Zazwyczaj, gdy matka zachowywała się w ten sposób, Lily nie mogła wyciągnąć z niej czytelnej odpowiedzi, ale tym razem było inaczej.

– Idzie tu – odparła Samantha. – A może już tu jest?

– Kto? Kto tu jest?

– Simms.

Rowan doskoczył do okna i wyjrzał.

– Wszyscy na zewnątrz – zarządził chrapliwie. – Szybko, Lily na stos.

Lily poczuła dłoń Tristana na plecach, popychał ją w stronę drzwi.

– Chodź, mamó! – krzyknęła zdenerwowana, że Samantha zostanie. Zobaczyła, że Juliet łapie matkę za rękę i ciągnie do wyjścia, i wtedy uświadomiła sobie, że nie zdążyła jej jeszcze naznaczyć.

Wypadła na dwór. Samochody cicho podjeżdżały pod dom. Zapłonęły liczne światła i Lily przestała widzieć cokolwiek, ale słyszała tupot nóg i sapanie biegnących ludzi. Caleb pierwszy dotarł do stosu i rzucił zapalniczkę na zgromadzone drewno. Buchnął płomień, Lily poczuła woń benzyny.

– Rowan! – Rozległ się głos, od którego natychmiast ścierpła jej skóra. Nie chciała się zatrzymać, ale wystarczyło, że usłyszała Carricka i jej nogi wrosły w ziemię.

Carrick zawołał coś do Rowana, a ten warknął coś w odpowiedzi. Tak rzadko słyszała, jak Rowan mówi w rodzimym języku, że teraz potrzebowała

sekundy, by to sobie uświadomić. Carrick znów się odezwał i Rowan zaatakował.

Nie miał w sobie sił od Lily, ale jego dłonie tak szybko złapały za srebrne noże, że trudno było zauważyć ten ruch. Opadł na kolano, ominął zastawę Carricka i ciał, celując w ścięgno pod kolanem przybranego brata. Carrick wywinął salto, o włos unikając utraty nogi, i rzucił się naprzód z nożem w jednej, a siekierą w drugiej dłoni.

Powiedział coś i uderzył płynnym ruchem, rozpoczęła się wymiana ciosów. Cięli, dźgali, siekali w przód i w tył, próbując przedostać się przez blokady przeciwnika.

Lily poczuła, że ktoś ją podnosi. Zobaczyła dłonie Tristana wokół swojej talii.

– Lily, zabierz nas stąd! – krzyknął.

Trawnik zapelniał się policjantami. Trzy helikoptery zawarczały nad domem, oświetlając potężnymi reflektorami palący się stos i walkę na noże. Tristan rzucił Lily w płomień i pomknął pomóc Rowanowi.

Lily zachwiała się, gdy płonące polana osunęły się pod jej rękoma. Udało jej się wyprostować, gdy żar zaczął palić jej skórę. Dźwignęła się na kolana, rozrzuciła ramiona szeroko, krzycząc z bólu. Zobaczyła zszokowaną, kredowobiałą twarz Simms biegnącej do stosu. Zobaczyła matkę, która wpatrywała się w nią, i nie miała pojęcia, jak do niej dotrzeć. Płonęła, ale nie przetwarzała energii, nie szykowała się do skoku, nie mogła przenieść sabatu i zostawić tu Samantha.

– Mamo! – wrzasnęła. – Musisz do mnie przyjść.

Samantha drgnęła, jakby obudziła się z głębokiego snu, i podbiegła do stosu. Lily sięgnęła poprzez płomień i złapała wolit spoczywający na wyciągniętej dłoni matki.

– Przepraszam – Samantha próbowała przekrzyczeć ryk ognia.

Lily nie miała pojęcia, dlaczego matka ją przeprosza, ale w tej samej chwili jej palce dotknęły woluty Samantha i zrozumiała.

Tysiąc chwil, niemal takich samych, a jednak różniących między sobą nieznacznie, rozciągnęło się w umyśle Lily niczym sznur pereł nanizanych na nić. Wciąż wyciągała dłoń do woluty, dotykała woluty, wytrącała wolit z dłoni matki, łapała go, zanim upadał na ziemię, dotykała woluty drugą ręką, niezliczone możliwości pojawiały się w jej umyśle, niczym obrazki na tasowanych szybko kartach.

– Nie próbuj objąć wszystkiego, Lillian – krzyknęła Samantha. Lily uświadomiła sobie, że próbuje przytaknąć, ale nie wiedziała, jak przestać. Samantha włożyła w płomień drugą dłoń i wymierzyła córce policzek.

Tysiąc wersji Samantha uderzyło Lily i trzeba było siły ich wszystkich, żeby skłonić ją do wypuszczenia woluty matki i przywrócić do właściwej chwili obecnej.

Koszula Rowana zwisała pocięta i krew spływała mu po boku. Caleb i

Tristan przydusili Carricka do ziemi. Simms zaatakowała Tristana. Była niezłą wojowniczką, silną jak wół i dwakroć tak zajadłą. Kanapka i Una po drugiej stronie stosu próbowali powstrzymać napierających policjantów, ci zaś skryli się za tarczami, wyciągnęli pałki i natarli na dwoje mechaników. Tuż za linią policji Lily zobaczyła twarz Millera, skamieniała w desperacji maskę; krzyczał coś, próbując dotrzeć do Lily.

*Lillian. Musisz mnie poprowadzić przez pianę wszechświatów, zawołała w myślach.*

*Jestem. Pospiesz się. Już jesteś strasznie poparzona.*

Lily odetchnęła i wiedźmi wicher zawył jak żywe stworzenie. Gdy wypuściła powietrze, zarówno ona, jak i jej sabat znajdowali się już w świetle Lillian.

Usłyszała tylko, że ktoś, kogo kocha, wymawia jej imię. I wtedy przyszedł ból.

\*\*\*

Toshi był zdziwiony, że wciąż wolno mu było odwiedzać strefę zastrzeżoną.

Po tym, co wydarzyło się z Lily i Rojem, spodziewał się, że Grace będzie go trzymać pod kluczem, ale tak się nie stało. I kiedy przechodził pod biczami Sióstr w punkcie kontrolnym, by wrócić do Bower, zrozumiał dlaczego. Przyznając mu tyle wolności, ile miał wcześniej, Grace udowodniała, że nie tylko się go nie bała, ale też że cała ta wolność, którą się cieszył, była jedynie iluzją.

Zmierzył spojrzeniem Siostrę, gdy ta odsunęła się na bok, pozwalając Toshemu przejść. Nadal nie wiedział, czy Grace widzi wszystko to, co Rój, czy też otrzymuje przekaz dotyczący tylko tych kwestii, które Siostry albo Robotnice uznały za ważne. Po raz kolejny uderzyło go, jak bardzo obce były Sploty. Co takie Siostry mogą uważać za istotne? Miały swój język? A może tylko przesyłały Grace obrazy? A jeśli przesyłały obrazy bez słów, jak efektywne było to całe ich szpiegowanie?

Grace zabroniła mówić komukolwiek, że to ona kontroluje Rój, aczkolwiek gdy przyszła do pokoju Toshiego po tym, jak wrócili z lasu, nie wydawała się jakoś szczególnie zmartwiona, że mógłby to zrobić. Chciała przede wszystkim porozmawiać o tym, jakim sposobem Lily zniknęła, ale Toshi nie miał pojęcia. Kiedy wreszcie uwierzyła, że on nic nie wie, mógł podnieść kwestię, która to jego dręczyła najbardziej.

– Po co to kłamstwo, Grace? Po co udajesz, że to Rój wszystko kontroluje?

– Wiesz, czego nauczyłam się przez wszystkie te lata budowania i ulepszania miasta? – odpowiedziała pytaniem, ale Toshi wzruszył ramionami, nie był zainteresowany zabawą w zgadywanki. – Dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie dba o to, jak zapala się światło, jak oczyszcza się wodę, jak dbamy o porządek na ulicach dopóty, dopóki wszystko działa.

Uśmiechnęła się do niego niemal tęsknie i Toshi przypomniał sobie noc sprzed trzydziestu lat, kiedy stali razem, rozmawiając pod gwiazdami. Nie potrafił powiedzieć, kto kogo pocałował, ale pamiętała, że przez chwilę był szczęśliwy. Przez chwilę.

– Kłamstwo jest dla tego jednego procentu, który nie zniósłby życia pod rządami ludzkiego dyktatora. To tak naprawdę akt miłosierdzia. – Jej spojrzenie stwardniało, znów widział w Grace to, co skłoniło go przed laty do zerwania. – Kłamstwo jest po to, żebym nie musiała zabijać tego jednego procentu.

– Grace Miłosierna – rzucił z goryczą.

Uśmiechnęła się do niego z wyższością.

– W Bower nikt nie znika w niewyjaśnionych okolicznościach. Ludzie nie są uciszani ani terroryzowani. Mają pracę, prawa, dobrobyt i świetne szkoły dla swych dzieci. Nie ma zbrodni, biedy, chorób. Nikt nie chce, by to się zmieniło. Nie chcą prawdy i jeśli im powiesz i będę zmuszona uciszyć jakieś powstanie, to będzie twoja wina. – Musnęła ramię Toshiego gestem kochanki, którą kiedyś była, a on cofnął się natychmiast. Opuściła dłoń. – Pozwól kłamstwu trwać, Toshi.

Kiedy wyszła, nawet nie zawracała sobie głowy zamykaniem drzwi. Bo i po co? Prywatność była iluzją.

Toshi nie chciał jej wierzyć. Pomyślał, że na pewno byli jacyś niezadowoleni, ludzie, których nie można kupić za wygodny styl życia. Ale nie znalazł nikogo takiego. Po dwóch dniach rozmowy szyfrem z rodziną i przyjaciółmi opuszczał strefę bardziej sfrustrowany, niż był, gdy do niej wkraczał. Sądził, że jeśli gdziekolwiek znajdzie rebeliantów, to właśnie tu. Nie mógł bardziej się mylić.

Ludzie w strefie nie dbali o to, czy Rój kontroluje miasto albo Grace, kontrolując Rój, oni tylko chcieli mieszkać w tym mieście.

Radę, jaką udzielił mu ojciec po japońsku, należałoby przetłumaczyć jako: nie wsadzaj kija w mrowisko.

Toshi spędził cały dzień w sklepie swojej rodziny, próbując wyczuć klientów, czy byli wśród nich tacy, którzy zbuntowaliby się, gdyby wiedzieli, że to Grace, a nie zagadkowy i nieunikniony Rój trzymał ich tu w chorobie i biedzie. Zadawał hipotetyczne pytania i w odpowiedzi otrzymywał jedynie puste spojrzenia i zażenowane uśmiechy. Żyli w świecie, gdzie na porządku dziennym było przeklinanie Roju, ale za tymi przekleństwami kryła się chęć, by zostać przez ten Rój zaakceptowanym, zostać uniesionym za granicę punktów kontrolnych do lśniącego miasta nad morzem.

Nocą Toshi siadał przy konającej matce. Widział rosnącego w niej raka, myślał, z jaką łatwością mógłby usunąć go z jej ciała. Ale nie wolno mu było tego zrobić.

Spytał matkę, dlaczego nie chciałaby zmiany. Położyła swą pomarszczona

dłoń obok jego gładkiej i uśmiechnęła się, patrząc na wiecznie młodą twarz.

– Nie jesteś chory... Nigdy nie będziesz chory – wyszeptała.

I to jej wystarczało. To wystarczało większości mieszkańców strefy. Póki wierzyli, że ich dzieci będą wiodły magiczny żywot w Bower, nie chcieli zmiany.

Toshi wskoczył do wagonika i zawisł na poręczy, wpatrując się w okno z poczuciem beznadziei. Lśniące ulice zdawały się z niego szydzić, tak samo jak dziesiątki zdrowych, silnych ludzi ze swoimi doskonałymi ciałami i pięknymi twarzami.

Grace miała rację. Gdyby chciał coś zmienić, rzuciliby się do walki z nim, nie z nią. To, czego dokonała Grace, było absolutnie genialne. Jej ofiary znajdowały się daleko i stanowiły problem kogoś innego. Karą było wygnanie z Bower, a wszyscy chcieli dostać się do miasta.

Wysiadł z kolejki i piechotą przebył kilka ostatnich kwartałów dzielących go od gubernatorskiej willi. Grace nie sugerowała nawet, że go wyrzuci czy zdegraduje, jednak Toshi był pewien, że teraz już nigdy nie pozna sekretu hodowania wolitów. Gdyby tajemnica tej formuły kiedykolwiek wydostała się z Bower, to monopol miasta na magię i dominacja nad światem skończyłyby się definitywnie.

Po długim namyśle Toshi doszedł do wniosku, że nigdy nie miał szans zostać zastępcą Ivana. Grace przestała mu ufać, gdy zobaczył w jej oczach tę nieugiętość, okrucieństwo i zakończył ich związek. Wiedziała, że jeśli jej nie kochał, to nie dałby się kontrolować, a nie zamierzała powierzyć sekretu wolitów komuś, kogo kontrolować nie mogła. Toshi zastanawiał się, co takiego miała na Ivana.

Wszedł do budynku, ale nie udał się do swoich pokoi, zamiast tego poszukał naczelnego mechanika. Minął dziesiątki pokoi, dziesiątki przejść i korytarzy prowadzących do innych budynków. Ich fasady sprawiały wrażenie, jakby każdy z nich stał oddzielnie, ale tak naprawdę niemal wszystkie rządowe budowle były połączone. Wszystkie drogi tutaj prowadziły do Grace.

Znalazł Ivana w stacji przesyłowej. Wietrzne, ogromne pomieszczenie brzęczało elektrycznością generowaną przez trzydzieści mufl i innych wiedz m transmutujących energię dla miasta. Każda stała w marmurowej niszy, zawieszona w powietrzu na kolumnie łagodnego magicznego wiatru. Płonące blaskiem wolity podświetlały ich twarze. Czarownice wyglądały jak śliczne świetliste posągi. Skupieni przy każdej mechanicy obserwowali stan ich ciał, pilnując, by żadna nie przekroczyła swoich granic wytrzymałości. Na podłodze pełno było soli i rozmaitych ziół. Zastawione stoły czekały na czarownice, które skończyły swoją zmianę. Z szacunku jedzenie zawsze przedstawiano tak, jakby wypływało z rogu obfitości.

Jedyną rysą na hipnotyzującym pięknie stacji przesyłowej były grube kable,



którymi prąd płynął do miasta, ale stanowiły nieodzowny element. Ivan pilnował, by nikomu nie zawadzały ani za bardzo nie rzucały się w oczy. Spokojna czarownica to czarownica produktywna. A dbanie o to, by miejskie generatory prądu były szczęśliwe, wydawało się rozsądnym posunięciem.

Ivan odczytywał wartości na miernikach, gdy Toshi zaszedł go od tyłu i klepnął w ramię. Naczelnny mechanik odwrócił się i uśmiechnął do protegowanego.

– Nie wiedziałem, że dziś pracujesz – zaczął i przestał się uśmiechać, gdy zauważył wyraz twarzy Toshiego.

– Możemy porozmawiać?

Ivan gestem przywołał kogoś, kto go zastąpił. Razem z Toshim poszli w dół korytarzem, przez tylne drzwi, aż do osobistego laboratorium Ivana. W przeciwieństwie do stacji przesyłowej, laboratorium było ciemne, pełne brudnych retort, i niewielkich fiolek z różnymi eliksirami.

Niewiele było miejsc, w których Toshi czułby się równie dobrze, z tym wiązało się wiele jego wspomnień z dzieciństwa. Po tym, jak został wybrany przez Rój i zamieszaniu, jakie wywołało jego związanie się z tak dużym i imponującym wolitem, tylko w laboratorium czuł się podobnie, jak w sklepie rodziców. Toshi nie słyszał, by ktokolwiek chciał wracać do strefy albo choć o tym wspominał, więc pachnące kwasami, czasem lepkie, a bywało że i wybuchowe laboratorium stało się jedynym miejscem, gdzie mógł się schować, gdy tęsknił za domem, co, jak mu mówiono, było niestosowne.

Zamarynowane istoty, w połowie rozwinięte, zanim zostały zniszczone, żółkły zanurzone w chemikaliach na półkach wzdłuż jednej ściany. Był to swoisty zapis eksperymentów, udanych i nie, jakie przeprowadzano na Splotach przed wielu laty.

Kiedyś Toshi spytał Ivana, dlaczego je tu trzyma, ten odparł: „By przypominały mi, czego nie robić”.

– Co cię dręczy? – zagaił Ivan i Toshi gwałtownie powrócił do terażniejszości. Naczelnny mechanik przysiadł na krawędzi stołu poznaczonego śladami przypaleń i złożył dłonie na kolanach z tą samą cierpliwością, którą miał dla swojego ucznia, nawet gdy ten na nią nie zasługiwał.

– Czy to ty stworzyłeś Rój dla Grace?

To pytanie położyło kres dekadom dobrych wspomnień Toshiego związanych z tym pomieszczeniem, niczym paskudny zapach unoszący się nad dobrym jedzeniem, skaził je wszystkie.

Ivan opuścił wzrok.

– Skąd wiesz?

– Jesteś mistrzem magii kuchennej. I to jedyne, co przyszło mi do głowy, gdy zastanawiałem się, dlaczego zachowałeś milczenie. Musiałeś to zrobić, skoro chciałeś, by nikt się o tym nie dowiedział, przez tyle lat. A co z resztą Splotów?

– Nie mogę powiedzieć, że tylko ja byłem odpowiedzialny, ale brałem w tym udział. – Ivan przełknął ślinę z wysiłkiem. – Spory udział. To ja przygotowałem kuchnię dla Grace, żeby mogła zrobić Sploty. – Przetarł oczy dłonią i nagle ich spojrzenie stało się znacznie starsze. – Bower było faktorią handlową, wyjętą spod prawa. Byliśmy śmiertelnie przerażeni, że Salem dowie się o naszym istnieniu i pozabija wszystkich. Nie zdołalibyśmy się oprzeć Wschodnim Sabatom. Wtedy Grace wpadła na pomysł ze Splotami. Byłem wtedy młody, zły, i przysięgam ci, przekonany, że Sploty będą żyć jedynie przez pokolenie. Nie miałem pojęcia, że ona nauczy się, jak je skłonić do wytwarzania wolitów i przejmie nad nimi kontrolę. To żadne usprawiedliwienie, ale jedyne, jakie mam.

– Ilu ludzi o tym wie? – spytał Toshi.

– Wszyscy dawno nie żyją – odparł. – I ja też nie powinienem.

Ironia tego faktu odbierała dech w piersiach. To Ivan wynalazł mydło i spowolnił proces starzenia, a Toshi je ulepszył i niemal całkowicie zniwelował powolne obumieranie ciała. Jeśli człowiek chciał się zestarzeć i umrzeć, wystarczyło, że przestał używać mydła.

– A dlaczego tak nie jest? – spytał Toshi z nagłym okrucieństwem.

Ivan uśmiechnął się, przyjmując gniew Toshiego, jego niewypowiedziane oskarżenie o zdradę.

– Wiedziałem, że nigdy nie naprawię tego, co zrobiłem, ale jeśli pomogę wystarczającej liczbie ludzi, to może moje życie nie będzie farsą – roześmiał się cicho. – Dlaczego jeszcze nie umarłem? Bo za tyle grzechów muszę odpokutować, że pewnie będę żył wiecznie.

Obaj zauważyli Robotnicę pełznącą po udzie Ivana. Toshi zobaczył odrazę i pogardę swego nauczyciela, jakich ten dotąd nie ośmielił mu się pokazać, i po prostu wiedział.

Pracowali ze sobą przez pięćdziesiąt lat, więc teraz Toshi bez trudu dostrzegł subtelną zmianę w Iwanie, zmianę sugerującą, że ten chce zabrać się do pracy. W ciągu tych lat wyleczyli nieuleczalne, naprawili nieodwracalnie zniszczone i właściwie położyli kres śmierci ze starości. Rozwiązywanie największych problemów, jakie postawiła przed nimi biologia, dawało im przewagę nad tym milionem obserwujących ich oczu.

Bez słowa, bez ruchu Toshi i Ivan postanowili wspólnie rozwiązać i ten problem. Toshi wstał i sięgnął po fartuch laboratoryjny. Będą pracować, aż znajdą sposób, by zniszczyć Rój.

## Rozdział 10

W jakimś momencie nocy Lily zorientowała się, że miota się w wielkim, białym łóżku.

Czuła kojący dotyk dłoni i trawiastą woń maści Rowana chłodzących jej zwęgloną skórę. Bez względu na to, ile razy wchodziła na stos, wystawianie się na żer płomieni nigdy nie stawało się prostsze. Do takich obrażeń jej ciało nie mogło się przyzwyczać nawet za sto lat, a skoro nie potrafiła – lub, jak w tym przypadku, nie mogła – transmutować ciepła wystarczająco szybko, agonia była ceną, którą musiała płacić.

Kiedy cierpienie stało się nie do zniesienia, Lily znalazła Lillian czekającą we Mgle. Usiadły na tratwie, zwrócone ku sobie, z podciągniętymi nogami i podbródkami opartymi na kolanach.

*Ty przecież nie weszłaś na stos, zdziwiła się Lily. Dlaczego tu jesteś?*

*Jestem tu każdej nocy, odpowiedziała Lillian.*

*Twoja choroba tak się rozwinęła?*

Lillian uśmiechała się do niej, tratwa kołysała się na ciemnej wodzie.

*To już nie potrwa długo, odparła.*

Lily pomyślała o ciemnoczerwonym wolicie Toshiego, żałując, że nie naznaczyła uzdrowiciela, choćby dla dobra Lillian.

*Czy mogę ci jakkolwiek pomóc?*

*Tak. Możesz pomóc mi zniszczyć Bower.*

Lily nie odpowiedziała. Pomyślała o wszystkich mieszkańcach Bower, którzy nie mieli pojęcia o tym, co zrobiła Grace. Nie zasłużyli na śmierć. Lily nie wiedziała jednak, jak zapewnić im bezpieczeństwo, gdy wojna już się rozpocznie. Gdy o tym rozmyślała, Lillian zadała jej inne pytanie.

*Jak zabrałaś swój sabat z piaszczystych wydm aż do Salem?*

*Nie mogę ci tego jeszcze zdradzić.*

*Dlaczego?*

*Musisz poczekać na mnie i wysłuchać, co mam ci do powiedzenia.*

*Nie mam czasu na czekanie. Umieram.*

*Wytrzymaj, Lillian. Jestem w drodze.*

\*\*\*

Lily wstała razem ze słońcem. Otworzyła piekące oczy i zobaczyła kamienne ściany, szerokie okna, a po drugiej stronie pomieszczenia kominek dość duży, by mogła się w nim zmieścić cała.

Znała ten pokój. Znajdowała się w sypialni Lillian w Cytadeli.

Dźwignęła się i zauważyła, że nie jest w łóżku sama. Rowan leżał przy niej, nagim ramieniem zakrywał oczy przed słońcem. Tristan także tu był, zwinięty u jej stóp. Juliet, Kanapka, Una i Samantha zwisali w niewygodnych pozach z różnych mebli. Brakowało jedynie Caleba.

Poczuła, jak Tristan drgnął i się obudził. Uniósł powieki i westchnął z ulgą na jej widok.

*Hej, pomyślał. Wyglądasz znacznie lepiej.*

*Wciąż czuję się, jakby mnie przezuto i wypluto.* Uśmiechnęła się do niego. *Gdzie Caleb?*

*Wyszedł gdzieś z przyjacielem. Nadal jest wściekły,* odparł Tristan.

*Straciłam go? Serce ścisnęło jej się na tę myśl.*

*Jeszcze nie zdecydował. Musiał zniszczyć swój pierwszy wolit, kiedy był jeszcze dzieciakiem, żeby uciec swojej pierwszej czarownicy, i nie ma ochoty powtarzać tego doświadczenia.*

Lily przypomniała sobie, jak Caleb opowiadał jej o swoim krótkim szkoleniu w Cytadeli. Został naznaczony przez okrutną czarownicę, która zwykła przejmować kontrolę nad jego ciałem dla zabawy. Nigdy nie podzielił się żadnym z tamtych wspomnień, a Lily nie nalegała. Dotarło do niej, że uczyniła mu to samo, choć z zupełnie innych powodów. Mogła tylko mieć nadzieję, że okażą się one dla Caleba wystarczająco dobre, by wrócić. Na razie jednak kolejny ruch należał do niego.

Nie wiedziała właściwie, co począć, rozejrzała się, nieobecny spojrzeniem wodząc po baliach zakrwawionej wody, po strzępach bandażu i butelkach ziół walających się dookoła. Pozostałości po bitwie o jej zdrowie. Członkowie sabatu leżeli w dziwacznych pozycjach pogrążeni w głębokim śnie, jakby wycieńczenie uderzyło w nich na podobieństwo fali przyływu i rozrzuciło niczym drewno na brzegu.

*To dopiero była noc,* pomyślał Tristan. Lily uchwyciła fragmenty jego wspomnień.

Zjawili się na dziedzińcu Cytadeli, geograficznie było to miejsce odpowiadające położeniu podwórka domu Lily w jej wersji Salem. Nieliczni strażnicy pozostawieni, by chronić Namurze, uznali ją za Lillian i bez słowa sprzeciwu wprowadzili całą grupę do środka. Spoglądali ze zdumieniem na Samanthę, przywróconą z grobu, ale byli żołnierzami Namurza. Nie kwestionowali decyzji swojej czarownicy. Wszyscy westchnęli z ulgą, widząc lorda Falla z powrotem w Cytadeli, zwłaszcza gdy wiedźma była w takim stanie. Lily widziała się oczami Tristana – patchwork z czarnej sadzy i czerwonej krwi zwisający w ramionach Rowana.

Usłyszała słowa „lord Fall” brzmiące w umyśle Tristana i poczuła jego

wewnętrzzną walkę między szacunkiem a zazdrością, która nigdy w nim tak naprawdę nie ustawała. Elitarni wojownicy Namurza szanowali Rowana i czuli się pewniej pod jego rozkazami, podczas gdy on, Tristan, był dla nich ledwie dodatkiem. Spojrzał na rozluźnione ciało Rowana, na jego pierś wznoszącą się i opadającą w rytm oddechu, i coś innego niż rywalizacja wkradło się do jego myśli.

*Wciąż go kochasz? – spytał, podnosząc ku niej oczy.*

*Nigdy nie pokocham nikogo innego, odpowiedziała. Jednak za każdym razem, gdy niemal rzucam mu się w ramiona, przypominam to sobie.*

*Przypominasz co?*

*Żeby to zrozumieć, musiałabym dać ci coś poczuć, a to może być dla ciebie zbyt wiele.*

*Daj mi szansę.*

Lily skinęła głową i pozwoliła temu Tristanowi poczuć to, co ona, gdy Obdarowała swojego Tristana tuż przed tym, jak zginął w walce z Rojem. Pozwoliła temu Tristanowi poczuć moc, którą mogła mu dać. A potem pozwoliła mu poczuć, jak Obdarowała Rowana.

Tristan wciągnął gwałtownie powietrze z zamkniętymi oczami, odwracając twarz od tego bezmiaru. Lily poczekała, aż odzyskał oddech, zanim podjęła dalsze wyjaśnienia.

*To tylko wspomnienie tego, do czego jest zdolny Rowan. Gdyby był moim głównym mechanikiem, gdy znalazł nas Rój...*

*Myślisz, że twój Tristan wciąż by żył. Obwiniasz go o to. To niesprawiedliwe, Lily, nawet Rowan nie mógłby pokonać Roju sam.*

Lily uchwyciła się sposobu na przelanie czegoś, co było od dłuższego czasu gmatwaniną emocji, w jedną spójną myśl.

*Tu nie chodzi tylko o Tristana czy o mnie. Porzucił nas wszystkich. Gdy Rowan został z Alarykiem i zostawił nas samych w trakcie wyprawy przez kontynent, tak wielu zginęło, bo nie było go, żeby ich chronił. Tego nie potrafię mu wybaczyć.*

*Ale zmienił zdanie i ruszył za nami, przypomniał jej Tristan.*

*Szedł za nami, podczas gdy powinien nas prowadzić. Bez względu na to, co czuł do mnie, nigdy nie powinien był porzucić sabatu.*

*Ma rację, Rowan dołączył do ich rozmowy.*

Lily patrzyła, jak leży, wciąż zasłaniając oczy przedramieniem, ze smutnym uśmiechem na twarzy, i nie mogła tego znieść. Tristan otworzył usta, ale Rowan wszedł mu w słowo, zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Nie, Tristanie, nie. Nie usprawiedliwiaj mnie. – Spojrzał na Lily, wyraźnie myślał o czymś intensywnie. – Po prostu odpuść.

Przez moment trwali w napięciu, a gdy pozostali członkowie sabatu zaczęli się budzić, Rowan i Tristan ostatecznie zamilkli.

– Wciąż jesteś przypieczona na chrupko? – zachrypiał Kanapka głosem zardzewiałym od snu.

Lily spojrzała na różową skórę ramion.

– Nie – odparła, sprawdzając jej jędrność palcem. – Chyba już nic mi nie jest.

– Obudziłaś się – stwierdziła zdumiona Una.

Lily pomachała jej, zmuszając się do bladego uśmiechu.

– Czuję się mniej więcej tak dobrze, jak ty wyglądasz.

– Bardzo śmieszne – mruknęła Una, przeczesując palcami splątane włosy.

Rowan wstał z łóżka, minę miał chmurną.

– Nie ruszaj się zbyt wiele – ostrzegł. – Było o wiele prościej cię poskładać, gdy miałem pod ręką swoje narzędzia, ale jeszcze nie doszłaś całkiem do siebie.

Otworzył szufladę, z której wyciągnął białą koszulę, potrząsnął nią, aby wygładzić zmarszczki. Wciąż na wpół nagi i najzupełniej swobodny w niekompletnym stroju, otworzył drzwi.

– Gavin! – zawołał, a jego głos poniósł się szerokim korytarzem.

Kiedy Rowan zakładał koszulę, po tak długim czasie wciąż przechowywaną w prywatnej komodzie Lillian, Lily usłyszała pospieszne kroki na korytarzu.

– Tak, lordzie Fall? – spytał blondwłosy chłopiec z niespokojnym wyrazem twarzy, który zjawił się w progu. Lily pamiętała jego młodszą wersję ze wspomnień Tristana dotyczących Zbiorników.

– Zejdź do kuchni i zamów śniadanie dla wszystkich tutaj. Następnie wróć i posprzątaj – polecił mu Rowan zwięźle, ale przy tym uprzejmie. – Gdy skończysz, chcę, żebyś znalazł odpowiednie ubranie podróżne dla panny Juliet i pani Samantha, oraz dla wszystkich pozostałych gości Czarownicy.

– Tak, lordzie Fall – odpowiedział Gavin i pomknął w stronę, z której przybiegł.

Rowan nie zamknął drzwi, zgarnął z toaletki Lillian swój zegarek, zatrzaskał bransoletę na nadgarstku, po czym włożył do kieszeni garść monet o dziwnym kształcie.

– Dokąd idziesz? – zapytał Tristan.

– Znaleźć i sprowadzić Caleba z powrotem do sabatu, gdzie jego miejsce – odpowiedział mu Rowan przez ramię. Zatrzymał się w drzwiach, aby spojrzeć wymownie na Lily. – Nie mogę pozwolić, żeby popełnił ten sam błąd, co ja, prawda?

Una i Kanapka wymienili wymowne spojrzenia.

– Więc to jest lord Fall – rzucił Kanapka, unosząc brwi.

– Jest bardzo... lordowski. – dodała Una. – To nawet seksowne. –

Pocieszająco poklepała Kanapkę po ramieniu. – Bez urazy.

– Nie, w tej sprawie cię popieram – zgodził się z nią Kanapka. – Niemal mu zasalutowałem.

Lily czuła na sobie wzrok Tristana, ale jej własny pozostał utkwiony w miejscu, które jeszcze przed chwilą emanowało energią, a po wyjściu Rowana zgasło.

\*\*\*

Toshi spotkał się z Malą w tej samej nadmorskiej restauracji, do której wcześniej zabrał Lily. Był rozkojarzony oraz zirytowany, że Mała spóźniła się dziesięć minut. On i Ivan desperacko próbowali wymyślić, jak wyeliminować Rój. Problem w tym, że Ivan zrobił go zbyt dobrze. Sploty z Roju były odporne na choroby, zdolne przetrwać wysokie stężenie toksyn i niewrażliwe na wszystkie znane śmiertelne odmiany grzyba, który niekiedy pasożytuje na insektach. Obaj mieli świadomość, że kończył im się czas, a Mała jeszcze go marnowała.

Wpadła do restauracji, pełna poczucia własnej ważności, ubrana w burgundowo-złote sari, które rozjaśniało jej ciemną karnację złotymi refleksami, i cienką niczym bibułka dupatę, obszytą złotymi medalikami, które podzwaniały mile, gdy poruszała głową.

Ten welon to już przesada, pomyślał Toshi. Jednak Mała nie była kimś, kto potrafiłby zachować umiar.

– Grace mówiła mi, że nie masz pojęcia, dokąd uciekła wiedźma Proctor – przeszła do sedna, zanim jeszcze podano im drinki. Toshi zmusił się do uśmiechu.

– Lily nigdy nie wspominała, że planuje opuścić miasto – stwierdził. – To było zupełnie niespodziewane.

– I Rój po prostu pozwolił jej pójść? – Zrobiła ostentacyjnie zdziwioną minę. – To dziwne. Ale kto wie, czym Rój się kieruje.

Toshi pozwolił podać sobie szampana i upił łyk, aby zyskać chwilę do namysłu. Aż do teraz nie był pewien, jak wiele Mała wie o Grace i Roju, lecz wyglądało na to, że jak i reszta mieszkańców Bower, nie miała pojęcia, że to Grace kontroluje Sploty.

– Grace nie rozmawiała z tobą o Lily? – spytał w rewanżu.

Mała zarzuciła głową i jej woal zabrzączał.

– Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to, co się z nią stało. – Wpatrywała się w horyzont, a pod maską spokoju kryła się głęboka gorycz.

– Byleby już nie wróciła? – spróbował zgadnąć Toshi.

Mała potrząsnęła głową i pochyliła się nad stołem, opierając przedramiona na krawędzi.

– Wszystko mi jedno – powiedziała. – To oczywiste, że nie jestem dla Grace pierwszym wyborem. A skoro nie, to tylko tu czekam, aż napatoczy się kolejna

Lily Proctor.

Toshi zastanawiał się, jak ślepa musiała być Mała, by nie zauważyć, że nie ma czarownic takich jak Lily Proctor. Pomijając już fakt, że Grace z pewnością nie planowała zrzekać się władzy na rzecz kogokolwiek. Rola Mali jako wicegubernatora służyła jedynie podtrzymaniu iluzji wolności. Patrzył, jak Robotnica łąduje na białym obrusie.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał.

– Mam dosyć czekania.

– Planujesz wyjechać z Bower?

– Tego nie powiedziałam. – Odchyliła się z powrotem na oparcie krzesła, przybierając rozluźnioną pozę emanującą pewnością siebie, której zdaniem Toshiego wcale nie czuła.

– Wiesz, że nigdy nie będziesz następcą Ivana? Grace powiedziała mi parę miesięcy temu, że nigdy nie dopuści do twojego zatwierdzenia.

Toshiemu nie podobało się, jak go podpuszczała. Zmrużył lekko oczy.

– Czego ty chcesz, Mała?

Po raz pierwszy od kiedy ją znał, uśmiechnęła się do niego szczerze.

– Nigdy nie będziemy przyjaciółmi – stwierdziła bez ogródek. – Co jest dziwne, ponieważ sporo nas łączy. Przez pewien czas myślałam, że to dlatego, że ty i Grace byliście ze sobą dawno temu, i dlatego że zawsze było między nami jakieś przyciąganie. – Lekceważącym gestem zbyła te rozważania, nie trując się nawet, by sprawdzić, czy się z nią zgadzał. – Rzecz w tym, że oboje jesteśmy przypięci do Grace – kontynuowała. – A nie jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy zauważyli, że Grace jest u władzy zbyt długo. Jest wielu, którzy...

Toshi wyprostował się gwałtownie.

– Zamilcz.

Wstał, rzucił garść pieniędzy na stół i chwycił Małą za ramię. Była tym tak zaskoczona, że nawet nie protestowała, gdy wyprowadził ją z restauracji.

Nie odezwał się słowem, gdy usadził Małą w wagoniku, a gdy próbowała wyrwać ramię z jego rąk, zacisnął palce jeszcze mocniej. Znieruchomiała.

– Dokąd mnie ciagniesz? – spytała cicho. – Do Grace?

Na poręczy zaczęły gromadzić się Robotnice. Pocierały odnóżami o rurkowate narządy gębowe, smakując jej strach i oceniając poziom zagrożenia. Toshi objął Małą ramieniem, odsunął nosem krawędź szala, aż jego usta musnęły smagły policzek.

– Nie mam zamiaru cię skrzywdzić – szepnął.

Uśmiechnęła się i rozluźniła.

– Trochę ci to zajęło – powiedziała, zarzucając mu rękę na szyję.

– Posłuchaj mnie uważnie. Jesteś obserwowana. Każdy twój ruch, może nawet każde twoje słowo... Nie jestem pewien.



Jej dźwięczny śmiech zgrał się z brzękiem dupatty.

– Grace nie ma szpiegów w mieście. Uwierz mi, wiedziałabym, kto...

– Nie kto – przerwał jej Toshi, uciszając nieznacznym ruchem głowy.

Odsunął się od Mali z rozmarzonym wyrazem twarzy godnym kochanka, obracając w długich palcach jeden z ozdobnych medalików. Subtelnym, powolnym gestem wskazał Robotnice, które odlatywały jedna po drugiej, gdy strach Mali przestał je wabić.

Potrzebowała chwili, by to do niej dotarło. Toshi przyglądał się, jak na twarzy Mali odmalowało się niedowierzanie, potem ostrożna kalkulacja, aż wreszcie oburzenie. Jej oddech przyspieszył, oczy rzucały szybkie spojrzenia na boki, gdy w myślach odtwarzała wszelkie prywatne momenty, które teraz okazały się pogwałcone, wreszcie zatliło się w niej rozgoryczenie.

Toshi przyciągnął Małą do siebie, zbliżając wargi do jej ucha, aby szal zasłonił ich rozmowę.

– Potrzebujemy sojuszników – szepnął. – Ludzi, którzy nie boją się walczyć.

– Zabiorę cię do nich.

\*\*\*

Lily spuściła stopy i rozprostowała nogi na próbę. Kiedy nic nie wskazywało na to, że się pod nią ugną niespodziewanie, wstała i zrobiła parę kroków. Zanim dotarła do skrzyni stojącej w nogach łóżka, musiała już odpocząć i usiadła ciężko.

– Jeśli Rowan zobaczy cię poza łóżkiem, wścieknie się – zapowiedziała siostrze Juliet.

Lily dyszała ciężko i próbowała zmusić pokój, by przestał wirować.

– Nie obchodzi mnie, co robi Rowan – odparła rozdrażniona.

Juliet spojrzała na nią wzrokiem pełnym niepokoju i wątpliwości.

– Po prostu nie obchodzi, okay? – kontynuowała Lily. – Nie próbuję być uparta. Muszę prędko wrócić do formy i zabrać nas do Lillian.

– Przecież ona nie dotrze do Bower jutro – mruknęła Una znad książki. – Skąd ten pośpiech?

Lily nie miała siły, by im to wytłumaczyć, więc zamiast tego odtworzyła im wspomnienie, którym Lillian podzieliła się z nią ledwie chwilę wcześniej...

...Mój smokowiec wydaje z siebie grzmiący ryk. Kładę go na skrzydło i zawracam w stronę, z której nadlecieliśmy. Wzbijam się ponad czwartym batalionem wzdłuż zewnętrznej kolumny mojej maszerującej armii, by wszystkie w takim samym stopniu narażone były na ryzyko. Muszę pilnować, by zmieniały się bataliony maszerujące od zewnętrznej. Tylko poprzedniej nocy Sploty pochłonęły pięćdziesięcioro moich ludzi. To więcej niż tylko zbieg okoliczności. Grace Chyląca Drzewa nasyła ich na nas, próbuje wybić tyłu, ile zdoła. I udaje jej się. W tym tempie moja armia zostanie unicestwiona, zanim dotrzemy na miejsce...

– Dlatego się tak spieszę – powiedziała Lily.

Juliet skinęła głową ze zrozumieniem. Podeszła do Lily i pomogła jej dźwignąć się na nogi.

– Chodź, musisz coś zjeść – oznajmiła, prowadząc siostrę w stronę stołu. – Jest obrzydliwie słony bulion warzywny, pokochasz go bez wątpienia.

Lily dotarła do krzesła i osunęła się na nie. Oderwała piętke chleba i zanurzyła w zupie.

– Gdzie Kanapka? – spytała.

– Poszedł załatwić kilka spraw – odparła Una. – Powiedział, że wróci za kilka godzin, czyli mniej więcej zaraz.

– Kilka godzin? Co on kombinuje? – spytała Lily. Una wzruszyła ramionami, ale nie powiedziała nic więcej. Lily zwróciła się w stronę Juliet.

– Gdzie Tristan i mama?

– Tristan poszedł sprawdzić, jak tam sytuacja w jego mieszkaniu, a mama przekopuje się przez pudła swoich rzeczy. Znaczący, rzeczy drugiej jej. – Juliet próbowała jakoś wybrnąć z niezręczności z rozróżnianiem osób. – Słyszałam, że jest tu kilka pokoi, które należały do drugiej mnie, ale nie znam tego miejsca jeszcze tak, jak mama.

– Albo jak Rowan – dodała Una, patrząc na Lily.

Lily przestała żuć i przełknęła nagle zbyt duży kęs.

– Było mi ciężko oglądać go takiego dziś rano – przyznała. – Nigdy nie czułam się tak swobodnie w mojej sypialni.

Wybrała miękisz chleba i utoczyła z niego kulkę.

– Niedługo znów się z nią zobaczy – dodała po chwili milczenia.

– Tylko nie zaczynaj sobie myśleć nie wiadomo czego – ostrzegła Una.

– Mają wspólną przeszłość.

– Tak, raczej średnio przyjemną. Zabiła jego ojca, pamiętasz?

Lily uśmiechnęła się słabo i opuściła głowę.

– Nasza też nie wydaje się wiele lepsza.

W progu stanął Gavin, załamując dłonie.

– Co się dzieje, Gavinie? – Lily spytała, ocierając usta z okruchów i prostując się w krzesło.

– Jeden z twoich gości wrócił do Cytadeli, moja pani, a lord Fall jest nieobecny, ale mówił, że nikt nie powinien ci przeszkadzać, pani, i nie wiedziałem, czy to się liczy jako przeszkadzanie, czy nie...

– W porządku – przerwała jego nerwową tyradę. – Wpuść go.

Gavin zamrugał wielkimi niebieskimi oczami.

– Dobrze. Ale jeśli okaże się, że będzie przeszkadzał, powiesz, pani, lordowi, że byłem przeciwko, prawda?

Lily zdusiła śmiech.

– Powiem.

Gavin odetchnął z ulgą i oddalił się pospiesznie.

– Co Rowan zrobił temu biednemu dzieciakowi? – Una pokręciła głową zaskoczona.

– To nie tylko Gavin – dodała Juliet. – Wszyscy w Cytadeli się go boją.

– To nie strach – wtrąciła Lily, żałując, że nie może nagle czuć mniej. – To szacunek.

Kanapka dołączył do nich, ciągnąc ze sobą bladego, niechlujnego młodzieńca o patykowatych ramionach i nogach, jakie zwykle są oznaką nagłego wzrostu. Lily wpatrywała się w niego tępo, dopóki chłopak się nie uśmiechnął, wtedy rozpoznała w nim dzieciaka z podziemnego tunelu Providence.

– Riley? – spytała zdziwiona.

– Dzień dobry, jaśnie Czarownico. – Wyszczrzył zęby w bezczelnym uśmiechu. – Przykro znów cię widzieć w takim stanie.

– Ryzyko zawodowe – burknęła Lily i zwróciła się ku Kanapce. – Co tu się, u licha, dzieje?

Riley i Kanapka usiedli przy stoliku, bezzwłocznie rzucili się na zimne mięso i krążki sera, których Lily sama nie miała zamiaru tykać.

– Wpadłem na to, kiedy rozmawialiśmy o tym, jak ciężko będzie przekonać Lillian i Alaryka do współpracy – mówił Kanapka, smarując musztardą kawałek ciemnego pieczywa. – Pomyślałem, że będziemy potrzebować więcej wojowników. To jest sytuacja, w której wszyscy muszą pomóc, tak?

– Tak, ale...

– Spójrzmy prawdzie w oczy, jeśli ktoś potrzebuje nowego domu, poza Zewnętrzniymi, to Riley i jego ludzie.

– Będziemy o to walczyć – zapewnił Riley z ogniem w oczach. – Mój tato, wszyscy mężczyźni z farm, oni nie boją się walczyć ze Splotami. I tak żyją z nimi na co dzień, a jeśli ruszymy na zachód, to może będą mieć szansę zdobyć własne domy.

Lily uniosła dłoń.

– Ile mu powiedziałeś? – spytała Kanapki.

Riley i Kanapka wymienili spojrzenia.

– I tak już wszyscy wiedzą, że Bower tam jest – odpowiedział mechanik.

– Nie da się przemieszczać armii na zachód tak, żeby nikt nie domyślił się, co się dzieje – dodał Riley. – Zwłaszcza ktoś z moimi kontaktami.

Lily stłumiła uśmiech.

– W porządku, ale ile mu powiedziałeś o mnie i Lillian? – spytała.

– Och, powiedział mi, że są was dwie – Riley odparł z ustami wypchanymi serem i dżemem figowym.

– I to cię nie dziwi?

Riley wzruszył ramionami, usta wciąż miał pełne.

– Czarownice są dziwne – powiedział, jakby to tłumaczyło wszystko.

Jednak Riley był młody. Lily nie spodziewała się, że to samo wytłumaczenie trafi do twardych, dorosłych mężczyzn z farm czy kobiet, które spotkała w tunelu. Myśląc o nich, usiadła i pokręciła głową.

*Powinieneś mnie spytać, zanim to zrobileś.*

*Wiedziałem, że się nie zgodzisz,* odparł. *Masz coś przeciwko ludziom z tuneli i mężczyznom z farm.*

Przez chwilę zastanowiła się nad jego słowami, z zaskoczeniem przekonała się, że miał rację. Nie lubiła Mary, przywódczyni tunelowych ludzi z Providence, a wspomnienia o mężczyznach na farmie, którymi podzieliła się z nią Lillian, wciąż prześladowały Lily. Teraz zerwała kontakt z Kanapką, by koszarne wizje odrażających, pozbawionych sumienia bestii nie przepłynęły do umysłu przyjaciela.

– Nie liczy się to, co o nich myślę – zbyła jego zastrzeżenia. – Nie mogę ich wykorzystywać, bo nie są moimi naznaczonymi. Nie miałiby najmniejszej szansy w starciu z Rojem.

– Pozwolimy się naznaczyć – odpowiedział Riley.

– I mówisz w imieniu wszystkich? – warknęła Lily. – Wybacz, ale nie wierzę ci, Riley. Nie ty rządysz tam, na dole.

– Nie, ale wiem, co czują moi ludzie. Wiem, że chcą walczyć – powtórzył uparcie. – I mogę przyprowadzić Mary, jeśli wolisz porozmawiać z nią.

Lily otworzyła usta, by zaprotestować, kiedy odezwała się Juliet.

– Możesz przynajmniej spróbować się z nią spotkać.

– To strata czasu – obstawała przy swoim Lily.

– Potrzebujemy wszelkiej pomocy, jaką możemy otrzymać – wtrąciła Una, obserwując przyjaciółkę uważnie.

*Co z tobą?* – spytała w myślach.

Jedno ze wspomnień Lillian pomknęło ku niej z umysłu Lily.

...Szarpie się i kopie, lecz przyciskają mnie do ziemi drągami z pętlami. Z daleka czuć w smrodzie ich oddechów zepsucie toczące wnętrzności. Gapią się na mnie lubieżnie, próbując odciągnąć gorset mojej rozdartej sukni na bok, by móc patrzeć na obnażone piersi...

Una cofnęła się, wstrząśnięta przerażeniem i bezsilnością Lillian.

*To tacy ludzie pracują na farmach. Mordercy i gwałciciele,* wyjaśniła Lily. *Nie mam ochoty ich naznaczyć.*

*Na pewno nie wszyscy są tacy,* odparła Una, powodowana bardziej optymizmem niż przekonaniem.

– A co, jeśli są? – to pytanie Lily zadała na głos.

Una obrzuciła ją taksującym spojrzeniem.

– Co masz zamiar zrobić, by pokonać Rój? – spytała beznamyślnie. – Lepiej zdecyduj teraz. Jestem pewna, że Grace nie jest wybredna w kwestii tego, kogo naznacza.

Lily rzuciła jej gniewne spojrzenie i we wzroku Uny zobaczyła twardą miłość. Una nigdy jej nie odpuszczała.

– Cholera – mruknęła pod nosem Lily. – Zorganizuj mi spotkanie z Mary, ale powiedz, żeby nie przychodziła, jeśli ma zamiar marnować mój czas. Nie zrobię tego, dopóki nie będzie w stanie zaoferować mi armii.

– Powiem jej – zapewnił Riley z oszczędnym kiwnięciem. Zakończywszy swoje negocjacje, spojrzał na resztki jej chleba. – Będziesz to jeszcze jeść?

Ostatecznie Lily musiała poprosić Gavina, by przyniósł więcej jedzenia. Riley pochłaniał je z niemal mechaniczną determinacją kogoś, kto więcej czasu spędzał w dzieciństwie, będąc głodnym niż sytym, i nie miał zamiaru przepuścić okazji napchania się do nieprzytomności. Gdy jego gigantyczny apetyt został zaspokojony, Lily odesłała chłopaka do tuneli z kosztem jedzenia dla Pipa i innych dzieci, które chodziły za nim jak za zaklinaczem szczurów.

Był już niemal wieczór, gdy Rowan wrócił z Calebem i Tristanem. W pewnym momencie Tristan musiał dołączyć do Rowana, by spróbować przekonać Caleba do powrotu do sabatu, a po tym jak trzymali się razem, można było się domyślić, że cała trójka długo dyskutowała. I tak wszyscy trzej poruszali się i gestykulowali w podobny sposób, co wynikało z ich wspólnego dorastania, ale gdy dłużej przebywali nawzajem w swoich umysłach, te podobieństwa stawały się wyjątkowo wyraźne. Pod względem fizycznym różnili się od siebie bardzo: Caleb był ciemny i zwalisty, Tristan wysoki, o jasnych oczach, a Rowan smukły i umięśniony elegancko niczym tancerz, jednak gdy spędzili razem więcej czasu, nietrudno było ich wziąć za braci.

Lily patrzyła na Caleba z niepokojem. Musnęła jego umysł, uprzejmie prosząc o pozwolenie na wejście. Wpuścił ją, ale na razie tylko tyle. Poczowała impuls odrzucenia i rozpaczliwie miała nadzieję, że nie będzie wściekły na nią wiecznie. Caleb był jej oparciem podczas najczarniejszych chwil. Sama myśl o utracie tej bliskości była nie do zniesienia.

*Przepraszam*, powiedziała w myślach. Nie próbowała się usprawiedliwiać żadnym tłumaczeniem. Do niego należała decyzja, czy jej przebaczy, czy nie.

*Popraw się*, odpowiedział, wstrzymując falę nieprzyjemnych wspomnień z dzieciństwa.

*Obiecuję*. Poczowała, jak Caleb się rozluźnia, i wiedziała, że nie grozi jej już utrata przyjaciela, przynajmniej nie w tej chwili.

– Zobaczmy, ile mojej ciężkiej pracy udało ci się dzisiaj zmarnować – powiedział Rowan i zbliżył się, żeby obejrzeć jej rany.

Przyłożył dwa palce do pulsującej w nadgarstku tętnicy. Jego wolit zalśnił i

Lily poczuła delikatną niczym dotknięcie piórka obecność Rowana pod skórą. Ledwie dotykał ją opuszkami, lecz ten kontakt wydał się jej bardziej intymny, niż gdyby wsunął dłonie pod jej sukienkę.

– Jest lepiej – powiedział cicho.

– Kiedy będę gotowa na stos? – spytała, trzymając swoją dłoń blisko jego.

– Jeszcze przynajmniej tydzień.

– To za długo – stwierdziła stanowczo. – Jutro muszę się spotkać z Mary.

– Mary? – zdziwił się. – Z przywódczynią tunelowego gangu?

Lily odtworzyła im całe spotkanie z Rileyem. Gdy skończyła, Rowan obstawał przy swoim.

– Musisz odpoczywać jeszcze przynajmniej przez kilka dni.

– Jutro wyruszamy. Z ludźmi Mary albo bez nich.

– Lily...

– Jutro – powiedziała stanowczo. – Musisz przygotować mnie na stos.

Rowan wiedział, co działo się z armią Lillian, nie musiał oglądać wspomnień. Wiedział, że każdy dzień oznaczał stracone istnienia. W końcu z westchnieniem zrzucił z siebie kurtkę.

– Jest coś, co mogę zrobić teraz, kiedy mam tu wszystkie swoje rzeczy. Jest taki atrament, do którego nie miałem dostępu, gdy odszedłem od Lillian – przyznał niechętnie.

– Atrament?

– Atrament. Jest bardzo rzadki, bardzo stary i będzie bolało.

– Oczywiście, że będzie – stwierdziła Lily, próbując odgonić strach śmiechem.

– Tristan, będziesz mi potrzebny – oświadczył Rowan i stanął przed solidną kamienną ścianą za zagłówkiem łóżka Lillian. Położył dłoń ostrożnie na powierzchni kamienia, wziął głęboki oddech, a jego wolit rozbłysnął na moment. Ściana ustąpiła ze zgrzytem, odsunęła się na bok i odsłoniła ukryte schody. Tristan miał zaskoczoną minę, lecz ruszył za Rowanem bez słowa.

Lily kręciła się bez celu przez parę minut, gdy jej mechanicy się przygotowywali. Una i Juliet uśmiechały się do niej niepewnie. Lily próbowała znaleźć pocieszenie w myśli, że cokolwiek zaplanował Rowan, nie mogło być gorsze niż stos. Wiedziała jednak, że ból, który niosły jej płomienie, łagodziła nieco przyjemność, jaką wiedźma czerpała, wypełniając się mocą ognia. Teraz Lily miała przeczucie, że to, co planował Rowan, będzie bardzo, ale to bardzo nieprzyjemne.

Gdy Rowan w końcu wrócił, Lily naprawdę starała się zachowywać odwagę. Nie spojrział na nią, prowadząc ją ku schodom, a potem na dach.

Gwiazdy iskrzyły wokół lśniącego złotem sierpa księżyca na ciepłym letnim nocnym niebie. Poniżej olbrzymi mówiący kamień błyszczał opalizująco,

rozświetlony od wewnątrz. Ów mleczny blask przyciągał Lily i niemal położyła dłonie na kamieniu, gdy rozległ się głos Rowana.

– Tutaj, Lily.

Odwróciła się i zobaczyła czekający na nią znajomy płat czarnego jedwabiu. Rowan i Tristan uklękli między runami, które wymalowali solą na materiale. Nie mieli przy sobie nic poza misą, długą srebrną szpilą i niewielkim młotkiem.

– Zaczniemy od tego, żeby cię odpowiednio usadowić – zapowiedział Rowan.

Lily usiadła naprzeciw niego, krzyżując nogi, Rowan gestem nakazał Tristanowi zająć miejsce za nią. Poczwała, jak dłonie drugiego mechanika chwytają jej głowę i odchylają na bok, odsłaniając skórę od ucha aż po obojczyk.

– Zostanie po tym ślad – uprzedził Rowan.

Lily odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. Nie wycofała się jednak. Z woli Rowana popłynęło przytłumione światło, niczym świetlista mgła, sięgało ku nim i obejmowało lśnącymi pasmami. Rowan zanurzył koniuszek igły w misie, podniósł młoteczek i zaczął stukać w igłę prędkim staccato. Lily poczuła ukłucie za uchem, ale kiedy tylko atrament zaczął wsiąkać w skórę, swędzenie przerodziło się w pieczenie, które stopniowo przybierało na sile.

– Trzymaj ją – polecił Rowan i Tristan posłuchał natychmiast, wzmacniając uścisk.

Nawet gdy Rowan przerywał tatuowanie, by na nowo umoczyć igłę, palący ból narastał, aż w końcu Lily przestała czuć ukłucia. Zimny pot ściekał jej po plecach, a gdy Rowan kontynuował pracę, zbliżając się do obojczyka, Lily zaczęła się trząść jak w febrze. Nie płonęła. Zamarzała.

Tristan musiał podierać ją coraz mocniej, gdy lodowaty kwas atramentu wnikał w jej krew i mroził od środka. Lily czuła, jak zimno płynie w głąb jej trzewi, jakby połknęła kostkę lodu. Zaczęła szczełkać zębami.

– W porządku. Połóż ją – usłyszała Rowana.

Poczwała, że leży, i otworzyła oczy. Ponad nią na niebie wirowały gwiazdy. Znow zaczęło się miarowe uderzanie młoteczka i lodowaty ogień popłynął tym razem po prawej stronie jej żeber. Skupiła się na gwiazdach, aby odwrócić jakoś uwagę od niekończącego się tatuazu. Rowan prowadził rysunek w dół, wzdłuż żeber i dalej, zakręcił na brzuch, tuż przy kości biodra i zakończył na linii bikini.

– Ostatni – poinformował Lily i zaczął tatuować po zewnętrznej stronie jej lewego uda. Nim zakręcił tatuaz, kończąc na wewnętrznej stronie kolana, Lily była już otępiała z zimna. Rowan zakończył zakłęcie. Światło woli zamigotało i zgasło.

Gdy zabrakło magicznego światła, uwagę Lily znow przyciągnął łagodny blask mówiącego kamienia. Uciekając od bólu, znajdowała się po części poza ciałem, teraz pozwoliła sobie jednym okiem zajrzeć do wnętrza kamienia.

Mimochodem zaciekało ją, czy dałaby radę sięgnąć do Płowej i łagodnie wezwała naznaczoną sukę.

Miała wrażenie, że jej umysł wskoczył do rwącej rzeki, obrazy miejsc przemykały tylko obok. Widziała wzgórza i doliny, następnie góry i rozległe równiny. Wewnątrz oko przeskakiwało od jednego mówiącego kamienia do drugiego, a każdy z nich zabarwiał świat nieco innym odcieniem niż pozostałe, aż wreszcie Lily zatrzymała się w umyśle naznaczonej samicy z kojotopodobnych Splotów, którą nazwała Płową. Zatonęła w płataninie zapachów tak wyraźnych, że płonęły kolorami, malując cały świat, i jaskrawych obrazów widzianych oczami, których budowa różniła się od jej własnych. Umysł, którego dotknęła, inaczej formułował myśli i inaczej łączył fakty, lecz po kilku próbach odszyfrowała jakąś ich część

*Wewnątrz, podąża. Niewidziana, lecz tu, ze mną, ona wzywa. Gryźć swędzenie i polizać. Musi wyć, ale nie wyje. Większe blisko. Czuć słodki odór miodu Większych.*

Lily spytała Płową, czy suka mogłaby do niej dołączyć, a jej wzrok eksplodował światłem i barwami. Po chwili oszołomienia Lily zorientowała się, że tym, na co patrzyła, była paproć. Skupiła się i spróbowała wykorzystać te widzące boleśnie ostro oczy Płowej, aby obejrzeć polanę głęboko w sekwojowym gaju. Kolory, które widziała, były bogatsze, o wiele wyraźniej dostrzegła kontury.

Czuła grunt pod łapami kojota. Wiekowe umysły drzew, których korzenie biegły w głąb ziemi, by pochwycić ją i przytrzymać blisko serca, niczym dłonie o milionach palców. Czuła wibrację tej krainy, niczym niskie dudnienie gigantycznego płuca, drzewa oddychające za cały świat. Lily zapisała wspomnienie tej wibracji w wolicie i uwolniła Płową.

*Biegnij w stronę wschodzącego słońca, nakazała jej. Idź na wschód, aż będziesz bezpieczna z dala od terytorium Roju.*

*Ona wzywa. Idę tam, gdzie wilki doglądają swego mięsa,* odpowiedziała Płowa.

Lily zobaczyła nad sobą twarz Rowana. Podchwycił jej wzrok i głęboką troskę w jego oczach zastąpił wyraz ulgi.

– Gdzieś ty była? – zapytał łagodnie.

Lily już miała mu powiedzieć, ale przypomniała sobie to ledwie skrywane obrzydzenie, gdy powiedziała sabatowi o Płowej, i powstrzymała się w porę. Uśmiechnęła się tylko i spróbowała usiąść.

Spojrzała w dół, na te tatuaże, które mogła dosięgnąć wzrokiem, i z ulgą odkryła, że choć długie, były wąskie jak wstążki, a atrament, którego użył Rowan, był wyjątkowo blady. Przeciągnęła palcem po powierzchni tatuażu na udzie i poczuła go bardziej, niż zobaczyła. Jakby miała koronkę pod powierzchnią skóry.

– Tak już zostanie? – spytała, wskazując na wybrzuszenie.



– Tak – odparł Rowan. – Składnik, który wprowadziłem pod skórę, pomoże ci się szybciej leczyć za każdym razem, gdy wejdiesz na stos. Ale będzie tam już zawsze.

Lily studiowała wzrokiem filigranowy wzór.

– Lillian też taki ma?

– Ma tylko dwa. Jeden wzdłuż pleców i drugi od wewnątrz prawej nogi. Tobie dałem trzy.

Jego twarz była obojętna, lecz zauważyła, że nie patrzył jej w oczy. Przez moment zastanawiała się, kiedy mógł zrobić jej Lillian i czy byli wtedy w sobie zakochani.

– Są całkiem ładne – powiedział Tristan z uznaniem.

Lily uśmiechnęła się, lecz nic nie powiedziała. Dotknęła tatuażu przy uchu, biegnącego wąską linią w dół szyi. Bolało, ale nieprzyjemne uczucie słabło z każdą chwilą, tak samo jak ból po oparzeniach, który dotąd dawał jej się we znaki. Poczuała się silniejsza, i po raz pierwszy odkąd pamiętała, również chłodna.

– Dziękuję – powiedziała.

Rowan skinął głową.

– To moja praca – odrzekł, a potem niepewnie zmarszczył brwi.

– To jest twoja praca, jeśli masz jakieś wątpliwości – oświadczyła Lily. – Jesteś moim mechanikiem. Jeśli tylko chcesz nim być.

Tristan pomógł jej dźwignąć się na nogi, ale gdy tylko znalazła się w pozycji stojącej, przekonała się, że nie potrzebuje już pomocy. Podeszła do kamienia i wpatrzyła się w jego mlecznobiałe piękno.

– Moja armia – szepnęła, a jej umysł pomknął przez ciemność do lasu, za hordy Splotów, aż do innego mówiącego kamienia, który barwił świat błękitem. Tam zakołysał się nad wzgórzami, aż w końcu zawisł nad tysiącami jej naznaczonych, pozostających pod wodzą Alaryka.

Wielu spało, lecz pozostali poczuli muśnięcie umysłu Lily, na tyle delikatne, by mieć tego świadomość, lecz wystarczające, by krótkie wspomnienie o niej przemknęło im przez myśli, niczym podmuch wiatru nad stawem.

– Zgromadził ich, żeby ruszyć na zachód – mruknęła, jej umysł znajdował się w dwóch miejscach naraz.

– Wiesz, gdzie są? – spytał Rowan. – Nie byłem w stanie dotrzeć do Alaryka. Jest zbyt daleko.

– Pod Richmond. – Otrząsnęła się pod wpływem chłodu nocy. – Tam jest nasz pierwszy przystanek.

Rowan kiwnął głową.

– Ale najpierw musisz odpocząć jeszcze jedną noc.

\*\*\*

Gavin obudził ją o świcie, jeszcze bardziej zdenerwowany niż zazwyczaj, a to znaczyło, że był szalenie rozgorączkowany i mocno wyprowadzony z równowagi. Usłyszała, jak wali w drzwi, i ocknęła się w ramionach Rowana, niezbyt pewna, w jaki sposób się tu znalazła.

Pamiętała, że gdy tatuaż został ukończony, zeszła z dachu, by coś zjeść ze swoim sabatem, a potem od razu położyła się do łóżka.

Rowan ziewnął, po czym okrył kołdrą jej nagie ramiona.

– Wejść – zawołał do Gavina.

– Cytadela jest otoczona! – biadolił Gavin, wpadając do pokoju. – Zjawili się znikąd! Po prostu wyskoczyli spod ziemi! Ulice są ich pełne!

Rowan wyskoczył z łóżka i popędził ukrytymi schodami. Tristan i Caleb ruszyli jego śladem, zanim Lily zdążyła choćby usiąść. Gdy wraz z Uną i Kanapką w końcu dotarli na górę, zobaczyła, że na dachach Cytadeli zgromadziła się resztką strażników, których Lillian zostawiła dla obrony miasta. Poniżej, tuż poza bramą Cytadeli, na ulicach Salem tłoczyli się ludzie. Tłum obdartusów wypełniał każdy zaułek w promieniu dziesięciu przecznic i prawdopodobnie jeszcze dalej.

– Och. Hej, Riley! – zawołał Kanapka do młodzika pod bramą Cytadeli. Ten zauważył mechanika i też mu pomachał.

Obok Riley'a stała Mary. Gdy dostrzegła Lily między Rowanem a Tristanem, skrzyżowała ramiona na piersi.

– Czy taka armia wystarczy? – krzyknęła do czarownicy.

Lily objęła wzrokiem tłumy wypełniające ulice, szacując ich liczbę w tysiącach, i spróbowała owinać się ciaśniej swoim mizernym szlafrocikiem. Rowan objął ją, pochylając nagie ramiona, by zasłonić Lily przed pożądanymi spojrzeniami. Ludzie na ulicy nie należeli może do szanowanych obywateli, lecz było ich naprawdę wielu i aż rwali się do walki, a tego właśnie potrzebowała Lily.

– Na początek wystarczy! – odkrzyknęła. A Mary zaśmiała się, słysząc te słowa.

– Gavin. Zadbaj, by goście Czarownicy Salem spotkali się z nią w głównej sali – powiedział Rowan. A gdy Gavin odbiegł, lord Fall poprowadził sabat z powrotem na dół.

Tam zaczął otwierać szafy i przerzucać ubrania. Przebierał w sukienkach Lillian, aż znalazł tę, której szukał, i podał Lily.

– Włóż to – rzucił nieobecny tonem, po czym skierował się do szafy po drugiej stronie pokoju. Ta była pełna jego rzeczy, które zaczął rozdawać pozostałym mechanikom. – Una, ubrania Juliet będą ci chyba bardziej pasować – zasugerował, przekopując się przez swoje rzeczy.

– No, te nie do końca są w moim stylu – zaśmiała się Una, patrząc na kolekcję kawałków gazy, ledwie pospinanych razem klejnotami.

Lily spojrzała na sukienkę, którą wybrał dla niej Rowan, i postanowiła nie

protestować. Zrozumiała, dlaczego uznał, że powinna założyć odpowiedni strój dla czarownicy. Jeśli miała poprowadzić tych ludzi na wojnę, musieli widzieć w niej przywódczynię. Musiała się dla nich stać Czarownicą z Salem.

– Wydaje mi się, że ktoś powinien pójść do tych nowych rekrutów i wytłumaczyć im, gdzie się wybieramy i jak Lily ma zamiar nas tam zabrać. Upewnić się, że wszyscy się na to piszą – powiedział Kanapka.

– Nominuję ciebie. – Una cmoknęła chłopaka w policzek, mijając go po drodze do pokoju Juliet.

– Jakies obiekcje? – spytał z nadzieją, lecz nikt żadnych nie zgłosił. – Lepiej znajdę Riley’a – westchnął i wyszedł.

Lily odświeżyła się z łazienki i założyła czarną jedwabną suknię ozdobioną rubinami. Spojrzała na siebie w lustrze. Czerwone włosy, które chyba urosły przez noc jakieś pięć cali, opadały jej na ramiona, jasna skóra wydawała się jeszcze jaśniejsza przy głębokiej czerni jedwabiu.

Gdy wyszła z łazienki, Rowan już na nią czekał; ubrany całkowicie w czerń wyglądał okrutnie i pięknie. Kołnierzyk jego koszuli był rozchylony, odsłaniając wielki wolit, w którym tańczyło światło i magia. W dłoni Rowana coś iskrzyło blaskiem.

– Odwróć się – polecił, a głos mu się załamał.

Lily poczuła, że wkłada jej coś na głowę. Obrócił ją w stronę lustra, i zobaczyła, że to kolczasta korona z żelaza i diamentów. Korona Czarownicy z Salem. Lily pamiętała ją ze wspomnień Lillian. Przedmiot o brutalnym wyglądzie, powykręcany i ostry. Tam, gdzie metal nie skrzył się klejnotami, był spalony na czarno. Rowan otworzył szkatułkę i zaprezentował Lily zawartość: kajdany pasujące do korony. Lily uśmiechnęła się cierpko na ich widok, przypominając sobie Lillian i to, jak jej druga wersja opierała się, odmawiając ich założenia. Nie chciała nawet na nie spojrzeć.

Rowan zamknął kajdany na jej nadgarstkach. Miały pierścienie na łańcuchy, by przykuć ją do stosu.

Lily poruszyła dłońmi i usłyszała brzęk metalu. Każdemu gestowi towarzyszyło dzwonienie żelaznych łańcuchów. Patrzyła, jak Rowan się uśmiecha, i dotarło do niej, że w takim samym stopniu była królową, jak i więźniem.

– Więc tak to jest być podżegaczką wojenną – powiedziała z drżeniem.

– Jesteś przykuta do swoich naznaczonych tak, jak oni są przykuci do ciebie – odpowiedział. – A jeśli zawiedziesz, spłoniesz.

Lily spojrzała na niego i wiedziała, że nigdy by na to nie pozwolił. Już raz wyciągnął ją z płomieni, i zrobiłby to ponownie, ponieważ ją kochał.

Tristan zjawił się w drzwiach, poczuł, że przeszkadza, i spuścił wzrok.

– Czekają na ciebie, Lily – oznajmił.

– Powinniśmy zejść pierwsi – odpowiedział mu Rowan i odwrócił się z

powrotem do Lily. – Poczekał pięć minut i do nas dołącz.

– Nie zejdziesz ze mną? – W jej głosie zabrzmiały wysokie tony tremy.

– To twoja chwila. – Nieznacznie pokręcił głową.

Zamiast podejść do drzwi, Lily wycofała się w głąb pokoju.

– Oczekują cię – przypomniał jej Rowan, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Wiem. – Podeszła do ściany za łóżkiem. Zaczęła wymacywać szczeliny w kamieniu. – Nie mogę ich naznaczyć jednego po drugim, jest ich zbyt wielu. Muszę użyć mówiącego kamienia, tak jak Grace.

Znalazła szczerbę i nacisnęła, otwierając ukryte drzwi.

– Dasz radę tak ich naznaczyć? – upewnił się Tristan.

– Tak, jeśli oni się na to zgodzą – odpowiedział za nią Rowan.

Razem weszli po schodach, Tristan przodem, a Rowan u jej boku. Miała wrażenie, że ich rozmowa w myślach wiruje wokół jej głowy jak wiatr, ale nie musiała być jej częścią.

Przyciągnęła Rowana, wsparła się na jego ramieniu, wyczuwając zarys mięśni pod materiałem koszuli. Spojrzał na nią ostrożnie, jakby obserwował rzadkie i dzikie stworzenie, które rzuci się do ucieczki, jeśli on podejdzie zbyt blisko.

Lily słyszała niski pomruk czekającego na nią tłumu, jeszcze zanim doszła do krawędzi dachu. Położyła dłoń na zimnym granicie warowni i pochyliła się naprzód, by wszyscy mogli ją widzieć. Tysiące ludzi zamarło.

Most opadł i prowadzące na dziedziniec bramy stanęły otworem. Przybysze włąli się do środka, tłoczyli na moście i, jak daleko sięgała wzrokiem, na ulicach. Wszyscy czekali, by ich naznaczyła. W ciszy słychać było wyraźnie brzęczenie insygniów Czarownicy. Lily zerknęła na kajdany, na otarte do czerwoności nadgarstki, czuła na sobie uważne tysiące oczu. Podniosła głowę. Gotowa. Przez chwilę widziała siebie ich oczyma: przerażającą i wspaniałą niczym śnieżycą.

– Czy pragniecie zostać naznaczeni? – spytała. Jej głos popłynął w morzu ciszy i dotarł do każdego z nich, jakby szeptała im wprost do ucha.

– Pragniemy – odpowiedzieli chórem.

Podeszła do mówiącego kamienia. Nie miała pojęcia, jak połączyć się z wszystkimi czekającymi na nią wolitami. Wcześniej musiała po prostu dotknąć każdego, aby poczuć wyjątkową, niepowtarzalną wibrację, a gdy już ją poznała, używała tego wzoru, by otworzyć umysł właściciela kamienia. Musiała znaleźć sposób, by wyczuć drganie bez dotykania wolitu. Skoro Grace zdołała to zrobić, ona też da radę.

Nic nie przychodziło jej do głowy. Cofnęła się o krok i spróbowała uspokoić. Dziwne, ale pomyślała o szamanie, o czasie, który spędziła z nim w lochu. Oczyszczyła umysł z wszelkich założeń. To nie był konkurs między nią i Grace.

Wpatrywała się w kamień i czekała.

– Te małe, śmieszne światełka. Popatrz, jak tańczą – mruzczała do siebie. Zachichotała pod nosem, widząc, jak żywe się wydawały. Każda nić światła drgała na powierzchni kryształu na swój własny sposób. Niektóre płynęły w górę, migocząc; inne leniwie opadały w dół. Niektóre skręcały na boki, robiąc niewielkie korkociągi. Każdy miał swój własny, niepowtarzalny charakter, każdy swój umysł. Zaśmiała się na głos, gdy rozgryzła zagadkę.

Dotarło do niej, że mówiący kamień działał jak sieć, gromadząc drgania wszystkich wolitów w pobliżu, obrazując je jako migoczące pasma światła. Pracowała tak szybko, jak mogła, ucząc się z niego tysięcy wzorów wibracji. Każdy zapisała w swoim wolicie, zanim przeszła do następnego. Gdy miała już wszystkie, odtworzyła ich wibracje jak tysiące głosów śpiewających jedną pieśń i naznaczyła je.

– Stało się – powiedziała.

Rowan i Tristan odeskortowali Lily z powrotem na dziedziniec, gdzie czekała reszta mechaników. Stali rozstawieni naprzeciw jej stosu, który zbudowali w samym centrum dziedzińca. Stos był rozszczepiony i kolczasty, w środku tkwił pal ze zwisającymi łańcuchami. Dreszcz wstrząsnął Lily, zarówno ze strachu, jak i z pragnienia.

*Dasz radę przerzucić aż tyłu?* – pytanie zadał Rowan, lecz Lily wiedziała, że reszta sabatu zastanawia się nad tym samym. Nie odpowiedziała, bo sama nie знаła odpowiedzi.

Weszła na stos, sama przeciągnęła łańcuchy przez pierścienie kajdan, po czym je zatrzasnęła. Nowi rekruci patrzyli. W szeregach podniósł się szmer niepewnych głosów.

– Podpalać – rozkazała.

## Rozdział 11

Toshi i Ivan pogrążeni byli w milczeniu i pracy, bez słów zgodziwszy się na zniszczenie ostatniego wirusa, którego stworzyli, by eksterminować Rój, bowiem najprawdopodobniej eksterminowałyby też wszystko wokół, gdy do laboratorium weszła Grace.

Popatrzyła na szalki Petriego, wystarczył jej rzut oka, by rozłożyć ich zawartość, i spojrzała na mechaników spod uniesionych brwi.

– Mam nadzieję, że to się stąd nie wydostanie – upewniła się zaniepokojona.

– To tylko próbka. I nie ma nosiciela – uspokoił ją Ivan.

– To dobrze – odparła Grace i popatrzyła na nich jak na najmilszych sercu przyjaciół. – Wy dwaj byliście ostatnio bardzo zajęci, chociaż nie do końca potraficie powiedzieć, czym.

Toshi nie zareagował. Wprawił się w ukrywaniu swoich uczuć przez te minione półtora tygodnia. Nawet jeśli poczuł się zaniepokojony faktem, że Grace pojawiła się w laboratorium, to nie dał po sobie poznać. Nie miało znaczenia, czy fizycznie była z nimi w tym samym pomieszczeniu, czy nie. Obserwowała ich nieustannie, dlatego też Toshi i Ivan nawet nie próbowali zostać braćmi w kamieniu. Na szczęście znali się tak dobrze, że nie potrzebowali magii, by wiedzieć, co ten drugi myśli. Toshi zerknął na Ivana, który zachowywał pozorny spokój wręcz doskonale, ale w końcu miał prawie dwieście lat doświadczenia w ukrywaniu swoich emocji przed Grace i Rojem.

– Uaktualnialiśmy grafik szczepień. Może chcesz, żebyśmy opowiedzieli ci o nowych chorobach, które zidentyfikowaliśmy? – spytał Ivan z niezauważalnym niemal westchnieniem, sugerującym, jak męczące byłoby to dla wszystkich.

– Grypa robi interesujące rzeczy – dodał Toshi.

Grace odrzuciła tę niezbyt ciekawą ofertę, marszcząc nosek. Zaczęła spacerować po laboratorium, zaglądać do słoików i dotykać instrumentów. – Trochę czasu minęło, odkąd bywałeś tu regularnie – zwróciła się do Toshiego, posyłając mu szklisty uśmiech. – Zastanawiałam się, co skłoniło cię, by wrócić do podstaw?

Toshi nie miał wątpliwości, że odgrywanie urażonej niewinności nie ma sensu. Grace wiedziała, że coś się tu dzieje, ale zdecydowała, że odkrycie co, jest dla niej istotniejsze, niż powstrzymanie tych działań. Przynajmniej na razie.

– Po prostu szukam czegoś, co nadałoby mojemu życiu sens po tym, jak odkryłem, że wszystko, w co wierzyłem dotychczas, zbudowane zostało na gigantycznym łgarstwie – wypalił, jakby nie obawiał się żadnych konsekwencji. Grace roześmiała się na taką bezczelność. – A co ty robisz tu na dole? – spytał.

– No dobrze. Koniec z kluczeniem wokół tematu. – Przestała krążyć i stanęła naprzeciwko mechaników. – Chciałam się dowiedzieć, czy ten nawrót

zainteresowania pracą w laboratorium ma coś wspólnego ze sposobem, w jaki Lily i jej sabat zniknęli bez śladu.

– Ty masz obsesję na tym punkcie, wiesz o tym? – Toshi nie musiał nawet udawać zdziwienia.

Gniew błysnął w oczach Grace.

– Moi zwiadowcy nie są w stanie jej znaleźć. Nie zostawiła tropu na ziemi, woni w powietrzu, nic. Wysłałam połowę Roju na terytorium Stada i nie został po niej żaden ślad.

– Nie wiem, co według ciebie mielibyśmy zrobić w tej kwestii – powiedział Ivan z irytacją. – My zajmujemy się konkretnymi materiałami i substancjami w laboratorium, a nie żadnym hokus-pokus. Toshi i ja nie jesteśmy w stanie ci pomóc, skoro ona... – machnął ręką, szukając właściwego określenia – zmieniła się w ducha i uleciała.

– Zmieniła się w ducha. – Grace roześmiała się, rozbawiona nedorzecznnością tego pomysłu i nagle zamilkła, poważniejąc. – Wędrowka ducha. – Jej spojrzenie stało się nieobecne. – Może nie kłamała, mówiąc o szamanie?

Toshi nie do końca zrozumiał, co mówiła Lily, błagając o darowanie siostrze życia, ale dość by wiedzieć, że miała wyjawić Grace, jakim cudem może być w dwóch miejscach naraz. Wspominała coś o wędrowce duchów i szamanie, ale Grace od razu odrzuciła tę możliwość. Teraz najwyraźniej zmieniła zdanie. Poczł, jak zimna pięść strachu ściska mu żołądek. Ostatnie, czego potrzebowała Grace, to jeszcze więcej władzy.

Grace ruszyła do drzwi, zapomniawszy najwyraźniej o Toshim i Ivanie, skupiona na nowym celu, nowej zwierzynie.

– Dokąd idziesz? – spytał Toshi. – Grace! – krzyknął, ale odpowiedział mu tylko trzask zamykanych drzwi.

\*\*\*

Duch Lily wyrwał się z torturowanego ciała. Zobaczyła siebie, skręcającą się w płomieniach poniżej. Wokół niej nadświat przyjął kształt niekończących się lasów i morza wzgórz.

Gdzieś tam była Lillian, czekała na swoje drugie ja. Ale Lily zamierzała najpierw udać się gdzie indziej. Najpierw musiała znaleźć Alaryka i swoich wojowników. Zignorowała słabe wołanie Lillian.

Rozejrzała się po nietkniętych stopą szlakach nadświata w poszukiwaniu jakiegoś punktu odniesienia. Jej ciało płonęło i czuła, jak ciągnie ducha, niczym dziecko, które pociąga za sznurek balonu. Ale tu była spokojna. Cierpliwa. Nie mogła wykonać skoku, nie mając żadnego połączenia z miejscem, do którego zmierzała. Potrzebowała poznać wibrację krainy, by uzyskać do niej klucz, tak samo jak musiała poznać wibrację czyjegoś umysłu, słyszalną w wolicie, by mogła

tę osobę naznaczyć.

Pomyślała o tym, jak udało jej się to z Płową. Ale Płowa była tak bardzo związana z ziemią, tak dostrojona do swego otoczenia, że odblokowanie wibracji było łatwe. Znalezienie człowieka tak świadomego otaczającej go krainy będzie o wiele trudniejsze. A póki nie znajdzie kogoś, kto pomoże jej odszukać wibrację konkretnego miejsca, mogła jedynie szybować przez szary nadświat.

Jej ciało szarpało się z rosnącą intensywnością. Czas się kończył. Spojrzała w jedną stronę i zobaczyła srebrzyste kłęby Mgły tuż na granicy nadświata. Spojrzała w drugą i zobaczyła złocistą smugę. Postanowiła polecieć w tamtym kierunku. Gdy znalazła się bliżej, zrozumiała, czym było złociste lśnienie, dotarła do umysłów swych naznaczonych, którymi wciąż władał Alaryk.

Miała nadzieję, że to, co zrobi za chwilę, nie zostanie zauważone albo przynajmniej nie zostanie potraktowane przez jej gospodarza jako naruszenie nietykalności. Zaczęła przyglądać się swym naznaczonym Zewnętrzny i znalazła dziewczynkę czerpiącą wodę ze strumienia. Ręce zanurzyła w wodzie i stały się w pewnym stopniu częścią potoku. Ale Lily cofnęła się, wiedziała, że to nie zadziała. Rzeki płynęły przez krainy, były wędrowcami niezwiązanymi z żadnym miejscem.

Lily zostawiła dziewczynkę i zaczęła szukać dorosłego, ale wszyscy poruszali się zbyt szybko. Żaden nie trwał tam, gdzie się znajdował, wszyscy skupiali się na tym, gdzie znajdą się jutro czy pojutrze.

Wreszcie znalazła naznaczonego, siedzącego na skale. Jego umysł był tam, gdzie ciało, ale w skale znajdował się kwarc i Lily nie mogła wyczuć wibracji ziemi pod głazem. Czasu zostało jej naprawdę niewiele. Rozglądała się gorączkowo i wreszcie znalazła. Jeden z naznaczonych kopał dół i znajdował się po pas w ziemi. Czowała ją wokół niego, jej zapach, teksturę, tożsamość tego spłachetka ziemi. Cała istota naznaczonego dostrojona była do tego miejsca, bowiem tu właśnie zamierzał pogrzebać swego przyjaciela. Chciała zawołać mężczyznę po imieniu, ale się powstrzymała. Lepiej, żeby nie wiedział, że ona tu jest.

Gdy jej duch zanurzył się w jego ciele, Lily spróbowała dać naznaczonemu odrobinę pocieszenia. Zjednoczyła się z nim. Horyzont podskoczył dziko, przez chwilę wszystkie zmysły utworzyły oszołamiający wir i nagle to jej pokryte pęcherzami dłonie trzymały stylisko łopaty, to jej serce ścisnął ból straty nie do zniesienia. Lily wtargnęła do wolitu, śląc naznaczonemu przeprosiny i wykorzystwała kamień, by usłyszeć wibrację miejsca. Kiedy już zapisała ten niepowtarzalny wzór, opuściła mężczyznę i pozwoliła, by szarpanie jej ciała, niczym kurcząca się lina bungee, poniosło ducha z powrotem.

Gdy już mknęła w szarość nadświata, zobaczyła jeszcze, jak Zewnętrzny przestaje kopać i zaciska dłoń na piersi. Spojrzał na zawinięte ciało przyjaciela, a potem ku chmurom nad głową.

Lily wróciła do ciała trawionego bezlitośnie przez ogień. W agonii krzyknęła



przeszywająco, a jej krzyk poniósł się przerażającym echem po dziedzińcu. Rowan rzucił się w stronę stosu z siekierą w rękach, ale zanim zdążył dopaść Lily, grom rozdarł niebo, powietrze z rykiem zapełniło pustkę po tysiącach ciał, a Lily przeniosła ich wszystkich o setki mil dalej.

Pojawili się wokół mężczyzny chowającego przyjaciela. Ten stał wciąż z dłonią na piersi i zadartą głową. W jednej chwili był sam, w drugiej otaczał go tłum.

Lily zmaterializowała się obok samotnego żałobnika w na wpół wykopanym grobie. Jęknęła z bólem, straciła równowagę i niemal wywróciła się, podzwaniając kajdanami, ale mężczyzna pochwycił ją w ramiona.

– Dziękuję – szepnęła. Czuliła ulgę, wiedząc, że już po wszystkim, oparła głowę na ramieniu mężczyzny i odetchnęła kilka razy głęboko. Tatuaż Rowana chłodził poparzenia od wewnątrz i każdy oddech nieco łagodził dojmujący ból.

Rowan przypadł do grobu i ukląkł.

– Daj ją mnie – zażądał, wyciągając ręce po Lily.

Ale mężczyzna trzymał ją przy piersi, wciąż jeszcze zszokowany. Był Zewnętrzny, więc Rowan powtórzył zdanie w języku Czirokezów. Tamten kiwnął głową, jednak trzeba było nakłaniać go jeszcze przez chwilę, by zdecydował się wreszcie oddać Lily, a kiedy to uczynił, usłyszała, jak powtarza ciągle to samo zdanie.

– Co on mówi? – spytała, gdy Rowan niósł ją coraz dalej od grobu.

– Powiedział, że poczuł cię, zanim cię zobaczył – odparł i, upewniwszy się, że dzieli go stosowna odległość od pozostałych mechaników, ściszył głos. – Mówił, że byłaś w nim i pokazał na swoją pierś. – W głosie Rowana słychać było napięcie. – Co to znaczy?

– Wiesz, co to znaczy.

– Posiadłaś go.

Słowo zawisło między nimi. Lily spróbowała się zorientować, czy Rowan ją potępia, czy nie. Postanowiła, że nie będzie się bronić.

– Nic od niego nie wzięłam. Nawet starałam się nieco złagodzić jego cierpienie, to chyba właśnie dlatego się zorientował – powiedziała po prostu. – Nie było innego sposobu, by nas przenieść.

Westchnął i skinął głową.

– Miejmy tylko nadzieję, że reszta się nie dowie – mruknął, koncentrując się na obrażeniach Lily. – Nie wyglądasz najgorzej.

Zacisnęła zęby, by odepchnąć ból.

– Chcę rozmawiać z Alarykiem najszybciej jak się da – oznajmiła.

– Dopilnuję tego – obiecał.

\*\*\*

Carrick ostatnie trzy dni spędził w siodle. Wierzchowiec, którego dała mu Lillian, był udomowionym Splotem, po części koniem, po części jakimś zwierzęciem z łuskami. Nazywał się biegacz. Carrick nie miał pojęcia, od jakiego zwierzęcia pochodziła niekońska część biegacza, ale nie pytał.

Podobne sztyletom zęby biegacza i gadzia skóra sprawiły, że Carrick podchodził do stworzenia z wahaniem, jednak na Splocie jeździło się jak na koniu, więc szybko się przyzwyczał. Aż do tego poranka stwór nie potrzebował wody ani jedzenia. Carrick nakarmił biegacza szopem, którego ten połknął w całości, i pojechali dalej.

Na rozkaz Lillian Carrick opuścił szeregi armii i ruszył tropem Alaryka. Gdy jego cichy wierzchowiec przemierzał szlak, rozważał, jak różnie przemieszczały się armie miasta i Zewnętrznych. Żołnierze Lillian maszerowali ramię przy ramieniu i deptali wszystko na swojej drodze, zostawiając za sobą liczne ciała i pas zniszczonej ziemi. Armia Zewnętrznych podróżowała rozproszona, z mniejszym obciążeniem, wojownicy zabijali rzadziej i rzadziej też ginęli po drodze. Carrick musiał się wysilić, żeby dostrzec ślady ich przejścia, gdy przemykali się dolinami, w dzień jadąc w luźnym szyku, nocie przesypiając w zamaskowanych namiotach. Jednak był Zewnętrznym, jak oni, wiedział, gdzie patrzeć.

A jednak mimo swoich umiejętności Carrick musiał przyznać, że rzecz, której szukał, nieustannie mu się wymykała. Teraz, gdy Lily wróciła do tego świata i przysięgła zjednoczyć siły z Lillian, Carrick otrzymał swe dawne rozkazy. Znaleźć ostatnią bombę i ją rozłożyć.

Wcześniej były dwie. Została jedna. Carrick pytał Lillian o drugą, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Irytowało go, że któryś z ludzi wiedźmy wykonał to zadanie, głównie dlatego, że jak się domyślał, musiał być to jeden z tych nadętych żołnierzy z Namurza. Carrick przywykł, że patrzono na niego z niesmakiem, czy to z powodu jego zwisających w strąkach włosów, czy denerwującego nieruchomego spojrzenia, czy też z uwagi na krew pod paznokciami, której nigdy jakoś nie dawał rady wypłukać do końca, zanim znów nie ubabrał się nią po łokcie. Ale nawet ci najbardziej przeczuleni schodzili mu z drogi z pewną dozą szacunku. Żołnierze Namurza byli inni. Wszystkich Zewnętrznych (może poza bratem Carricka, legendarnym lordem Fallem) traktowali z pogardą, w której nie było miejsca na strach, do jakiego Carrick był przyzwyczajony. Niestety nie mógł zrobić nic, by ich tego strachu nauczyć. Jego Czarownica po prostu na to nie pozwalała. Żywiła wyjątkowe upodobanie do Namurza i nie wyjawiała Carrickowi powodów tego upodobania.

Wjechał między drzewa i dostrzegł ślady Alarykowej armii, zadartą korę na pniu osiki, koleiny wśród paproci, gdzie przejechał ciężki opancerzony wóz. To koleiny najbardziej przyciągnęły uwagę Carricka, zorientował się już, że wóz

przemieszczał się głównie nocą i przeczucie podpowiadało mu, że to właśnie tam znajdowało się to, czego szukał. Jak na razie jednak wozu nie zobaczył.

Na otwartym terenie jechał szybko i zwolnił, gdy znalazł się pod osłoną drzew. Zsiadł i uważnie obejrzał ziemię. Jego wierzchowiec syknął cicho. Carrick podniósł wzrok i zdołał odparować pierwszy cios, ale napastnicy mieli przewagę liczebną i ogłuszyli go, zanim zdążył wezwać Lillian.

\*\*\*

Lily siedziała w drewnianej wannie wypełnionej zimną źródlaną wodą. Rowan dorzucił do kąpieli jakieś zioła, które pachniały jak tymianek i cytryna, dołał też kilka kropel czegoś, co mrowiło skórę.

Świeże tatuaże rozlewały chłód pod skórą. Pęcherze kurczyły się na oczach Lily, a czerwone pasy oparzeń od kajdan zbladły prawie całkiem. Czowała się zmęczona, ale to było przyjemne zmęczenie, zalegające w mięśniach, a nie torsje i ogłuszająco pulsujący ból głowy, które dotychczas dręczyły ją po tym, jak wchodziła na stos. Odchyliła głowę i cieszyła się kąpielą.

Słyszała głos Rowana tuż poza namiotem. W języku Czirokezów wyjaśniał zdumionym Zewnętrzny, jak to możliwe, że dziesięć tysięcy nieopierzonych mieszczuchów pojawiło się w środku lasu, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Zewnętrzni nie byli przyzwyczajeni, by ktoś ich tak zaskakiwał. Lily uśmiechnęła się do siebie, wsłuchując się w głos Rowana, aż nadto przepełniony cierpliwością. Nienawidził się powtarzać. Usłyszała, jak Caleb zastępuje przyjaciela, gdy ten skończył, i jak tłum na zewnątrz namiotu się rozchodzi. Mechanicy trzymali przy Lily straż przez całą noc, choć wiedziała, że to niepotrzebne. Niemal wszyscy wojownicy byli jej naznaczonymi i zdołała już wyjaśnić im swój dziwny powrót w mowie myśli, nie bacząc, że większość z nich nie miała żadnego pojęcia, czym jest teleportacja.

Rowan wszedł do namiotu, zaciskając zęby. Lily parsknęła śmiechem.

– To nie jest zabawne – rzucił i sam starał się ukryć uśmiech. – Starsi są źli, że przyprowadziłaś tunelowych ludzi i parobków z farm.

– Nazywają siebie dolnym ludem i nie winię Starszych za ten brak sympatii – odpowiedziała. – Ale przynajmniej moi wojownicy są zadowoleni, że tu jestem.

Przekręciła się w wannie, słyszała dobiegający z zewnątrz śmiech i cichą pieśń zaintonowaną przy jednym z ognisk.

– Żartujesz? Są przeszczęśliwi! Teraz czują, że mają szansę w tej wojnie – stwierdził Rowan klękając przy Lily. – Ty nie stanowisz problemu, tylko dolny lud, bo ci nienawidzą Zewnętrznych za to, co zrobiła im Chenoa już wybuchło kilka poważnych bójek. Starsi obawiają się, że niedługo te potyczki zaczną kończyć się krwawo.

Lily zmarszczyła brwi, przypominając sobie, jak to Chenoa wykorzystała

kobiety żyjące w tunelach metra, by przemyciły radioaktywne materiały z laboratorium w akademii Lillian na Zewnątrz, ale nie wyjaśniła im, jak bardzo niebezpieczne są to materiały. Lily widziała skutki.

– Mają podstawy do gniewu – powiedziała cicho.

– Oczywiście – zgodził się Rowan. – I to tylko pogarsza sytuację.

Wziął miseczkę i zaczął polewać plecy Lily wodą.

– Mężczyźni z farm są twardzi i brutalni, a większość z nich ma jakieś rodzinne powiązania z kobietami, które transportowały pył Chenoi.

Lily dokładnie wiedziała, jakiego rodzaju mężczyźni przebywali na farmach. Niektórzy pewnie byliby dobrymi ludźmi, gdyby życie nie doświadczyło ich tak ciężko, ale właściwie każdy zrobił coś, za co trafił na farmę. To nie była banda drobnych złodziejasków i Lily im nie ufała.

– Nie pozwolę im już nikogo skrzywdzić – obiecała.

– I jak ich powstrzymasz? – spytał Rowan ostrożnie, najwyraźniej nie chcąc zaczynać trudnego tematu, jakim było kontrolowanie ludzi przez wiedźmę.

– Powiem im, i to zaraz, że jeśli dojdzie do kolejnych wypadków przemocy, to jutro rano ja będę ich sędzią i ławą przysięgłych. Mnie nie mogą okłamać, a zbrodnia wypadnie blado przy karze, jaką wymierzę. – Skupiła wewnętrzny wzrok na umysłach parobków i wysłała im ostrzeżenie. – Zrobione.

Szemranie wody spływającej po plecach Lily zdawało się wypełniać cały namiot, a napięcie z każdą chwilą stawało się bardziej wyczuwalne.

– Myślałam, że mnie nienawidzisz za to, że stanęłam po stronie Lillian – szepnęła Lily, przerywając narastanie ich wzajemnego przyciągania. Wróciła myślami do chwili, gdy zdarł jej z szyi wolutę, ale byli tak blisko siebie, że Rowan też to zobaczył.

– Nigdy nie czułem do ciebie nienawiści – odparł. – Gdy tylko dowiedziałem się o bombach, o tym, co mogą zrobić, zrozumiałem, dlaczego Lillian zaczęła polować na naukowców. – Przygryzł dolną wargę i podjął z oporem. – Skoczyła do świata, w którym zostały użyte, prawda? To tam była przez te trzy tygodnie, gdy zniknęła.

– Szaman nazywał je spopielonymi światami. Jest ich pełno wokół tego, w pianie wszechświatów. Światy, które są do siebie podobne, znajdują się blisko siebie, a to znaczy, że większość takich jak twój, gdzie istnieją Wiedźmy, Zewnętrzni i Sploty, została już zniszczona przez kogoś, kto podjął niewłaściwą decyzję.

Rozważył jej słowa, marszcząc brwi z namysłem.

– Zatem mój świat trwa w pożyczonej chwili?

– Póki Chenoa i jej bomby są gdzieś tam, to tak.

– Kiedy zobaczyłem kobiety w tunelach, od razu wiedziałem, że Lillian toczy ta sama choroba. – Przez jego twarz przemknął wyraz bólu. – Powiesz mi,

dlatego nie pozwoliła się dotknąć, nawet tylko po to, bym jej pomógł?

– Nie mogę.

– Tu chodzi o mojego ojca, prawda? Nie chciała, żebym ją dotykał, bo nie mogłaby ukryć przede mną, co widziała, i tego się bała – stwierdził.

Lily zacisnęła usta i odepchnęła się od brzegu wanny, ale Rowan ją powstrzymał.

– Posłuchaj, już sam się wszystkiego domyśliłem. Lillian trafiła do spopielonego świata i coś się tam stało. Coś związanego z moim ojcem, bo był pierwszym, którego powiesiła, gdy wróciła. Powiedz mi po prostu, co to było. Co on zrobił?

Lily potrząsnęła głową.

– Nie mogę.

Teraz Rowan się od niej odsunął.

– Słyszałeś kiedyś takie powiedzenie: co cię nie zabije, uczyni cię silniejszym? – spytała.

Zaprzeczył milcząco.

– Za każdym razem, gdy miałam napad drgawek i go przeżyłam, wierzyłam, że przez to stałam się nieco silniejsza. Nadal uważam, że te wszystkie choroby w dzieciństwie dały mi siły, by to przetrwać. – Wskazała na niknące ślady poparzeń.

– Ale kiedy zobaczyłam spopielony świat, przestałam wierzyć w słuszność tego powiedzenia. Człowiekowi może przytrafić się mnóstwo rzeczy, które mogą go osłabić. Które mogą go złamać. I tylko tyle mogę ci powiedzieć.

Rowan zastanowił się nad tym przez chwilę, ale koniec końców znów potrząsnął głową.

– To nie wystarczy, Lily. Muszę wiedzieć, dlaczego go zabiła. – Chciał wstać, ale go przytrzymała.

– Niedługo spotkasz się z Lillian. Możesz ją sam zapytać, ale chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? – Poczekała, aż przytaknął powoli. – Nie pytaj. To stało się w innym świecie. Pozwól, by tam pozostało. Lillian nie była w stanie zostawić za sobą tego, co jej się przytrafiło w spopielonym świecie. I dlatego zabiła twojego ojca.

– Tak źle? – Widać było, że następne pytanie przychodzi Rowanowi z ogromnym bólem. – Myślisz, że miała rację, zabijając go?

– Nie – zapewniła Lily ze współczuciem. – Lillian uważa, że jedyną różnicą między kolejnymi wersjami nas samych są nasze doświadczenia. I jeśli sprawisz, że jedna wersja doświadczy tego, co przeżyła druga, to będą reagować tak samo. Ja w to nie wierzę. Twój ojciec nie był Riverem Fallem ze spopielonego świata i nie wierzę, że mógłby się nim stać, nawet gdyby doświadczył tego samego. Tak jak ja nigdy nie stanę się Lillian, bez względu na to, jak wiele jej wspomnień sobie przyswoję. Lillian wierzy, że to nasze doświadczenia nas kształtują. Ja wierzę, że

nasze wybory kształtują nasze doświadczenia i nasze światy.

– Chcesz powiedzieć, że wybrałabyś inaczej niż ona?

– Nie w każdej kwestii – przyznała Lily i głos jej się nagle załamał. Wyciągnęła dłoń i powiodła kciukiem po dolnej wardze Rowana. Gwałtownie wciągnął powietrze i zobaczyła jak oczy mu ciemnieją, a usta miękną, dotykając jej palców.

Ale dzieliła ich przepaść. Nie mogli nawet o tym porozmawiać, bo w przepaści spoczywał Tristan, i dlatego Lily nie mogła się zmusić, by ją zasypać. Cofnęła dłoń i zanurzyła w wodzie.

– Przyniosę ci ubranie – powiedział Rowan ochryple i wyszedł, unikając jej wzroku.

\*\*\*

Rowan usłyszał alarmujące okrzyki wartowników szybciej niż Lily. Poderwał się na klęczki i wyrzwał z namiotu. Uniesiona kłapa pozwoliła Lily dostrzec jakieś szybko poruszające się kształty i cienie.

– Zostań tu, póki po ciebie nie poślę – powiedział, zakładając koszulę, i wsunął nóż za pas.

Lily kiwnęła głową i zaczęła szukać butów. Pamiętała, że zasypiała sama i że było jej zimno, a potem cudowne ciepło przytuliło się do jej pleców. We śnie odwróciła się do Rowana i pocałowała go. Widać w jakimś stopniu zdawała sobie sprawę, że przy niej leżał. Przychodził tylko, gdy spała, jakby nie mógł się powstrzymać. Bolała ją myśl, że mogą być naprawdę sobą jedynie w swoich snach.

Znalazła wreszcie buty, a w chwili gdy je założyła, Una uniosła kłapę namiotu.

– Nic jej nie jest – rzuciła przez ramię. Lily usłyszała głosy Kanapki i Tristana.

– Kto jest z moją matką i siostrą? – spytała.

– Caleb – odpowiedział jej Tristan i gestem poprosił, by wyszła na zewnątrz.

– Musimy cię przenieść, każę Calebowi przyprowadzić je do ciebie, gdy będzie można.

Wyprowadzili Lily z namiotu, Una po jednej stronie, Kanapka po drugiej i ruszyli za Tristanem. Lily sięgnęła myślami do swoich wojowników strzegących obozu, by zorientować się, co się stało, jednak w odpowiedzi otrzymała jedynie niezbyt czytelne obrazy.

Większość jej naznaczonych nie była przyzwyczajona do rozmowy w myślach, do tego mieli niewiele magicznych zdolności, o ile w ogóle. Lily tak przyzwyczała się do rozmów ze swoimi mechanikami, że zapomniała, jak bardzo ci różnią się od zwykłych ludzi, którzy wcześniej nie słyszeli nawet mowy myśli, nie byli więc zdolni do formułowania pełnych zdań czy przekazywania koncepcji.

Od wojowników napłynęły jedynie obrazy i pojedyncze słowa. Będzie musiała to zmienić, jeśli miała nadzieję, że staną do walki jako jedność, bo dla Roju było to czymś naturalnym.

– Chyba znaleźli szpiega – poinformowała swoich mechaników, gdy zbliżyli się do centrum obozu, gdzie przez całą noc płonął ogień.

Rowan stał zwrócony do nich plecami. Spojrzał przez ramię, gdy podeszli bliżej, i uśmiechnął się do Lily z ulgą. Kiedy przywołał ją gestem, zdołała dostrzec, że osobą, z którą rozmawiał, był Alaryk. Niemal zmyliła krok, gdy pochwyciła spojrzenie wodza, ale szybko się pozbierała, wyprostowała plecy i śmiało zbliżyła się do ogniska.

– Dobrze cię znów widzieć – powiedział Alaryk, obserwując uważnie jej reakcję.

– Czyżby? Nie mogę powiedzieć tego samego.

Uśmiechnął się krzywo, mrużąc powieki.

– No cóż, najwyraźniej jednak chciałaś mnie zobaczyć, bo mnie szukałaś – przypomniał jej.

– Przybyłam po resztę mojej armii – odparła. W narastającej, pełnej napięcia ciszy słychać było tylko trzask ognia. Wreszcie Alaryk ustąpił i skinął głową.

– Z tego, co mówi Rowan, możesz przenieść wszystkich swoich naznaczonych z jednego miejsca w drugie. Jeśli będą podróżować z tobą, to wszyscy tę podróż przetrwają, czego ja nie mogę im obiecać. – Wyraz twarzy miał nieskończenie nieprzenikniony. – Ale czy pójdą za tobą do walki?

– Oboje wiemy, że są lojalni wobec ciebie. – Teraz przyszła kolej na ustępstwo Lily. – Zatem moja oferta brzmi następująco: będziesz miał prawo wypowiadać się w każdej kwestii, która dotyczy Zewnętrznych w mojej armii. Zostaniesz jednym z moich generałów i będziesz odpowiadał przed Rowanem. Mam tylko jeden warunek: pozwolisz mi się naznaczyć.

Zaskoczony Alaryk parsknął śmiechem, szybko jednak dotarło do niego, że Lily nie żartuje, spojrzał więc na Rowana, licząc, że ten przemówi jej do rozsądku. Ale Rowan tylko pokręcił głową.

– Straciłeś moje poparcie, gdy dowiedziałem się o bombach – oświadczył.

Alaryk uśmiechnął się i przyjął jego stwierdzenie do wiadomości.

– I o to w tym wszystkich chodzi.

– Owszem – potwierdziła Lily. – Chcę wiedzieć, gdzie są bomby, i chcę, by zostały rozłożone na części i zniszczone w odpowiedni sposób. Nie są już w tej wojnie alternatywą.

– Bomba. Jedna. Została mi tylko jedna, która jeszcze działa, a działa. – Alaryk machnął dłonią w stronę jednego z wymalowanych wojowników. – Mimo że przysłałaś kogoś, by ją uszkodził.

– O czym ty mówisz?! – Lily nawet nie próbowała ukryć zmieszania.

Usłyszała odgłosy szamotaniny, gdy kogoś wleczono do ogniska, a moment później zobaczyła Carricka trzymanego mocno przez dwóch wojowników. Szarpał się w więzach, gdy wleczono go przed oblicze Alaryka i widać było, że naprawdę się boi.

– Lily – powiedział, a jego twarz wykrzywił okrutny grymas. – Nareszcie.

Poczuła, jak jej mechanicy stają bliżej, przywarła do boku Rowana. Ten powiedział coś w języku Czirokezów, ale Carrick tylko roześmiał się bratu w twarz i potrząsnął przecząco głową.

– Nie myśl, że nie wiem, że ty i Lillian wysłałyście tego *uktena*, żeby mnie osłabić. – Alaryk wskazał na Carricka gestem pełnym odrazy.

– Nie mam nic wspólnego z Carrikiem – odpowiedziała żarliwie Lily. – Lillian i ja nie we wszystkim się zgadzamy. Przybyłam tu, bo miałam własny plan, jak poradzić sobie z tobą i bombami, przepraszam, z bombą, i nie miało to nic wspólnego z nim. I gdzie jest druga bomba? Myślałam, że zostały dwie.

Alaryk przyglądał się Lily z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, wreszcie przechylił lekko głowę, jakby nagle wpadła mu do niej jakaś myśl.

– Nie powiedziała ci, że wykradła mi drugą bombę i zatrzymała dla siebie?

Lily spojrzała na Alaryka przerażona. Wódz roześmiał się gorzko.

– Tak też myślałam.

Lily zamknęła usta i sięgnęła myślami do swego drugiego ja.

*Lillian! Masz bombę?*

Podeszła do Carricka, którego nadal przytrzymywali wojownicy, i z całej siły uderzyła go w twarz.

– Czy Lillian ma bombę? – Uderzyła go raz jeszcze, zanim zdążył odpowiedzieć. Głowa Carricka poleciała na bok. Spojrzał na Lily ponownie, z pobłażliwym uśmiechem. Na jego policzku pojawiła się pręga, jakby coś pod nim pełzało.

– Odpowiadaj – rozkazała mu Lily.

– Nie wiem. Jeśli ma bombę, to zdobyła ją, kiedy ja śledziłem ciebie – odparł. – Ale wydaje mi się, że to prawda. Lillian planuje zmieść Bower z powierzchni ziemi.

*Chyba nie kłamie*, ocenił Rowan.

*Nie, nie kłamie*, zgodziła się z nim. *Lillian sama mi powiedziała, że planuje zniszczyć miasto, ale nigdy bym nie podejrzewała, że chce tego dokonać, używając bomby. Nigdy. To ostatnie, do czego by się posunęła.*

I Lily wiedziała, dlaczego Lillian podjęła taką decyzję, bowiem wierzyła, że aby wygrać, musi przekroczyć nieprzekraczalną granicę.

– Zjawiaś się tu, by zebrać armię i dołączyć do Lillian, ale Zewnętrzni idą jej tropem, by ją powstrzymać – powiedział Alaryk. – Chcemy zamieszkać w



Bower, jeśli uda nam się przejść obok Roju.

*Nie wiedzą wszystkiego o Grace.* Ta myśl przypląnęła od Caleba, który dołączył do zgromadzenia przy ognisku, prowadząc Juliet i Samanthę.

– Wodzu, nie można przejść obok Roju – powiedział głośno, stając w kręgu światła. – Nie bez Lily i Lillian, i wszystkich ich naznaczonych, co do jednego. Rój jest we władzy więdźmy Grace. Jest zaczarowany, napędza go jej magia. Widziałem to na własne oczy. Nie mamy szansy go pokonać, nie mając własnej zaczarowanej armii.

Alaryk słyszał niewątpliwie, co mówi Caleb, ale jego spojrzenie raz po raz biegło ku dwóm kobietom towarzyszącym młodemu mechanikowi.

– Juliet – powiedział cicho, i Lily nigdy jeszcze nie słyszała w jego głosie tyle delikatności i tęsknoty. Zrobił kilka kroków w stronę Juliet i ujął ją za rękę. Cofnęła się niepewna i nieco przestraszona intensywnością jego spojrzenia. Alaryk zrozumiał dlaczego.

– Nie jesteś moją Juliet – powiedział, a kiedy potrząsnęła przecząco głową, odwrócił się do Lily. – Gdzie ona jest?

Lily zacisnęła usta, z wysiłkiem przetykając ślinę w nadziei, że uda jej się jakoś pozbyć bolesnej kuli w gardle. Wyraz jej twarzy wystarczył Alarykowi za odpowiedź. Zamknął oczy i wypuścił wstrzymywany oddech.

– Jak? Kiedy? – spytał i nagle wydał się Lily nieco mniejszy i o wiele starszy.

– Wiedźma Grace. W zeszłym tygodniu – odpowiedziała cicho.

Alaryk kiwnął głową, spojrzenie miał zwrócone do wewnątrz. Narastał w nim gniew, który wódz starał się stłumić, a wskutek ciśnienia ów ogień stawał się tylko bardziej gorący, niczym w piecu do wytapiania metali.

– Ta Grace nazaczyła Rój? – spytał przez zaciśnięte zęby.

– Stworzyła go – odparł Rowan. – Musisz dowiedzieć się czegoś na temat Splotów.

Rowan mówił to po angielsku, to w języku Czirokezów, próbując wyjaśnić Alarykowi wszystko, co odkryli. A gdy zawiodły go słowa, podzielił się ze swoim bratem w kamieniu wspomnieniami, włączając w to też Lily.

Do wodza popłynęły obrazy z miasta Bower, ruchliwy port, wszechobecny dobrobyt, mieszkańcy żyjący długo i w zdrowiu. Potem Rowan pokazał Alarykowi antyczne klasty i wyjaśnił, do czego użyto ich dwa wieki wcześniej. Alaryk milczał. Siedział nieruchomy i tylko gapił się w ogień. Kiedy wreszcie Rowan pokazał mu Grace i ich spotkanie pośród sekwoi, kiedy zginęła Juliet, Alaryk nadal prawie się nie poruszył.

– Ona jest Zewnętrzna. – Tylko tyle udało mu się powiedzieć przez dławiący go gniew. Kolejną długą chwilę spędził, wpatrując się w płomienie, wreszcie wstał i stanął przed Lily.

– Możesz zabrać wszystkich wojowników do Bower i z powrotem, jeśli znajdują się w niebezpieczeństwie?

– W ułamku chwili.

– Zatem możesz rozmontować moją ostatnią bombę. Nie mamy już zwady z Trzynastoma Miastami – oznajmił. Lily odetchnęła z ulgą, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, wódz uciszył ją gestem. – Jeszcze się nie raduj, bowiem zgadzam się z Lillian. Ona wciąż ma własną bombę i nie wątpię, że jej użyje. – Roześmiał się ponuro. – Możesz uwierzyć? Niemal zabiłem cię za te słowa, gdy widzieliśmy się ostatnio, ale zgadzam się z Lillian – powtórzył. – Bower musi spłonąć.

– Nie, czekaj. Nie rozumiesz, mieszkańcy miasta nie wiedzą, co zrobiła Grace – zaczęła protestować Lily. Ale Alaryk odwrócił się od niej, nie słuchając.

– Załóżcie Carrickowi, synowi Anokiego jarzmo – rozkazał i wojownicy oddalili się, wlokąc więźnia ze sobą.

– Ludzie w Bower są niewinni – nie ustępowała Lily, lecz Alaryk ją zignorował.

*Zostaw go, poradził jej Rowan w myślach. Daj mu szansę ochłonąć.*

Wódz zatrzymał się przed Juliet.

– Wybacz, jeśli uraziłem cię wcześniejszą poufałością – powiedział grzecznie.

– Nic się nie stało. Współczuję ci straty.

Skłonił głowę, przyjmując jej słowa do wiadomości, i odkuśtykał w ciemność. Juliet odprowadziła go wzrokiem.

– Alaryku, nadal muszę cię naznaczyć – zawołała za nim Lily. – Nie mogę cię zabrać, jeśli nie będziesz moim naznaczonym. – Nie zatrzymał się. – Zostaniesz tu! – krzyknęła, ale wiedziała, że na próżno. Alaryk był jeszcze bardziej uparty niż ona.

\*\*\*

Lily obudziła się i znów zobaczyła Rowana śpiącego obok. Włosy opadły mu na oczy i musiała się wysilić, by nie ulec pokusie i ich nie odgarnąć.

Zostawiła go w namiocie, a sama wyszła w przedświt. Noce w okolicach Richmond były łagodne. Cienka warstewka mgły snuła się między paprociami i jaworami. Lily dotknęła umysłu jednego ze swych naznaczonych i zapytała, gdzie on się znajduje. A potem poszła za delikatnym wołaniem umysłów, na drugą stronę obozu, i zobaczyła, że został przykuty do wielkiego opancerzonego wozu.

Wydawało jej się, że podchodzi bezszelestnie, a jednak podniósł głowę, gdy się do niego zbliżyła. Zadzwończyła łańcuchy i Lily odruchowo potarła swoje nadgarstki. Carrickowi założono wole jarzmo, jego dłonie wisały na wysokości głowy, a ciężkie drewno przygniatało mu plecy do ziemi.

Spojrzała na wóz stojący za nim. Jego koła zapadły się w miękką ziemię.

Lily wykorzystwała wzrok wiedźmy, ale nie wykryła żadnego promieniowania, tylko dużą ilość ołowiu.

– Lily – wychrypiął Carrick. Często powtarzał jej imię, nie wiedziała, czy zdawał sobie sprawę, jak bardzo wyprowadza ją to z równowagi. – Nie martw się. Już ją rozbroiłem.

– Zatem to jest bomba? – upewniła się, wskazując wóz.

– Jedyna broń bardziej niebezpieczna niż ty – stwierdził ze śmiechem, starając się trzymać głowę w górze. – Może dlatego ty i Lillian macie taką obsesję na jej punkcie. Nie możecie znieść rywalki.

Lily zmarszczyła brwi, słysząc tę niepokojącą koncepcję, i rzuciła mu wrogie spojrzenie.

– Jeśli mam na jakimś tle obsesję, to tylko na tym, by uratować tylu ludzi, ilu się da.

– Kłamczucha. Myślisz, że cię nie znam? – Uśmiechnął się z wyższością. – Znam cię. Lepiej niż ten mój śliczny braciszek. Och, on dostrzega w tobie magię, ale nie zauważył krwi. Każda z was, czarownice, to magia i krew. Ty najbardziej ze wszystkich. Lubisz krew tak samo, jak lubisz magię, a nie wiesz i tego mogę cię nauczyć, że potrzebujesz krwi.

Zachowała obojętny wyraz twarzy wysiłkiem woli.

– Gdzie jest bomba Lillian, Carricku?

– Jeśli ci powiem, to mnie uwolnisz? – Zauważył, jak zaciska usta, i się roześmiał. – Nie. Bo nigdy nie wypuściłabyś luzem takiego potwora jak ja. Dlaczego więc miałbym ci coś mówić?

Wiedziała, że nie było sensu odwoływać się do jego człowieczeństwa ani błagać, by oszczędził ludzi z Bower. Toshiego.

– Powiesz mi, bo mnie potrzebujesz – odparła. – Lillian umiera. Kto cię naznaczy po jej śmierci.

Zobaczyła, że ten pomysł zapalił iskry w jego oczach.

– Naznaczyłabyś mnie? – zapytał z ostrożnością i nadzieją zarazem.

Kiwnęła głową.

– Bo nigdy nie wypuściłabym luzem takiego potwora jak ty.

Uśmiech wypełził na jego wargi.

– Nie wiem, gdzie jest bomba Lillian. Zdobyła ją, gdy udałem się za tobą do twojego świata – powiedział. – Ale dowiem się dla ciebie.

– Znajdź ją. Rozbrój. A kiedy Lillian umrze, ja cię naznczę – obiecała. I gdy zobaczyła jego uśmiech, gadzi grymas unoszący kąciki ust, poczuła, jak jakaś część jej samej położyła się i umarła.

*Lily, co robisz?*

Odwróciła się. Rowan zmierzał w jej stronę, boso, bez koszuli i zły. W jednej ręce miał srebrny nóż, w drugiej pochodnię. Potrzebowała wszystkich sił, by

nie pobiec do niego.

*Dobijam targu z diabłem*, odpowiedziała.

– Zgubiłeś coś, braciszku? – szydził Carrick.

*Nie powinnaś być z nim sama. Carrick jest niebezpieczny nawet związany.*

*Wiem, ale go potrzebuję...*

Rowan zeszytniał i gwałtownie spojrział za siebie. Zarówno jego oczy jak i Carricka niespokojnie przeszukiwały granice światła rzucanego przez pochodnię. Dopiero wtedy Lily usłyszała to, co zaalarmowało ich obu, brak dźwięku. Wszystkie żaby umilkły. Ucichły pohukiwania sów.

– Wypuść mnie – poprosił Carrick niskim, pełnym desperacji głosem. – Bracie. Nie zdołasz jej sam obronić.

Rowan rzucił mu spojrzenie spod przymrużonych powiek i Lily domyśliła się, że rozmawiali ze sobą w myślach. Cokolwiek Carrick powiedział, przekonał Rowana, który szybkim ruchem wyciągnął kołek znajdujący się na karku więźnia. Jarzmo opadło z brzękiem i łomotem. Rowan rzucił Carrickowi nóż i obaj obrócili się do Lily plecami, Zaczęli okrążać ją czujnie, wpatrując się w bezdźwięczną ciemność.

Lily wyciągnęła dłonie ku pochodni i wchłonęła żar niewielkiego płomienia. Magiczny wiatr uniósł jej włosy, szepcząc upiornie na wpół wypowiedziane słowa. Napęliła wolit Rowana mocą w ostatniej chwili. Sploty wyskoczyły spomiędzy drzew w eksplozji hałasu i ruchu.

– Małpiaki! – wrzasnął Carrick.

Małpoksztaltne Sploty pohukiwały i pędziły do przodu, podpierając się kłykciami. Ich mocne ciała kołysały się między wyprostowanymi ramionami z oszalamiającą szybkością. Rowan ruszył im na spotkanie. Wbiegły w krąg światła pochodni i zatrzymały się nagle.

– Stój – rozkazał Rowan, stając równie gwałtownie.

– Nie atakują – stwierdził Carrick z niedowierzaniem.

Małpiaki pokręciły się na granicy obozu, na tyle daleko, by zademonstrować, że nie angażują się w bezpośrednią walkę, ale i na tyle blisko, by nie pozwolić ludziom uciec.

Lily zorientowała się, że jeden spogląda na nią taksująco. Prychnął i odwrócił się, oglądając po kolei Rowana i Carricka.

– Kogoś szukają – stwierdziła zaskoczona.

– Lily! – syknął Rowan, gdy zrobiła krok do przodu. Carrick chwycił ją za ramię. Straciła jego rękę.

– Nic mi nie jest – zapewniła ich. – Zobaczcie, one nie chcą nikogo zabijać. Nie takie dostały rozkazy.

Małpiaki cofnęły się, gdy się zbliżyła, ściągając wargi i obnażając kły z niepokojem. Jeden skoczył ku niej, markując atak, by ją odgonić. Na to Lily

czekała, zamiast uciekać w popłochu, dała nura naprzód, sięgając do szyi Splota. Stwór był tak zaskoczony jej działaniem, że zanim się otrząsnął, zdążyła znaleźć niewielkie wybrzuszenie pod skórą na szyi.

Dotknęła ukrytego pod sierścią kamienia i poczuła wolę napierającą na jej umysł. Wściekłość zaiskrzyła i Lily zdołała wypchnąć tamtą wiedzmę z woluty.

– W porządku – mruknęła do przerażonego stworzenia. – Nie skrzywdzę cię.

Umysł nie przypominał ludzkiego, miał bardzo mgliste poczucie własnego ja i prawie wcale własnej woli. Lily wiedziała, że mogłaby wtargnąć do kamienia, nie niszcząc go przy tym, tak jak zrobiła to Grace, ale nie chciała powtarzać żadnego z jej wyborów. Zamiast tego poprosiła. Poczuła, że Splot się zgadza, i naznaczyła kamień.

*Mój.*

Jej umysł zalala fala obrazów. Kołysanie się w wierzchołkach drzew. Cudowne czyszczenie łusek na niebieskim grzbiecie. Łagodne ciepło słońca. Pobudka. I rozkaz, żeby zabijać. Twarz, którą pokazuje ta gniewna istota z wewnątrz, twarz, którą należy znaleźć.

– Kanapka! – krzyknęła Lily, gdy rozpoznała rysy. Przerwała kontakt z naznaczonym Splotem i obróciła się do Rowana. – Szukają Kanapki, tylko że... on jest Zewnętrznym? – dokończyła już mniej pewnie. To był Kanapka, ale miał długie włosy splecione w warkocze i barwy wojenne na twarzy.

– Lily, wracaj tu – nalegał Rowan. Poczuła, jak ciągnie ją za rękę, próbując zmusić, by odsunęła się od Splota.

Nieoczekiwanie wszystkie małpiaki odwróciły się i pomknęły między drzewa, pohukując nieustannie. Wszystkie poza jednym. Naznaczony Splot został, podczas gdy reszta jego rodziny umknęła.

*Idź za nimi, Modrogrzbiety,* pomyślała do małpiaka i wyobraziła sobie, jak Splot odwraca się i odchodzi, w razie gdyby nie zrozumiał słów. Posłuchał polecenia i opierając się na pięściach, powoli oddalił za pobratymcami.

– Ro! – zawołał Caleb.

– Tutaj! – odkrzyknął Rowan. Odwrócił się i parsknął z obrzydzeniem. – Uciekł.

Lily popatrzyła na niego, wciąż jednak przetwarzając w myślach to, co powiedział jej Modrogrzbiety.

– Carrick uciekł – uściślił Rowan.

– Lily nic nie jest – rzucił Caleb w ciemność za sobą. Tristan wyłonił się z niej ułamek chwili później i podbiegł do Rowana i Lily.

Sięgnęła myślami do pozostałej dwójki mechaników, szukając Kanapki. Znalazła go. Nie otrząsnął się jeszcze z szoku, gdy dołączyli do nich z Uną. Una cała była we krwi Splotów. Zaczęła się wycierać.

– Próbowali mnie porwać – opowiadał Kanapka tonem pełnym urazy. – I

pewnie by się im udało, gdyby moja dziewczyna się nie wtrąciła.

– To nie moja zasługa – zaproponowała Una. – Miały przewagę liczebną, ale potem upuściły go i odbiegły.

– Nie szukały Kanapki – zrozumiała Lily, chwyciła Rowana za ramię nagle przerażona. – Szukały Czerwonego Liścia, szamana. Po niego przyszły.

Lily usłyszała alarmujące okrzyki wojowników. Caleb i Rowan nasłuchiwali przez chwilę sygnałów i wymieniali skonsternowane spojrzenia.

– Mają go – oznajmił Caleb.

– Po co Splotom szaman? – zdziwiła się Una.

– Nie Splotom. Grace – poprawiła ją Lily. – A po co Grace szaman, który zna tajemnice wędrówki ducha, jeśli nie z powodu tego, co jej powiedziałam wtedy w lesie?

Członkowie sabatu spoglądali po sobie z przerażeniem, gdy tylko dotarło do nich, czego chciała Grace.

– Musimy go odbić. – Tristan rzucił się do biegu. – Dalej, chłopcy, chodźcie.

– Za dużo ich – powiedział Rowan cicho.

Lily pobrała ciepło z pochodni, ale był to niewielki płomień. Dała mechanikom tyle siły, ile tylko mogła.

– Ona nie może nauczyć się skakać między światami, Rowanie. Nie może!

Skinął głową, ale patrzył na nią pełen wątpliwości.

– Kanapka, zostań tu i pilnuj Lily – polecił i w następnej chwili mechanicy zerwali się do biegu tak szybko, jakby nagle rozplynie się w powietrzu. Gdy tylko zniknęli, Lily miała wrażenie, że ciemność zyskała oczy i patrzy na nią głodna.

– Trzymaj się blisko, Kanapka – poprosiła. – Carrick gdzieś tam jest.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, to zje go coś paskudnego – stwierdził chłopak i przyklęknął, żeby przygotować ognisko. – Wątpię, żeby po ciebie wrócił.

Lily odprężyła się nieco i sięgnęła do Modrogrzbiatego myślami.

*Znajdź człowieka, którego porwali twoi bracia, poleciała.*

Przez chwilę wydawało jej się, że pędzi przez las, że skacze po drzewach, kołysząc się na gałęziach. Modrogrzbiety śledził swoich pobratymców, kierując się zapachem i dźwiękiem, ale gdy ich dogonił, żaden nie miał Czerwonego Liścia. Modrogrzbiety zaczął cofać się po swoich śladach, by odnaleźć inną rodzinę, która brała udział w napaści na obóz. Próbował wywęszyć człowieka, ale tej nocy las był pełen ludzi i Modrogrzbiety nie wiedział, o którego chodziło Lily.

*Możesz już przestać, uspokoiła go. Wróć do swojej rodziny, ale wypatruj skradzionego człowieka.*

Sięgnęła myślą do Rowana, ale dowiedziała się od niego tego samego, co przekazał jej już Modrogrzbiety. Ślady Splotów rozchodziły się w kilkunastu kierunkach i nie było sposobu, by stwierdzić, która grupa zabrała Czerwonego Liścia. Odwołała mechaników.

*Wiemy, dokąd go zabrali*, powiedziała im Lily, próbując zapanować nad dręczącymi ją obawami.

– Kanapka, Czerwony Liść to drugi ty, możesz skontaktować się z nim telepatycznie?

– A... spróbuję – odparł Kanapka niepewnie. Zmarszczył brwi zdezorientowany. – Jak się kontaktujesz ze swoją drugą wersją?

Lily uśmiechnęła się, wspominając, jak czuła się, kiedy usłyszała Lillian szepczącą do niej poprzez pianę wszechświatów.

– Musisz nieco zwariować – odpowiedziała.

Nie wiedziała, ile czasu zajmie małpiakom dostarczenie Czerwonego Liścia na terytorium Roju, a potem Siostrom do Bower, ale bez względu na to, czy były to dni, czy tygodnie, tylko tyle czasu jej pozostało, by zebrać armię i skoczyć do bitwy. Tymczasem musiała jakoś odebrać Grace kontrolę nad dzikimi Splotami.

## Rozdział 12

Grace była w podejrzenie dobrym nastroju, co budziło przerażenie.

Toshi oderwał spojrzenie od dziobu jachtu i popatrzył na Małą nad stołem zastawionym brunchem. Miał nadzieję, że wicegubernator jednak nie pęknie. Dobry humor Grace zdawał się być jedynie przykrywką dla tysiąca gróźb, a Siostry Wojowniczkki siedzące na rejach nie przyczyniały się do poprawy atmosfery. Spoglądały na wymuszoną wesołość przy stole, kręcąc głowami i poruszając skrzydłami niczym w złowrogiej zapowiedzi. Toshi niemal słyszał, jak Mała wyśpiewuje pod nosem „ona wie”.

Oczywiście to byłby niewątpliwie cud, gdyby Grace nie wiedziała. Toshi i Mała cały miniony tydzień spotykali się z malkontentami, formując opozycję, a może nawet, jeśli szczęście będzie po ich stronie, również i siły do walki zbrojnej. Mieli naprawdę spore poparcie ze strony zagranicy. Każdy kraj na świecie chciał tego, co miało Bower, a obcokrajowcy niewiele ryzykowali, obiecując pieniądze, broń i żołnierzy. To nie ich dom miał zostać zniszczony w trakcie wojny z Rojem, nie ich życie lec w gruzach. Kolejne spotkania, w trakcie których mówił szyfrem i ściskając dłonie, wymieniał mikrokapsułki z zapisanymi wcześniej warunkami sprawiały, że czuł się jak zdrajca.

Nikt z tych obcych nie dbał, co zostanie z Bower, o ile tylko pierwsi dopadną formuły umożliwiającej hodowanie wolitów. Dlatego też Toshi zwlekał z przyjęciem ich pomocy. Jak na razie.

Domorosłą opozycję, której szukał i pragnął Toshi, niełatwo było znaleźć. Tubylcy wiedzieli, co się stanie, jeśli spróbują walczyć z Rojem. Wiedzieli, że Siostry nie zawahają się ich pozabijać.

– Toshi? – Ton Grace sugerował, że musiała powtórzyć.

– Przepraszam. – Posłał jej jeden ze swych najbardziej czarujących uśmiechów. – Byłem o mile stąd.

– I wcale się nie dziwię. Ostatnio chyba mało sypiasz? – zauważyła mimochodem, jak gdyby nie było nic niezwykłego w jej komentarzach na temat czegoś równie prywatnego i intymnego jak ilość snu. Nałożyła nieco kawioru na małą kanapkę. – Lunch z japońskim ministrem, drink z przedstawicielem ministerstwa handlu zagranicznego Niemiec. A to tylko wczoraj.

Po obrusie zmierzała w stronę Toshiego Robotnika, czułkami wyczuwając drogę w przesyconym solą powietrzu. Toshi przyglądał się jej powolnej wędrówce, koncentrując się na oddechu. Szykowała się posmakować jego potu, a jeśli jej się to uda, wyczuje smak strachu.

– Zawsze jestem gotów polepszyć nasze stosunki międzynarodowe – odparł, gdy miał już pewność, że głos mu nie zadrży.

Grace zmrużyła oczy i uśmiechnęła się lekko.



– Czy nasze stosunki są w tak fatalnej kondycji, że trzeba je naprawiać z każdym narodem?

Mala już od dłuższej chwili siedziała całkowicie nieruchomo, co na jachcie było doprawdy sztuką. Toshi spojrzał na nią i roześmiał się, pozwalając promieniom słońca zatańczyć na uniesionej twarzy, pokazując wszem wobec, jak bardzo czuł się beztroski. Mala mu zawtórowała. O ułamek chwili za późno, ale przynajmniej nie siedziała już jak skamieniała.

– Mala i ja ostatnio doszliśmy do porozumienia – oznajmił, sięgając przez stół po jej dłoń. Mala zrozumiała, do czego zmierzał, i spojrzała na niego z kokieterią. Próbował odwzajemnić jej pełne uczucie spojrzenia. Skoro mieli udawać kochanków, to mogli równie dobrze iść na całość. – I zdecydowaliśmy, że to odpowiedni moment, by pomyśleć o naszej przyszłości. Jeśli będziemy chcieli założyć rodzinę, to właściwy moment, by skoncentrować się na naszych karierach, jest właśnie teraz.

– Rodzinę? – zdziwiła się Grace. – Nigdy nie sądziłam, że należycie do ludzi, którzy chcą mieć dzieci.

Toshi wzruszył ramionami przepaszająco, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie chciał dzieci z Grace. Jeśli będą mieli szczęście, Grace poczuje się dotknięta ciosem zadany wprost w jej ego i nie zauważy, że oboje, Mala i Toshi, zaczęli się pocić.

Cała ta sytuacja zdawała się wyjątkowo niebezpieczna, wycieczka jachtem z osobą, której się nie ufa. Nie było w tym sensu, biorąc pod uwagę, z jaką łatwością Grace mogła ich zabić w każdej chwili. Ale na otwartym morzu, bez świadków, Toshi czuł się bardziej zagrożony niż na suchym lądzie. Nie przestawał wyobrażać sobie swego ciała wyrzucanego za burtę. Widział, że Mala myśli o tym samym, wystarczyło zwrócić uwagę na spojrzenia, jakie ciągle rzucała za reling na głębokie wody zatoki.

– Sama więc widzisz, dlaczego staramy się być ci niezbędni – zakończył.

– Właśnie – poparła go Mala głosem zachrypniętym od milczenia. Dotąd nie powiedziała ani słowa i teraz próbowała zatuszować ten fakt zbytnio ożywionym uśmiechem. Niezdarnie. Szczególnie biorąc pod uwagę, że nie miała nic do powiedzenia poza „właśnie”. Toshi uzupełnił wino w kieliszkach. Może pijana Mala się uspokoi.

– Czemu zawdzięczamy tę wycieczkę? – zapytał. Miał nadzieję, że zabrzmiało to lekko, ale nagła zmiana tematu aż kłuła w uszy. Skrzywił się lekko, słysząc, jak bardzo niezręcznie to wypadło.

– Otrzymałam dziś wyjątkowo dobre wieści i chciałam spędzić ranek z dwojgiem niezastąpionych ludzi – odpowiedziała Grace.

Toshi nie wiedział, czy powinien udawać, że jej słowa go rozbawiły, pozostał więc przy odgrywaniu zainteresowanego.

- Jakie wieści?
- Znalazłam kogoś, kogo szukałam. Właściwie to chciałabym, żeby dołączył do naszej drużyny, bo to otworzyłoby przed nami szersze możliwości. – Grace upiła łyk wina. – Oboje mówicie w waszych rodzimych językach, prawda? Japońskim i hinduskim?
- Przytaknęli.
- To dobrze. Może niedługo poszerzymy horyzonty. Będę potrzebowała zaufanych ludzi, by zaznajomili mnie z tubylcami.
- Toshi i Mala wymienili zaniepokojone spojrzenia, próbując dociec, czy Grace z nich żartuje.
- Z przyjemnością pokażę ci, skąd pochodzę. Ale, Grace, przez te wszystkie lata naszej znajomości nie widziałem jeszcze, żebyś opuściła Bower.
- I nie zamierzam. – Wrzuciła truskawkę do ust.
- Jak zatem chcesz, byśmy zaznajamiali cię z tubylcami w Japonii i Indiach?
- Toshi miał już serdecznie dość tej zabawy w kotka i myszkę.
- Grace uśmiechnęła się szeroko, najwyraźniej cieszyła się z jego frustracji.
- Nie słyszałeś, że można być w dwóch miejscach naraz? To umiejętność, którą planuję wkrótce pozyskać.

\*\*\*

Lily chodziła w tę i z powrotem przed ogniskiem. Cienie już się wydłużyły i dzień miał się ku końcowi. Podniosła wzrok z oczekiwaniem ku zbliżającej się siostrze. Raz jeszcze uderzyło ją, że gdy teraz patrzyła na Juliet, wypełniała ją mieszanina smutku i szczęścia. Po części czuła ulgę, że ma siostrę przy sobie, ale po części czuła się winna, jakby tamta Juliet była jedynie zapasową kopią. Jej myśli pomknęły do jedyne go już żyjącego Tristana. Nadal go unikała i choć zdawała sobie z tego sprawę, nie potrafiła zachować się inaczej.

– Udało się? – zapytała siostrę nagłoco, porzucając rozważania i skupiając się na terażniejszości.

Juliet pokręciła przecząco głową.

– Nie wiem, co sobie myślałaś, mówiąc, że dam radę go przekonać. Facet jest uparty. I nie jestem jego Juliet.

– To co ty z nim robiłaś przez cztery godziny?! – zdumiała się Lily.

– Rozmawiałam. Nie żeby o czymś, o czym miałam zamiar rozmawiać – odpowiedziała skonsternowana Juliet. – Za każdym razem gdy próbowałam ominąć jakiś temat, kończyło się na tym, że mu o tym opowiadałam. – Westchnęła z desperacją. – Mówiłam mu o nas. O tobie, jak dorastałyśmy... Jak byłaś chora, a mama była szurnięta, a taty w ogóle nie było. O moim studiowaniu medycyny i o tym, jak chciałam leczyć ludzi. Mnóstwo takich przypadkowych rzeczy, naprawdę.

– Czy kwestia naznaczenia wypłynęła może przez przypadek? – zapytała

Lily zgryźliwie.

– Zrobiłam, co mogłam, okay? – Podrapała czerwony bąbel. Komary kochały Juliet, nie mogły się wręcz oprzeć jej delikatnej skórze.

– Kończy nam się czas, a ja go potrzebuję, Jules – naciskała Lily. – Wojownicy podążają jednak za nim, nie za mną.

– Ale ja go nie znam! – broniła się Juliet, nieznacznie wzruszając ramionami.  
– Znaczy wiesz, czasem on na mnie patrzy i mam wrażenie, że go znam, ale wiem, że nie. Czy to ma w ogóle sens?

– Dla mnie ma – odparła Lily. Wiedziała, że nie powinna wyładowywać frustracji na Juliet, szczególnie że siostra miała teraz trudny okres. To nie była ta Juliet, która okrzepła na szlaku. Sprawiała wrażenie zmęczonej i chorej, nadal była urocza z tymi śladami po komarach i piegami, ale przywodziła na myśl domowego kota, którego nagle wyrzucono do lasu.

– Czy zauważyłaś cokolwiek, co świadczyłoby, że nie chce zostać z tyłu?

– Nie. – Juliet przechyliła głowę i założyła kosmyk włosów za ucho. – Prawdę powiedziawszy, to niemal dwadzieścia minut próbowałam przekonać, że głupotą z mojej strony jest iść z tobą. Przypominał mi, że w tej bitwie nikt nie będzie mógł walczyć za mnie.

*Mam cię,* pomyślała Lily i zdusiła uśmiech.

– Interesujące.

– Powiedziałam mu, że pójdę z tobą – zapewniła siostrę Juliet. – Nie dbam o to, jakie to niebezpieczne.

Lily odwróciła się tak nonszalancko, jak tylko zdołała.

– No cóż, próbowałam. Będziemy musieli jakoś poradzić sobie bez niego.

– To samo mu powiedziałam – odparła Juliet z błyskiem w oku. – Powiedziałam, że pójdę z tobą, choćby nie wiem co, a on może tu zostać, jeśli o mnie chodzi.

– Dobrze. Nie potrzebujesz go – pochwaliła Lily.

– Oczywiście, że nie. Nie potrzebuję nikogo, by mnie chronił – zgodziła się Juliet wyniośle, krzyżując ręce na piersi. Odkryła kolejne ugryzienie komara na nadgarstku i podrapała rosnący bąbel. – Sama potrafię o siebie zadbać. I dokładnie to samo powiedziałam Alarykowi.

Lily spojrzała ponad ramieniem siostry i nie była ani trochę zdziwiona, gdy dostrzegła Alaryka zmierzającego ku nim w otoczeniu wojowników o pomalowanych twarzach. Juliet nie mogła rozegrać tego lepiej, nawet gdyby wiedziała, co robi.

– Możesz mnie naznaczyć pod jednym warunkiem – zaczął Alaryk rozzłoszczony.

– Czyli?

– Ta Juliet będzie cały czas w zasięgu mojego wzroku i ja będę decydował o

jej bezpieczeństwie, a żadna z was nie będzie mi się w tej kwestii sprzeciwiać.

– Załatwione.

– Lily! – zaprotestowała Juliet, uderzając siostrę w ramię.

– Co? Powiedziałaś, że pomożesz. To jest pomoc. – Lily pomasaowała ramię.

– Auć.

Juliet złapała siostrę za rękę i odciągnęła na bok.

– Nie możesz mnie oddać w zastaw temu... dzikusowi!

– Nie zastawiam cię – zaprotestowała Lily z urazą. – Sprzedaję cię za naprawdę wysoką cenę. A teraz chodź tam, gdzie twój dzikus może cię widzieć.

– Nie wierzę, że mi to robisz! – mruknęła Juliet, wracając za Lily do Alaryka.

– Osobiście nie widzę lepszego rozwiązania – odpowiedziała jej cicho Lily, na tyle cicho, by Juliet mogła udawać, że nie dosłyszała. Przynajmniej w ten sposób Lily zyskiwała pewność, że jej siostra będzie bezpieczna bez względu na to, co będzie działo się z samą Lily.

*Naznaczam Alaryka*, Lily powiadomiła Rowana.

*Jak ci się udało do tego doprowadzić? Czekał. Zaraz tam będziemy*, odpowiedział ze skraju obozu, gdzie sabat pełnił wartę. Rowan, Caleb i Tristan zjawili się chwilę później z szerokimi uśmiechami na twarzach.

Lily wpatrywała się w Rowana, bo był to jeden z nielicznych momentów, gdy miała okazję podziwiać go z daleka. Miał na sobie strój z lekkiej skórzanki, pióro wplecione we włosy, a w dłoni trzymał tomahawk, jakby od niechcenia. Wyglądał dziko i czysto, niczym las zmieniony w człowieka. Posłała Rowanowi uśmiech w stylu „a nie mówiłam”, ale nie był to uśmiech pełen wyższości. Lily rozumiała już, jak łatwo wszystkim przychodziło go kochać. Nigdy nie przesadzał, szczególnie gdy miał rację.

Alaryk odwrócił się do Lily z niepewną miną, a był to wyjątkowo rzadki widok.

– Wszystko w porządku – zapewniła, sięgając do woluty na jego szyi. – Nie wezmę niczego, czego nie dasz mi z własnej woli.

Nie widziała wspomnień Alaryka, zbyt mocne miał wewnętrzne bariery, ale raczej wrażenia, które mijały niemal tak szybko, jak się pojawiały. Zobaczyła swoją siostrę, po czym, jak we śnie, Juliet zmieniła się w inną kobietę z takim samym słodkim uśmiechem i wielkimi sarnimi oczami. Uśmiech rozmywał padający gęsto śnieg. Czowała bezradność, potężniejszą chyba niż gdyby tonęła, gdy patrzyła, jak dziecko robi się sine i nieruchomieje. Słyszała płacz dochodzący z daleka. Czowała w ustach tylko smak popiołu i lodu, i nic poza pochłaniającym ją wszechobecnym gniewem; uczucie to przypominało spadanie. Znów zobaczyła słodki uśmiech, gdy Juliet podrapała ślad po ugryzieniu.

Strumień wrażeń wysechł. Lily puściła wolit Alaryka i ostrożnie odetchnęła.

Jego gniew rozwierał swą paszczę wewnątrz niej, jakby stała na krawędzi stromego urwiska. Alaryk sprawiał wrażenie spokojnego. Lily podziwiała go, że był w stanie zapanować nad tak potężnym gniewem i nie trząśł się cały z wściekłości. Spojrzała mu w oczy i skinęła głową, zrozumiałwszy teraz Alaryka w pełni.

*Nie ma dość trupów na tym świecie, żeby wypełniły tę przepaść*, pomyślała do niego łagodnie.

Drgnął i chwilę przetrwał jej słowa.

– Teraz chcę dostać jeden tylko skalp – odpowiedział cicho. Odsunęli się od siebie, oboje potrzebowali tej odrobiny dystansu.

– Co możemy ze sobą zabrać? – Alaryk zmienił temat.

– Niestety tylko to, co zdołamy unieść – powiedział Rowan. – Ciężkie wozy, konie, dodatkowe jedzenie i broń będziemy musieli zostawić.

– Mówiłeś, że to Bower otoczone jest murem? – Alaryk zmarszczył się, widząc, jak Rowan kiwa głową. – To nie zostawia nam wielu możliwości w kwestii oblężenia.

– Ziemia tam jest bogata – dodał Caleb.

– Wiele farm. – Tristan pochwyił wzrokiem spojrzenie Caleba.

– Nie jesteśmy złodziejami – odezwała się Lily ostrzegawczym tonem.

– Musimy jeść – odparł Rowan otwarcie. – O ile w ogóle dojdzie do oblężenia. Rój może nam nie dać takiej szansy.

Wszyscy umilkli, myśląc o Roju.

– Czy nie musimy najpierw spotkać się z Lillian? – przypomniała im Juliet, przerywając przedłużające się milczenie.

– Tak – potwierdziła Lily. – To nasz kolejny przystanek. – Spojrzała na Rowana, ale on patrzył w bok, mimo że musiał czuć na sobie jej wzrok.

– Im szybciej, tym lepiej – mruknął Tristan. – Nie wiem, ile jeszcze potrwa to zawieszenie ognia między dolnym ludem a Zewnętrznymi.

Caleb parsknął.

– Będzie tylko gorzej, gdy dotrzemy do następnego punktu.

– Co masz na myśli? – spytała Lily.

– Armia Lillian składa się głównie z żołnierzy Namurza – odparł Caleb z niechętnym grymasem. Lily patrzyła na niego bez śladu zrozumienia. – Zobaczysz, kiedy będziemy na miejscu – zapowiedział.

– Żołnierze Namurza są... inni – stwierdził Rowan, przyglądając się nieruchomemu obliczu Alaryka.

– Jeśli mówiąc „inni”, chcesz powiedzieć „banda pozbawionych uczuć, nieludzkich bydlaków” – warknął Caleb.

– Musisz odpocząć – nakazał Lily Rowan, zmieniając temat. – Jutro zbudujemy ci stos.

Rozeszli się w różnych kierunkach. Lily, z podążającym za nią Rowanem,

skierowała się do swojego namiotu, po drodze zobaczyła jeszcze, jak Alaryk podchodzi do Juliet, by z nią porozmawiać.

– Co Alaryk ma przeciwko żołnierzom Namurza? – spytała, odwracając się do Rowana.

– Wiesz, że wcześniej miał rodzinę? – spytał Rowan. Lily przytaknęła. – Żołnierze z Namurza odmówili otworzenia bram Alarykowi i jego rodzinie, gdy na dworze szalała śnieżycą, ponieważ było już ciemno.

– A Zewnętrznym nie wolno wchodzić do miasta po zmroku – przypomniała sobie Lily.

– Właśnie. Stali i patrzyli, jak żona i córka Alaryka skonały z zimna w jego ramionach.

Lily wpatrywała się w ziemię pod swoimi stopami.

– Czy to będzie problem?

– Już jest – Rowan roześmiał się ponuro. – Żołnierze z Namurza uważają, że Zewnętrzni nie są lepsi od szczurów, a Zewnętrzni nienawidzą żołnierzy za to, że ci stali beczynnymi i z góry patrzyli na ich śmierć.

– Niech sprawdzę, czy dobrze zrozumiałam. Pracownicy farm i gangi z tuneli, czyli dolny lud nienawidzą Zewnętrznych, Zewnętrzni nienawidzą Namurzaków, a Namurzacy nienawidzą ich wszystkich?

– Dokładnie tak. Ale zgadzają się co do jednego.

– Czyli?

– Bez względu na to, jak nienawidzą siebie nawzajem, jeszcze bardziej nienawidzą Splotów – oświadczył.

– Ty też?

– Oczywiście.

– Wciąż jeszcze? – spytała, a on tylko kiwnął głową, zaciskając usta w wąską linię. – Ale przecież to wszystko zrobiła Grace, to ona je kontrolowała – nie ustępowała Lily.

– Wiem, że to może nie mieć dla ciebie sensu, ale powtarzanie mojemu ludowi, że to nie Sploty, tylko Grace używająca Splotów jako broni, niewiele zmieni. Nie zmieni tego, przez co przeszliśmy.

– Ale one są inteligentne...

– To tylko pogarsza sprawę, Lily. Niczego nie poprawia – dodał zdławionym głosem. Jego wzrok stał się nieobecny, najwyraźniej Rowan snuł mroczne wspomnienia, więc Lily zmilczała i nie powiedziała tego, co chciała powiedzieć. Rowan z pewnością nie chciał usłyszeć, że Sploty cierpiały jeszcze bardziej niż Zewnętrzni. I nie usłyszałby tego, bez względu na to, jak głośno Lily by to powtarzała. Sploty były jego wrogiem. Nienawiść do nich miał we krwi. Przekazały mu ją wcześniejsze pokolenia, wraz z barwami wojennymi, ciemnymi oczami i zręcznymi dłońmi. Musiała jednak znaleźć jakiś sposób, by pokonać jego

uprzedzenia, albo wszyscy zginą.

– Miejmy zatem nadzieję, że Rój wystarczy, by zjednoczyć wszystkie frakcje mojej armii.

– Rój to więcej niż dość. – Popatrzył bezradnie na nocne niebo. – To nawet więcej, niż jesteśmy w stanie znieść.

Od dłuższej chwili szli coraz wolniej, a teraz zatrzymali się całkowicie.

– Tak źle? – spytała.

– Tak. Nie mamy odpowiedniej liczebności. Jest nas jakieś trzydzieści tysięcy. Ich są miliony.

– Ale większość z nich to Robotnice. Mogę was przed nimi ochronić, już to przecież zrobiłam...

Rowan pokręcił głową, przerywając jej.

– No to zamiast stu na jednego, nadal przypada dwadzieścia Sióstr na każdego z nas. Może i zdołam pokonać dwadzieścia Sióstr w bitwie. Caleb, Tristan i Una też pewnie dadzą radę, ale reszta twojej armii już nie. Wielu ucieknie, gdy zobaczy Siostry podrywające się do lotu.

– Nie, jeśli zmuszę ich, by zostali i walczyli – szepnęła Lily.

– Przejęcie nad nimi kontroli pewnie zatrzyma ich na polu bitwy, ale nie utrzyma przy życiu – ostrzegł ją. Miał rację. Wiedziała, że nie może wygrać tej wojny z armią, która nie będzie chciała walczyć.

– Co zatem zrobimy?

– Nie wiem – szepnął. – Dziesiątki razy obracałem to w głowie i nie mogę znaleźć wyjścia. Nie mamy dość wojowników.

Przez chwilę trwał w zadumie pełnej smutku, aż wreszcie się otrząsnął.

– Coś wymyślę – obiecał.

Zostawił ją przed wejściem do namiotu i poszedł dołączyć do swych braci w kamieniu, patrolujących okolice. Patrzyła za nim, póki nie zniknął między drzewami, mając nadzieję, że wybaczy jej to, co zamierzała zrobić. Weszła do namiotu i usiadła na ziemi.

Nie piła i nie jadła przez większość dnia, żeby się przygotować. Nie wiedziała, jak daleko przyjdzie jej wędrować przez nadświat, ale doszła do wniosku, że to będzie długa wyprawa. Wrzuciła do ognia nieco ziół niosących odprężenie i odetchnęła wonnym dymem.

Przez chwilę miała wrażenie, że spada, choć wiedziała, że leży na ziemi. Spojrzała w dół i zobaczyła swoje ciało ułożone przy ognisku, po czym skupiła się na nadświecie.

Wędrowka duchem nie przypomina normalnej. W podróży przez nadświat pojawiają się luki, ogromne przestrzenie pokonywane są w mgnieniu oka. Łatwo się zgubić i trudno trafić do celu, o ile nie ma się czegoś w rodzaju latarni morskiej, która mogłaby oświetlić drogę, wskazać kierunek wędrującemu. Jednak Lily

wiedziała, gdzie zmierza. Dotykała tego własnymi dłońmi, ścigała wewnętrzne światło swoim spojrzeniem i choć wzór był zbyt wielki, by mogła go sama naznaczyć, to знаła kilka pierwszych taktów tej potężnej pieśni.

Wysłała swego ducha prosto do Bower, do perłowego kamienia na szczycie willi Grace. Gdy tylko rozpoczęła podróż, spojrzała poprzez przestrzeń nadświata i zobaczyła je, jasne, czyste, niczym reflektory szperacze wycelowane prosto w niebo. Dziwiła się, jak to możliwe, że wcześniej ich nie dostrzegła, ale brak wiedzy o ich istnieniu ukrywał je idealnie, choć były na widoku.

Unosząc się w nadświecie, Lily zobaczyła, że każdy z mówiących kamieni był wyjątkowy. Każdy miał nieco inną barwę, dzięki czemu wiadomo było, z którego z nich pochodzi wiadomość, bowiem kolor kamienia nadawał odcień przesyłanym obrazom. Lily zobaczyła linię kamieni Grace przecinającą kontynent, by spotkać się z rzędem trzynastu kamieni prowadzących od wschodniego wybrzeża do każdego z Trzynastu Miast. Teraz, gdy Lily zakonotowała w umyśle obie drogi, mogła wykorzystać kamienie, wracając do swego ciała.

Pomknęła do niego, zauważając, że niebo staje się różowe Rowan siedział, krzyżując nogi, tuż obok jej nieruchomego ciała. Wróciła do siebie i poczuła chłód zastałych mięśni i ból we wszystkich stawach. Odetchnęła z trudem.

– Tu jesteś – powiedział Rowan i zabrał się do rozcierania jej zmarzniętych kończyn. – Gdzie się wybrałaś?

Lily za bardzo szczekała zębami, by odpowiedzieć od razu. Rowan podniósł ją i przeniósł bliżej ogniska.

– Przez cały kraj i z powrotem – wychrypiała wreszcie. – Nigdy jeszcze nie byłam taka zmarznięta.

– To przez tatuaże. Teraz musisz raczej wystrzegać się chłodu. – Usiadł za nią i oplótł ramionami, trzymając jej dłonie bliżej ognia. – Po co udałaś się tak daleko?

– Szukałam linii mówiących kamieni, która prowadziłyby przez kontynent – wyjaśniła. – Za jej pomocą Grace naznacza i kontroluje dzikie Sploty z ogromnych odległości.

– I znalazłaś?

– Tak.

– Możesz do nich przeskoczyć? – spytał, najwyraźniej w głowie już wykluwał mu się jakiś pomysł.

– Mogę się przenieść tylko do miejsc, których wyjątkową wibrację mam zapisaną w moim wolicie, a w okolicy kamieni nie mam naznaczonych, żeby mogli zdobyć te wibracje dla mnie. Mogę jednak wysłać konnych. Wiem, gdzie jest najbliższy kamień.

Twarcz Rowana rozświetliła się nadzieją.

– Jeśli zniszczymy ten najbliższy nas, Grace nie będzie mogła skontaktować



się ze Splotami w okolicy.

– Zniszczyć którekolwiek ogniwo łańcucha, a jej sygnał się urwie. Nie będzie mogła nas atakować – powiedziała Lily w zadumie. Spojrzała w ogień, marszcząc brwi. Grace nie będzie mogła wykorzystać mówiących kamieni, ale Lily też nie.

Rowan spoglądał na nią badawczo.

– Wahasz się.

– Bo potrzebuję kamieni, by komunikować się z jedną z naznaczonych – odpowiedziała defensywnym tonem.

– Z kim? – Zmrużył oczy, widząc, że Lily ociąga się z odpowiedzią. – Naznaczyłaś Toshiego? – Chciał wiedzieć, a zazdrość zabarwiła mu policzki rumieńcem.

– Nie. Z Płową.

– Ze Splotem? – zapytał niepotrzebnie. Odsunął się od Lily, a na jego twarzy odmalowała się odraza.

– Wolałbyś, żeby nie było nikogo, kto mógłby dla mnie prowadzić zwiad na zachodzie? – Lily przepełniała frustracja.

– Szczerze? Myślę, że to niewielka cena, by powstrzymać Sploty przed atakowaniem naszych oddziałów – odparł ze złością. – Do czego naprawdę potrzebne są ci te kamienie?

Lily poczuła muśnięcie umysłu Kanapki i ucieszyła ją możliwość uniknięcia tematu Splotów. Nie musiała wyjaśniać prawdziwego powodu, dla którego chciała zachować mówiące kamienie. Z nieobecny spojrzeniem słuchała, co miał jej do powiedzenia Kanapka.

*Znalazłem Czerwonego Liścia, oznajmił.*

*Gdzie on jest?* – Lily natychmiast włączyła do rozmowy resztę sabatu.

*Jest w paskudnej kondycji. Niesie go drapieżny ptak. Pokazał mi to...*

...Unoszę powieki zaledwie odrobinę, tylko tyle, by coś zobaczyć, i mam nadzieję, że ten stwór nie zauważy, że się ocknałem. Gdy myśli, że jestem przytomny, trzyma mnie mocniej, żebym się nie wyrwał, i ledwie mogę oddychać.

Wspaniałe, wielgachne szpony otaczają moją talię i pierś. Skrzydła dziesięć razy tak długie jak człowiek rozgarniają chmury po obu stronach. Jest mi strasznie zimno, a powietrze tu jest rzadkie.

W mojej głowie odzywa się głos, który brzmi jak mój własny. Może już oszalałem. Może umieram. Głos w głowie pyta, gdzie jestem.

Spoglądam w dół, ale widzę tylko połacie zieleni. Morze Traw. Na horyzoncie zawisła chmura doskonale widoczna na tle błękitu nieba. Nie. To nie chmura. Wielki Manitou, miej mnie w opiece. To Rój...

*Jest w połowie drogi na drugą stronę kontynentu, odezwała się Una.*

*Ptak zaniósł go na terytorium Roju, dodał Kanapka.*

*Grace wkrótce dostanie go w swoje ręce, stwierdziła Lily. Mamy trzy, góra cztery dni, a musimy się jeszcze zatrzymać, by połączyć z armią Lillian.*

Spojrzała na Rowana. Twarz miał nieprzeniknioną, ich kłótnia została przerwana, ale nie zapomniana.

– Możemy ruszać zaraz, jeśli chcesz. Twój stos czeka – powiedział krótko.

\*\*\*

Lily wspięła się na stos i nie mając naznaczonych w armii Lillian, musiała odezwać się do swego drugiego ja.

*Musisz stać się dla mnie latarnią.*

*Gdzie jesteś? Znowu w swoim świecie?*

*Nie. Musisz położyć dłoń na ziemi i poczuć glebę, poczuć tę ziemię pod sobą. Już to robię.*

*Teraz musisz mi pozwolić się osiąść.*

*Dlaczego?*

*Bo tylko tak mogę przenieść swoją armię do twojej. Szybko. Ogień sięga coraz wyżej.*

Lily poczuła zapach dymu sączącego się z dna stosu i żar, który nadszedł kilka sekund później. Wyrwała się ze swojego ciała i pomknęła przez nadświat ku latarni, jaką stała się Lillian. Nietrudno było ją znaleźć wysoko w Appalachach.

Lily zanurkowała i poczuła rozdzierający ból. Ból Lillian. Poczła nudności, wzrok nie nadążał przez moment za ruchami oczu, sprawiając, że świat wokół niej kręcił się i kołysał okropnie. Potrzebowała chwili, by przedrzeć się przez chorobę Lillian i poczuć wibrację ziemi pod jej palcami, wezwać wolity swych naznaczonych i przenieść ich wszystkich, łącznie ze sobą, na pozycje Lillian.

I tak armia Lily pojawiła się pośród żołnierzy Lillian. Nie towarzyszył temu żaden huk, ani powiew wiatru, ani uderzenie błyskawicy. Zewnętrzni i dolny lud zmaterializowali się pomiędzy żołnierzami Namurza.

Lily zaś zjawiała się w namiocie Lillian.

– Przekaż swoim wojskom, żeby nie panikowali – poprosiła.

Spękane usta Lillian rozchylone były w wyrazie zdumienia, ale czarownica wzięła się w garść i zamknęła oczy, wysyłając w myślach wiadomość do swych naznaczonych. Lily słyszała pomruki pełne szoku i zdziwienia, na szczęście jednak nie słyszała odgłosów walki.

– Pewnie powinnam cię jakoś ostrzec – stwierdziła przepaszająco. – Grupa Zewnętrznych i kryminalistów tuż obok grupy żołnierzy może stanowić problem.

Teraz do mnie dotarło.

– Wiem, dlaczego mnie nie ostrzegłaś. Nie mogłaś pozwolić, że dojdę do tego, jak robić to... coś i... ruszę bez ciebie – odparła Lillian. Uśmiechnęła się blade. – Jak to nazywa się w twoim świecie.

– Teleportacja. Ale to takie oklepane, że zazwyczaj nazywam to skakaniem. – Twarz Lily skurczyła się ze współczuciem. – Wyglądasz okropnie, Lillian.

– Powiedziała ci: umieram – odpowiedziała tamta, śmiejąc się niewesoło.

– Przykro mi. – Słowa wydawały się niewystarczające.

Lillian była chuda jak szkielet, blada jak papier i otaczał ją słodkawy zapach rozkładu. Głowę miała owiniętą pasmem lnu i na widok różowej skóry połyskującej na skroniach Lily doszła do wniosku, że jej druga wersja straciła wszystkie włosy. Nawet oczy wydawały się pozbawione kolorów. Lily wyciągnęła rękę i ostrożnie ujęła dłoń Lillian. Chciała ją przytulić, ale wiedziała, że tak bliski kontakt będzie dla niej bolesny niczym ciosy nożem.

Na zewnątrz namiotu rozległy się wzburzone głosy i obie wiedźmy odwróciły się jednocześnie, gdy do środka wpadł Rowan z kapitanem Leto depczącym mu po piętach. Rowan zatrzymał się gwałtownie i niemal jęknął z przerażenia na widok Lillian.

– Proszę o wybaczenie, pani. – Leto chwycił Rowana za ramię. Ten się nie opierał. Stał całkowicie bezwładny, nie odrywając spojrzenia od Lillian.

– W porządku, Leto – zapewniła go lady Salem, unosząc dłoń. – Rowan jest tu dla niej.

Dopiero teraz Leto spojrzał na Lily i z wrażenia puścił ramię Rowana. Wodził oszołomionym spojrzeniem od jednej czarownicy do drugiej.

Rowan wypuścił powietrze ze świstem.

– Lillian, dlaczego nie pozwoliłaś mi sobie pomóc? – zapytał. Postąpił krok w jej stronę, a ona odsunęła się natychmiast, patrząc błagalnie.

– Nie rób tego, Rowanie. Teraz nie możesz już nic zrobić, by mi pomóc – odpowiedziała. – Kapitanie, czy mógłbyś wyprowadzić lorda Falla z mojego namiotu i sprawdzić, czego potrzebują jego ludzie? Lily i ja wyjdziemy za moment.

Rowan pozwolił wyprowadzić się na zewnątrz, a Lily zwróciła się do swojej drugiej wersji.

– Nadal nie zamierzasz mu powiedzieć? – spytała.

Lillian tylko pokręciła głową.

– Nie masz racji – nalegała Lily. – Rozumiem, dlaczego ukryłaś przed nim tę wersję Rivera, którą zobaczyłaś w spopielonym świecie, ale Rowan się zmienił od czasu, gdy go znałaś. Zaakceptował to, że ja nie jestem tobą. Zaakceptuje fakt, że jego ojciec nie był człowiekiem ze stodoły.

Lillian wyłamywała palce. Lily uświadomiła sobie, że sama tak robi, gdy zaczyna w siebie wątpić.

– Nie mogę – szepnęła Lillian. – Na co by było to wszystko, gdybym to zrobiła?

Lily współczuła jej z całego serca.

– Chcesz, bym sprawdziła, czy mogę ci jakoś pomóc? Nie wiem zbyt wiele o uzdrawianiu. – Lily zamilkła, wzruszając ramionami. Pomyślała o Toshim. O tym, że on wiedziałby, jak leczyć kogoś tak chorego.

– Mogę ci pokazać – odpowiedziała Lillian.

Lily pomogła Lillian przeczesać tkanki, by usunąć tyle komórek rakowych, ile tylko zdołały, niestety zdrowych było zbyt mało, by organy Lillian mogły poprawnie funkcjonować. Może i Lily nie miała wprawy w uzdrawianiu, ale potrafiła rozpoznać obumierającą wątrobę, gdy na nią spojrzała. Kiedy już zrobiła wszystko, co była w stanie, by dać Lillian siły na kilka kolejnych dni, przysiadła na piętach.

– Całą pracę wykonał twój różowy kamień – stwierdziła chora, otarłszy krople potu z górnej wargi. – Zatem to prawda, że kamienie różnych kolorów są lepsze w danym rodzaju magii?

– Tak – odpowiedziała Lily nieobecny tonem, nasłuchując krzyków na zewnątrz. – Lillian, musimy porozmawiać.

– Musimy. Zawsze uważałam, że powinnaś zająć moje miejsce, kiedy już odejdziesz. Dlatego w ogóle cię poszukałam. Zostawię Leto instrukcje, by traktował cię dokładnie tak samo, jak traktował mnie. Salem jest twoje.

– Nie, nie to... – zająknęła się Lily. – Chodzi o Rój. Nie zdołamy go pokonać. Jest nas zbyt mało.

– Wiem. Dlatego musimy użyć bomby.

– Ale to szaleństwo! Wiesz o tym!

Krzyki na zewnątrz przybrały na sile do tego stopnia, że Lillian dzwignęła się na nogi. Wyjrzały z Lily z namiotu i zobaczyły biegnących ludzi. Chwilę później Rowan sięgnął ku Lily w myślach.

*Sprawy przybrały tu paskudy obrót. Chodź szybko.*

– To Rowan – powiedziała Lily zaniepokojona.

Ruszyły w stronę odgłosów walki, do niewielkiej polany między drzewami, gdzie skały osunęły się jakiś rok wcześniej i zniszczyły kawałek lasu. Rowan trzymał kogoś, kto chyba chciał zaatakować Alaryka, podczas gdy Caleb i Tristan obezwładniali dwóch ryczących parobków. Una, Kanapka i kapitan Leto z grupką swych podkomendnych starali się zapanować nad tłumem, złożonym głównie z mężczyzn z farm, którzy wykrzykiwali coś, gniewnie wygrażając pięściami. W samym środku stała drobna Zewnętrzna o siwych włosach i cerze przypominającej wyslizganą skórę. Stała nieruchoma, z rękoma skrzyżowanymi na piersi i patrzyła w przestrzeń z obojętną miną.

– Chenoa – syknęła Lillian, jakby wypowiadała przekleństwo, odsłaniając zęby w grymasie złości.

Na widok Lily i Lillian krzyki ucichły i teraz nad polaną niósł się jedynie gniewny pomruk. Mężczyźni z farm przestali napierać na kordon żołnierzy, a człowiek, którego trzymał Rowan, uspokoił się i został wypuszczony z uścisku silnych rąk.

Chenoa spojrzała na Lillian i na jej ustach pojawił się wszystkowiedzący uśmiezek. Oczy miała jak czarne korale, twarde i przejrzyste. Od ich spojrzenia dreszcz przebiegł po plecach Lily.

– Zakładam, że przysłaś dopilnować, żebym zawisła – odezwała się Chenoa, budząc kolejną falę pełnych nienawiści okrzyków.

– Powinna wisieć – zawołał mężczyzna, którego chwilę wcześniej przytrzymał Rowan.

– Otter... nie! – warknął Rowan na wypadek, gdyby tamten zdecydował się jednak rzucić do ataku. Otter obrócił się do żadnego krwi tumu.

– Zabiła moją Lenę i nasze dziecko – krzyknął. Odpowiedzieli mu inni, wykrzykując imiona kolejnych zmarłych. – Powinna nam powiedzieć, co było w tych pojemnikach. – Tłum rozbrzmiał potakiwaniem. – Powinna nam powiedzieć, że od tego się pochorujemy.

Lily spojrzała na ludzi, którym niewiele brakowało, by zmienić się w żadną linczu tłuszcę, i na Lillian patrzącą na to bez drgnienia. Lillian była gotowa pozwolić tym ludziom powiesić Chenoę i gdy Lily przypomniała sobie straszną śmierć, jaka stała się udziałem kobiet z tuneli, jakiś cichy głosik szepnął jej, że może Zewnętrzna na to zasługuje.

I wtedy zauważyła, że współplemieńcy Chenoa zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu broni.

*Czy Zewnętrzni staną do walki, jeśli dolny lud powiesi Chenoę?* – spytała Rowana.

*Tak, odparł Rowan. Dla wielu z nich jest bohaterką. Ta sytuacja szybko może się bardzo pogorszyć. Znajdź ogień i bądź gotowa dać nam siłę.*

*Chyba nie zdołam powstrzymać mojej armii, żeby nie rozerwała się na strzępy, Rowanie.*

*Ja też nie. Teraz już tylko obchodzi mnie twoje bezpieczeństwo.*

Kiedy Lily głowiła się nad tym, jak zapobiec rozlewowi krwi, Mary wyszła na środek polanki, unosząc ręce, by zwrócić uwagę wszystkich.

– My, dolny lud, wiemy wszystko o chorobie z pyłu, którą sprowadziła na nas Chenoa – powiedziała głosem, w którym dźwięczał autorytet. – Widzieliśmy to na własne oczy. I jeśli jesteście choć trochę do mnie podobni, to wciąż jeszcze męczą was koszmary. – Zaczęła powoli zataczać krąg wokół Chenoa. – Nie skazała

na śmierć jedynie tych kobiet, które zgodziły się zanieść jej truciznę na Zewnątrz. Choroba dotknęła też ich rodziny. Dzieci. Nawet niemowlęta.

Chenoa chrząknęła i uśmiechnęła się z wyższością.

– Uważasz, że umierające dzieci są śmieszne? – zwróciła się do niej Mary. Chenoa tylko patrzyła nieustępliwie. Gniew zdawał się spowijać starą kobietę niczym płaszcz. – Mów – zachęciła ją Mary ostro. – Powiedz nam, dlaczego to zrobiłaś. Podaj jakikolwiek powód. Próbuję dać ci szansę, a może wolisz, żeby moi ludzie jednak cię powiesili?

Przez chwilę wydawało się, że Chenoa nie powie ani słowa. Spojrzała na tłum, jak gdyby jego wściekłość dotyczyła kogoś innego, a potem skinęła głową do swych myśli, jakby znała zakończenie tej historii.

– Zawsze byłam dobra w liczbach – powiedziała cicho suchym głosem, który niósł się daleko. – Wystarczyło, że spojrzałam na liczby i równania, a od razu je rozumiałam. Zawsze potrafiłam dostrzec ukrytą w nich prawdę. Nie wiem, może to taki rodzaj magii. Jak myślisz, ile miałam dzieci, jasnowłosa kobieto z miasta?

Mary była szczerze zdumiona pytaniem.

– Nie wiem.

– Czwooro. Żadne nie dożyło roku. – Pusty głos Chenoa nawet nie zadrżał, jakby ciężar jej urazy i żalu spłaszczal wszystkie słowa. – Moje pierwsze dziecko umarło z głodu. Brzuszek miało wzdęty i było tak słabe, że nie miało siły płakać. Pomiaukiwało tylko jak kocię. – Tłum umilkł, jakby to niecodzienne wyznanie zalało ich ołowianą ciszą. – Kolejnych dwoje zabrały Sploty, najmłodsze zmarło od ospy. Wdziałaś kiedyś, jak dziecko umiera na ospę, jasnowłosa? Nie, na pewno nie. Wiedźmy nie pomogą nam Zewnętrznym, ale dolny lud dostaje lekarstwo na ospę, bo są obywatelami. – Chenoa roześmiała się, wciskając głowę w ramiona jak ptak w deszczu. – Dolny lud... Zachowujecie się, jakbyście to wy wynaleźli cierpienie, ale ile waszych dzieci umarło przez to, co ja zrobiłam? Kilkaset? A ile setek tysięcy naszych umarło z głodu, ile zabiły Sploty czy ospa...? A może policzyliście dokładnie i wyszło wam, że te wasze różowe dzieci są warte tysiąc razy więcej niż nasze brązowe? – Wykrzywiła się z pogardą. – No więc ja też policzyłam dokładnie. I otrzymałam inne wyniki, inne liczby. Szczególnie jedną. – Spuściła wzrok, nagle wypalona do cna. – Cztery.

Kiedy już było pewne, że Chenoa nie powie nic więcej, w stronę kobiety poleciały kolejne okrzyki i przekleństwa. Nie mogła powiedzieć niczego, co odwiodłoby dolny lud od chęci powieszenia jej od razu, a to, że było im jej żal, tylko podsycalo gniew. Ktoś rzucił kamieniem. I następnym.

*O mój Boże, ukamienują ją,* pomyślała Una. Grupa Zewnętrznych napięła łuki.

*Lily, możesz nas stad zabrać?* – spytał Tristan.

*Skok może być naszą jedyną opcją,* zgodził się Caleb.

*Skok nie powstrzyma ich przed pozabijaniem się nawzajem, zaoponowała Lily.*

*Nie damy rady tego opanować, obstawał przy swoim Rowan.*

*Sprowadziłam ich tutaj, by walczyli razem, nie ze sobą. Nie mogę im pozwolić na te zamieszki.*

Lily rozglądała się gorączkowo, szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji, na moment pochwyciła spojrzenie Lillian, ale ta odwróciła się niewzruszona. Chciała śmierci Chenoi. Samantha jakimś sposobem dotarła na polanę i stanęła nieopodal oskarżanej Zewnętrznej. Popatrzyła wkoło, wyłamując palce i próbując unikać świszczących w powietrzu kamieni. Lillian ruszyła w jej stronę, ale Samantha tylko przysunęła się do Chenoi.

– Nie możesz dostać obu, Lillian – powiedziała nagle całkowicie spokojna. – Musisz wybrać Chenoa czy Grace.

Nieustępliwym wzrokiem spojrzała córce w oczy, była zupełnie przytomna i niesamowicie opanowana. Nie uległa, to Lillian w końcu odwróciła wzrok. Wiedząc, że zwyciężyła, Samantha nagle znów zapadła się w sobie, niepewnym krokiem zanurzyła się w tłum, gdzie pospiesznie pochwyciła ją Juliet i odprowadziła na bok.

Lillian odwróciła się w stronę tłumy.

– Potrzebuję jej – zawołała, by każdy mógł ją usłyszeć, stanęła przed Chenoą i podniosła ręce. – Słuchajcie, potrzebuję jej. – Tłum ucichł wreszcie. – Kiedy dotrzemy do Bower, przyjdzie nam walczyć z armią zbyt liczną, byśmy mogli zwyciężyć. To fakt. Naszym jedynym wyjściem jest użyć ostatniej z bomb przeciwko Rojowi, a Chenoa to jedyna osoba, która wie, jak ją bezpiecznie zdetonować.

Wokół rozległy się okrzyki zaskoczenia, zmieszania, a nawet oburzenia.

– Ale Alaryk obiecał nam, że zachodnie miasto stanie się naszym domem – krzyknął któryś z wojowników.

– Mary obiecała nam to samo – krzyknął któryś z parobków. – Co nam przyjdzie z walki z Rojem, jeśli mamy wysadzić miasto? Nadal nie będziemy mieli gdzie żyć.

– Przybyliśmy tu walczyć o dom – dodał ktoś inny, powodując całą lawinę okrzyków.

Alaryk stanął obok Lillian i uciszył tłum.

– Pozwólcie nam się naradzić z przywódcami wszystkich frakcji, zanim podejmiemy jakiegokolwiek decyzje – powiedział. – A na razie rozbijcie obóz, żebyśmy mieli szansę wypracować najlepszy możliwy plan.

Tłum zaczął się rozchodzić, ale Lily słyszała narzekanie i czuła, że wzajemna niechęć tych ludzi tylko przybrała na sile.

## Rozdział 13

Toshi powoli schodził ze wzgórza wzdłuż toru kolejki. Niełatwo było mu iść takim niespiesznym, swobodnym krokiem. Po prawdzie, to wystarczyło, że zaczął się zastanawiać, co to znaczyło zachowywać się swobodnie, jak gdyby nigdy nic i już nie był w stanie tego zrobić.

Na jego ramieniu wylądowała Robotnica. Za nią kolejna. Toshi zmusił się, by oddychać. Myślał o zieleni i przypominał sobie szum deszczu. Kiedy otworzył oczy, Robotnice odleciały.

Już niemal tydzień Rój znajdował się na krawędzi jakiegoś wybuchu. Siostry Wojowniczkę opuściły swe wieże, które pozwalały im pozostawać poza zasięgiem wzroku, i teraz unosiły się nad ulicami albo czepiały dachów. Robotnice z byle powodu zaczynały się roić i niejednen ze spanikowanych mieszkańców został uśpiony żądłem, zabrany przez Siostry i przepadał bez wieści. Nadmiar wszelakich uczuć powodował inspekcje Robotnic. Toshiemu zdarzało się zaniepokoić je nawet przez sen. Budził się mokry od potu, pokryty nimi od stóp do głów, niczym żywym kocem.

Podbiegł i wskoczył do przejeżdżającej kolejki. Zauważył swój kontakt i przesunął się między pasażerami, by stanąć tamtemu za plecami. Nie musiał czekać długo, aż ruch wagonika sprawił, że mężczyzna wpadł na niego. Toshi otworzył dłoń, by dyskretnie przekazać małą fiołkę z antidotum na jad Robotnic, a przynajmniej razem z Ivanem mieli nadzieję, że ta substancja to antidotum.

Mężczyzna bez trudu przejął fiołkę, na następnym zakręcie nieznacznie wsunął kawałek papieru między fałdy tuniki Toshiego, po czym wyskoczył z kolejki.

Toshi patrzył przez chwilę, jak kontakt znika w rzece przechodniów. Zastanawiał się, czy tamten sam na sobie wypróbuje antidotum, czy też fiołka zostanie przemycona poza miasto, gdzie przetestują ją ukrywający się na farmach rebelianci. Wiedział, że bezpieczniej byłoby sprawdzić działanie specyfiku za miastem, gdzie śmierć jakiejś Robotnicy łatwiej można by przypisać wypadkowi. Jednakże to rozwiązanie z pewnością zabrałoby więcej czasu.

W Roju liczyła się każda jego część. Jeśli Robotnica użyła swego żądła i zginęła, Siostra przylatywała, by zabrać małeńkie ciało i poddać oględzinom. Śmierć nawet jednej Robotnicy mogła zaalarmować cały Rój, dlatego Toshi i Ivan nie byli w stanie przetestować wynalazku osobiście.

Nadal nie porzucili planu eksterminacji Roju, ale utrzymanie przy życiu rebeliantów z Bower i okolicy okazało się znacznie bardziej palącą kwestią. Mała na to nalegała. Jej zdaniem nie mieli co liczyć na większe poparcie dla swojej sprawy, o ile nie zaoferują ludziom jakiejś ochrony przed natychmiastową śmiercią, co jak na razie było jedynym rezultatem sprzeciwiania się woli Roju.



Sprzeciwiania się Grace.

Toshi patrzył na ludzi na ulicach. Kiedyś nosili głowy wysoko, teraz pochylali je pełni strachu i podejrzliwości. Całe miasto zdawało się znać prawdę. Może zawsze ją znali w głębi ducha, zawsze wiedzieli, że to Grace ukrywa się za Rojem, i wystarczyło, by tylko jedna osoba to powiedziała, a oni uwierzyli. Toshi uwierzył bardzo szybko. Podobnie Mała. A Rój natychmiast wyczuł zmianę nastawienia mieszkańców.

Toshi wyskoczył z wagonika, przeszedł przez tory i złapał kolejkę zmierzającą w stronę dzielnicy rządowej. Teraz, gdy doszło już do wymiany, odprężył się i wołał siedzieć niż stać. Gdy dotarł do willi, pobiegł na górę do swoich pokoi, by się przebrać przed zejściem do laboratorium.

Grace czekała w jego własnym salonie, przeglądając papiery Toshiego jakby z nudów. Spojrzała na niego znad wzorów, które opracowywał uprzedniej nocy, i uśmiechnęła się szeroko.

– To jest bardzo silny środek owadobójczy – stwierdziła, patrząc na Toshiego roziskrzonymi oczyma.

Otworzył usta i pozwolił, by uleciało z nich pierwsze kłamstwo, jakie mu przyszło do głowy, wiedząc, że najmniejsza nawet zwłoka oznacza śmierć.

– Taką mamy nadzieję. Powinien dobrze się sprzedać we Francji i w Niemczech. – Zmusił się, by podejść do barku. – Masz ochotę na drinka? – spytał, zastanawiając się jednocześnie, jak dyskretnie zniszczyć notatkę, która zawierała najpewniej instrukcje odnośnie miejsca kolejnej wymiany. Ręce mu drżały.

– Nie. I ty też nie będziesz pił. Musisz być całkowicie trzeźwy w nadchodzących chwilach.

Poczuł wilgoć i zar zbierające mu się pod pachami. Na jego nadgarstku wylądowała Robotnica.

– A co takiego nadchodzi, Grace? – spytał cicho.

Wstała i otworzyła szeroko drzwi balkonowe, po czym odetchnęła głęboko aromatycznym powietrzem.

– Czyż to nie cudowny dzień?

Toshi został w środku. Widział zbliżającą się grupę Sióstr Wojowniczek i zrozumiał, że ucieczka była bez sensu. Ogarnął go dziwny spokój, jakby prawdziwą torturą było oczekiwanie, aż zostanie złapany, a nie to, co Grace szykowała dla niego teraz. Właśnie próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, czy zdąży jeszcze napisać list do rodziny, gdy w grupie zbliżających się Sióstr dostrzegł coś dziwnego. Niosły kogoś, chyba nieprzytomnego. Nie zamierzały zabrać Toshiego, raczej kogoś z nim zostawić.

Doskoczył do balustrady i zobaczył, że młody człowiek wiszący pomiędzy dwiema Siostrami był poważnie ranny. Strach o własne życie gdzieś się rozpląnął i szkolenie medyczne wzięło w Toshim górę, wpadł do środka, porwał torbę z

narzędziami z szafy i zaczął odsuwać meble z drogi lądujących Sióstr.

– Każ im przynieść go tutaj – nakazał, kopniakiem przesunął stolik do kawy i rozłożył na podłodze koc. – Delikatnie, chyba ma wywichnięte ramię.

– Dlatego kazałam im przynieść go do ciebie – stwierdziła Grace zadowolona. – Zawsze byłeś moim najbardziej utalentowanym uzdrowicielem.

– Pod zlewem w kuchni jest miska. Napełnij ją gorącą wodą i przynieś – polecił Toshi. Grace nie wykonała polecenia osobiście, ale jedna z Sióstr wyszła z pokoju na swych strusich nogach. – Jest niedotleniony, ma hipotermię, połamane żebra i liczne stłuczenia – wymieniał Toshi, a jego wolit rozpałił się blaskiem. – Więcej bandaży. W łazience, w szafce z ręcznikami.

Kolejna Siostra wyszła z pokoju. Toshi zaczął zdejmować z rannego ubranie.

– To Zewnętrzny.

– Szaman – potwierdziła Grace.

Toshi obrócił bliskiego śmierci szamana i dopiero teraz miał szansę zobaczyć jego twarz.

– Kanapka – powiedział, nie kryjąc przerażenia.

– Nie do końca – poprawiła go Grace podekscytowana. Przysiadła na brzegu kanapy, jakby znajdowała się na oficjalnym przyjęciu, na którym podane zostaną soczyste plotki. – Dopiero co poskładałam to wszystko i z tego, co wiem, to on jest jedną z wersji człowieka, którego ty znasz jako Kanapkę. Czy to nie fascynujące? – Toshi milczał, więc Grace mówiła dalej. – Naucz mnie, jak dostać się do innych wszechświatów.

Toshi zdołał stłumić dreszcz przerażenia.

– O ile wyżyje – powiedział tylko.

– Och, lepiej, żeby przeżył, Toshi. – Jej głos obniżył się złowieszczo. – Bo pożałujesz.

\*\*\*

Lily leżała obok Lillian, a jej duch unosił się nad ciałami.

W nadświecie duch Lillian był silny jak zawsze, ale jej ciało ledwie było w stanie przetrwać separację. Lily patrzyła na dwa nieruchome ciała i zorientowała się, że to należące do Lillian oddychało coraz słabiej.

*Wystarczy, Lillian, powiedziała. Wracaj do ciała.*

*Już niemal dotarłam na miejsce, krzyczała Lillian poprzez nadświat. Widzę sekwojowy las. Czuję jego wibrację.*

*Dusisz się. Wracaj.*

Lillian otworzyła oczy i łąpczywie zaczerpnęła powietrza. Lily też wróciła do swego ciała i usiadła.

– Dam radę to zrobić – powiedziała Lillian obronnym tonem.

– Wiem, że dasz – odparła Lily. – Ale może powinniśmy poprosić Rowana, żeby nas monitorował. On będzie umiał lepiej zająć się tobą niż ja.

Lillian potrząsnęła głową i zacisnęła wargi, nadal nie życzyła sobie, by Rowan ją dotykał.

– Naprawdę mam nadzieję, że nie jestem tak uparta jak ty – warknęła Lily.

Lillian roześmiała się słabo.

– Zapewniam cię, że jesteś – sapnęła z irytacją, wstając z ziemi. – Muszę się tego nauczyć. Teraz – oświadczyła.

W ciągu minionych kilku godzin trzy armie rozbiły prowizoryczny obóz na zboczu góry, a każdy z przywódców miał okazję porozmawiać ze swoimi ludźmi. Drapieżne skrzydlate Sploty porывwały zwierzęta pociągowe, atakując z góry, a Stado nieustannie nękało bataliony znajdujące się na flankach, ale na to nic nie można było poradzić. Lily przekazała swej drugiej wersji wibrację sekwojowego lasu, jednak Lillian nadal musiała nauczyć się, jak skakać, zanim spróbuje przenieść całą armię.

U wejścia do namiotu stanął kapitan Leto. Za nim zjawili się Chenoa i Alaryk, a on wprowadził ich do środka.

– Siadajcie – powiedziała Lillian sztywno, dając jasno do zrozumienia, że może i ocaliła życie Chenoa, ale nie będzie rozpaczać, jeśli Zewnętrznej coś się jednak stanie. Wskazała przybyłym niewielki stolik i krzesła ustawione pośrodku jej kwatery.

– Kiedy byłaś zajęta, pani, Sploty zaatakowały jedynie raz, naszą wschodnią flankę – poinformował ją Leto. Odsunął Lillian krzesło, a potem stanął za oparciem.

– Straty? – spytała.

– Pięciu zabitych, siedemnastu rannych – odparł. Zacisnął usta, gdy jego spojrzenie zawadziło o Alaryka. – I wybuchło kilka bójek od chwili przybycia... ich.

– Dziękuję, kapitanie – powiedziała Lillian.

Lily wezwała w myślach swój sabat i teraz wszyscy jej mechanicy weszli do namiotu i ustawili się za krzesłem Lily, po przeciwnej stronie stołu.

– Znam cię, chłopcze – odezwała się Chenoa, patrząc na Kanapkę spod przymrużonych powiek.

– Nie. Ty znasz Czerwonego Liścia – poprawiła ją Lily.

– Ma dar? – zainteresowała się Chenoa, a gdy Lily potwierdziła skinieniem głowy, zaśmiała się gładkowie. – Pilnuj, by nie zwariował.

*Zasuszony, stary nietoperz*, skomentował Kanapka w myślach.

Lily zdusiła uśmiech, bowiem w tej samej chwili do namiotu wpadła Mary z ponurą miną i Rileyem depczącym jej po piętach.

– Krótco czy długo mówiąc, wszystko sprowadza się do tego, że dolny lud

nie pójdzie na zachód, jeśli zamierzacie wysadzić miasto – oznajmiła bez wstępów.

– Wielu wojowników też się wycofa, nie będą walczyć, chyba że o dom – dodał Alaryk.

Kapitan Leto prychnął lekceważąco i odwrócił wzrok. Nozdrza wodza zdrząły od ledwie tłumionego gniewu.

Lillian podniosła rękę, by położyć kres ewentualnej sprzeczce.

– Nie możemy walczyć z Rojem żołnierz na żołnierza. Przegramy – stwierdziła.

Mary i Alaryk spojrzeli na Lily.

– Ma rację – potwierdziła ta niechętnie. – Przewyższają nas liczebnością i siłą. Nie pokonamy ich.

– Może nie z tymi żołnierzami, którzy przyszli za tobą – wtrącił Leto. – Ale wojsko z Namurza jest inne.

– Jedynym sposobem na zniszczenie Roju jest uderzyć tam, skąd pochodzi. – Lillian zapobiegła kolejnej kłótni między Leto a Alarykiem. – Czyli na miasto Bower, a gdy to zrobimy, reszta kraju może należeć do każdego. – Zwróciła się do Chenoi. – Jaki obszar byśmy utracili, jeśli twoja bomba wybuchłaby pod ziemią?

– Zależy od tego, jak głęboko zejść i o jakiej skale tu mówimy. – Chenoa uniosła dłonie wnętrzem do góry. – Mogłabym to oszacować, gdybyś powiedziała mi coś więcej o tamtym terenie.

– Hola, moment. – Una zamachała rękami. – Chcecie zdetonować bombę pod ziemią?

– Z tego, co pokazywała mi Lily, to tam jest Królowa Roju i ul. Tam też bomba będzie miała najlepszy skutek.

– A czy Bower przypadkiem nie stoi na uskoku San Andreas? – Una zaśmiała się na wpół histerycznie. – Niech im ktoś wytłumaczy, dlaczego nie mogą tego zrobić!

– O tym nie pomyślałam – przyznała Lily. Szybko wyjaśniła pozostałym to, co wiedziała na temat niestabilnego geologicznie Zachodniego Wybrzeża. – Odpalenie tej bomby na ziemi czy pod nią to szaleństwo. Tego w ogóle nie powinniśmy brać pod uwagę.

Chenoa chrząknęła zamyślona.

– Musiałabym mieć jakieś dane, zanim wypowiem się przeciwko użyciu bomby – stwierdziła. – Rejon trzęsień ziemi nie jest może idealny, ale w niektórych przypadkach to nawet lepiej, gdyby skażona ziemia osunęła się do morza.

– I wtedy bezpieczniej będzie żyć na tej, która zostanie? – spytała Mary. Poruszyła się na swoim miejscu i podparła brodę mocną pięścią. – Prawda jest taka, że jeśli nie powiem moim ludziom, że dostaną kawałek ziemi po wszystkim, to nie będą walczyć.

I znowu kapitan Leto prychnął pogardliwie, ale tym razem posunął się też do

tego, by zwrócić się do Lillian.

– Moja pani, nie musisz im schlebiać i ustępować. Lojalności żołnierzy Namurza nie trzeba kupować. Jeśli zdecydujesz, żeby wysadzić miasto...

– Łatwo mówić, żołnierze Namurza mają w końcu gdzie żyć – powiedział Alaryk zjadliwie.

– Nie damy rady – przekonywała ich Lily błagalnym tonem. – W Bower żyje ponad milion niewinnych. Nie zasługują na śmierć.

– My też nie – przypomniał jej Alaryk łagodnie. – Sama powiedziałaś, że nie wygramy w bezpośrednim starciu.

– Nie przy takiej liczebności – dodała. Zwróciła się do Lillian. – Ty przede wszystkim powinnaś być temu przeciwna. Proszę, Lillian, to, co widziałaś w spopielonych światach...

– Jedna bomba nie stworzy świata z popiołów – odpowiedziała jej druga wersja głośno, jakby próbowała przekrzyczeć nie tylko obecnych, ale i głos we własnej głowie. – Jedna bomba, odpalona tak daleko, nie zatruje Trzynastu Miast, nie sprowadzi na nasz świat wiecznej zimy. Jedna bomba zniszczy tylko Rój i zakończy panowanie Grace nad Splotami, a nam da zakończenie ery mroku. Bez Grace Sploty nie będą już czuły potrzeby atakowania ludzi. Cały kontynent będzie do wzięcia.

– Och, na litość boską. – Lily wywróciła oczami w desperacji. Zamiast położyć kres kłótni, dała tylko Lillian argument do ręki, który coraz więcej ludzi przeciągał na jej stronę. – Jest inne wyjście – zaczęła.

Popatrzyła po nich, rozważając, czy powiedzieć im to, co jej chodziło po głowie, póki jej spojrzenie nie zatrzymało się na Calebie. On prędzej rozbije swój wolit i odejdzie, niż się zgodzi. Wiedziała, że jedynym sposobem na wprowadzenie jej planu w życie było działać w tajemnicy i ujawnić wszystko na polu walki. Tam zaakceptują jej decyzję. Inaczej umrą.

Kiedy Lily milczała, Rowan odezwał się w jej imieniu.

– Może jest sposób, by przeniknąć do wnętrza ula i zabić Królową, nie używając bomby. Weszliśmy tam wcześniej, to nie było trudne.

– Tak, zbyt łatwo. Nie ma mowy, że teraz dostaniemy się do ula – powiedział Tristan.

– Lily mogłaby skoczyć tam z niewielką drużyną – zasugerował Rowan.

– Nie dam rady – odezwała się Lily. – Królowa jest głęboko pod ziemią. W ziemi jest mnóstwo krzemu, który blokuje równie dobrze jak kwarc.

– No to jakiś inny sposób – Rowan był sfrustrowany.

– Jesteś pewien, że wystarczy zabić Królową? – spytała cicho Lillian, nie patrząc na Rowana. – Może i Rój pójdzie w rozsypkę, ale Grace kontroluje dzikie Sploty. To ona musi umrzeć. Czy jest jakikolwiek sposób, byś mogła przenieść do miasta kogoś, kto mógłby ją zgładzić? – zwróciła się do Lily.

– To duże miasto. Skąd mam wiedzieć, gdzie ona będzie w danej chwili? A skoro nie mogę przenieść kogoś bezpośrednio do niej, to ten, którego wyślemy, zginie od żadeł w ciągu sekund. Grace pokryła każdy cal miasta Robotnicami.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, szukając alternatyw.

– Ale może będę mogła wykorzystać kogoś, kto już jest w mieście, żeby zabił Grace – dodała Lily cicho.

– Kogo? – chciał wiedzieć Rowan.

– Toshiego. Musiałabym go najpierw naznaczyć, ale wiemy, że jest chętny. I jest blisko Grace.

– Jak mogłabyś go naznaczyć? – spytała Lillian, mrużąc oczy. – On jest tam, ty tutaj.

– Na odległość. Poprzez mówiące kamienie – odpowiedziała Lily i wysłała swemu drugiemu ja, jak wykorzystwała kamień nad pokojami Lillian, by naznaczyć dolny lud.

Lillian gwałtownie nabrała powietrza.

– Nie wiedziałam, że można ich używać do naznaczania.

– Nie wymyśliłam tego. To Grace do tego doszła tak naprawdę. Używała mówiących kamieni, by naznaczyć każde pokolenie Splotów, jakie rodzi się na Wschodzie. Robi tak od ponad stu lat. Mogę użyć linii kamieni, żeby naznaczyć Toshiego. Ale...

– Ale co? – spytał Alaryk.

– Mówimy na to zamach. To tylko inne określenie morderstwa – stwierdziła Lily.

– Kochana, wojna to tylko inne określenie morderstwa.

– Pomyśl, Lily. – Alaryk odwrócił się w jej stronę. – Jeśli Toshi może dotrzeć do Grace, nikt inny nie musi umierać.

Lily kiwnęła głową, wiedząc, że to najmądrzejsze rozwiązanie. Podniosła wzrok na Lillian i odkryła, że jej druga wersja wpatruje się w nią uważnie.

*Pomyśl o tym jako o ostatniej granicy, której nie chcesz przekroczyć. To jest ta granica, za którą leży zwycięstwo.*

*Jak ty i bomba?*

*Tak.*

*Nie jestem taka jak ty, Lillian, i zamordowanie Grace nie jest dla mnie ostatnią granicą.*

\*\*\*

Po spotkaniu Lily poszła do przeznaczonego dla niej namiotu, mając nadzieję, że znajdzie tam jakieś czyste ubranie. Przy samym wejściu złapali ją Una i Kanapka.

– No i co robimy? – spytał Kanapka, unosząc przed Lily klapę wejściową.

– No i co masz na myśli? – odpowiedziała pytaniem lekko zaskoczona. Weszła do namiotu, a dwójka mechaników podążyła za nią.

– Co robimy, żeby powstrzymać tę bandę świrów przed potraktowaniem miliona niewinnych ludzi atomówką? – uściśliła Una. Opuściła klapę i rozejrzała się nieco dzikim wzrokiem.

– No cóż, spróbuję naznaczyć Toshiego i kiedy już się przekonam, co dzieje się w Bower...

Una przerwała jej gestem.

– Yy-y. Nie wystarczy – powiedziała stanowczo. – Nawet jeśli uda ci się sprzątnąć Grace, Rój pozostanie i dobrze wiesz, że brygada oszołomów będzie chciała zaraz użyć bomby, żeby go zniszczyć.

– Musimy pozbyć się bomby. – Kanapka użył nieco łagodniejszych słów. – Tak długo, jak ta bomba tu jest, ktoś będzie groził, że jej użyje.

Lily westchnęła i potarła czoło.

– Wiem – powiedziała. – Już jest ktoś, kto zajmie się tym problemem. Nastąpił moment ciszy. Una i Kanapka decydowali, które z nich się odezwie.

– Kto? – padło na Unę.

– Carrick – odpowiedziała Lily, wyłamując rękę. Dwoje mechaników popatrzyło na nią, jakby postradała zmysły. – Wiem, wiem. Pewnie zamorduje kilkanaście osób, by wykonać mój rozkaz, i to ja będę winna tych śmierci. – Żołądek wywinął jej koźła i na ustach pojawił się bolesny uśmiech. – Ale jeśli nie wykorzystam Carricka, to pozostaje tylko jedna opcja. Moja ostatnia granica obrony.

Kanapka wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Niemal boję się pytać – stwierdził, wykrzywiając się do Uny.

– Zrobię mozaikę umysłową, by znaleźć bombę, a z umysłu Alaryka ukradnę instrukcję, jak ją rozbroić – odpowiedziała Lily.

– Jeszcze raz. – Kanapka nie zrozumiał.

– Mozaikę umysłu robi się, używając naznaczonych jak sieci kamer. Patrę przez oczy was wszystkich, by znaleźć to, czego szukam. Czasami też przeglądam wspomnienia, jakbym przewijała materiał z kamery systemu ochrony – wyjaśniła.

– Nawet nie wiecie, że to robię, ale szpieguję dzięki wam.

Una wyglądała na przerażoną.

– Proszę, powiedz mi, że nigdy czegoś takiego nie zrobiłaś.

– Raz. Kiedy uczyłam się, jak to zrobić, i tylko przez sekundę – wyznała obronnym tonem, zauważywszy ich oskarżycielskie spojrzenia. – Rowan mi powiedział, że czarownice cały czas robią coś takiego.

– Ale nie ty – upewnił się Kanapka z nadzieją.

– Nie. Ja nie. Przynajmniej nie do dziś. Ale jeśli Carrick nie znajdzie bomby

i jej nie rozbroi z jakiegoś tam powodu, będę musiała spróbować.

– Będziesz musiała. – Una wbiła wzrok w ziemię. Kanapka obrócił się, gotów się sprzeczać, ale Una nie dopuściła go do głosu. – Będzie musiała, Stuart. Milion ludzi... – Umilkła, bo ogrom tego wyraźnie ją przytłoczył.

– To złe – szepnął cicho Kanapka.

– Wiem o tym – warknęła Lily. – Poprosiłam człowieka, który torturował mnie, torturował i zamordował mojego ojca, o pomoc, żeby tego uniknąć. Czy to właściwa droga? Nie wiem. Staram się zrobić to, co słuszne, ale nie wiem, czy w ogóle jeszcze jest taka opcja. Czy może zostało mi tylko zło w różnych wersjach.

Kanapka obrzucił ją spojrzeniem spod przymrużonych powiek.

– Tylko żebyś się za dobrze nie poczuła z tą koncepcją.

\*\*\*

Carrick wszedł do obozu Lillian, przemykając się praktycznie niezauważony.

Ludzie mieli tendencję ignorować Carricka, póki mogli, a potem starali się jak najszybciej o nim zapomnieć. Czasem byli gotowi powiedzieć wszystko, byle tylko się go pozbyć. Miało to swoje zalety.

Carrick minął ruchliwego pazia, który idąc, ogryzał z zacięciem własny kciuk. Zawrócił, dogonił chłopca i złapał go za ramię.

– Najcięższy opancerzony wóz lady Lillian. Gdzie jest? – spytał, stając odrobinę zbyt blisko młodzika.

– Nie wiem... Wozy to chyba tam – odparł tamten rozkojarzony, machając dłonią. Próbował umknąć, ale Carrick tylko się uśmiechnął, co zdenerwowało chłopca jeszcze bardziej.

– Jak masz na imię? – spytał Carrick niemalże przyjacielskim tonem, przysuwając się jeszcze bliżej.

– G-g-gavin.

– Gavinie, będę miał mnóstwo kłopotów, jeśli nie znajdę największego i najcięższego wozu naszej Czarownicy. Powinienem już wiedzieć, gdzie on jest. – Carrick pochylił się nad chłopcem wciąż uśmiechnięty. Młodzik odsunął się, teraz już desperacko pragnął się wyrwać.

– Jest jeden, który z rozkazu pani trzymany jest osobno, za granią, tak żeby był niewidoczny – powiedział.

Carrick wypuścił Gavina.

– To ten. Dziękuję ci, Gavinie. Jeśli jest coś, co mogę dla...

Ale chłopiec już odbiegł i pewnie starał się zapomnieć, że to spotkanie w ogóle miało miejsce.

Carrick wspiął się na grani i przypadł do ziemi za głazem. Wóz wiozący bombę musi być oczywiście strzeżony. Carrick będzie musiał zabić strażników tak szybko, żeby nie zdążyli zauważyć, że umierają, bo jeśli oni będą to wiedzieli, to



tak samo Lillian. Ale Carrick spędził tyle czasu w dziczy ze Splotami, że doskonale wiedział, jak poruszać się niczym Sploty, uderzać jak one i znikać, nie zostawiając śladu. Poza oczywiście niezdatną do niczego bombą. Nikt jednak nie zorientuje się, że broń jest bezużyteczna, aż będzie za późno.

Carrick czekał do zmierzchu. Trwał za skałą, aż niemal stał się jej częścią, jakby wrósł w nią i zmienił się w kamień. Patrzył na swoje dłonie. Dopiero co je doczyścił.

\*\*\*

Kapitan Leto pewnym krokiem podszedł do czekającego nań smokowca. Strój do jazdy ze skórzanki poskrzypywał charakterystycznie, srebrne epolety błyskały w słońcu, a sam Leto przypominał posiwiąłego wikinga, który rusza zgładzić smoka.

– Należy zawsze sprawdzić pas wokół szyi smokowca przed wejściem na jego grzbiet – instruował Leto Lily. Pociągnął skórzane pasy wokół długiej szyi smokowca. Żaden ani drgnął. – Dobrze zaciągnięte – pochwalił kapitan. – Potem należy sprawdzić, czy strzemiona są odpowiedniej długości. A potem to już tylko chwycić za łęk i wskoczyć na siodło.

Leto dosiadł smokowca, a stwór zaskrzeczał i wspiął się na tylne nogi, przebierając przez chwilę parą mniejszych, przednich w powietrzu, zanim się uspokoił. Lily odruchowo cofnęła się o krok i wpadła na Rowana, który stał zaraz za nią. Podtrzymał ją i lekko pchnął do przodu.

– A ty się zastanawiałaś, dlaczego nigdy na żadnym nie jeździłem – zakpił cicho.

– Nie jeździłeś, bo jesteś dzidziusiem – odszepnęła. Poczula, że się śmieje, i odepchnęła się od niego łokciem. – I skoro nigdy się nie nauczyłeś – kontynuowała oskarżycielskim tonem – muszę udać się do najbliższego mówiącego kamienia razem z Leto. Powinieneś czuć się okropnie, porzucając mnie w taki sposób.

– Ależ czuję się okropnie – zapewnił ją z szerokim uśmiechem. Smokowiec zamachał skrzydłami zbrojnymi w kolce, najwyraźniej zirytowany, że musi pozostawać na ziemi wśród drzew. – Strasznie okropnie.

– Można już podejść, lady Lily, to całkowicie bezpieczne – zawołał Leto.

– Ha – odparła Lily.

– Leto to dobry człowiek – przyznał Rowan z oporem. – Nie pozwoli, by coś ci się stało.

Lily zrobiła krok do przodu, a smokowiec zaskrzeczał ponownie.

– To nie o Leto się martwię – mruknęła.

– I kto tu jest dzidziusiem? – spytał Rowan.

Lily zmusiła się, by podejść do smokowca pewnym krokiem, choć stwór patrzył na nią wielkimi czerwonymi ślepiami. Wskoczyła na siodło za plecami Leto

i szybko odkryła, że choć kark smokowca był szerszy niż koński grzbiet, to siedziało się na nim podobnie. Skóra smokowca był ciepła, co Lily stwierdziła z zaskoczeniem. Spodziewała się zimnej jak u gada.

– Proszę się trzymać – polecił jej Leto niepotrzebnie.

Smokowiec poruszył się i błyskawicznie wspiął po pniu drzewa. Lily słyszała trzask pękających gałęzi, gdy zwierzę zmierzało ku wiecznie zielonym wierzchołkom. Potem kark smokowca zafalował. Rozległ się dźwięk, jaki wydaje prześcieradło łopoczące na wietrze, i wielkie skrzydła wierzchowca zagarnęły powietrze. Zaczęły pracować niestrudzenie, kołysać Lily do góry i na dół, i znów do tyłu, i nagle znieruchomiały. Wisieli na niebie. Poszybowali, a Lily poczuła się całkowicie nieważka.

– To całkiem przyjemne, jak już się przyzwyczaić. – Leto przekrzykiwał świst wiatru.

Lily odprężyła się i zaczęła podziwiać widoki. Wystarczyło zaledwie kilka uderzeń skrzydłami i dostrzegła górski szczyt, do którego zmierzali. W jej świecie była to góra Mitchell, najwyższy szczyt w Appalachach. W tym świecie znajdował się tam mówiący kamień.

Leto kazał wierzchowcowi skrócić i smokowiec delikatnie przechylił się na skrzydło. Okrążyli zielony szczyt, ale gęsto rosnące świerki i jodły całkowicie przesłaniały grunt pod nimi. Gdy znaleźli się bliżej, odkryli, że wschodnia ściana stanowiła niemal pionowe zbocze, po tym jak osunęła się część skał.

– Tam! – Lily wskazała szczyt grani. Dostrzegła błysk, przypominający zajaczką puszczanego lusterkiem.

Smokowiec obniżył lot, szykując się do lądowania i załopotał skrzydłami, wyciągając przed siebie szpony, by pochwycić zielony czubek drzewa. Przysiadł ostrożnie, po czym obrócił się i niczym jaszczurka zlął z drzewa, używając wszystkich czterech kończyn.

Leto zsiadł pierwszy, a potem pomógł Lily. Dziewczyna pospieszyła do szmaragdowego kamienia, z daleka czując pulsowanie i szept setek tysięcy umysłów, które zostały zebrane wewnątrz.

– Te kamienie są nawiedzone? – Kapitan brzmiał niepewnie jak nigdy.

– Nie – uspokoiła go Lily. Zdusiła śmiech, bowiem najwyraźniej Leto zadał to pytanie bardzo serio. – Ale w sumie rozumiem, że nazywanie kamieni nawiedzonymi mogło trzymać z daleka tych, którzy chcieliby je zniszczyć.

– Głosy. – Leto nie zdobył się, by podejść bliżej. – Ponoć ci, co pomarli w hańbie, bo nie spełnili rozkazów swej czarownicy, są uwięzieni w kamieniu.

– To nieprawda – odparła łagodnie Lily. – Mówiące kamieni są narzędziami żywych, nie zmarłych. – Przypomniała sobie, jak próbowała skontaktować się z Juliet w nadświecie. – Zmarli nie mówią. Bez względu na to, jak gorąco się ich błaga – dodała ponuro.

Leto skinął głową, przyjmując jej wyjaśnienie.

– Ona nie zasługuje, by tak umrzeć. – Zmienił temat. I Lily wiedziała, że mówi o Lillian.

– Wiem. – Zmarszczyła brwi, wspomniawszy ból, jakiego doświadczyła, posiadając ciało Lillian. – Nikt nie zasługuje.

– Czy lord Fall może jej pomóc?

– Nie pozwoli mu na to.

– Uparta – mruknął z uczuciem.

– Ma silną wolę – poprawiła go Lily.

Kapitan w zamyśleniu skinął głową.

– Chyba dlatego jest tak dobra w magii. – Spojrzał na Lily i w jego wzroku błysnęła nieugiętość. – Dokończysz, pani, to, co ona zaczęła?

– Tak. – Sama była zdumiona, że to mówi. – Tylko nie w ten sam sposób.

– Nie szkodzi. – Znów kiwnął głową, tym razem potwierdzając podjętą decyzję. – Jeśli jej czas nadejdzie przed bitwą, Namurze odpowie na twoje wezwanie, pani.

– Dziękuję, kapitanie. – Wyczuwała, jak wielką wagę miała ta obietnica. – Ale miejmy nadzieję, że to, co zamierzam zrobić, sprawi, że bitwa będzie niepotrzebna. – *I może Toshi zdoła uzdrowić Lillian*, pomyślała, ale zachowała tę nadzieję dla siebie.

Lily zajrzała w skrzące się wnętrze kamienia i położyła dłonie na gładkiej powierzchni. Jej umysł zanurzył się w mknącym zielonym strumieniu, który popędził ponad górskimi szczytami, potem doliną i nad milami lasu. Potem wpadła do niebieskiego nurtu, który przeskakiwał rzeki i cwałował równinami. Żółty blask wyniósł ją na wysokie skały, by stamtąd wrzucić do czerwonego światła płynącego nad rozżarzoną pustynią i buszem. Jej umysł przefrunął nad dąbrową, wzgórzami zrodzonymi z trzęsień ziemi, by zatrzymać się wreszcie w mlecznobiałej poświacie kamienia najdalej wysuniętego na zachód.

W jego wnętrzu jarzyły się miliony światełek. Grace miała potężną armię.

Lily wezwała Toshiego, szepcząc jego imię, i znalazła właściwą wibrację. Silną, czystą i wolną. Lily skupiła się na niej i poczuła, jak jego umysł odpycha jej myśli na podobieństwo człowieka pogrążonego we śnie, który zgarnia z twarzy łaskoczące kosmyki włosów. Zawołała Toshiego raz jeszcze, tym razem tonem nieznoszącym sprzeciwu, i poczuła, że ją rozpoznał. Jakby ktoś oblał go zimną wodą.

*Czy nadal chcesz zostać naznaczony?* – spytała.

Nie mogła usłyszeć, jak odpowiada, nie przed naznaczeniem, ale odczuła jego zgodę niczym wręczenie podarunku. Odtworzyła unikatowy wzór jego woli w swoim i naznaczyła go.

*Mój.*

Tym razem nie napłynęły do niej wspomnienia, bowiem Toshi tak był skupiony na tym, co robił, że Lily została wciągnięta do jego tu i teraz, zobaczyła świat z jego perspektywy i zrozumiała, że walczył o czyjeś życie.

Spojrzała na ręce, swoje i Toshiego zarazem, przesuwały się ostrożnie po czyichś połamanych żebrach. W płucu pod nimi pieniała się krew. Toshi spojrzał na twarz swego pacjenta, a Lily aż szarpnęła się w tył. Potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie, że nie patrzy na Kanapkę.

*Czerwony Liść. Może nauczyć Grace, jak podróżować między światami,* powiedziała Toshiemu.

*On umiera,* poinformował ją uzdrowiciel.

Przez momenty Lily czuła ulgę. Jakaś jej część chciała, by Toshi pozwolił szamanowi umrzeć, ale gdy tylko myśl ta przemknęła jej przez głowę, Lily poczuła natychmiast gwałtowny sprzeciw Toshiego. Zupełnie jakby wpadła na ścianę.

*Nie zabiję pacjenta. To by było sprzeczne ze wszystkim, w co wierzę!*

*Oczywiście, że nie. Musisz zrobić wszystko, by go uratować.*

*Naprawdę jesteś tu ze mną?*

*Naprawdę jestem.* Czuła, jak zachwyty i radość iskrzą w umyśle Toshiego, ale uzdrowiciel szybko ponownie skupił się na pacjencie.

Z jego dłoni sączyła się magia, a wolił płonął rubinowym światłem. Lily pozostała w umyśle Toshiego jako milczący obserwator, podczas gdy on zajmował się obrażeniami Czerwonego Liścia i wbrew wszelkim prognozom, udało mu się zażegnać bezpośrednio niebezpieczeństwo grożące życiu szamana.

Toshi był najlepszym uzdrowicielem, jakiego Lily widziała, lepszym niż Rowan, aczkolwiek doszła do wniosku, że tego wiedzieć nie może na pewno, bo za każdym razem, gdy Rowan się nią zajmował, była nieprzytomna.

– Jest stabilny – oznajmił Toshi wyczerpany, a gdy podniósł wzrok, Lily zobaczyła usadowioną na kanapie Grace z fascynacją wymalowaną na twarzy.

– Obserwowanie cię przy pracy to wyjątkowe przeżycie – stwierdziła, a jej oczy błysnęły uznaniem. – Bohaterski uzdrowiciel walczy, by ocalić życie pacjenta.

Lily czuła, jak bardzo Toshi był sfrustrowany.

– Jest stabilny, ale będzie potrzebował dalszej opieki – powiedział.

Grace przechyliła głowę na bok i dwie Siostry ruszyły w stronę Czerwonego Liścia.

– Delikatnie – upomniał je Toshi, ale nie zwróciły na niego najmniejszej uwagi. Nie zamierzały słuchać jego rozkazów. – Powiedz im, żeby były ostrożne – zwrócił się do Grace.

– Och, nie pozwolę, by moja nagroda mi tu skonowała. Nie po tym, jak zadałam sobie tyle trudu, by go tu sprowadzić. – Grace wstała i zatarła ręce. – Jesteś na pewno zmęczony. Pozwolę ci odpocząć.

– Dokąd go zabierasz?

Ale Grace opuściła już pokój wraz z Siostrami, nie zaszczyciwszy Toshiego odpowiedzią.

*W porządku, Kanapka da radę się z nim skontaktować, gdy Liść już odzyska przytomność, uspokoiła go Lily. Wtedy powiem ci, dokąd go zabrała, jeśli będziesz chciał wiedzieć.*

Teraz, gdy Grace już nie było, w Toshim znów wezbrała ekscytacja.

*To się stało naprawdę? Naznaczyłaś mnie?*

*Tak. I było to z pewnością najdziwniejsze naznaczenie w moim życiu, w każdym razie jesteś mój.*

Lily uśmiechnęła się, stojąc na szczycie góry tysiące mil dalej. Różnica między Toshim a większością żołnierzy, jakich naznaczyła ostatnio, była taka, jak między listem skreślonym za pomocą nieustannie łamiącego się ołówka, a wiadomością przekazaną twarzą w twarz. Jako mechanik Toshi bez trudu używał mowy myśli i był na tyle utalentowany, że w takim stopniu czuła jego obecność w swoim umyśle, jak on czuł jej w swoim. Powinna była przygotować się na doznanie takiej intymności, ale minęło już trochę czasu od chwili, gdy naznaczyła kogoś o poziomie talentu Toshiego. On też to czuł. Wezbrały w nim mieszane emocje. I Lily zrozumiała, że uzdrowiciel był nieśmiały.

*Widzisz teraz wszystko, co jest we mnie? Moje wspomnienia? Pragnienia?*

*Mogłabym, Lily też poczuła się lekko zakłopotana. Ale staram się nie zaglądać w prywatne myśli moich mechaników. Mam już wprawę w wycofywaniu się z cudzych myśli, zanim trafi się w nich coś nieprzyzwoitego.*

Poczuła strach tłumiący nieco jego szczęście.

*Musiał być powód, dla którego zdecydowałaś się naznaczyć mnie teraz, domyślił się. Jaki?*

Nie było sensu zwlekać z wyjaśnieniami.

*Chcemy, byś zabił Grace.*

Zobaczyła, jak Robotnice lądują mu na ramieniu, gdy tylko pomyślał o morderstwie.

*Nie mogę, odpowiedział.*

Siadały na nim kolejne Robotnice. Jedna przycupnęła tuż obok tętnicy na szyi.

*Lily, nie mogę. Myślisz, że o tym nie myślałem? Po twoim zniknięciu nawiązałem kontakt z tysiącami buntowników w Bower. Wszyscy chcemy jej śmierci. Ale Rój wyczuwa agresję, zanim zdołamy zrobić cokolwiek.*

Lily czuła delikatne nóżki Robotnic wędrujące po skórze Toshiego i wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

*Przestań o tym myśleć, uspokój się, poprosiła.*

Toshi zacisnął i rozluźnił dłonie, kilka razy odetchnął głęboko i starał się zapanować nad dławiącą go frustracją.

*Myślałem o pozbyciu się jej w sposób mało brutalny, za pomocą trucizny, ale Rój sprawdza jej jedzenie. Myślałem o stworzeniu wirusa, który były dla niej zabójczy, ale nie mogę dotrzeć do próbki z jej ciała. Wiedziałaś, że Robotnice nie pozwalają, by choć jeden jej włos spadł na ziemię? Może ci się to wyda niemądre, lecz myślałem nawet o skonstruowaniu jakiejś pułapki, ale Rój sprawdza każdy pokój, do którego Grace wchodzi. O czym byś nie pomyślała, ja już myślałem o tym wcześniej. Rój jest wszędzie i strzeże jej przed niebezpieczeństwem.*

*Przykro mi, Toshi, powinnam się domyślić.* Oczekała, aż uzdrowiciel uspokoił się na tyle, że Robotnice go zostawiły. *Jednak nadal mogę cię stamtąd zabrać. Teraz jesteś mój, nie musisz zostawać w Bower.*

Kusiło go powiedzieć „tak”, chciał do niej dołączyć tak bardzo, że pragnienie sprawiało ból.

*Nie mogę, powiedział wreszcie. Razem z Ivanem pracujemy nad antidotum na jad Robotnic i środkiem owadobójczym. Próbujemy znaleźć sposób, by walczyć z Rojem.*

*Dobrze. Musimy jakoś zneutralizować Robotnice. Mogę ochronić przed nimi moich naznaczonych, ale nie na długo, odparła. Wspomniałeś o buntownikach w mieście. Ilu z nich zgodzi się dołączyć do moich naznaczonych, jak myślisz?*

Na myśl o buntownikach wspomaganych siłą czarownicy Toshiego wypełniła nadzieja.

*Większość błagałaby o taką możliwość. Kilku będzie wymagało odrobiny perswazji.*

*Daj im znać, że mają dzień, by podjąć decyzję. Jutro wrócę naznaczyć tych, którzy będą chętni.*

*Będą gotowi, obiecał.*

*I jeszcze jedno, Toshi.*

*Tak?*

*Jest ktoś, kto potrzebuje uzdrowiciela. Być może nawet ty nie jesteś już w stanie jej pomóc, ale muszę spróbować.*

*Dotykałaś jej? Możesz mi pokazać jej chorobę? Znów był lekarzem w każdym calu.*

*Lily przekazała mu wszystko, co sama widziała.*

*Jest źle, jeśli szybko jej nie zobaczę, umrze.*

*Ale możesz pomóc?*

*Więcej niż pomóc. Mogę ją wyleczyć, ale muszę ją szybko zobaczyć.*

*Ściągnę cię tutaj, obiecała mu. Jakoś cię tu sprowadzę.*

Kiedy zerwała połączenie z Toshim, jej serce biło z nadzieją. Leto obserwował Lily z pewnej odległości, wyznaczonej szacunkiem.

– Zdziałało? – spytał, starając się, by nie wypadło to zbyt nagłaco. Lily poczuła, że reszta jej sabatu czeka na wiadomość.

– I tak, i nie – odparła. – Zamach na Grace jest wykluczony, ale chyba znalazłam armię rebeliantów w mieście. I sposób, by pomóc Lillian. – Spojrzała na słońce płynące w stronę horyzontu. Minęło więcej czasu, niż myślała.

Leto wsiadł na smokowca i wyciągnął do Lily pomocną dłoń.

– Jak dla mnie, to bardzo udana wyprawa – oświadczył dużo szczęśliwszy.

Wspięła się na siodło za kapitanem. Starła się podsycić wąty płomyczek nadziei i nie myśleć, że buntownicy z miasta najprawdopodobniej zginą pierwsi, gdy dojdzie do bitwy.

\*\*\*

Minęła północ, gdy Lily wymknęła się ze swojego namiotu.

Długo się na to decydowała. Godzinami wpatrywała się w notkę od Carricka, powtarzając sobie, że zrobiła, co należało; wreszcie przekonała samą siebie, że skaże na zagładę wszystkich swoich żołnierzy, tak jak i żołnierzy Lillian, jeśli nie przystąpi do działania. Utrata zaufania sabatu przestała już się liczyć.

Godzinami siedziała w bezruchu, ale gdy podjęła decyzję, wszystko, każda upływająca sekunda wydawała jej się marnowaniem czasu. Założyła czarne spodnie ze skórzanki, wciągnęła wysokie buty, chwyciła kurtkę, wrzuciła do ognia zakrwawiony liścik, który znalazła na posłaniu, i ruszyła po cichu ku czarnym sylwetkom jodeł.

Przeszła przez kojec, gdzie uwięzani byli stróże. Wielkie niedźwiedziopodobne cielska były tylko nieruchomymi kształtami w ciemnościach, ale Lily wiedziała, że zwierzęta nie śpią. Minęła korral biegaczy i choć żaden nie zasyczał ani się nie poruszył, włoski na ramionach Lily stanęły dęba i już wiedziała, że wierzchowce ją obserwują. Wszystkie udomowione Sploty stały nienaturalnie ciche i pogrążone w bezruchu. Nigdy nie marnowały energii na zbytki. Lily podejrzewała, że między innymi dlatego potrzebowały mniej jedzenia i wody. Może i zwiększało to wydajność tych stworzeń, ale zarazem sprawiało, że robiły wyjątkowo niepokojące wrażenie. Wpatrywały się w Lily nieruchomymi oczami posągów, niczym wąż szykujący się do ataku.

Przekradła się do polany, gdzie większe smokowce siedziały uwięzane do grubych metalowych kołków wbitych w ziemię. Zwierzęta odwracały trójkątne głowy w stronę Lily, podzwaniając łańcuchami.

Lily uśmiechnęła się kwaśno, bowiem ten dźwięk przypomniawszy jej o

klejnotach Czarownicy z Salem, i rozejrzała się, szukając wierzchowca, którego dosiadała po południu. Miała nadzieję, że smokowiec ją zapamiętał i może nawet będzie umiał odnaleźć drogę do kamienia na szczycie góry. Zapomniała zapisać wibrację tego miejsca w swoim wolicie i teraz była na siebie wściekła. Nie przyzwyczaiła się jeszcze, by zapamiętywać charakterystyczne cechy każdego miejsca, w jakim się znalazła, ale wiedziała, że drugi raz tego błędu nie popełni.

Kiedy jednak znalazła właściwego smokowca, nic nie wskazywało, że zwierz ją poznał. Podeszła do stworzenia powoli, obawiając się chwili, kiedy będzie musiała przygiąć mu łeb do ziemi, żeby odczepić łańcuch.

– Wiesz, czego nie mogę pojąć? – spytał Rowan, a Lily odwróciła się jak ukąszona i przycisnęła dłoń do walącego dziko serca. – Nie mogę pojąć, jak ktoś tak inteligentny jak ty, nie jest w stanie zrozumieć, że ja zawsze będę wiedział, że zamierzasz się gdzieś wymknąć.

– Co ty tu...

– Co ja tu robię? – przerwał jej oburzony. – Co ty tu robisz?!

– To nie tak, jak to wygląda...

– A więc nie wybierasz się do mówiącego kamienia?

– Wybieram, ale... – Zamilkła, by zebrać myśli, a Rowan odwrócił się od niej z jękiem frustracji.

– Dlaczego wciąż się o to kłócimy? – spytał gwiazd. – Wiem, że wydaje ci się, że jeśli to zrobisz, uratujesz życie setkom ludzi. Wiem, że wydaje ci się, że to najmniej bolesna i najprostsza droga, by zakończyć ten konflikt. Posiadasz Toshiego, zamordujesz Grace we śnie i nie trzeba będzie wojny. Setki tysięcy istnień ocalonych. Rozumiem, jak to rozwiązanie musi cię kusić. Do licha, nawet mnie kusi, żeby doradzać ci taką drogę. Ale tylko pomyśl, jaką osobą będziesz musiała się stać, żeby zrobić coś takiego. Sama siebie zapytaj, czy chciałabyś, by ktoś, kto jest w stanie zrobić coś takiego, pozostał u władzy? – Zamilkł na chwilę i przez jego twarz przemknął grymas bólu. – Próbujesz chronić ludzi. Lillian też próbowała, gdy ukryła przede mną to, co wydarzyło się w spopielonym świecie. Jestem pewien, że Grace też próbowała chronić ludzi, gdy tworzyła Rój. Ale zobacz, co się z nimi stało. Są bezlitosne, bezduszne.

Odetchnął głęboko, jakby miał zamiar unieść ogromny ciężar.

– Wiem, wierzysz, że zamordowanie Grace nas ocali, ale ty będziesz musiała poświęcić zbyt wiele, by tego dokonać. Nie chcę, żebyś skończyła pusta jak Grace czy Lillian. I gotów jestem stoczyć tysiąc bitew, by do tego nie dopuścić.

Lily spojrzała na Rowana z uśmiechem, który szybko zmienił się w cichy śmiech.

– Nie skończę jak Lillian. I nie wybieram się do kamienia, żeby zabić Grace.

– Nie? – spytał niepewnie. – To dlaczego wymykasz się w tajemnicę?

– Bo wiem, że nie spodoba ci się to, co zamierzam zrobić. – Westchnęła,



godząc się z faktem, że została przyłapana. – Zamierzam naznaczyć Sploty.

Rowan znieruchomiał całkowicie zaskoczony.

– Sploty? – powtórzył bezmyślnie.

– Nie wygramy bez nich. Już od jakiegoś czasu widzę, że to nasza jedyna szansa, ale ty i Tristan, i Caleb, i właściwie wszyscy tutaj, nie chcecie nawet tego rozważyć, więc nic nie mówiłam.

– Ale przecież to Grace je kontroluje – zaproponował, nie chcąc zaakceptować tej opcji.

– Nie wszystkie. Nie kontroluje Watahy ani Stada, mają zbyt silną wolę, by mogła naznaczyć je z daleka bez ich zgody. Rój jest jej, wiem, że nie zdołam go odebrać, bo ona kontroluje Królową. Ale myślę, że mam szansę odebrać jej przynajmniej wolity insektoidów. A jeśli będziemy mieli po swojej stronie choćby połowę ich populacji, to może nie polegniemy w tym starciu.

– Insektoidalne Sploty – powtórzył Rowan, twarz miał nadal pozbawioną wyrazu.

– Widzisz? To dlatego ci nie mówiłam – stwierdziła Lily oskarżycielskim tonem. – Myślisz, że lubię mieć przed tobą tajemnice? Nienawidzę. Ale jaki mam wybór, skoro jesteś tak uprzedzony, że nie chcesz zobaczyć, czym Sploty są naprawdę?!

– A czym są? – Założył ręce na piersi.

– Ofiarami.

Rowan parsknął śmiechem, ale Lily nie zamierzała się wycofać.

– Są niewolnikami Grace. Nie mogą się sprzeciwić i umierają tysiącami. Może nie zdołam ich ocalić. Może nie zdołam ocalić nikogo, ani Zewnętrznych, ani dzieci z tuneli metra, ani nawet własnego sabatu. Może to wszystko to jakiś wielki kosmiczny żart i może powinnam wrócić do domu i do tego, żeby nie być w stanie ocalić własnego świata. – Schyliła się i szarpnęła za łańcuch smokowca. – Ale zamierzam spróbować. Zamierzam udać się do Splotów i spytać, czy nie staną do walki wraz ze mną, bo jeśli cokolwiek na tym przeklętym kontynencie chce się wydostać spod jarzma Grace, to na pewno one. A jeśli jesteś zbyt ograniczony, żeby zobaczyć, że Sploty zostały potraktowane tak samo strasznie, jak Zewnętrzni, to możesz tu sobie zostać.

Rowan przyglądał się jej wysiłkom, by wyciągnąć z ziemi metalowy kołek.

– Co ty wyprawiasz? – spytał, dusząc śmiech.

– Próbuję odczepić to cholerstwo! – wrzasnęła wyprowadzona z równowagi.

– Użyj wolitu. – Odsunął Lily na bok. – Spójrz, to plecionka, dotknij jej i pomyśl „otwarte”. – Zrobił to i zamek kliknął cicho.

– O – powiedziała Lily.

– To była jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczyłem cię o magii, pamiętasz?

– No, teraz już tak. – Spojrzała na niego i przestąpiła niepewnie z nogi na nogę, wspominając wydarzenia w chacie. Wspominając, jak go nazaczyła. Tak bardzo chciała go pocałować. – No to co...? Idziesz ze mną? – spytała niemal prosząco.

– Oczywiście, że tak. Może mi się nie podobać myśl, że ruszę do walki u boku Splotów, ale to lepsze, niż patrzeć, jak sprzedajesz swoją duszę.

– I łatwiejsze, niż stoczyć tysiąc bitew – dodała zadziornie.

Rowan roześmiał się, ale zaraz spoważniał, jakby coś strasznego przyszło mu do głowy.

– Tak – odparł. – Myślę, że ta jedna bitwa już nam wystarczy.

## Rozdział 14

Lily zobaczyła blask kamienia i odchyliła się w siodle, by dać smokowcowi znak, że chce zwolnić. Wierzchowiec zagarnął powietrze skrzydłami i praktycznie zawisł w powietrzu naprzeciwko skalistej górskiej ściany.

Lily nie zdążyła nauczyć się wszystkich niezbędnych znaków i komend po jednym przelocie z Leto, ale zauważyła, że smokowce były daleko bardziej wrażliwe na wszelkie polecenia niż jakikolwiek koń, którego dosiadała. Wymagały jedynie minimalnych wskazówek, a resztę same odczytywały z gestów i mowy ciała jeźdźca. Lily dotknęła szyi zwierzęcia piętą i przesunęła się lekko, dając do zrozumienia, że chce lądować. Poczła, jak ręce mechanika zaciskają się wokół jej talii, gdy smokowiec skręcił ku wierzchołkom drzew, ale trzeba było oddać Rowanowi, że nie spanikował, gdy zwierz chwycił szponami kołyszącą się jodłę i zszedł po pniu przy akompaniamencie trzasku smagających ich gałęzi.

Zsiedli. Lily uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jak nakazać wierzchowcowi powrót do obozu. Próbowwała mu pokazywać, powtarzając „wracaj do domu”, ale smokowiec albo nie rozumiał, albo nie chciał wykonać polecenia. W końcu Lily dała za wygraną i pozwoliła zwierzęciu podążać za nimi, gdy szli w kierunku kamienia. Smokowiec zwinął skrzydła i laźł za nimi niczym wielki pies. Rowan łypał na Splota podejrzliwie, ale po raz kolejny wykazał się opanowaniem godnym podziwu i milczał.

– To byłby cud, gdyby już dotarła na miejsce – mruknęła Lily.

– Może nie – odparł Rowan. – Sploty są zdolne do niesamowitych rzeczy.

Lily spojrzała na niego zaskoczona.

– To zabrzmiało prawie jak szacunek.

– Nie przesadzaj – powiedział, ale usta drgnęły mu w uśmiechu. Schylił się i zaczął układać niewielkie ognisko.

Lily dotknęła mówiącego kamienia i sięgnęła myślą do Płowej. Jej umysł pomknął przez kontynent, by zatrzymać się w żółtym świetle kamienia, który znajdował się na Morzu Traw. Zawołała do naznaczonej i w odpowiedzi poczuła podniecenie. Płowa skakała i kręciła się w kółko.

Lily wyobraziła sobie Stado.

*Gdzie są?*

*Blisko. Pilnują mięso.*

Lily zobaczyła morze bizonich grzbietów, które zdawało się nie mieć końca. Spytała Płowej, czy mogłaby ponownie wejść do jej ciała, i ta zezwoliła.

Lily poczuła ubitą ziemię pod łapami, a pod jej powierzchnią świstaki w swym podziemnym mieście. Sięgnęła głębiej, dalej i poczuła miłe ziemi wygładzonej pod niebem, jej bratem bliźniakiem. I dotarło do niej, że dawno,

dawno temu tę krainę okrywała woda, tak jak teraz okrywało ją niebo. Nacisk starożytnego morza przygniótł ziemię, stłumił jej dźwięk. Morze Traw wciąż miało w sobie tę ciszę wody. Wibrowało tępo i sennie.

Zebrała żar z ognia, przywołała wolit Rowana i skoczyła do miejsca, gdzie znajdowała się Płowa.

Usłyszała, jak Rowan wypuszcza wstrzymywany oddech.

– To nadal jest niewyobrażalnie dziwne – oświadczył, rozglądając się.

Płowa podbiegła do Lily, wydając z siebie serię pisków i szczeknięć. Rowan cofnął się odruchowo, ale Lily wyciągnęła ręce do kojota i została powitana licznymi liźnięciami i trąceniami pyska. Wyczuła głód swej naznaczonej, więc napełniła jej wolit energią. W tej samej chwili usłyszała myśl Lillian.

*Udało mi się! Teleportowałam się do Salem i byłam w stanie zabrać kogoś stamtąd, wracając! Jestem gotowa, Lily!*

*Zaczekaj na mnie, odpowiedziała jej. Zbieram więcej wojska.*

*Skąd?*

Lily się zawahała, pomyślała o tym, jak głęboko Lillian nienawidziła Splotów.

*Zobaczysz. Zaufaj mi. I daj mi jeszcze jeden dzień.*

*Mogę nie mieć całego dnia,* odparła Lillian z irytacją i zerwała kontakt.

– Lillian jest gotowa skoczyć ze swoją armią – poinformowała Lily Rowana.

– Wie, że potrzebuje twojej armii, inaczej nie może wygrać. Poczekaj na nas – stwierdził Rowan, ale w jego głosie nie słychać było pewności.

– Ona wcale nie chce wygrać – przypomniała mu Lily cicho. – Musi tylko znaleźć się na tyle blisko wroga, żeby zdetonować bombę. A przynajmniej tak jej się wydaje. – Spojrzała na Płowę.

*Zabierz nas do Watahy,* poprosiła.

Płowa skoczyła do przodu, zalewając umysł Lily obrazami tego, co widziała, gdy biegła. Jej entuzjazm przygasł jednak, gdy tylko złapała woń. Stała przed Lily, zastępując jej drogę i zmuszając do zatrzymania. Zawyla i z ciemności odpowiedziały jej niedalekie głosy.

Czekali. Płowa spięła się, wyczuwając w ciemności coś, czego ludzie nie mogli zobaczyć. Rowan też zeszywniał, chwilę później dobył długiego noża i próbował zasłonić Lily, ale tylko obrócił się wokół własnej osi. Zostali już otoczeni.

*To pułapka,* przesłał jej w myślach.

I wtedy Lily zobaczyła dziesiątki lśniących oczu, wpatrujących się w nią z ciemności. Nie wiedziała dokładnie, ile ich było, ale czuła, że ciemność wokół niej ożyła.

*Nie poluj na ciebie,* zapewniła ją Płowa. *Boj się. I złe.*

Lily nie była pewna, czy to istotnie lepiej.

*Możesz im powiedzieć, że nie chcę nikogo skrzywdzić?*

*Mów, one rozumieją.*

Lily się zawahała, nie do końca pewna, czy dobrze zrozumiała polecenie Płowej. W chwilach gdy miała wątpliwości co do tego, czy naznaczona w ogóle rozumie, wystarczyło, że wyobraziła sobie, co chciała przekazać. Mowa była czymś innym. Język, zdolność zrozumienia słów, to było coś zupełnie innego. Nie próbowała nawet rozmawiać z Płową, uważając, że to może być zbyt trudne dla Splota.

*Mów dźwiękiem*, ponagliła Płowa. *One tracą zaufanie.*

– Przyszłam prosić was o pomoc – powiedziała Lily, starając się, by zabrzmiało to pewnie. Odpowiedziały jej powarkiwania.

– Lily, co ty wyprawiasz? – spytał Rowan. – One cię nie rozumieją.

– Rozumiemy wiedźmę – odpowiedział niski, chrapliwy głos.

Rowan rzucił coś w języku Czirokezów, co bez wątpienia było przekleństwem, na co odpowiedział mu jakiś inny chrypiący głos. Rowan znieruchomiał.

*Nie wierzę*, szepnął w myślach.

– Zawsze mogliście mówić? – chciała wiedzieć.

Usłyszała coś jak szczekliwy śmiech.

– Oczywiście – warknął któryś z członków Watahy.

– Zawsze posiadaliśmy znajomość języka i używania narzędzi – podjął inny.

– A dlaczego mielibyśmy nie mówić? – spytał czwarty głos.

– Bardziej was przypominamy niż wilki – zamruczał piąty.

Wataha okrążyła ich, przekazując obowiązek rozmowy z przybyszami kolejnym członkom, jakby Sploty były jednym umysłem o wielu głosach.

*To sabat*, zrozumiał Rowan w tym samym momencie, co Lily. *Rozmawiają ze sobą w myślach, gdy rozmawiają z tobą.*

*Bawią się nami*, powiedziała do Rowana i Płowej, łącząc ich umysły w swoim.

*Krążą bliżej i bliżej*, dodała Płowa. Rowan drgnął mocno, słysząc Splota w swoim umyśle, ale nie zaprotestował.

*Płowa, pilnuj Lily od tamtej strony*, polecił, szykując się do obrony.

*Teraz jeden z nich przychodzi do środka i gryzie zębami, żeby pokazać, one Większe* – powiedziała Płowa, wykonując rozkaz Rowana. *Może i są Większi, ale nie silniejsi*, odparła Lily.

– Gdzie jest wasza wiedźma? – spytała ostro, zmęczona nagle tą grą w pokaz sił. – Zaprowadźcie mnie do niej.

– Nie potrzebujemy wiedźmy – syknął kolejny głos w ciemności. Lily usłyszała, jak Rowan liczy w myślach: „szósty”.

*Wiele więcej, zaprotestowała Płowa. Dużo, dużo zapachy.*

- Nie masz ognia, wiédźmo – szydził siódmy.
- Jesteś mięsem – dodał następny.
- Nie przynoszę ognia, bo nie przyszedłam walczyć. Przyszedłam prosić, byście do nas dołączyli. Za trzy dni ruszymy zniszczyć Rój.

Wataha eksplodowała dźwiękami, szczekaniem, piskami, sapaniem. W ciemności były ich dziesiątki, może nawet setki. Lily poczuła rezygnację Rowana, wiedział, że nie mają szans przeciwko takiej liczbie.

– Moja armia liczy sobie trzydzieści tysięcy – powiedziała dumnie, a jej głos zadzwonił w ciemnościach.

– Rój ma miliony – odezwał się łagodniejszy głos i wszyscy członkowie Watahy zamilkli natychmiast. – Trzydzieści tysięcy to nie dość, nawet dla czarownicy.

Lily zwróciła się w stronę, skąd dochodził.

– Nie jestem jak inne wiédźmy.

Delikatniejszy głos zaśmiał się cicho.

– Jednak wciąż potrzebujesz naszej pomocy.

– Potrzebuję Watahy i Stada, i drapieżnych ptaków, i małp, i nawet insektów, albo nie będę miała szans – przyznała Lily bez wstydu. – A wy potrzebujecie mnie albo nie będziecie mieli szans. Bo kiedy ja przegram, Rój przyjdzie po was.

Na chwilę zapanowała cisza.

– Rój nie dotrze tak daleko. Zasięg...

– Ich zasięg za kilka dni nie będzie miał żadnego znaczenia – przerwała Lily. – Wiédźma, która napelnia Rój mocą, nauczy się, jak zjawiać się w dowolnym miejscu w mgnieniu oka. Będzie mogła być wszędzie, a kiedy już się tego nauczy, to naznaczy nowe Królowe, założy nowe kolonie Roju, będzie sięgać dalej i dalej, aż w końcu zdobędzie cały świat. Chyba że ją powstrzymamy.

Wpatrywała się w milczącą ciemność z sercem w gardle, a sekundy mijały jedna za drugą. Wreszcie łagodny głos odezwał się ponownie.

– Zapalcie ogień, niech wiédźma nas zobaczy.

Strzeliła iskra i zapłonęły pochodnie. Lily starała się nie pokazać wrażenia, jakie zrobił na niej widok pół ludzi, pół wilków. Ich łby były właściwie pyskami o długich kłach i oczach z okrągłymi źrenicami, nieproporcjonalnie długie ramiona sięgały do ziemi, przygarbione plecy tworzyły łuk, a nogi przypominały budowę psie łapy. Dłonie miały ciemne poduszki, jak u zwierząt, ale przy tym pięć palców i przeciwstawny kciuk.

– Mam na imię Lily – powiedziała temu, który przysiadł na tylnych nogach naprzeciwko niej.

– My nie mamy imion, jak twój rodzaj – odparł Splot. – To, kim jesteśmy,

jest o wiele bardziej skomplikowane.

– Kim jesteś, mówi twój zapach i ranga, a jedno i drugie nieustannie się zmienia – stwierdziła Lily. Zobaczyła błysk zaskoczenia w oczach swego rozmówcy i zrozumiała, że to, czego dowiedziała się, dzieląc myśli z Płową i Modrogrzbietym, pozwoliło jej odgadnąć właściwie. – Jesteś alfą. Na razie...

– Możesz nazywać mnie Alfą. – Popatrzył na Rowana i Płową. – Zachodnia wiedźma naznacza tylko Sploty, ale ty naznaczasz wszystkich.

– Zatem wiesz o Grace – powiedział Rowan.

Alfa spojrzał na niego.

– Zawsze o niej wiedzieliśmy. Stworzyła nas, żebyśmy polowali i zabijali twoich braci, a za to twój rodzaj polował i zabijał nas. Wielu umarło. Ona była złym alfą. – Znów popatrzył na Lily. – Nie będzie nami rządzić czarownica. Nie rządziła w czasach przodków. Nie będzie i w moich.

Dziewczyna skinęła głową ze zrozumieniem.

– Nie chcę was kontrolować ani zmuszać do czegokolwiek.

– Nie chcemy iść na wojnę.

– My też nie – odparła.

– Wiedźmy zawsze chcą wojny – rzekł Alfa, obnażając nieznacznie kły.

– Ale nie Lily – wtrącił Rowan i Alfa spojrzał mu prosto w oczy. – Ja też jej nie ufałem na początku, wy zresztą nie musicie jej ufać. Musicie tylko zdecydować, co jest lepsze: być naznaczonym i mieć szansę przeżyć, czy być wolnym i zostać zlikwidowanym przez Rój.

Alfa wstał, najwyraźniej uznał rozmowę za zakończoną.

– Widziałeś je, prawda? – zawołała Lily za nim na tyle głośno, by cała Wataha mogła usłyszeć. – Widziałeś Siostry z Roju nad swoim terytorium, jak nosiły ludzi w tę i z powrotem. Widziałeś, jak Rój kogoś szukał. Przekraczały granice twojej ziemi bez strachu i bez względu na to, ile z nich udało ci się przegonić; Grace zawsze wysłała kolejne, prawda?

Alfa odwrócił się i popatrzył na Lily płonącymi oczami. Skinął lekko głową.

– Ona się was nie boi. Grace pozwoliła, byście rządzili na tych ziemiach, bo leżą one za daleko od miasta, by mogła je utrzymać. Pozwoliła wam żyć, póki trzymaliście ludzi ze Wschodu na wschodzie, dlatego że fizycznie nie mogła być w kilku miejscach naraz. Ale to się zmieni. Wróci tu i nie po to, by was naznaczyć. Ale po to, by was wytepić.

\*\*\*

Kilka ostatnich ulic, dzielących go od gubernatorskiej willi, Toshi przebiegł biegiem. Starał się wyobrazić sobie, że to takie poranne ćwiczenie dla zdrowia, a źródłem adrenaliny płynącej przez jego ciało jest radość, nie strach. Cały czas myślał o biegu mającym obniżyć jego zdenerwowanie, który zakończy chwilą *tai*

*chi*, więc Robotnice jedna po drugiej zostawiały go w spokoju.

Po nocy spędzonej na nieprzerwanej wędrówce po wszystkich restauracjach, tawernach, nocnych klubach i barach, jakie tylko przyszły mu do głowy, na szukaniu ludzi, którzy chcieliby zostać naznaczeni przez Lily, Toshi ledwie miał siłę biec. Wspiął się na schody, przeskakując po dwa stopnie na raz, i zatrzymał się przed drzwiami do swego apartamentu. Od razu wiedział, że ktoś jest w środku.

Cofnął się ostrożnie, ale drzwi otworzyły się z rozmachem i stanęły w nich Siostry Wojowniczkki z biczami okręconymi wokół talii. Złapały Toshiego, rozdierając mu skórę swymi kolczastymi palcami, i choć starał się wyrwać z tego żelaznego uścisku, wiedział, że wszelkie jego wysiłki zdane są na niepowodzenie. Siostry powlokły go do okna. Żołądek podskoczył Toshiemu do gardła, gdy wyskoczyły na zewnątrz, unosząc go ze sobą.

*To koniec*, pomyślał i wtedy dotarło doń, że nie był już sam. *Lily! Pomóż!*

*Toshi, co się dzieje?*

Siostry poleciały z nim wokół budynku, kierując się wyraźnie do innych pokoi.

*Potrzebuję siły*, odparł, gdy cisnęły go na balkon. *Chyba zamierzają mnie zabić.*

Pochylił się, opierając na kolanach i czubkach palców. A gdy podniósł wzrok, zobaczył leżącą na podłodze Grace. I młodego szamana obok niej. Oboje pozostawali w bezruchu, ledwie oddychając, zbyt bladzi i sztywni, by podejrzewać, że postanowili uciąć sobie drzemkę.

*Ich duchy wędrują*, wyjaśniała Toshiemu Lily. *Musisz ich powstrzymać. Nie mam ognia, ale... Czekaj...*

Jedna z Sióstr zabrzęczała niespokojnie skrzydłami, złapała Toshiego za włosy i powlokła w stronę Grace. Wszystkie Wojowniczkki w pokoju sprawiały wrażenie mocno niespokojnych. Ich głowy poruszały się krótkimi, nerwowymi ruchami, dłonie chwyciły za bicz, odwijając je z pasa bądź z piersi, by po chwili zawinąć wszystkie ponownie bez wyraźnego celu. Toshi uświadomił sobie, że go nie atakują, nie chciały mu zrobić krzywdy, nie specjalnie.

*Chyba chcą, żebym jej pomógł*, pomyślał do Lily.

*Nie możesz*, powstrzymała go. Toshi poczuł, jak fala strachu porywa Lily, zdołał pochwycić niewyraźny obraz wielkiego stworzenia, które pochylało się nad nią, i wtedy go opuściła.

\*\*\*

Lily i Rowan pozostawili Płową ze świeżo naznaczoną Watahą i skoczyli do mówiącego kamienia na szczycie góry. Płowa nie stanowiłaby dla nich pomocy w trakcie następnej misji, a może nawet byłaby przeszkodą. Dotarli na miejsce, gdy słońce zaczęło wschodzić.



– Czas nam się kończy – powiedziała Lily, rozglądając się w poszukiwaniu smokowca. – Hej, chłopczyku, chodź tu – zawołała, czując się jak skończona idiotka. Rowan roześmiał się głośno.

– Udomowione Sploty nie są chłopcami albo dziewczętami – pouczył ją.

– Przecież nie mogę wołać „to”. Azor, chodź – spróbowała raz jeszcze, dochodząc do wniosku, że to imię było równie dobre, jak każde inne.

Kiedy w półmroku poszukiwali zabłąkanego smokowca, w myśli Lily wdał się pełen paniki krzyk Toshiego. Odruchowo chwyciła Rowana za rękę.

– To Toshi – powiadomiła go, spoglądając gdzieś w przestrzeń nieobecny wzrokiem. – Rój go dostał.

– Co z buntownikami, których miał dla ciebie zgromadzić? – spytał natychmiast Rowan.

– Óóó... czekaj. – Gwałtownie nabrała powietrza. – To Grace. I Czerwony Liść. Ich duchy wędrują. – Skrzywiła się, wymieniając szereg szybkich myśli z Toshim. – Chyba chcą, żeby ją wyleczył? – zakończyła niepewnie.

Krzaki przed nią zadygotały i wyskoczył z nich jeden z przedstawicieli Stada. Lily nie miała pojęcia, jakim cudem nie zauważyła wcześniej kota rozmiarów nosorożca, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Rowan powalił ją na ziemię, osłaniając swoim ciałem, i ostatnie, co zobaczył, to wielkiego kota odrywającego się od ziemi. Splot zaryczał z oburzeniem, ale Lily usłyszała coś jeszcze, łopot strzepywanych na wietrze prześcieradeł.

Rowan przetoczył się wraz z Lily, oboje podnieśli się na czworaki i zobaczyli Azora, który swymi wielkimi szponami unieruchomił Splota, łudząco podobnego do wielkiej lwicy, przygniatając go do ziemi.

– Azor, stój – krzyknęła Lily, wykonując zarazem gwałtowny gest. Azor nie puszczał zdobyczy i nerwowo zerkał na boki.

– Jest ich tu więcej. – Natychmiast zrozumiał Rowan.

Lily zbliżyła się do lwicy i spojrzała jej w oczy.

– Chcę rozmawiać z waszym alfą – powiedziała. Splot zawarczał głucho. – Nie przyszłam tu was zabijać, przyszłam pomóc.

Splot nie reagował. Lily spojrzała na Rowana i bezradnie wzruszyła ramionami.

– Może nie rozumie języka? – podsunął.

Nie miała zbyt wielu opcji, sięgnęła więc do szyi kota, gdzie powinien znajdować się ukryty pod skórą wolit.

– Wiedźma – syknęła lwica.

– A, czyli umiesz mówić. – Lily natychmiast cofnęła dłoń. – Wiem, że reszta Stada jest niedaleko. Powiedz waszemu przywódcy, żeby przyszedł do mnie.

W oczach kota pojawiła się konsternacja. Rowan spróbował porozumieć się z nim w języku Czirokezów, ale kocie oczy nadal nie zmieniły wyrazu.

– Ona chyba nic nie rozumie – stwierdził Rowan.

– No to co zrobimy? – spytała Lily. Spojrzała na słońce, które wyłoniło się już nad horyzontu, i przypomniała sobie o Toshim. Sięgnęła ku niemu myślami.

*Nic mi nie jest, uspokoił ją. Rój każe mi pilnować Grace i mam wrażenie, że tak długo, jak ona pozostanie przy życiu, to ja też.*

*Obudź ją.*

*Próbowałem. I będę próbował. Chcesz może jakichś buntowników do naznaczenia?*

*Są gotowi?*

*Gotowi i chętni. Czekają na twoje wezwanie.*

Lily uśmiechnęła się do Rowana.

– Ludzie Toshiego czekają na mnie. – Ponownie spojrzała na wielkiego niby-lwa. – Nie zrobię ci krzywdy. – Poklepała wielki szpon Azora. – Puść ją.

Smokowiec posłuchał ostrożnie. Lwica nie była ranna. Przysiadła na zadzie i spojrzała gniewnie na Lily.

– I co ja mam z tobą zrobić? – spytała dziewczyna niepewna, czy zwierz ją rozumie. – Masz zbyt silną wolę, żebym mogła cię naznaczyć bez twojej zgody, a za słabo rozumiesz ludzki język, żebym mogła cię przekonać.

Lwica przechyliła lekko łeb, jej niemalże ludzkie oczy spoglądały spod przymrużonych powiek. Może rozumiała więcej, niż chciała pokazać?

– Potrzebuję twojej pomocy. – Lily przysunęła się bliżej lwicy i poczuła palce Rowana na ramieniu. – Pozwól mi czegoś spróbować – poprosiła go.

Zwolnił uścisk, ale cały czas trzymał się blisko Lily, gdy ta podsunęła lwicy dłoń do powąchania. Lily starała się nie zwracać uwagi na to, że ręka trzęsie się jej, wyraźnie podrygując przy wielkich kłach lwicy. Po chwili wypełnionej ogłuszającym łomotem tętna lwica pozwoliła Lily się dotknąć. Dziewczyna przesunęła dłoń na czoło lwa, zamknęła oczy i skoncentrowała się, wszystkie myśli skupiając na wyobrażeniu twarzy Grace. Wysyłała ów obraz do umysłu Splota, szepcząc imię więdźmy z Zachodu. Usłyszała głuchy pomruk.

– Wróg – zasyczały krzaki wokół. Pozostała część Stada pojawiła się w mgnieniu oka, otaczając Lily, Rowana i Azora.

– Mój wróg też. Walczymy z nią – odparła Lily, wodząc spojrzeniem po kocich pyskach.

Największa z lwic wystąpiła do przodu. Sprawiała wrażenie nieskończenie znudzonej, jak tylko kot to potrafi, ale podrygująca końcówka ogona zdradzała prawdziwe uczucia wielkiego stworzenia.

– Moje stado – zamruczała, jakby chciała rzucić Lily wyzwanie.

Ale Lily tylko skinęła głową.

– Twoje. Lecz ja mogę sprawić, że będzie silniejsze.

\*\*\*

Lily zwalczyła zmęczenie i nappełniła wolit Rowana całą siłą, jaką zdołała zebrać. Jej naznaczeni przedstawiciele Stada przyglądali się, jak wraz z Rowanem dosiadają Azora, a ten wspina się po pniu, by poderwać się do lotu z najwyższych gałęzi.

*Znajdźcie więcej lwów, powiedziała Stadu. Przeprowadźcie ich tutaj.*

Wielkie koty wstały, przez chwilę leniwie ocierały się o siebie pyskami, a potem zniknęły wśród drzew.

Lily pozwoliła, by smokowiec sam znalazł najlepsze prądy wznoszące w chłodnym powietrzu poranka. Poszybowali ku najbliższej dolinie i tam znaleźli to, czego szukali. Trzy gigantyczne ptaki też szybowały z gracją, szukając na ziemi czegoś do jedzenia.

– Wznies nas ponad jednego – powiedział Rowan.

Lily pokierowała Azora w górę i smokowiec uderzał skrzydłami raz po raz, wyciągając szyję, jakby wspinał się po niewidzialnej drabinie.

Kiedy znaleźli się odpowiednio wysoko, drapieżny ptak był jedynie ciemnym kształtem poniżej. Rowan objął Lily ramieniem i przełożył nogi na jedną stronę smokowca. Lily czuła, jak przerażenie zalewa ją to żarem, to lodowatym chodem, ale wysunęła nogi ze strzemion.

– Jesteś tego pewna? – spytał Rowan.

– Nie – odpowiedziała, przekrzykując wiatr. Głos miała zdławiony, jakby dźwięk nie mógł przecisnąć się obok żołądka, który podszedł jej do gardła. – Ale to jedyny sposób.

Rowan spojrział w dół, odmierzał właściwy moment, a na jego twarzy malował się absolutny spokój. Lily dostrzegła, jak jego wolit zapulsował blaskiem; Rowan wyostrzył zmysły, przycisnął ją do siebie mocno i skoczył z grzbietu smokowca wprost w rozrzedzone powietrze.

Lily krzyknęła mimowolnie i desperacko wczepiła się w Rowana, on zaś wyciągnął rękę niczym ster i spowolnił ich upadek. Jego wolit zapulsował raz jeszcze i powietrze pod nimi zgęstniało tak bardzo, że stawiało opór niemal jak woda. Gdy opadli na grzbiet ptaka, Rowan zdołał wyhamować ich lot do tego stopnia, że łagodnie wylądowali między skrzydłami Splota.

Wystraszony ptak złożył skrzydła i zanurkował ku ziemi. Rowan przycisnął Lily do grzbietu Splota, utrzymując ich oboje. Lily wyciągnęła dłoń, próbując sięgnąć palcami do głowy zwierzęcia, tak jak zrobiła to z lwem.

– Nie daję rady – wrzasnęła.

Rowan z wysiłkiem przesunął ich odrobinę, podczas gdy ptak nadal spadał w szalonym tempie. Lily wyciągnęła się jak mogła najbardziej, dotarła w pobliże

głowy Splota i zaczęła mówić, w nadziei że ptak ją zrozumie.

– Potrzebuję waszej pomocy! – krzyczała. Ptak zaskrzeczał w odpowiedzi. Lily złapała za pióra i wreszcie udało jej się dotknąć głowy Splota. Skoncentrowała się na wyobrażaniu sobie twarzy Grace i obrazu, jak armia ze Wschodu walczy z Rojem.

Ptak wciąż nurkował.

– Proszę! – krzyknęła Lily z desperacją.

Ptak rozłożył skrzydła i machnął nimi, by zakończyć lot nurkowy i łagodnie usiąść na ziemi. Lily i Rowan zostali zrzućeni z karku stworzenia i polecili wprost pod gigantyczny dziób. Dziewczyna podniosła się i spojrzała w wielkie żółto-czarne oko wielkości przedniej szyby samochodu. Wpatrzyła się w Splota i całą siłę swojej woli wtłoczyła w próbę przekazania mu, co zamierza zrobić. Jej wolić spowił ją lśniąca mgłą światła, gdy robiła, co mogła, by nawiązać kontakt z istotą, która nie należała do jej naznaczonych. Ptak rozłożył skrzydła.

– Te drapieżniki nie mają chyba żadnego języka – stwierdził Rowan.

– Próbuję walczyć z wiedźmą z Zachodu, ale potrzebuję armii – powiedziała Lily. – Grace Chyląca Drzewa. Chcesz z nią walczyć?

Splot przechylił głowę, by popatrzeć na Rowana, a potem znów zwrócił wzrok ku jego towarzysze. Rowan zaczął ciągnąć Lily do tyłu.

– To nie zadziała.

Ptak nastroszył pióra na piersi i Lily zobaczyła wśród nich łagodnie lśniący okruch, zrobiła krok do przodu, w nadziei że to zaproszenie.

– Nie wiem, czy rozumiesz, ale nie przybyłam tu, by uczynić cię swoim niewolnikiem – zapewniła ptaka i dotknęła woliu na jego piersi.

\*\*\*

Grupa naznaczonych przez Lily gigantycznych drapieżnych ptaków leciała po obu stronach Azora, który niósł na swym grzbiecie Rowana i Lily w kierunku Richmond.

*Rozproszcie się*, poprosiła Lily swoje ptaki, przekazując im w myślach obraz tego, co chciała, żeby zrobiły. Język znały jeszcze słabiej niż Stado i powoli zatracaly koncepcję woli jednostki. Lily wyczuła, że zdołałaby naznaczyć je nawet bez ich zgody, ale nie chciała tego robić. Uważała, że ptaki powinny włączyć się z własnej woli. Grupa skrzydlatych Splotów wykonała polecenie, porzucając ciasny szyk. Były na tyle inteligentne, by wiedzieć, że Lily szuka gniazd owadopodobnych Splotów i że udali się tak daleko na wschód, ponieważ chciała znaleźć te największe z nich.

Póki Lily nie odkryła tajemnicy pochodzenia Splotów, wiele ich zwyczajów i zachowań wydawało jej się bezsensowne i nedorzeczne. Jak na przykład fakt, że trzymały się uporczywie okolicy Trzynastu Miast. W przeciwieństwie do

normalnych zwierząt, które z natury swojej unikają miast, insektoidalne Sploty budowały największe gniazda tuż pod murami miast. Teraz Lily już wiedziała dlaczego. Grace umieszczała gniazda tam, gdzie żyło najwięcej ludzi, niczym linie pionów na szachownicy, by nie pozwolić ludziom na wędrówki przez kontynent.

Jeden z ptaków odnalazł to, czego Lily szukała. Jego bystre oczy pokazały jej zaskakująco jasny i wyraźny obraz wielkiego wzgórza, wzniesionego z gałązek i patyczków. Jego kształt skojarzył się Lily z angielskimi kurhanami.

*Szukajcie dalej, poprosiła. Znajdźcie mi te największe.*

Nakazała Azorowi lądować, smokowiec z trzaskiem usiadł na starym, poczerniałym orzechu, i w tym samym momencie Lily wyczuła wahanie Rowana.

– Stój, mały – zawołał do Azora, zanim ten zdążył zleźć na ziemię. Smokowiec posłusznie się zatrzymał, owinał ogon wokół pnia, złapał się grubszych gałęzi chwytnymi szponami wyrastającymi ze stawu w jego skrzydłach i zawisł głową w dół jak nietoperz. Lily i Rowan niezgrabnie przeszli na gałąź, zsiadając z wiszącego do góry nogami wierzchowca.

– Co się dzieje? – spytała Lily.

– Po prostu zostań tutaj przez chwilę – odparł Rowan ostrym tonem. Czoło poprzecinały mu głębokie zmarszczki i Lily mogła dostrzec gwałtowne pulsowanie tętnicy na szyi. Jego wolit rozbłysnął i Rowan zeskoczył z drzewa, wylądował bezszelestnie i zaczął podkradać się w stronę gniazda.

Lily siedziała na drzewie obok Azora, odruchowo gładziła go po mieniących się łuskach, bardziej żeby uspokoić siebie niż wierzchowca, i czekała, póki Rowan nie wrócił i nie dał jej znaku, by zeszła.

*Nie podoba mi się to, pomyślał.*

Wiedziała dlaczego. Te Sploty nie przypominały Stada lub Watahy, ani nawet słabiej zorganizowanych małpiaków czy skrzydlatych drapieźców. Te były obce, zarówno pod względem wyglądu, jak i zachowania. Rowan walczył z nimi przez całe swoje życie i nadal ich nie rozumiał. Owadopodobne Sploty stanowiły mieszanekę resztek insektów, gadów, ssaków i ptaków, wrzuconych razem bez większego sensu czy koncepcji przewodniej. Dla Rowana były to stworzenia, które ściagały go we śnie, od chwili gdy po raz pierwszy zrozumiał, co to strach.

*Nie sądzę, że zdołasz się z nimi porozumieć, pomyślał teraz.*

*Ja też nie, zgodziła się Lily, ale nie będę musiała.* Ujęła Rowana za rękę i skłoniła, by spojrział jej w oczy. *Znajdź tę, która znosi jaja. Mam plan.*

*Nie możesz próbować przekonać tych Splotów, upierał się Rowan.*

*Wiem. Dlatego potrzebujemy królowej. Jeśli naznaczę ją, to naznaczę też całe jej potomstwo.*

*Skąd wiesz? – Popatrzył na nią zaskoczony.*

Lily zastanowiła się przez chwilę, zanim znalazła właściwe słowa.

*Grace zaczęła z wilkami, naczelnymi małpami i lwami, ponieważ one*

*działają w grupach i instynktownie podążają za przywódcą. Nie są jednak do końca ludźmi, więc nie mają takiej samoświadomości jak my; w ten sposób Grace mogła nagiąć je do swojej woli.*

*Wtargnąć do wolutu, nie rozbijając go przy tym, pomyślał Rowan.*

*Tak, ale takie naznaczanie na odległość tworzy słabszą więź. I choć te Sploty nie były ludźmi, to nadal miały swoją wolę. Grace musiała sięgnąć do królestwa owadów, żeby pozyskać to, czego potrzebowała.*

*A co to takiego?*

*Całkowite, bezwzględne posłuszeństwo. Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego nie ma ludzkiego sabatu?*

*Może dlatego, że mechanicy za dużo wyklócają się z wiedźmami?*

Lily potrząsnęła głową.

– Bo możecie podejmować własne decyzje i możecie nas opuścić – szepnęła.

Czuła, jak Rowan chciałby powiedzieć, że nigdy jej nie opuści, ale już to zrobił. Posmutniał, gdy zorientował się, że ponieważ mowa myśli nie pozwalała na żadne kłamstwo, to nie mógł złożyć tej obietnicy.

– W porządku. Nie musisz tego mówić. Jeśli nie będę traktowała cię jak należy, powinieneś mnie opuścić. Wszyscy powinniście. Nawet Juliet.

Rowan opuścił wzrok, przez chwilę wyglądał, jakby zamierzał coś powiedzieć.

– Co? – zachęciła go Lily. – Wiem, że jest coś, o czym chciałeś porozmawiać.

Ale on tylko potrząsnął głową.

– Królowa powinna być gdzieś blisko – stwierdził. – Gniazdo jest świeże. Dajmy jej powód, by pojawiła się i zaczęła go bronić. – Pomógł Lily wejść na szczyt kopca. – To powinno zwrócić jej uwagę.

Lily stała wyprostowana na szczycie pagórka, a Rowan skrył się, okrywając kawałkami darni. Nie musieli czekać długo. Coś zbliżało się do nich, posykurując.

Królowa była gigantyczna. Wysoka na piętnaście stóp i dwakroć tak długa. Miała osiem pajęczych nóg podtrzymujących kościste ciało, trójkątną głowę niczym gad, ale najbardziej przerażała Lily jej paszcza. Gdy podchodziła, sycząc złowieszczo, żuwaczki po obu stronach jej ust poruszyły się, demonstrując rzędy zębów niczym igły, długich jak ramię Lily.

Dziewczyna spojrzała na królową i kopnęła w gniazdo z rozmysłem.

Królowa zareagowała natychmiast, jej owadzie nogi poruszały się błyskawicznie, gdy wspinała się na szczyt kopca. Lily zwalczyła w sobie potrzebę ucieczki. Gdy królowa znalazła się tuż-tuż, Rowan wyskoczył spod ściółki, odbił się od ziemi i wylądował na grzbiecie Splota, po czym błyskawicznie złapawszy królową za głowę, odchylił ją, eksponując ohydny szyję. Lily rzuciła się do przodu, nie bacząc na obrzydzenie i wzbierające torsje, zaczęła szukać wolutu pod pokrytą

brodawkami skórą.

Gdy naznaczyła królową, nagle spojrzała na świat jak przez neonowe fasety. Raptem wszystko zyskało dodatkowy kolor wzdłuż krawędzi, jakby Lily mogła dostrzec nową długość fal. Poruszające się kształty zostawiały ślady w jej oczach, a związki chemiczne jarzyły się niczym świetliki wypełnione informacjami. Strach nie był strachem, tylko dodatkowym zastrzykiem energii. Nienawiść nie była nienawiścią, ale paznokciami skrzypiącymi po tablicy, które należało uciszyć. Nie istniało poczucie swojego ja. Nie istniało sumienie. Pamięć. Tylko: działaj albo stój, atakuj albo odejdz.

Lily przerwała tę wymianę świadomości i spojrzała na Rowana, który zsuwał się z grzbietu niegroźnej już królowej. Przypomniała sobie, jak opowiadał jej historię o małej dziewczynce, która chciała przygarnąć insektopodobnego Splota jako zwierzątko. Wzdrygnęła się na samą myśl, że dziecko mogłoby się przytulać do czegoś takiego.

– Miałaś rację – powiedziała zdławionym głosem. – Te Sploty w niczym nas nie przypominają.

Rowan skinął głową, też pomyślał o dziewczynce, którą zjadł jej ulubieniec.

– Czy teraz kontrolujesz już wszystkie z tego gniazda?

Lily zajrzała w głąb siebie i znalazła sieć stworzeń połączonych z nią poprzez substancje chemiczne i zapachy. Ta królowa powołała do życia setki.

– Tak – potwierdziła niechętnie. Nie było przyjemne dzielić umysł z tymi pozbawionymi uczuć istotami. – Niestety.

Ujął ją za rękę.

– Gdzie jest następne gniazdo? – spytał łagodnie.

Lily sięgnęła myślami do ptaków.

– Jakies dwadzieścia mil dalej – odparła, jej wzrok stał się nieobecny i prawdziwie sokoli.

Usłyszała wołanie Lillian i zezwoliła jej na kontakt.

*Kanapka powiedział nam, że Czerwony Liść uczy Grace wędrówki duchem. Czerwony Liść powiedział, że Grace szybko się uczy. Skończył nam się czas. Musimy atakować.*

*Poczekaj, Lillian, proszę. Zginiemy, jeśli ruszymy do ataku, mając tak nieliczne siły.*

*Nie możemy czekać. Jeśli Grace nauczy się teleportować Rój, Trzynaście Miast zostanie zniszczonych w ciągu kilku godzin. Musimy działać teraz, teraz albo nigdy.*

*Nie używaj tej bomby, błagała Lily. Daj mi więcej czasu.*

Ale Lillian zerwała kontakt

– Co się dzieje? – spytał Rowan i Lily przekazała mu treść rozmowy. Bez słowa chwycił ją za rękę i zmusił, by pobiegła za nim.

Rozległ się łopot i wielkie szpony przeorały ziemię, gdy smokowiec wylądował przed nimi. Rowan zatrzymał się zdumiony.

– Mówiłam ci, że są inteligentne – oznajmiła Lily. Rowan już się nie kłócił, oboje dosiedli Azora i na złamanie karku pomknęli do kolejnego gniazda.

\*\*\*

Godzina, o której Toshi miał spotkanie ze swym kontaktem, dawno minęła, a uzdrowiciel wciąż tkwił w tym samym miejscu, doglądając Grace. Nie wiedział, jak wypadły testy antidotum i miał tylko nadzieję, że Ivanowi poszło lepiej ze środkiem owadobójczym.

Przesunął palcami fiolki z serum, które miał w kieszeni, nie mogąc się zdecydować, czy ochronią jego i Czerwonego Liścia w trakcie próby ucieczki, czy może próba była po prostu samobójstwem. Zagrał ze sobą, ustalając, że jeśli więcej fiolek wyjmie zakrętką do góry, to zaryzykuje. Wyciągnął je z kieszeni i spojrział. Połowa korkami do góry, połowa w dół.

– Jesteś chory? – spytała Grace.

– Zmęczony – odpowiedział natychmiast. Odpowiadaj szybko i bądź tak uczciwy, jak to możliwe.

– Za ciężko pracujesz – stwierdziła Grace takim tonem, jakby rzeczywiście jej na nim zależało.

Toshi nie mógł zrozumieć, dlaczego cały czas zachowywała się, jakby między nimi nic się nie zmieniło. On wiedział kim była, a ona wiedziała, że on wie. Jaki sens było udawać? I wtedy przyszło Toshemu do głowy, że może Grace nie udawała, może dla niej nic się nie zmieniło i wszystko między nimi układało się normalnie.

Grace potraktowała przedłużającą się ciszę jako zaproszenie, by podrażnić go bardziej.

– A może to Mala nie pozwala ci spać w nocy? – spytała, unosząc brew.

– Mala? – powtórzył Toshi i sobie przypomniał. Przecież byli podobno zaręczeni. Nie widział Mali od kilku dni i był pewien, że Grace to wie. – Chciałbym – powiedział żartobliwie. – Ale nie. Po prostu pracowałem.

Grace przyglądała mu się twardo, zaciskając nieznacznie szczęki. Chciała, żeby się przyznał. Dlatego grała w tę grę. Chciała usłyszeć od Toshiego, że jego związek z Malą był kłamstwem. Czerwony Liść się poruszył i Grace skupiła się na szamanie.

– Podaj mu kolejną dawkę – poleciła.

– Nie sadzę, żeby utrzymywanie go nieprzytomnego...

– Podaj mu kolejną dawkę – rozkazała. – Nie chcę, by z kimkolwiek się kontaktował.

– Zabijesz go – ostrzegł Toshi cicho.



Prychnęła, jakby śmierć szamana była w jej odczuciu irytującą niedogodnością.

– Dobrze. Ja mogę w sumie do niego dołączyć i sama zatrzymam go w nadświecie. – Położyła się obok Czerwonego Liścia, śmiejąc się radośnie. – Wiem, że jestem już blisko, bo upiera się, że więcej nic mi nie pokaże – mówiła podniecona.

Toshi popatrzył na szamana ze współczuciem, zastanawiając się, jakim torturom emocjonalnym poddawała go Grace w tym całym nadświecie. Tymczasem ona znów znieruchomiała, a pilnujące jej Siostry zaczęły okazywać niepokój. Dla nich wyglądało to, jakby Grace umierała, choć ona wyjaśniała im, że to nieprawda; nadal denerwowały się, gdy wychodziła ze swego ciała.

Jedna z Sióstr dźgnęła Toshiego rękojeścią bicia, pokazując, że uzdrowiciel ma zająć się Grace. Toshi uniósł dłonie, dając im do zrozumienia, że nic nie może poradzić. A przynajmniej miał nadzieję, że to dawał im do zrozumienia. Musiał wydostać się z tego pokoju. Musiał dotrzeć do laboratorium.

Wstał i ruszył do drzwi. Dwie Siostry natychmiast zastąpiły mu drogę, furkocząc skrzydłami.

– Muszę iść po lekarstwo – powiedział, przesadnie akcentując słowa. Nic mu to nie dało. Podniósł pustą fiolkę po leku, który podawał szamanowi. – Lekarstwo – powtórzył, wskazując buteleczkę.

Jedna z Sióstr podniosła pełną fiolkę i pokazała ją Toshiemu, jakby mówiąc „wciąż jeszcze masz swoje lekarstwo”. Nie były głupie, choć co rozumiały, a czego nie, pozostawało dla niego tajemnicą.

Wziął specyfik z jej ręki, przysunął do Czerwonego Liścia i pokiwał twierdząco głową. Potem wskazał na Grace i dramatycznie zaprzeczył.

– Niedobre dla niej. Trzeba innego lekarstwa – powiedział.

Dwie Siostry stojące w progu pokręciły głowami i odsunęły się od drzwi. Toshi ruszył do wyjścia, jakby balansował na linie. Trzy Robotnice usiadły na nim, gdy przekraczał próg, jedna jak zawsze na tętnicy, trzymała się go mocniej niż zwykle, może miała być to groźba.

Toshi pospiesznie udał się do laboratorium. Nie miał pojęcia, jak długo Grace pozostanie nieprzytomna. Poza tym po przebudzeniu mogła dojść do wniosku, że ma już dość tej zabawy z uzdrowicielem i nakazać Robotnicom go zabić. Wyjął fiolkę z kieszeni, otworzył i wlał kilka kropel na język, doszedłszy do wniosku, że iluzja bezpieczeństwa lepsza jest niż nic.

Przy laboratorium zobaczył ludzi, ustawionych jeden za drugim w schludnej linii. Wyrzał przez okno i przekonał się, że kolejka wychodzi z budynku i znika gdzieś za rogiem ulicy. U jej czoła stała Mała i ze spokojem rozdawała fiołki z antidotum.

– Gdzie Ivan? – spytał Toshi.

– Wewnątrz, przygotowuje kolejne – odpowiedziała. – Myśleliśmy, że dbasz o to, żeby Grace pozostała zajęta. – Strach rozszerzył jej oczy, ale oddychała miarowo, zmuszając się do zachowania pozornego spokoju. – Musisz ją nadal zajmować.

Toshi popatrzył wzdłuż kolejki, po pełnych napięcia twarzach. Jeśli wszyscy zachowają spokój, Rój nie zorientuje się, że coś tu jest nie w porządku, pod warunkiem że uwaga Grace zostanie skierowana gdzie indziej. Gdy tylko zobaczy oczyma Robotnic ludzi tłoczących się pod laboratorium Ivana, zostaną złapani.

– Nie, nie ja. Wciąż bawi się z naszym nowym gościem – odpowiedział z goryczą. – Jesteście pewni, że formuła działa?

Mali wydłużyła się mina.

– To było twoje zadanie.

– Nie zdążyłem na spotkanie – wyjaśnił, a ona spojrzała na niego, jakby to była wina Toshiego, że Grace trzymała go zamkniętego w pokoju przez kilka godzin.

– Lepiej tam pójde – powiedział i minął Małę, by dołączyć do Ivana.

W laboratorium dziesiątki ludzi spokojnie i bardzo ostrożnie pakowało fiołki do toreb, plecaków, czy co tam kto miał przy sobie, i wychodziło pospiesznie, aczkolwiek nie nazbyt pospiesznie. Toshi rozpoznał większość twarzy, to byli ludzie, z którymi kontaktował się ostatnio. Ich imion nie znał.

– To dla strefy – wyjaśnił Ivan, wskazując ich gestem.

– A środek owadobójczy? – zainteresował się Toshi.

– Tam – odparł Ivan i wskazał rząd pojemników pod ścianą. – Udało nam się ulepszyć kilka kusz, żeby rozpylać środek. – Wziął broń i zademonstrował uzdrowicielowi. – Strzelasz strzałką w grupę Robotnic, strzałka eksploduje i rozpyla środek. Problem w tym, że mamy tylko kilka kusz, tyle, co tych kilku buntowników tu i tam zdołało ukraść w ciągu minionych lat.

– Skąd wziąć więcej?

– Wieże obserwacyjne Roju są pełne kusz.

Toshi pomyślał o platformach wysoko nad ulicami.

– Ale kto się tam dostanie poza Siostrami? – spytał.

Ivan wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że on zrobił, co było w jego mocy.

– Czy ten środek działa?

– A kto to wie? Nie możemy go przetestować, nie alarmując całego Roju – roześmiał się ponuro. – Chodź, potrzebuję pomocy.

Toshi podwinął rękawy.

– Grace może obudzić się lada chwila. Nie mam wiele czasu.

– A kto ma?

Toshi miał już założyć gumowe rękawice, kiedy usłyszał niski pomruk w powietrzu i poczuł, jak siedzące na nim Robotnice nagle zrywają się do lotu. Wyrzwał przez okno i zobaczył, że wszystkie Robotnice odlatują. Wybiegli z pomieszczenia z Ivanem. Słyszając zaskoczone szepty, przepchnęli się przez skonfundowany tłum i wypadli na ulicę.

Niebo pociemniało. Toshi spojrział w górę i zobaczył Siostry Wojowniczkę lecące jedna przy drugiej. Wszystkie równocześnie kierowały się w stronę murów. Ivan rzucił się z powrotem do budynku, Toshi popędził za nim. Biegli, przeskakując po dwa stopnie, póki nie znaleźli się na najwyższym piętrze. Ivan pchnął drzwi do pomieszczenia, które było właściwie puste, jeśli nie liczyć schodów wiodących na dach. Gdy je pokonali, obaj spojrzeli poza mur otaczający miasto.

Na polu kwiatów stała gotowa do walki armia.

## Rozdział 15

Po naznaczeniu kolejnej królowej Lily usłyszała wołanie Juliet:

*Lily, Lillian zabrała swoją armię do Bower, bez nas. Po prostu zniknęli.*

Na widok wyrazu twarzy Lily Rowan zmarszczył brwi.

– Lillian nie poczekała na nas – wyjaśniła.

*Powiedziałam ci, że zbieram więcej sił!* – zawołała do swej drugiej wersji w myślach.

*Dałam ci tyle czasu, ile mogłam,* odpowiedziała Lillian. *Dołącz do mnie teraz albo przegramy wojnę.*

Lily obróciła się do Rowana.

– Co mam zrobić?

W ciągu dnia zdołali naznaczyć niemal dwadzieścia gniazd, ale był to zaledwie ułamek tego, czego potrzebowali. Rowan przygryzł dolną wargę i zastanawiał się intensywnie. Wreszcie potrząsnął głową.

– Nie zostawiła nam wyboru. Podzielenie naszych sił oznacza samobójstwo. Musimy ruszać.

– Nie mamy dość żołnierzy. – Lily załamała ręce.

Rowan był spokojny. Spojrzał na Sploty naznaczone przez Lily i uśmiechnął się do swoich myśli.

– W takim razie wszystko sprowadza się do tego, kto ma silniejszą królową – stwierdził. Ujął jej dłoń i pocałował palce, a wtedy żar popłynął w górę jej ramienia. – Czas ruszać, Lily.

Skinęła głową w milczeniu. Była wyczerpana. Nigdy jeszcze nie czuła się równie rozbudzona.

Rowan skrzesał ognia i podpalił ściółkę u stop Lily. Gdy płomień zaczęły pełzać wkoło, zamknęła oczy, by zebrać wszystkich swych naznaczonych.

Zaczęła od insektoidalnych Splotów. Popatrzyła na świat zabarwiony lawendowym blaskiem kamienia spod Richmond i wezwała całe pięćdziesiąt tysięcy. Korzystając z tego samego mówiącego kamienia, odnalazła swoje ptaki, było ich zaledwie tysiąc, ale w walce przeciwko latającym Wojowniczkom Roju ptaki mogły okazać się nieocenione.

Jej umysł zanurzył się w strumieniu kolorów pędzących na północ. Gdy świat zabarwił się na zielono, zatrzymała się i pochwyciła dziewięć tysięcy członków Stada i trzydzieści tysięcy naznaczonych ludzi w obozie. Niosąc ich wszystkich ze sobą, jej umysł pomknął ponad górami i dolinami do miejsca, gdzie czekała Płowa i dwadzieścia tysięcy wojowników Watahy na zalanym żółcią Morzu Traw.

Zwróciła umysł, teraz mający siłę blisko stu tysięcy, ku wypalonej czerwieni Doliny Śmierci; pomknęła przez rozrzedzone różowe powietrze nad

Górami Skalistymi, by dotrzeć do bieli mówiącego kamienia najbardziej wysuniętego na zachód. Przy nim stał Toshi.

*Lily, czy wojna już się rozpoczęła?* – zawołał do niej.

*Tak*, odparła i odtworzyła w swym wolicie wibrację sekwojowego lasu.  
*Jestem tu.*

\*\*\*

– Jest tutaj – powiedział Toshi, patrząc na szeregi armii zgromadzonej u bram Bower, na odległą smugę na horyzoncie, która była w rzeczywistości sekwojowym lasem.

– Najwyraźniej – odparł sucho Ivan. Spojrzał na równe szeregi żołnierzy. – Nie dość ich przyprowadziła.

– To nie Lily. – Toshi zmarszczył brwi w konsternacji. – To ta druga. Czarownica Salem. Moja nadchodzi.

Podniósł wysoko głowę, by spojrzeć na Rój, który wzbijał się w powietrze nad miastem. Dźwięk, jaki wydawały ich skrzydła, wibrował Toshiemu w kościach. Zobaczył, jak Siostry opuszczają strefę zastrzeżoną. Żałował, że nie wie, czy antidotum dotarło do jego rodziny. Czy w ogóle działało.

– Tam. – Ivan pokazał postać niesioną ku części murów nad bramą. – To Grace. Tam wznoszą dla niej stos.

– Naprawdę zamierzają ją spalić? – Toshi wpatrywał się w Ivana z niedowierzaniem.

– O tak – zapewnił go Ivan. – Mam nadzieję, że ta nasza wiedźma jest tak silna, jak się wydaje. Kiedyś byłem świadkiem, jak Grace płonęła na stosie przez dwa dni. – Wzdrygnął się na to ponure wspomnienie i opuścił wzrok, a Toshi był gotów przysiąc, że widzi płomienie pełgające wewnątrz oczu starego mechanika. – Ścieliśmy wszystkie drzewa w okolicy. Wypaliliśmy trawę. Wrzuciliśmy do ognia nawet nasze ubrania. A ona płonęła. Wrzeszcząc i śmiejąc się na przemian. – Kiedy znów popatrzył na Toshiego, jego oczy zapadły się w głąb czaszki i pociemniały cierpieniem. – Grace żyje dla stosu. – Klepnął Toshiego w ramię, otrząsając się zarazem. – Ja mam serum, które muszę rozdać, a ty kusze, które musisz ukraść. Byłoby łatwiej, gdybyśmy stali się braćmi w kamieniu.

Toshiego zdumiała ta propozycja.

– Jestem zaszczycony – powiedział.

Zetknęli swoje kamienie i Toshi ze zdziwieniem odkrył, że Grace wypełniała myśli Ivana, ale nie ta Grace, którą znali obaj. Zobaczył zakurzoną górniczą osadę, wozy zaprzężone w konie, osadników w kapeluszach o szerokich rondach i kraciastych koszulach; i Grace, dziewczuszkę z długim warkoczem, w sukience ze skóry i mokasynach naszywanych koralikami.

– Dawne czasy – powiedział Ivan, przywracając Toshiego do chwili obecnej.

– Chodź, mamy mnóstwo pracy.

Zeszli z dachu i ruszyli z powrotem, po drodze zatrzymując się w pokoju, gdzie Grace uczyła się wędrówki duchem, w nadziei że zdołają pomóc Czerwonemu Liściowi. Ale szaman zniknął. Wrócili zatem do laboratorium, a tam wymuszony spokój zastąpiło prawdziwe pandemonium. Mali nie było nigdzie. Stół, przy którym siedziała, został wywrócony, fiołki rozsypały się po całej podłodze. Ludzie przepychali się, by wejść do laboratorium, chwycić w garść serum i wybiec. Toshi potknął się o coś i dotarło doń, że na kimś stanął.

Odciągnął nieruchomą kobietę na bok i sprawdził jej puls. Miała na szyi opuchliznę wielkości gęsiego jaja. Umarła po użądleniu.

Toshi wyjrzał przez okno. Robotnice roiły się na zewnątrz, zbijając w gęste chmury, które opadały na tych najbardziej spanikowanych. Kiedy chmura się unosiła, zostawiała za sobą ciała pokryte użądleniami. Jedno ukłucie wystarczyło, by zabić człowieka w kilka sekund, ale Robotnice wyraźnie reagowały przesadnie, tak jak i ludzie. Ich ul został najechany, więc one zwracały się przeciwko wszystkiemu i wszystkim.

– Uspokójcie się natychmiast – krzyknął Ivan, podnosząc ręce, ale tłum go nie słuchał.

– Potrzebuję ludzi, którzy umieją się wspinać. – Toshi ruszył przez zamieszanie.

Ivan zawołał dwóch swoich pomocników.

– Avery! Michelson! Chodźcie ze mną – rozkazał.

Młodzi mężczyźni zarzucili beznadziejne próby powstrzymania ludzkiej fali i podeszli do naczelnego mechanika. Ivan kazał im zabrać tyle strzałek ze środkiem owadobójczym, ile dadzą radę, i poprowadził przez tylne drzwi i labirynt korytarzy willi. Wewnątrz nie było Robotnic. Wszystkie roiły się na ulicach.

Zatrzymali się przy jednym z pomieszczeń, w których składowano najróżniejsze rzeczy. Ivan ruszył wzdłuż zakurzonych półek, pełnych wędek, nart, rakiet tenisowych i wszelkiego innego sprzętu rekreacyjnego. Ściągnął z jednej wielką torbę. W środku leżały liny i haki do wspinaczki, które rozdał między Toshiego, Avery’ego i Michelsona. Każdemu założył na ramię zwój cienkiej liny, a torbę wypełnił strzałkami ze środkiem owadobójczym.

– Toshi – zawołał, gdy biegli już korytarzem. Uzdrowiciel zatrzymał się i odwrócił. – Powodzenia.

*I tobie, stary przyjacielu*, odparł Toshi.

Gdy wyszli, zorientował się, że sytuacja jeszcze się pogorszyła. Toshi widział ciała zabitych. Chmury Robotnic to rosły, to kurczyły się, brzęcząc złowieszczo. Zaganiały ludzi do domów i każdy, kto pozostawał na zewnątrz, był zagrożony.

Toshi i jego towarzysze rzucili się do najbliższej wieży. Nad miastem

poczęły zbierać się ciemne chmury i tworzyć potężny wir o ponurej barwie ołowiu. Grace weszła na stos i jej moc rosła. Pędzili ulicą, gdy nagle poczuł bolesne ukłucie na grzbiecie dłoni.

Zaczął odliczać do dziesięciu.

\*\*\*

Lily otworzyła oczy. Znajdowała się w sekwojowym lesie, a Rowan wciąż trzymał ją za rękę. Jej armia stała w cieniu wiekowych drzew, na twarzach malowało się nieskończone zdumienie. Dla większości skok był nowym przeżyciem, ale nawet dla tych, którzy doświadczyli tego wcześniej, widok gigantycznych sekwoi wystarczył, by ich zaskoczyć.

*Powiedz im, by zachowali spokój*, powiedział Rowan w myślach.

Zrobiła, co mogła, by wyjaśnić swoim naznaczonym, co się stało, a tych, którzy nie rozumieli, uspokoić i napęlić poczuciem komfortu.

*A teraz powiedz, żeby się nie pozabijali*, dodał Rowan.

– Racja – szepnęła. Czują, jak w naznaczonych rodzi się protest przeciwko temu, że zostali zebrani razem i w taki sposób. I nie chodziło już tylko o dolny lud i Zewnętrznych. Wataha nienawidziła Stada, Stado nienawidziło drapieżnych ptaków. Małpiaki nienawidziły ludzi. Insekty nic nie czuły, za to wszyscy nienawidzili ich. To nie była armia. To była zapowiedź walki.

*Co ja narobiłam?*

*Przypomnij im, po co tu są, niech skupią się na walce z Rojem.*

Lily czuła, jak wzbiera w nich krzyk. Nigdy się na to nie zgodzą. Nienawiść między nimi była zbyt zapiekła.

– Stójcie – szepnęła do siebie zrozpaczona, z każdą sekundą tracąc nad nimi kontrolę. Warkoty, krzyki, syki przybierały na sile. Mogła ich zmusić, by działali razem. Zawładnąć nimi. Nagiać do swej woli. Tak byłoby najłatwiej. Tak pewnie postąpiłaby Grace. Może Lillian też.

Ale Lily nie była żadną z nich i już zdecydowała, że nigdy nie będzie.

Wspięła się jak najwyżej mogła, czyli na grzbiet jednego z ptaków, prosząc go w myślach, by jej pomógł. Stała na olbrzymiej głowie i wykrzyczała to, co wcześniej ośmieliła się jedynie szeptać.

– Stójcie! Posłuchajcie mnie! Nie jesteście wrogami! – zawołała. – Posłuchajcie, co mam do powiedzenia, zanim zaczniecie się rozdzierać na strzępy!

– Słuchajcie – powtórzył za nią Rowan.

– Słuchajcie! – dołączyła Una.

Zwrócili się w stronę Lily. Jej naznaczeni. Byli tak różni. Znaleźli się razem, ale wciąż potrzebowała sposobu, by ich zjednoczyć. Odetchnęła głęboko.

– Przybyłam ze świata, gdzie ludzie nie wiedzą naprawdę, jak to jest być

kimś innym. Możemy tylko wyobrazić sobie, jakby to było wejść w skórę innej osoby, bo tak o tym mówimy, „być w czyjejs skórze”. A to jest nic w porównaniu z tym, co wy możecie zrobić tutaj, czego doświadczać. W moim świecie nie wiemy, jak to jest wieść życie inne niż to, które otrzymaliśmy, być człowiekiem innej rasy, czy innej płci, co dopiero mówić o innym gatunku. W moim świecie boimy się każdego, kto jest inny. Uważamy, że ci inni są naszymi wrogami, że chcą nam odebrać to, co nasze, zniszczyć nasz styl życia. Myślimy tak, bo co innego możemy myśleć? Nie możemy przeniknąć umysłu drugiego człowieka. Wy możecie. W tym świecie wszystko powinno być inaczej. Ale co widzę? Te same podziały, ten sam strach, to samo odwieczne „my przeciwko nim”, jak w moim świecie. Namurze nienawidzi Zewnętrznych. Dlaczego? Bo miasta nie są dość duże, aby pomieścić wszystkich, a Zewnętrzni zawsze próbują zakraść się jakoś do środka wbrew prawu. Zewnętrzni nienawidzą Splotów. Dlaczego? Ponieważ Sploty odebrały im ziemię. Sploty nienawidzą ludzi. Dlaczego? – Lily przerwała na chwilę, wiedziała, że to jest ten brakujący kawałek układanki. – Ponieważ człowiek uczynił z nich niewolników i zabójców. Człowiek je stworzył po to, by rozerwać ten świat na strzępy. Wasza nienawiść nie jest prawdziwa. Te podziały nie są prawdziwe. Zostały stworzone przez chciwość. Ktoś pchnął was do walki ze sobą, by móc ciągnąć z tego korzyści. Ktoś zadbał, byście potrzebowali murów, murów, które was dzielą, czynią was słabymi, bo wtedy ona mogła być silna. Ten świat ma tylko jednego prawdziwego wroga i my możemy z nią walczyć. Dzisiaj. Tutaj. Sprowadziłam was tu wszystkich tylko po to. Ale najpierw musicie przestać walczyć ze sobą. To wasza decyzja. Nie zamierzam nikogo zmuszać. Wybór należy tylko do was.

Zsunęła się z ptaka i dołączyła do Rowana na ziemi. Czuła tę ciszę głęboko w sobie, tak samo jak ją słyszała. Czekwała. Nikt nie odszedł. Nikt nie zaczął bójki. Wszyscy stali nieruchomo i patrzyli na nią.

– Co się dzieje? – mruknęła do Rowana.

– Czekają na rozkazy. – W oczach lśnił mu tłumiony śmiech.

Lily spanikowała.

– Nie mam pojęcia, co robić.

– Nie szkodzi, ja mam.

Odwrócił się. Tristan, Caleb, Una i Kanapka byli tuż za nim. Alaryk i Płowa obok mechaników. Rowan wskazał na grupę parobków po jednej stronie i członków Watahy po drugiej.

– Wy zaczynajcie ścinać drzewa, a wy zbierzcie je w jedno miejsce – rozkazał.

– Nasza czarownica potrzebuje stosu. – Nikt się nie ruszył, więc zaczął krzyczeć. – Szybko! Rój będzie tu w każdej chwili! Kto ma siekiere!

Ruszyli. Ci wyznaczeni rzucili się do działania, umykając przed gniewem Rowana. On zaś skierował się ku bezładnym grupkom ludzi i Splotów i zaczął



ustawiać ich w szyku.

Kiedy oddalił się o kilka kroków, Lily poczuła dłoń na ramieniu. Tristan.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział nagle, nie odrywając spojrzenia od pleców Rowana.

– Teraz? – Lily szerokim gestem wskazała chaos wokół.

– Próbuję porozmawiać z tobą sam na sam od tygodni, ale Rowan zawsze jest przy tobie. Muszę ci coś powiedzieć. Na wypadek gdybyśmy nie wyszli z tego cała. Musisz się o czymś dowiedzieć.

– O czym? – spytała zaniepokojona. Przypominała sobie, że za każdym razem gdy Tristan chciał jej coś powiedzieć, Rowan pojawiał się jak diabeł z pudełka, przerywał im i kierował do rozmaitych zajęć albo rozganiał w przeciwną stronę.

– Rowan nigdy nie zamierzał opuścić sabatu. Chciał iść z nami, kiedy ruszyliśmy na szlak. To nie była jego decyzja, by zostać za nami. Tylko twojego Tristana.

– O czym ty mówisz? – spytała Lily zaskoczona.

– Pamiętasz, jak obudziłaś się po tym, jak zamknięto cię w klatce? I twój Tristan nie miał nawet zadrapania, ale Caleb i ja dostaliśmy potężne lanie, próbując odebrać twoje kamienie Rowanowi?

Lily odrętwiała skinęła głową.

– No więc przyduśłem twojego Tristana i zmusiłem, by pokazał mi, co się wydarzyło. To jego wspomnienie.

...Wszyscy trzej słyszymy, jak Rowan pojękuje przez sen. Caleb wspominał coś, że gość ma koszmary, ale to jest przygnębiające. Brzmi jak dziecko, skamlące i błagające. Ciekawe, czego doświadczył jako dzieciak, że teraz ma takie sny. I żal mi faceta. Niemal na tyle, by się wycofać, ale jednak nie dość.

Trzymam się z tyłu i pozwalam, by ten drugi Tristan i Caleb wpadli do namiotu Rowana. Rowan rozprawia się z nimi szybciej, niż myślałem. Jest straszny, nawet bez mocy Lily. Dziki. Krzywię się lekko, gdy powala na ziemię tego drugiego mnie. Rusza w moim kierunku, wtedy cofam się z okrzykiem.

– Hola, wyluzuj, to ja.

Widzę, jak jego spojrzenie staje się przytomne. Przegarnia włosy i patrzy, co zrobił nie do końca świadomie swoim braciom w kamieniu.

– Nie powiedziałeś im? – pyta.

Już wie, że nie. Gdybym powiedział, toby nie próbowali go obezwładnić, ale jeszcze się z tym nie pogodził. Ciężko jest zaakceptować, że ktoś cię wystawił. Siada ciężko i jego wzrok przenosi się z miejsca na miejsce. Facet próbuje zrozumieć.

– Dlaczego? – pyta.

Siadam obok. Muszę znaleźć właściwe słowa, żeby zrozumiał. To on musi

od niej odejść, inaczej ja nie będę miał szansy.

– Przyjmijmy, że im powiedziałem. Że opowiedziałem im wszystko, że to ja kazałem ci zabrać jej wolity w tym ułamku sekundy, gdy Alaryk szykował się, by poderżnąć jej gardło. I że potem powiedziałem im, że chcesz uwolnić Lily z klatki dziś wieczorem, gdy Alaryk opuści obóz, i wszyscy odejdziemy w stronę pieprzonego zachodzącego słońca. I co dalej?

Patrzy na mnie i nie rozumie.

– Czy ty w ogóle znasz Lily? – pytam. – Bo gdybyś znał, tobyś wiedział, że nie wybaczy nigdy żadnemu z nas. Jeśli kiedykolwiek odkryje prawdę, będzie nienawidzić nas obu za to, co jej zrobiliśmy, nawet jeśli dla jej dobra.

– Nie, ona... – zaczyna, ale mu przerywam.

– Owszem, będzie. Znam ją od przedszkola i jeszcze nie widziałem, żeby komuś wybaczyła. Wiesz, że ja jestem jej jedynym prawdziwym przyjacielem? A to dlatego, że jak ktoś naśmiewał się z jej rudych włosów, wysypek i dziwnej matki, to nie mógł już nigdy się z nami bawić. Chowa urazę praktycznie do każdego człowieka w naszym mieście. Odepchnęła wszystkich, a zostałem jej tylko ja.

W oczach Rowana widzę niepewność. Został mi jeszcze jeden gwóźdź do jego trumny i mam nadzieję, że to wystarczy.

– Co będzie, jeśli Lily znienawidzi nas obu? – pytam. – Kto o nią zadba, gdy obu nas odepchnie? Kto ją będzie kochał? Zostanie sama, Rowan.

Chowa twarz w dłoniach. Nie wiem, czy płacze, ale to nie może mnie powstrzymać. Facet miał szansę ze swoją Lillian w tym świecie i spieprzył. Nie może dostać mojej Lily. Ona zawsze miała być moja, od czasu gdy byliśmy małymi dziećmi. Żał mi go, ale liczy się tylko to, żebym odzyskał Lily. Wiem, że mogę uczynić ją szczęśliwszą niż Rowan. Wiem.

Podnosi głowę. Nie widzę śladu łez, jednak to puste spojrzenie jest chyba jeszcze gorsze.

– Juliet mówi, że Lily chce udać się na zachód. Będziecie mnie potrzebować. Sabat będzie mnie potrzebował – mówi, ale głos mu się jakby łamie i brak w nim pewności.

– Nie będzie chciała cię widzieć – mówię.

– I tak. Pojadę za wami na wszelki wypadek. Nie musi wiedzieć.

Żeby mógł się zjawić i uratować wszystkich w ostatniej chwili. Zostać bohaterem. Zdobyć jej miłość. Jak mam go powstrzymać? Może mówiąc prawdę.

– Słuchaj, ona znienawidzi kogoś za to, co jej zrobiliśmy. Tak to z nią już jest. Pozwól, by nienawidziła ciebie. – Normalnie go błagam. – Daj mi szansę ją uszczęśliwić. Trzymaj się z daleka.

Wreszcie kiwa głową. Wydaje się zagubiony, jakby obudził się w pokoju, którego nie poznaje. Czuję się paskudnie, ale przynajmniej jest moja...

Wspomnienie się skończyło, a Lily stała nieruchomo, wpatrując się w Tristana. Wydawał się zawstydzony, lecz nie krył ulgi.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? – spytała, wciąż zbyt wstrząśnięta, by czuć się zraniona, choć gdzieś w głębi duszy wiedziała, że ból jeszcze nadejdzie.

– Z tego samego powodu, dla którego Rowan nie chciał, żebym ci to powiedział. – Sprawiał wrażenie, że ma serdecznie dość całej tej sprawy. – Ponieważ twój Tristan nie żyje, a my nie chcieliśmy szargać jego pamięci. Bo Rowan jest przekonany, że i tak będziesz go nienawidzić za to, że nas nie dogonił i nie zdążył go uratować. Bo ty nie wybaczasz i nie zapominasz.

Nie mogła na niego patrzeć. Za bardzo się wstydziła za siebie. Na ślepo wyciągnęła dłoń, szukając jego ręki.

– Czy zdołasz mi wybaczyć? – spytała. W odpowiedzi usłyszała niezrozumiały dźwięk, więc zebrała wszystkie siły i podniosła oczy. – Przepraszam, Tristan. Postaram się zmienić.

Tego się nie spodziewał.

– Nie jesteś zła?

– Nie. – Uścisnęła mocno jego dłoń. – Muszę znaleźć Rowana. – I pobiegła przez tłum szykujący się do bitwy.

Wyczuwała drogę do niego, wołając w myślach, przyspieszając kroku, aż w końcu zaczęła wpadać na ludzi. Gdzie nie spojrziała, przerażeni ludzie przygotowywali się do walki. Pary obejmowały się rozpaczliwie. Dzieci zabierano od rodziców, których mogły już nigdy nie zobaczyć. Przyjaciele wymieniali szyty i przysięgi, że zaopiekują się nawzajem swoimi rodzinami, w razie gdyby któryś z nich nie wrócił. Lily słyszała to wszystko. Jej naznaczeni szeptali w jej myślach o swych lękach, miłościach, o stratach.

Gdy przedzierała się przez tłum, ściągając zaskoczone spojrzenia, zrozumiała wreszcie, jak zawsze był w stanie ją znaleźć. Ona też wiedziała, gdzie był, bo tam chciała znaleźć się najbardziej. Rowan stał na polanie otoczony wojownikami i pilnował rozdziału broni.

Odwrócił się gwałtownie, gdy ona równie gwałtownie zatrzymała się kilka kroków za nim.

– Rowan.

Wszyscy zamarli i patrzyli, co się stanie. Caleb, Tristan, Una i Kanapka dogonili Lily chwilę później i teraz czekali na wynik tej niespodziewanej konfrontacji.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – wyrzuciła z siebie bez tchu.

– Powiedziałeś, czego? – W tej samej chwili konsternacja w jego wzroku zamieniła się w zrozumienie. Spojrzał na Tristana. – Powiedziałeś jej.

Lily postąpiła naprzód, policzki miała czerwone, oczy lśniące od wstrzymywanych łez.

– Jak mogłeś to przede mną ukryć? Szczególnie po tym, co Lillian zrobiła tobie?! – Głos jej się załamał. Słowa „hipokryzja” i „ironia” plątały jej się w myślach, ale gdy otworzyła usta, wypaliła nieskładnie: – To to samo... tylko odwrotnie!

Ruszyła w jego stronę, a Rowan spiął się, jakby był pewien, że go uderzy. Ale Lily rzuciła mu się w ramiona i pocałowała. Przez ułamek sekundy trwał nieruchomo, a potem upuścił broń, podniósł Lily, przyciskając ją do piersi, i z pasją oddał pocałunek.

– Kiedy to się skończy, ty i ja siądziemy sobie i wyjawimy wszystkie sekrety, wszystko, co przed sobą ukrywaliśmy – powiedział, stawiając ją wreszcie na ziemi.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się. – Ty zaczniesz.

Roześmiał się w odpowiedzi.

– Ej, ludzie – przerwała im Una. – Super, żeście się wreszcie dogadali, ale my jakby potrzebujemy światłego przewodnictwa. Jaki jest plan?

Rowan raz jeszcze uściśnął Lily, obiecując w ten sposób, że później przyjdzie czas, by się odpowiednio pogodzić, i wypuścił ją z ramion.

– Tristan – zaczął, na powrót stając się generałem w każdym calu. – Chcę mieć ochotników, którzy nie boją się wysokości i dobrze strzelają z kuszy. Ci polecą na ptakach. – Obrócił się, ale z szeregów odpowiedziały mu raczej wystraszone spojrzenia. – No dalej! Jeśli się nie zgłosicie, przekażę was Unie i razem z nią pojedziecie na członkach Stada. – Uśmiechnął się szeroko. – O ile was najpierw nie zeżrą.

– Słyszeliście, co powiedział – powtórzyła Una stanowczo i klasnęła, otrząsając ludzi z zapatrzenia. – Jeźdźcy ptaków z Tristanem, jeźdźcy lwów ze mną.

– Calebie. Potrzebuję cię jako łącznika między Watahą a Alarykiem – zakomenderował Rowan. – Przedstawię cię Alfie, który dowodzi Watahą. Dasz radę walczyć razem z wilkami?

Caleb tylko skinął głową. Nie podobał mu się przydział, ale wiedział, jaka jest stawka.

– Wilki mówią naszym językiem, dlatego połączyłem je z Zewnętrznymi. Mamy więcej wspólnego, niż byś pomyślał – powiedział Rowan. Caleb sprawiał wrażenie ogłuszonego, ale chyba zastanowił się nad słowami przyjaciela. Tymczasem Rowan obrócił się w stronę Kanapki. – A ty...

– Pilnuj Lily na stosie – dokończył za niego Kanapka. – To nie jest moje pierwsze rodeo.

– Właśnie. – Rowan odwrócił się do Lily i jego spojrzenie złagodniało. –

Nawiąż kontakt z Lillian, musicie współpracować ze sobą, działać jak jedna, żeby zgrać działania waszych armii.

*Jestem*, zawołała Lily do swej drugiej wersji. *Moja armia czeka w sekwojowym lesie.*

*Wchodzę na stos. Trzymaj swoje wojska w ukryciu, póki ci nie powiem, żebyś do nas dołączyła. Będziesz musiała wyteleportować swoją armię ze strefy wybuchu, gdy ci powiem.*

*Słuchaj. Nie możesz użyć bomby, Lillian, i jeśli liczysz, że to ci da zwycięstwo, to zginiesz. Carrick...*

Lily poczuła żar i ból, gdy płomienie strzeliły wokół Lillian i ich połączenie zostało zerwane, bo teraz Lillian skupiała się na tym, by zmieniać ciepło w moc. Lily wołała i wołała, ale jej drugie ja nie odpowiadało. Nie miała pewności, czy Lillian w ogóle ją rozumiała. Lasem zaczynał targać wiedzmi wichur, szeptał i zawodził wokół gałęzi niczym duch wezwany na pole walki.

Lily rozejrzała się, potrzebowała chwili, by poczuć się tu i teraz. Rowan wydawał rozkazy, które miały uczynić armię z jej wojowników. Ludzie i Sploty biegali to w jedną, to w drugą stronę. Siekiery nie przestawały rąbać, a każde uderzenie żelaza w sędziwe drzewa bolało niczym grzech. Jednak to była wojna i Lily wiedziała, że sekwoje stały się jej pierwszymi ofiarami, ale na pewno nie ostatnimi.

*Toshi, gdzie jesteś?* – zawołała w myślach.

W odpowiedzi dostała niewyraźny obraz ulicy, którą biegł uzdrowiciel.

*Teraz jestem trochę zajęty*, odparł. Słyszała, jak liczy. Doszedł do dziesięciu. *I nie jestem martwy*, stwierdził z wyraźnym zaskoczeniem.

Lily czuła, jak pot płynie mu po plecach, a histeryczny śmiech łaskocze gardło. Spojrzał w lewo, potem w prawo, i Lily zobaczyła mężczyzn biegnących po obu stronach Toshiego, a każdy z nich niósł na ramieniu linę. Rozpoznała w nich swoich naznaczonych i zawołała każdego po imieniu. *Avery. Michelson.*

*Próbujemy zdobyć kusze z platform Sióstr Wojowniczek, żebyśmy mogli użyć środka owadobójczego, który wymyśliłmy*, wyjaśniał tymczasem Toshi.

*Czy to zadziała?*

*Nie wiem jeszcze. Ale antidotum tak.*

*Wciąż buduję mój stos, ale dam wam tyle siły, ile mogę*, odpowiedziała. *Gdzie antidotum?*

*Ivan je ma.*

*Dobrze. Daj mi znać, czy udało się ze środkiem owadobójczym. Jak już skończysz, będę miała dla ciebie zadanie niemożliwe do wykonania.*

*Świetnie, to moje ulubione.*

Lily uśmiechnęła się pod nosem. Przetransmutowała tyle energii, ile była w stanie, i napełniła nią wolity Toshiego, Avery'ego i Michelsona. Poczula, jak się zanurzają w tej mocy, i uśmiechnęła się do siebie. Zalała ją fala wyczerpania. Lily zachwiała się, ale Juliet ją podtrzymała.

– Musisz usiąść – stwierdziła stanowczo, prowadząc Lily do omszałego kamienia.

– Po prostu potrzebuję soli. – Lily usiadła, spojrzała ponad ramieniem siostry i zobaczyła pomalowanych strażników Alaryka. – Alaryk mówił poważnie, że masz się trzymać z dala od walk, co? – spytała, wskazując strażników chodzących za Juliet.

– Owszem. – Juliet wywróciła oczami. – Czuję się do niczego nieprzydatna i oni też.

Lily przyszło coś do głowy.

– Potrzebuję twojej pomocy. Zamierzam przenieść tu kogoś, a on będzie miał antidotum na jad Robotnic. Myślisz, że oni pomogliby ci je rozdać? Musi je dostać jak najwięcej moich sił.

– Z pewnością – oznajmiła Juliet.

Lily sięgnęła do Ivana i znalazła go w laboratorium, gorączkowo szykującego więcej antidotum i pestycydów. Zawołała mechanika.

*Lily, odpowiedział zaskoczony, ale jak zawsze uprzejmy. Wybacz. Wyszedłem z wprawy, bo dawno nie byłem niczym naznaczonym.*

*Ta prośba może wydać ci się dziwna, ale chciałabym, żebyś wziął tyle antidotum, ile zdołasz unieść.*

Zrobił, o co prosiła, a wtedy Lily przeniosła Ivana do siebie. Pojawił się przed nią, trzymając w objęciach torby pełne fiolek.

– Było to jedno z najdziwniejszych doświadczeń mego życia – oznajmił lekko drżącym głosem.

– Iwanie, to moja siostra, Juliet – powiedziała Lily z uśmiechem. – Pomoże ci rozdawać antidotum.

Ivan uklonił się Juliet i przekazał jej swój bagaż.

– Wyślij mnie do laboratorium – poprosił. – Będę robił następne porcje tak długo, jak się da.

– Skontaktuj się ze mną, gdy będziesz miał więcej, a wtedy znów cię tu przeniosę – opowiedziała Lily i odesłała go do laboratorium.

\*\*\*

Toshi spojrzał na platformę Sióstr Wojowniczek, zastanawiając się, jak miałby tam wejść, i nagle poczuł energię, jakiej nie zaznał dotąd nigdy. Jego ciało

stało się lekkie, myśli nadto przejrzyste, a wszystkie zmysły wyostrzone.

Słyszał jęknięcia Avery'ego i Michelsona. Doświadczali tego samego. Popatrzyli po sobie, uśmiechając się porozumiewawczo.

– A więc o to było całe zamieszanie – stwierdził Avery, teraz już roześmiany od ucha do ucha.

– No to chyba umrzemy szczęśliwi, panowie – dodał Michelson.

Toshi pozwolił sobie na nieco drżący śmiech i ponownie skupił się na platformie. Nagle przestała się wydawać niedostępna. Wszyscy trzej wspięli się na górę bez trudu. Nie potrzebowali nawet liny.

Platforma była opustoszała. Wszystkie Siostry udały się na granice miasta. Toshi popatrzył tam, gdzie na murach lśnił pomarańczowym blaskiem odległy płomień stosu Grace. Na pociemniałym niebie zaczął tworzyć się dziwny krąg z chmur. Zaczął obracać się nad stosem i Toshi wyczuł narastające napięcie, jakby olbrzym nabierał powietrza przed krzykiem. Pojedynczy promień światła wystrzelił ze stosu prosto w niebo.

Rój został spuszczonej z uwięzi i przelał się nad krawędzią murów prosto ku czekającej armii. Ułamek chwili później ziemia zadrżała ponownie i kolejny promień wystrzelił w niebo znad pola walki. Czarownica z Salem odpowiedziała na wezwanie Grace.

– Tutaj – odezwał się Michelson. Toshi podszedł do niego. Kusze leżały równiutko ułożone w metalowej skrzynce.

Toshi wyjął jedną z nich, załadował trującą strzałką i wycelował w dół, gdzie nad ulicą roily się Robotnice. Usłyszał głośnie pyknięcie, gdy strzałka eksplodowała w środku chmury Robotnic. Nic się nie stało.

– Cholera – jęknął Avery.

– I co teraz? – chciał wiedzieć Michelson. – Wracamy do laboratorium?

– Czekajcie. – Toshi zatrzymał ich gestem.

Chmura Robotnic wydawała się rzednąć, a na chodniku został ciemny ślad z nieruchomych ciał. I nagle, jak na komendę, wszystkie Robotnice spadły martwe.

Toshi sięgnął myślami do Lily i do Ivana.

*Zadziało. Środek owadobójczy zadziało.*

*Postarajcie się zabić tyle Robotnic w mieście, ile zdołacie. Im więcej ich wytrujecie, tym mniej dołączy do Sióstr na polu walki.*

*Już się do tego bierzemy,* odpowiedział Toshi.

Opróżnili skrzynkę, przymocowali sobie kusze na plecach i gdy zeszli, zostawili je wszystkie u stóp platformy, zanim ruszyli do następnej. Toshi poinformował Ivana o ich działaniach, by naczelny mechanik mógł wysłać ludzi po kusze. W ten sposób rebelianci mogliby eksterminować Robotnice szybciej i na większą skalę.

*Co za niewykonalne zadanie miałaś dla mnie?* – Toshi ponownie nawiązał kontakt z Lily.

*Chcę, żebyś zszedł do podziemi willi i zabił Królową.*

*Aha.* Toshiemu zrobiło się słabo.

*Powinieneś dotrzeć do niej bez trudu. Siostry walczą na powierzchni,* Lily spróbowała dodać mu otuchy, a potem wysłała obraz drogi prowadzącej do ula.

– Nie przestawajcie – polecił Toshi swym towarzyszom, gdy dotarli do kolejnej wieży. – A ja będę potrzebował całej liny.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Michelson, zdejmując zwój z ramienia.

Toshi nie ośmielił się powiedzieć tego głośno, machnął tylko dłonią w stronę centrum miasta.

– Nasza wiedźma dała mi niewykonalne zadanie...

Zatrzymał sobie jedną kuszę, zaopatrzył się w strzałki i pobiegł do Sali Posłuchań, przystając tylko wtedy, gdy miał szansę strzelić do chmury Robotnic.

\*\*\*

Pierwsza fala Sióstr Wojowniczek przelała się przez mury i zaatakowała żołnierzy Lillian.

Niebo nad polem walki pociemniało złowieszczo, gdy krąg chmur począł obracać się nad Lillian. Promień oślepiająco białego światła wystrzelił ze stosu, przewracając niemal wszystkich uderzeniem energii.

Lily zatrzasnęła na swoich przegubach kajdany z żelaza i diamentów i pobiegła do swojego stosu. Rowan pędził obok niej, wyciągając zarazem koronę ze swojego plecaka. Kiedy dotarli na miejsce, wniósł Lily na nierówną górę wzniesioną z polan do pała na samym szczycie. Lily nie widziała jeszcze tak wysokiego stosu.

– Drużyna z siekierami czeka w pobliżu, zadbają, by ogień płonął wysoko – mówił Rowan pospiesznie, przeciągając łańcuchy przez pierścienie w kajdanach. – Tristan dopilnuje, by oddział drapieżnych ptaków nie dopuścił do ciebie żadnych Sióstr z góry. Una poprowadzi Stado i dolny lud z lewego skrzydła, Alaryk Zewnętrznych i Watahę z prawego. Ja poprowadzę robale środkiem.

– Jak je poprowadzisz? – spytała Lily. – Te Sploty nie rozumieją naszego języka.

– Zawarłem braterstwo w kamieniu z każdą królową – wyjaśnił z zakłopotaną miną. Lily wiedziała, ile to musiało go kosztować. – Chodzi o to, żeby musieli przebić się przez całą armię, zanim dotrą do ciebie...

Objęła go i zmusiła, by na nią spojrzął.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też. – Włożył jej poczerńiałą koronę na skronie i pocałował mocno. – Będę z tobą – szepnął i zszedł ze stosu.



Lily spojrzała w górę. Słyszała podzwanianie łańcuchów, swój oddech i wiatr, wysoko nad jej głową, w sięgających nieba wierzchołkach sekwoi. Trzydzieści stóp niżej jej armia gorączkowo kończyła ostatnie przygotowania do bitwy. Sprawdzano broń. Równano szeregi. Potwierdzano rozkazy. Dawni wrogowie stali się teraz braćmi w kamieniu w imię koordynowania działań. Tylko Lily stała sama. Czekając, aż spłonie.

Najpierw poczuła zapach. Delikatną jeszcze woń dymu przebijającą bogaty aromat drewna. I nagle dymu było tyle, że zaczęła się dusić. Oczy wypełniły jej się łzami, gdy kaszlała rozpaczliwie, złożona wpół, zwisając w łańcuchach. Żar się wzmagał i Lily zaznała trzech sekund absolutnego przerażenia.

*Obdarz mnie*, zawołał do niej Rowan.

Płomienie sięgały coraz wyżej, aż Lily zaczęła krzyczeć. Nad sekwojami utworzyło się jej własne koło z chmur. Wirowało coraz szybciej, aż w końcu z głośnym hukiem wystrzelił ku niemu promień z dymnego wolutu Lily.

*Już prawie czas, Lily*, wezwała ją Lillian. *Kiedy wszystkie siły Roju uderzą na moje wojska, niech twoja armia nas otoczy.*

*Rozumiem*. Lily czuła radość bitwy wypełniającą Lillian, ale ciało jej drugiej wersji było słabe i ogień zadawał mu większe obrażenia, niż powinien.

*Lillian, musisz coś wiedzieć o bombie.*

*Nie możesz mnie odwieść od jej użycia*, odparła Lady Salem.

*Wiem, dlatego skłoniłam Carricka, by ją rozmontował.*

Lily poczuła jeszcze wstrząs i niedowierzanie płynące od Lillian, a potem wypełniła swych wojowników Darem i posłała ryczącą hordę ludzi i Splotów na pole walki.

\*\*\*

Toshi poderwał głowę, gdy usłyszał huk. Zobaczył trzeci promień i zrozumiał, że armia Lily ruszyła do walki. Przerażenie zaczęło szarpać mu wnętrzności. Nie wytrwają długo, jeśli nie zabije Królowej.

Toshi czuł echa agonii ekstazy płynące od reszty naznaczonych Lily, gdy ci rzucili się w ogień walki, i jego stopy niemal bez udziału woli zaczęły biec. Wypełniony mocą Lily dotarł do Sali Posłuchań w kilka chwil.

Przemknął przez las marmurowych kolumn, przypominających skamieniałe odbicie tych, które otaczały jego czarownicę, i odszukał drzwi otwierające się na pustkę. Powiązał ze sobą liny i opuścił się w czeluść. Gdy dotarł do końca lin, skoczył.

Magiczne światło otoczyło go, gdy spadał. Kiedy uderzył w ziemię, natychmiast poderwał się i popędził dalej.

\*\*\*

Lily wypełniała radość.

Pędziła przez pole bitwy ze swym nieustraszonym Stadem. Szybowała w górze ze swymi niezłomnymi ptakami. Wiła się na ziemi ze swymi insektami o zmrożonych duszach. Poprowadziła szarżę z Rowanem, grmiąc dziko ku zmagającym się i umierającym Namurzakom, pijana obłąkaną radością, i niemal złamała dane słowo. Gdy Rowan rozerwał pierwszą linię Sióstr Wojowniczek, Lily poczuła, jak wnika w niego, jak bierze go całego.

Gdzieś w głębi duszy on też tego pragnął. Chciał wiedzieć, jak to jest płonąć na stosie. I tylko dlatego Lily się powstrzymała, nawet jeśli wbrew jego woli. Nie mogła pozwolić, by płonął.

Siostry walczyły, używając biczy, a gdy już nie mogły z nich korzystać, walczyły gołymi rękami. Ich ruchy były oślepiająco szybkie i brutalne. Nie uderzały pięściami, nie kopały, ale próbowały wyrywać przeciwnikom kończyny albo unosili ich jak najwyżej mogły i pozwalały grawitacji dokończyć dzieła. Atakowały w harmonii z innymi, ale wobec swych sióstr były równie okrutne, jak wobec przeciwników. Gdy któraś przegrywała, zostawiały ją samej sobie i dołączały do tych, które miały szanse na zwycięstwo.

Robotnice obsiadły nieodpornych żołnierzy dziesiątkami. Opuchnięte ciała Namurzaków nie przypominały nawet ludzkich i widok ten rozzłościł Lily bardziej niż pozostałe działania Roju. Wezwała Tristana, toczącego zajadłą walkę w powietrzu.

*Leć do miasta, rozkazała, zbierz buntowników z kuszami. I strzelajcie do Robotnic z góry, z ptaków.*

*Miałem zostać tutaj i cię chronić, zaoponował.*

*Zdobądź środek owadobójczy. Zabijaj Robotnice. Mój ogień mnie ochroni.*

Złapała mocno za żelazne łańcuchy i trzymała się ich, gdy polana pod jej stopami zmieniły się w kruche węgle. Wezwała Kanapkę, żądając więcej drewna, i jego podkomendni wzniesli stos jeszcze wyżej. Wchłaniała żar do wnętrza ciała mufli i zmieniała ciepło coraz szybciej i szybciej, aż wszyscy jej naznaczeni zostali do granic wypełnieni mocą. Armia Lily kąpała się w rosnącej sile i rzucała się na Siostry Wojowniczeki z dziką zajadłością. Ale armia Lillian zaczynała słabnąć.

*Lillian! Jak mogę pomóc?*

*Umieram, Lily, a kiedy odejdę, nie odejdę cicho. Musisz zabrać ode mnie moich naznaczonych albo umrą ze mną.*

*Nie wiem jak.*

*Dam ci wszystko, czym jestem. Wszystko poza jedynym, tym, co we mnie najgorsze. To zabiorę do grobu.*

Lily sięgnęła daleko poza stos, uniosła się ponad polem bitwy, zawirowała i

opadła wprost w Lillian.

Zaatakowała ją rozdzierająca bólem agonia. Żal za tysiącem spraw posypał jej się na głowę. Każde wspomnienie, jakie Lillian miała, każdy błąd, jaki popełniła, każdy wolił, jaki nazaczyła, każda jej miłość, nienawiść, jakie nosiła w sercu w mgnieniu oka popłynęły od niej do Lily.

Wszystko poza jednym. Lillian zatrzymała Carricka przy sobie.

Jakby spoglądając z lotu ptaka, Lily widziała swą drugą wersję na stosie, który już niemal całkiem wygasł. Lady Salem skórę miała czarną od sadzy, poznaczoną czerwonymi wzorami krwi.

*Chodź, Carricku. Zanieś mnie do naszego grobu,* zawołała.

\*\*\*

Toshi się zgubił.

Błąkał się wśród rzędów kadzi i krew ścinała mu się na myśl o potwornościach, jakie się tu zrodziły. Zrozpaczony pobiegł w kierunku, gdzie, jak mu się wydawało, powinna być tylna ściana gigantycznej jaskini. Jego stopy odrywały się od lepkiego podłoża z mlaskającym dźwiękiem. Szedł po wosku.

Ulęgę, że znalazł właściwą drogę, zastąpiło przerażenie, gdy podążał wąskim przejściem. Od coraz silniejszego zapachu miodu kręciło mu się w głowie. Widział ślady świadczące o tym, że ktoś inny przechodził tędy niedawno. Ruszył tropem Lily i jej sabatu i chwilę później znalazł się po drugiej stronie przewężenia. Zobaczył Królową. Wiła się w bólu na aksamitnym tronie, szarpana rozdzierającym cierpieniem.

Podniósł kuszę, celując między jej wielkie oczy, ale zaraz opuścił broń. Ręce mu drżały, gdy patrzył, jak dłonie Królowej zaciskają się na poduszkach w wyrazie niemej agonii. Uzdrowiciel w nim się zawahał i darowana mu cenna chwila minęła.

Złapały go szorstkie dłonie, powaliły na podłogę, wytrącając kuszę z palców. Zobaczył owadzie głowy i męskie torsy. Trutnie miały mocne, krępe ciała, pokryte szczecina na ramionach i grzbietach. Gdy pochwyciły go, żeby wyrwać mu kończyny, zobaczył szczątki skrzydeł na ich plecach i zrozumiał, że nigdy nie wzbiją się w powietrze.

Trutnie szarpały go za ramiona i nogi, ale członki Toshiego nie poddawały się, nie pękały. Uzdrowiciel wciąż czuł w sobie siłę Lily i zaczął się bronić. Sięgnął ku włochatym owadzim głowom i spróbował je wykręcać. Przetoczył się, a trutnie razem z nim, natychmiast przygniotły go wszystkie naraz.

Uderzyli w ścianę i Toshi poczuł strumień ciepłego miodu. Poderwał się na nogi, ale trutnie zaraz powaliły go z powrotem. Do walki dołączyły kolejne, gdy lepka kula z ciał przebiła się przez następną ścianę. Toshemu wreszcie udało się spod nich wydostać i zrozumiał, że wyrzucają go z komnaty Królowej.

Rzucił się na nich, próbując przebić się z powrotem, jednak trutnie trzymały

się jeden przy drugim i nie przestawały wypychać go z ula. Chciał się zaprzeć nogami, ale tylko ślizgał się w wosku. Zabijał jednego po drugim, desperacko walcząc o drogę do Królowej.

Poczuł świeże powietrze i ziemię, gdy kula wytoczyła się na zewnątrz. Trutnie wyrzuciły go z ula.

\*\*\*

Tylko dwa koła chmur przesłaniały niebo. Tylko dwa promienie światła je przeszywały. Czując smak zwycięstwa, Rój rzucił się do ataku.

Lily była rozdarta. Połowa jej zwisała w kajdanach z żelaza i diamentów. Połowa walczyła o oddech wśród popiołów.

*Trzymaj się, powiedziała jedna połowa do drugiej. Przetrwaj tę bitwę, a cię wyleczymy. Toshi cię ocali.*

Ta część pozostawiona wśród popiołów odezwała się po raz ostatni.

*Widziałam siebie w różny sposób. Byłam bohaterką. Ale byłam też czarnym charakterem. Może już nigdy nie będę bohaterką, ale przynajmniej mogę zadbać, by mój ostatni czyn był bohaterski.*

*Wezwałam Carricka. Nie chciał przyjść, więc go zmusiłam. Walczy ze mną, sztywnieje, ale moja wola jest silniejsza. Podnosi mnie. Jesteśmy jak ponura parodia młodej pary. Niesie mnie do sekwojowego lasu. Czuje, jak gorąca jest moja skóra, i wie, co to znaczy. Nie jest pierwszym mechanikiem, którego pomaszzerowałam ku własnej śmierci.*

*Kiedy zbliżamy się do wejścia ula, mija nas kula trutni walczących z jednym z naznaczonych Lily. Z tym, który może mnie uleczyć. Przez ułamek chwili myśl o ratunku lśni w mrokach mego umysłu. Toshi mógłby mnie wyleczyć. Uwolnić od tego bólu. Nie muszę umierać, ale wtedy wojna będzie trwać i wielu zginie zamiast mnie.*

*Nie pozwalam Carrickowi się zatrzymać. Mijamy moją ostatnią szansę na życie i robię się tak gorąca, że moje ciało staje w płomieniach. Uśmiecham się. Wybrałam to dla nich wszystkich. Wybrałam to dla Rowana.*

*Carrick niesie mnie w głąb ula. Trutnie chcą nas powstrzymać, ale staliśmy się pochodnią, która ich przeraża. Carrick krzyczałby w mękach, gdybym mu pozwoliła. Ale nie pozwalam.*

*Wosk topi się dokoła. Ściany skwierczą i spływają tłustymi kroplami. Wchodzimy do komnaty Królowej, a ul rozpuszcza się wokół nas. Carrick niesie mnie do niej i układa obok. Umierając, stanę się bombą, którą mi odebrano.*

*Myślę o Rowanie. To dobrze, że moje ostatnie myśli pełne są miłości.*

*Czas umierać.*

Połowa Lily się skończyła. Druga połowa poszukała azylu u swego sabatu.

Zobaczyła Toshiego. Kula ognia, jaką stała się Lillian, rycząc, wypadła z czeluści ula i mknęła ku niemu. Lily przeniosła uzdrowiciela, zanim pochłonął go ogień.

Zobaczyła Rowana. Poczwała, jak się zachwiał, jak jego serce zatrzymało się na moment, gdy usłyszał eksplozję. Wiedział, że Lillian nie żyje. Spojrzał w górę i zobaczył, jak Siostry idą w rozsypkę, choć chwilę temu bliskie były zwycięstwa.

Zobaczyła Tristana. Zawrócił ptaka i wycelował z kuszy w chmurę Robotnic, ale te nagle rozproszyły się i poleciały we wszystkich kierunkach.

Zobaczyła Unę. Una poczuła, jak jej lew zwolnił. Obcięła głowę jeszcze jednej Siostrze i odwróciła się, by zobaczyć to, co wielki kot. Wróg się wycofywał.

Zobaczyła Caleba i Alfę. Stali zwrócenii plecami do siebie i walczyli z otaczającym ich pierścieniem Sióstr. Ale Siostry nagle upuściły bicze i poderwały się do lotu.

Zobaczyła Leto. Miał złamaną nogę, sterczała pod dziwnym kątem. Kapitan dźwignął się na zdrowe kolano i obserwował odwrót Roju, ale nie mógł się radować. Zbyt wielu martwych żołnierzy Namurza leżało wokół, by mógł czuć się zwycięzcą.

Zobaczyła Kanapkę. Machał siekierą, mrugając raz po raz, bo pot zalewał mu oczy. Dostrzegł jakiś ruch w górze i uniósł głowę. Siostry odlatywały.

I znów zobaczyła Rowana. Alaryk minął go, biegnąc ku bramom miasta Bower w stronę stosu, który wciąż płonął na murach.

\*\*\*

Toshi opuścił ramię, którym odruchowo zasłonił się przed ryczącą kulą ognia, i odkrył, że stoi na dachu gubernatorskiej willi, tuż obok wielkiego kryształu.

Pozwolił sobie na chwilę całkowitego zmieszania i konsternacji, a potem wziął się w garść.

*Ivan*, pomyślał i pognął w dół, do laboratorium.

Znalazł Ivana wciąż pochłoniętego bez reszty produkcją środka owadobójczego i odciągnął go od pojemników.

– To koniec – powiedział staremu przyjacielowi. – Królowa nie żyje.

Ivan wyprostował się i cień uśmiechu pojawił się mu na ustach, gdy nagle mechanik pomroczył.

– Grace – szepnął. – Czy ona...?

– Wciąż jest na stosie – odpowiedział Toshi, zanim Ivan zdążył sformułować pytanie. Obaj rzucili się biegiem w kierunku muru.

\*\*\*

Lily usłyszała syk i poczuła w ustach smak mokrego dymu, zanim dotarło do

niej, co się dzieje. Wylewano na nią wodę wiadrami, by zdusić ostatnie płomienie. Stos zgasł. Lily przestała karmić swych naznaczonych mocą. Teraz słyszała już wokół ich głosy, podczas gdy oni rozkopywali pozostałości gigantycznego stosu, próbując ją odnaleźć.

Ulga zalała ją gęsta i słodka jak miód. Lily jednak wciąż tkwiła zasłonięta i otoczona na wpół spalonymi polanami.

– Trzymaj się, Lily, już niemal do ciebie dotarłem. – Głos Rowana zdawał się odległy i zduszony.

– Jestem tutaj – zawołała.

Woda przestała na nią kapać z zapadniętych głowni. Lily słyszała stukanie siekiery, w miarę jak Rowan docierał bliżej, i czuła ów dreszcz radości i przerażenia zarazem, który drżał w jego piersi.

*To koniec. Wygraliśmy*, powtarzał nieustannie w myślach, jakby chciał sam siebie przekonać, że to prawda.

– Jest tam! Widzę ją! – krzyknął do ludzi za plecami, zostawił siekiere i zaczął rękoma odrzucać nadpalone polana.

Lily oderwała swoje łańcuchy od sypiącego się pala i wyciągnęła rękę do Rowana, a on przygarnął ją, gdy tylko pozbył się ostatniego kawałka drewna.

– Udało nam się – szepnął łamiącym się głosem.

– Naprawdę nam się udało – odpowiedziała, uśmiechając się przez łzy.

Miała wrażenie, że nie zdoła nigdy znaleźć się wystarczająco blisko niego, gdy obejmowali się i całowali bez pamięci. Tuliła się do Rowana z całej siły, śmiejąc się, płacząc i paplając coś bez sensu. Żadne z nich nie chciało znaleźć się w innym miejscu niż tutaj, pośrodku wypalonego stosu, jedno obok drugiego.

\*\*\*

Toshi i Ivan mijali grupy rebeliantów, którzy przeczesywali miasto z kuszami w dłoniach w poszukiwaniu zabłąkanych Robotnic. Na wszystkich twarzach malowała się ta sama nieśmiała nadzieja, że bitwa dobiegła końca. Ciała znoszono z ulic na noszach. Rannych prowadzono do uzdrowicieli, którzy rozstawili punkty pomocy medycznej co kilka przecznic. Toshi zauważył, że nie tylko obywatele tam opatrywano, najwyraźniej w którymś momencie mieszkańcy strefy dostali się do miasta, miał tylko nadzieję, że jego rodzinie też się udało.

Gdy dotarli do muru, zobaczyli, że schody prowadzące na szczyt, zwykle pilnie strzeżone przez Siostry, teraz są puste. Wbiegli na nie, przeskakując po dwa stopnie. Gdy dotarli na górę, usłyszeli głosy. Ktoś ich wyprzedził i dostał się do Grace pierwszy.

Stos Grace dymił pod jej nogami. Ona klęczała na syczących polanach, spoglądając na Zewnętrzznego o surowych rysach i spojrzeniu pełnym gniewu. Odrzucił puste wiadro i podszedł do Grace.

– Grace Chyląca Drzewa. Jestem Alaryk Windrider, wódz ostatniego plemienia. Uznaję cię winną ludobójstwa.

Grace poruszyła się, a jej kajdany zadzwoniły lekko.

– Czy nie powinnam najpierw stanąć przed sądem? – spytała z uśmiechem.

– Nie będzie żadnego procesu – odparł, wyjmując zza pasa długi nóż.

– Wodzu? Co zamierzasz tym zrobić? – Toshi ostrożnie postąpił do przodu.

I gdy gorączkowo próbował znaleźć jakikolwiek argument, niewielka grupa Sióstr opadła na mur. Alaryk natychmiast ustawił się przodem do nich, uginając kolana i unosząc rękę z nożem, był gotów do walki. Ivan spróbował zasłonić Toshiego, by go chronić, ale Siostry nie zwróciły uwagi na żadnego z nich. Ruszyły prosto ku Grace.

Czarownica spojrzała na swe naznaczone niepewnie.

– Czekajcie. – Podniosła rękę w obronnym geście, widząc, jak się zbliżają. – Nie...

Zanim trzech mężczyźni zdążyli się choćby poruszyć, Siostry chwyciły Grace, wbiły się z nią w powietrze i wyleciały poza krawędź muru. Tam ją puściły.

Krzyczała, spadając. A gdy uderzyła w ziemię i jej ciało legło tam nieruchome, Siostry oddaliły się w sobie tylko znanym kierunku.

\*\*\*

– Grace nie żyje – oznajmiła Lily, gdy wygrzebywali się z Rowanem ze zgasłego stosu. Zmęczenie zaczynało dawać się Lily we znaki i nogi miała jak z galarety.

– Alaryk? – spytał Rowan, ale Lily pokazała mu wspomnienie otrzymane od Toshiego.

– Rój ją zabił – stwierdził zdziwiony.

– Rój miał najwięcej powodów, by jej nienawidzić – odparła Lily zamyślona, zaraz jednak spojrzała na Rowana spod przymrużonych powiek. – Wiedziałeś, że Alaryk pognął tam, by zabić Grace?

– Tak. – Spojrzał jej w oczy otwarcie. – I zamierzałem mu na to pozwolić.

Lily skinęła głową, przyjmując słowa Rowana do wiadomości i mocniej się do niego przytuliła. Temat był zakończony.

Rowan pomógł Lily wyjść z czarnego krateru, ale nie pozwoliła, żeby ją niósł. Bez względu na ból zamierzała wyjść z tego o własnych siłach. Ostrożnie stawiając poczerńiałe stopy, weszła między swych naznaczonych.

Kanapka nadal trzymał siekiere, drugą ręką obejmował ramiona Uny. Una stała obok lwa, położywszy dłoń na karku swego nowego brata w kamieniu. Tristan uśmiechnął się szeroko, widząc ich razem, a Lily odpowiedziała mu tym samym. Za Tristanem Caleb stał z Alfą. Zauważyła, że wymienili się nożami, i posłała Calebowi pytające spojrzenie. Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że jest

tak samo zaskoczony tym sojuszem, jak ona. Mary i Riley przeżyli, stali wśród wojowników, którzy nie przestali pilnować Juliet. Lily zauważyła nawet sylwetkę matki wędrującej wśród pieńków ściętych sekwoi. Samantha była dojmująco smutna, jakby kogoś oplakiwała.

Wsparta na ramieniu Rowana pokuśtykała przez pole walki. Tam znalazła Leto.

– Nie oddaliśmy pola, Lady Salem – powiedział, krzywiąc się lekko z bólu.

– Nie oddaliśmy, kapitanie – odparła ze smutkiem, widząc, jak wielkie straty poniosły oddziały Namurza.

– Proszę tu zostać, kapitanie, przysłemy nosze – polecił Rowan.

– Niewielu jest rannych – odparł Leto. – Siostry nie przestawały, póki same nie padły albo ich przeciwnicy nie poległi.

– Dziękuję, kapitanie – powiedziała Lily.

– Lady. – Leto uklonił się niezgrabnie.

Lily puściła ramię Rowana i szła dalej sama. Wzywała na pole uzdrowicieli, wołała ich w myślach, a potem przenosiła do potrzebujących.

Jej stopy, które na stosie zawsze płonęły pierwsze, krzyczały bólem przy każdym kroku. Krew kapła jej z dłoni, spod obręczy kajdan. Korona wbijała się w głowę, ciężka i ostra, gdy Lily prostowała się pod jej ciężarem.

Stanąła u bram Bower, a jej sabat złożony z ludzi i Splotów stanął za nią. U swych stóp miała ciało wiedźmy, którą pokonała.

– Otwierać bramy! – zażądała.

Ciężkie drzwi zaskrzypiały. Po drugiej ich stronie stał Toshi z Alarykiem po lewej, Ivanem po prawej i Malą za plecami. Hinduska uśmiechała się, ale jej oczy ciskały błyskawice.

– Miasto jest twoje – oznajmił Toshi z ulgą.

Lily przeszła przez bramę i osunęła się na kolana.



## Epilog

Była agentka specjalna Reba Simms przełożyła torbę z zakupami do lewej ręki, żeby sięgnąć po klucze.

Weszła do swojego mieszkania w Dorchester i natychmiast wiedziała, że ktoś jest w środku. Zawsze wyczuwała, gdy ktoś znajdował się za ścianą albo za rogiem. Ta umiejętność nie raz ocaliła jej życie. A jednak kiedy wyszła z kuchni z pistoletem, który zwykle trzymała przylepiony pod blatem stolika, teraz zaś odbezpieczonym i wycelowanym przed siebie, zaskoczył ją widok niespodziewanych gości.

– Ależ proszę, agentko Simms. Nie ma potrzeby uciekać się do tego. – Lily Proctor wskazała na pistolet.

Wyglądała inaczej. Miała na sobie cienką jak pajęczyna czarną suknię, ogniste loki zostały misternie ułożone wokół czegoś, co było chyba tiarą, z powyginanego czarnego metalu, wysadzanego białymi klejnotami, na sto procent prawdziwymi, gdyby ktoś pytał Simms. Obok niej siedział Rowan Fall. Ubrany był bardziej jak mężczyzna niż nastolatek, w idealnie odprasowaną lnianą koszulę i kurtkę, która spowijała go z takim oddaniem, jakby była w nim zakochana. Simms nie mogłaby mieć jej tego za złe, miał coś takiego w tych oczach, to, jak patrzył w człowieka, a nie na człowieka, co było żenująco pociągające.

Niesamowicie wyglądająca para nie trzymała się za ręce, ale to, jak subtelnie skłaniali się ku sobie, świadczyło, że nie musieli się dotykać, by się nawzajem czuć. Nawet powietrze między nimi iskrzyło tym szczególnym magnetyzmem, którego nauka nie zbadała jeszcze do końca, za to poeci opiewali od zarania dziejów.

– Przyszliśmy zaproponować ci stanowisko w naszym nowym mieście na Zachodzie – oznajmił Rowan. Popatrzył na Lily i oboje uśmiechnęli się do siebie.

– Rowan i ja mamy mnóstwo roboty w Salem, a to nowe miasto wymaga pewnej restrukturyzacji. Przydałaby się tam uczciwa i... no... nieustępliwa kobieta, jak ty. – Lily zmarszczyła lekko brwi, spoglądając na wymierzony w siebie pistolet.

– Wiesz, że to na mnie nie podziała.

Simms opuściła broń, ale jej nie odłożyła.

– Jak tu weszłaś? – spytała. Prawdopodobnie było to najgłupsze pytanie z tych tysięcy, jakie chciała zadać Lily Proctor, ale pierwsze nawinęło jej się na język.

– Jestem czarownicą, Rebo, tak jak i ty – odparła.

Simms usiadła przy stole. Spojrzała na swoje dłonie. Były mocne, kwadratowe i grube, nie takie delikatne, mięciutkie łapki, jak te ułożone na kolanach Lily. Ona miała ręce, które doprowadzały sprawy do końca. Trudne sprawy. Ręce, które teraz drżały jak liście.

– Zawsze różniłam się od innych – stwierdziła cicho. – Wiecie, że kiedyś miałam na wszystko alergię? Miałam. Dokuczali mi też z tego powodu strasznie. Albo może po prostu inne dzieciaki wyczuwały, że jestem inna.

Rowan odczekał, by mieć pewność, że Simms powiedziała wszystko, co chciała.

– Miejsce, do którego chcemy cię zabrać, jest bardzo daleko. Nie będziesz mogła tu wrócić – uprzedził ją.

– Carrick nieco mi wyjaśnił – odparła Simms, wymawiając imię Carricka jak przekleństwo. – Powiedział, że bardziej pasuję do waszego świata.

– Nie tylko o to chodzi – dodała Lily. – Widziałaś, co potrafię, i nie przestajesz szukać sposobu, by to powtórzyć. Miałam kiedyś nauczyciela, szamana, który uważał, że jedynym sposobem na naprawienie błędu, jaki popełnił, jest odesłanie mnie do mojego świata, nawet po tym, jak widziałam jego świat. Ale nie można cofnąć wystrzelonej kuli. Teraz stanowisz zagrożenie dla tego świata. Należysz do naszego. – Zmarszczyła brwi i spojrzała na Rowana. – Chyba pierwszy raz zgadzam się z Carrickiem – stwierdziła. Spojrzenie, jakie wymienili, bardziej było intymne niż pocałunek.

Simms nie potrafiła przestać się gapić. Ona nigdy nie zaznała czegoś takiego. Och, mężczyźni uganiaли się za nią z powodów, których ani ona, ani oni nie potrafili zrozumieć. Wydawało się, że zawsze chcieli czegoś, czego ona nie mogła im dać. W miarę upływu lat łatwiej było po prostu się nie wiązać. Lepiej żyło się samemu, niż borykało z rozczarowaniami, jakie wiązały się z sytuacją, gdy nie okazywała się dość dobra i nie dostawała dość, by samej czuć satysfakcję.

– Nie będziesz mogła tu wrócić, chyba że Lily cię odeśle – wyjaśnił Rowan.

Simms prychnęła pogardliwie.

– Nie mam męża, dzieci, rodziny ani pracy po tym, co wydarzyło się z wami. Jedyne, co tu mam, to trzy spotkania tygodniowo z moim psychiatrą. I czekam na nie z niecierpliwością.

– Nie jesteś szalona – powiedziała Lily z pasją, która aż żarzyła się w jej głosie, choć był to ledwie szept. – Nie jesteś chora. Nic, ale to nic ci nie dolega. – Lily uśmiechnęła się do niej. – Jesteś silna, Rebo. Trudno z tobą wytrzymać, ale tak to już jest z wiedźmami.

Simms raz jeszcze spojrzała na swoje dłonie. Teraz były absolutnie nieruchome.

– Co będę musiała zrobić?

Rowan wstał i wyjął aksamitny woreczek z wewnętrznej kieszeni kurtki.

– To będzie trudne – zapowiedział. – Ale tylko przez chwilę.

– Potrafię sobie dać radę z trudnymi sprawami – odparła z pewnością siebie.

Skinął głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi, i rozsypał woreczek, odsłaniając kolekcję kamieni o barwie ołowiu.

– Jeszcze jedno, zanim zaczniemy – wtrąciła Lily. – Nie wiesz przypadkiem, gdzie znajdziemy tego surfera? Millera?

## Podziękowania

Chciałabym podziękować Holy West i Jean Feiwel za ich niesłabnącą wiarę i pomoc przy tworzeniu tej serii. Praca z wami dała mi ogrom radości. Mojej pierwszorzędnej agentce Mollie Glick, mogę tylko powiedzieć: łał. Udało nam się tego dokonać w wyjątkowo trudnym dla mnie czasie: podczas ciąży i potem, w trakcie opieki nad niemowlęciem. Molly, sprawiłaś, że to wszystko wydawało się łatwe i podziwiam Cię niezmiennie.

Gorące podziękowania dla Morgan Dubin, Elizabeth Fithian, Caitlin Sweeny, Mary Van Akin, Angusa Killicka i innych pracowników Macmillana, którzy pomogli tej serii trafić na półki.

Muszą też podziękować Elizabeth Nelson, Kaitlin Huwe i Lillian Lopez za ich pomoc przy Pii, gdy gorączkowo próbowałam skończyć książkę, zajmując się jednocześnie noworodkiem. Dziękuję również Robyn Shwer i Stephanie Aoki – to za Waszą sprawą zachowałam zdrowe zmysły, gdy hormony robiły co mogły, by zmienić mnie w obląkaną.

I oczywiście wyrazy mojej najgłębszej miłości dla Alberta i Pii.

